

PROWINCJA

KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY DOLNEGO POWIŚLA I ŻUŁAW • NR 1 (43) • 2021





Publikacja została dofinansowana z budżetu
Samorządu Województwa Pomorskiego w ramach programu
„Rozwój kultury w województwie pomorskim w 2021 roku”



Wydawnictwo kwartalnika wspiera
Jacek Szarycki Prezes Zarządu Fobos One

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
im. Josepha Conrada Korzeniowskiego
DZIAŁ REGIONALNY
80-806 Gdańsk, ul. Targ Rakowy 5/6
☎ 58 301-48-11 w. 227, 237

PROWINCJA

KWARTALNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
DOLNEGO POWIŚLA I ŻUŁAW

Nr 1(43)

2021

Redakcja

Leszek Sarnowski – redaktor naczelny
Wacław Bielecki – sekretarz redakcji
Piotr Napiwodzki
Janusz Ryszkowski
Andrzej Kasperek

Stali współpracownicy:

Andrzej C. Leszczyński, Andrzej Lubiński, Bogumił Wiśniewski, Jan Chłosta,
Wiesław Olszewski, Adam Langowski

Projekt okładki: Mariusz Stawarski

Str III i IV okładki zdjęcia z cyklu „Opuszczone miejsca” Adama Szczepańskiego

Skład komputerowy i przygotowanie do druku:

KIMSO Marcin Żakiewicz

Druk: Wydawnictwo Region Jarosław Ellwart, ul. Goska 8, 81-574 Gdynia

Wydawca:

Stowarzyszenie Inicjatyw Obywatelskich „TAKA GMINA” w Sztumie
82-400 Sztum, ul. Królowej Jadwigi 10, tel. 693 527 614
prowincja@onet.pl, www.prowincja.com.pl

Dziękujemy za współpracę przy promocji kwartalnika:

Spółdzielni Socjalnej Fabryka Inicjatyw w Malborku, Sztumskiemu Centrum Kultury,
Kwidzyńskiemu Centrum Kultury, Żuławskiemu Parkowi Historycznemu w Nowym Dworze Gdańskim,
Żuławskiemu Ośrodkowi Kultury w Nowym Dworze Gdańskim

Miejsca w których można kupić kwartalnik „Prowincja”:

Kwidzyńskie Centrum Kultury – sklep Tabularium
Sztumskie Centrum Kultury
Zakład fotograficzny Foto Mono II w Sztumie, Plac Wolności 19
Sklep papierniczo-biurowy „Kopiał” w Malborku ul. Żeromskiego 5

Wszystkim, którzy zechcą wesprzeć finansowo nasz kwartalnik podajemy numer konta wydawcy –
Stowarzyszenia Inicjatyw Obywatelskich „Taka Gmina” w Sztumie:

Bank Spółdzielczy w Sztumie: 42 8309 0000 0002 6741 2000 0010

ISSN 2082-0291

www.prowincja.com.pl
Nakład 400 egzemplarzy

CZTERDZIESTA TRZECIA „PROWINCJA”

SPIS TREŚCI

Czterdziesta trzecia „Prowincja”	5
Poezja	
Beata Langowska.....	6
Proza	
Grzegorz Daszewski – W cygańskiej krainie czarów.....	8
Tadeusz Majewski – Nieśmiertelniki sierżanta Stefana Kosobudzkiego	12
Wachmistrz puszcza oko, z Krzysztofem Bochusem rozmawia Adam Kamiński	20
Esej	
Andrzej C. Leszczyński – Okruchy.....	24
Na tropach historii	
Grażyna Nawrońska – Św. Jakub Starszy – Apostoł Patron pielgrzymów do Santiago de Compostela.....	30
Katarzyna Gentkowska – Mroczne oblicze menonitów. Przypadek Heinricha Hamma	38
Radosław Kubus – Kary cielesne i publiczne kary śmierci w pierwszej połowie XIX wieku na terenie Pomorza.....	43
Patryk Pawłowski – Z „Żelaznym” do końca	48
Andrzej Lubiński – Z historii sztumskiego sądu (1945-1975)	54
Marcin Owsiański – Żuławskie okruchy wojennej codzienności, czyli dwie godziny Himmlera w Stutthofie.....	62
Wędrowki po prowincji	
Janusz Ryszkowski – Donimirski, Lipnicki i król fogoszy	69
Andrzej Kasperek – Ostaszewo. Taka gmina	76
Beata Grudziecka – Historie malowane tlenkiem kobaltu (1)	93
Ryszard Rząd – Historie nie tylko malborskie (3)	100
Andrzej Kasperek – PRL w 100 przedmiotach	108
Piotr Podlewski – Niekomercyjny przewodnik po ziemi sztumskiej (9)	113

Prowincje bliskie i dalekie

Krzysztof Czyżewski – Notatki słów i obrazów (14)	120
Piotr Opacian – Orkney – archipelag niezwykle	134
Paweł Zbierski – Dziennik kataloński (11)	141
Radosław Wiśniewski – Listy do Tymoteusza (3)	159

Muzyka-Teatr-Sztuka

Wacław Bielecki – Klasyka z sieci. Notki melomana w czasie pandemii (1)	167
Paweł Przybysz – O Bułhakowie i kwarantannie czyli jak młodzi ludzie tworzą teatr. Z Sergiuszem Mizera, młodym poetą i reżyserem teatralnym z Kwidzińskiego Centrum Kultury rozmawia Paweł Przybysz	180
Wiesław Olszewski – Żuławsko – kociewski wernisaż rzeźby	185

Okiem fotosnajpera

Piotr Opacian – Bernikle – niecodzienni goście	189
--	-----

Z dziennika zarazy

Leszek Sarnowski – Chronimy się, dystansujemy, czytamy książki, chorujemy, czyli z dziennika zarazy (2)	194
--	-----

Recenzje

Marek Suchar – Zwielokrotniona opowieść o Powiślu	206
Jan Chłosta – Literackie reportaże Ewy Zdrojkowskiej	208
Janusz Ryszkowski – Od Danielewskiego do Wańkowicza	210
Adam Langowski – Ziemia sztumska zatrzymana w kadrze	212
Adam Langowski – Plebiscytowy album	213
Krystian Zdziennicki – Stulecie ważnych wydarzeń	215

Noty o autorach	220
------------------------------	-----

CZTERDZIESTA TRZECIA „PROWINCJA”

Minął rok z pandemią. To był w zasadzie rok bez naszego kwartalnika w realu, bo promocje odbywały się online. A to niestety smutne, bo bez kontaktu z Czytelnikami nie da się długo żyć. No, ale bez narzekania, bo codzienność i tak nam podsuwa wiele powodów do tego. Przetrwaliśmy i tego się trzymajmy, z nadzieją, że w końcu musi być lepiej.

W pierwszym tegorocznym numerze wracamy do nowych wierszy Beaty Langowskiej, a w prozie Tadeusz Majewski, debiutujący na naszych łamach Grzegorz Doszewski i kilka słów o nowych kryminałach Krzysztofa Bochusa.

Andrzej C. Leszczyński zaprasza do refleksji na temat najlepszego ponoć przyjaciela człowieka – psa. Spora dawka historycznych tekstów. Grażyna Nawrońska wraca do sylwetki św. Jakuba z Compostelli, Katarzyna Gentkowska otwiera smutne karty z przeszłości menonitów, a Darek Kubus pisze o karach cielesnych i wyrokach śmierci na Pomorzu. Andrzej Lubiński przypomina historię sztumskiego sądu po wojnie, Patryk Pawłowski nadal szuka śladów „Żelaznego” na Powiślu, a Marcin Owsiański z Muzeum Stutthof, tym razem o wicie Himmlera w byłym obozie koncentracyjnym.

Janusz Ryszkowski kontynuuje opowieść o Antonim Donimirskim, a Piotr Podlewski oprowadza nas po ciekawych zakątkach ziemi sztumskiej i możemy już powiedzieć, że jego ciekawe opowieści zostaną opublikowane w tym roku, w ramach kolejnego tomu „Biblioteki Prowincji”. Andrzej Kasperek bardzo dokładnie przygląda się żuławskiej gminie Ostaszewo wyszukując wiele atrakcji, a Ryszard Rząd atrakcji historycznych szuka w Malborku i okolicach. Beata Grudziecka z kolei przygląda się flizom, od Niderlandów po Żuławy.

W „Prowincjach bliskich i dalekich”, poza kolejną dawką Krzysztofa Czyżewskiego, Pawła Zbierskiego i Radka Wiśniewskiego, znajduje się kolorowa relacja Piotra Opaciana z wyprawy na Orkady. Piotr Opacian wraca do swego cyklu „Okiem fotosnajpera” prezentując bernikle białolice.

Poza tym, czytelnicy znajdą relacje Wacława Bieleckiego o koncertach muzyki klasycznej w czasie zarazy, rozmowę z poetą i początkującym reżyserem teatralnym Sergiuszem Mizera o pracy z młodymi aktorami, pasjach i planach na przyszłość. Wiesław Olszewski z kolei zaprasza na wernisaż rzeźb Mariusza Burdka, oryginalnego artysty z Nowego Dworu Gdańskiego. W „Galerii Prowincji” prezentujemy prace fotograficzne „Opuszczone miejsca” Adama Szczepańskiego z Kwidzyna. Leszek Sarnowski w drugiej części swojego dziennika z czasów zarazy, dzieli się refleksjami z ostatnich, trudnych miesięcy. Okładka, jak zwykle, jest autorstwa Mariusza Stawarskiego.

Życzymy przyjemnej lektury i zdrowia -

Beata Langowska



ZIMA

dni coraz krótsze
ostatnie liście szeleszczą pod stopami
można zachwycić się
widokiem porannego jeziora
z rzęsami trzcin
z makijażem fal
można smakować mroźne powietrze
łapać słońce w kaptur
by było na później
można
umierać po cichutku

ZIMNO

lodowiec góry lodu
nawet w czerwcu
gdy dotkniesz chłód przenika
do kości
osiada na krtani
- każde słowo zmrożone
osiada na rzęsach
- zimne spojrzenie
to bujda gdy mówią
że globalne ocieplenie

BALLADA WIOSENNA

wieczór
tłum ludzi w tle
wódka na stole i ona
opowiada historię
wie że jest banalna
tak
jak wiele innych uśmiecha się jednak
pojawił się nagle piękny jak z reklamy
katalogu biura podróży do Chorwacji
smukły gotycki gibki jak żbik
pojawił się zbajerował poszła za nim w ciemno
mówił do niej - nie cwaniakuj mała
całował jakby miał się skończyć świat
wykorzystał
teraz nic nie mówi
ale przecież jest dorosła
sama chciała więc
już nie płacze

GORZKO

odcięta od słów
jak od świeżego powietrza
brak dostawy
słowa utknęły w światłowodzie
bo co można jeszcze powiedzieć
po co jeszcze mówić
jeżeli wszystko stało się jasne -
zdobyta ja twierdza
tylko boli ta niewiedza
kim była
oj gorzko teraz gorzko
i to nie jak na weselu

Grzegorz Daszewski



W CYGAŃSKIEJ KRAINIE CZARÓW

Króliczy taniec trwał codziennie przez osiem godzin. W Króliczej Norze spędzałem połowę swojego życia pracując, jeżdżąc, słuchając muzyki i pogrążając się w depresji. Ale przede wszystkim, w tym ciemnym, wilgotnym, oświetlanym przez jedną żarówkę miejscu pakowałem królicze korpusy, które potem odjeżdżały w różne części Londynu, by znaleźć swe miejsce w tanich jatkach. Kiedy przychodził koniec tygodnia byłem wyczerpany i sfrustrowany. Wypijałem litry alkoholu, a dzięki Charlie'emu Albinosowi wędrowałem zasypanymi śniegiem ścieżkami, dzięki którym mogłem choć na chwilę być w innej krainie. Kiedy w kolejny poniedziałek, wczesnym rankiem, ledwo powłócząc nogami, wracałem przed wejście do Króliczej Nory, spoglądałem na kikuty kominów elektrowni Battersea i rozglądałem się, by znaleźć odpowiednio duży kamień, który pomógłby mi zanurzyć się w odmęty Tamizy i zostać tam na zawsze, na dnie.

I wtedy nieoczekiwanie zadzwonił telefon:

- Zbieraj manatki Bunny. Znalazłem ci robotę. Wyjeżdżamy stąd.

Był to mój Stróż, Anioł.

- Piszesz jeszcze? Jedziemy do miejsca, w którym Lewis Carroll znalazł inspirację do napisania „Alicji w krainie czarów”. Może i ty w końcu coś znajdziesz? Marnujesz się – rzucił truizmem Anioł – I jeszcze jedno. Może wyda się to dziwne, ale Carroll nie potrzebował wspomagaczy, żeby pisać. Podobno zażywał tylko delikatnie jakieś laudanum, więc radzę ci byś porzucił swoje narciarskie hobby. Wyjdzie ci na zdrowie.

Pojechaliśmy do miejscowości Stow on the Wold na sielskiej prowincji, gdzie miałem objąć funkcję kierownika przyhotelowej restauracji. Opuszczałem Londyn bez żalu. Czarna dziura, w której tonąłem zdawała się nie mieć dna, więc rzucony mi sztormtrap był cudownym wybawieniem. Kiedy dotarłem do miasteczka, przed hotelem powitali mnie serdecznie hinduscy właściciele, szef kuchni - Chińczyk, para kelnerów z Litwy i pokojówki z Filipin.

- Niezły tygiel – pomyślałem – jest dobrze.

Przed oczami przemknęła mi nazwa restauracji „Per Amici”. Wiedziałem, że restauracja jest włoska, ale żaden Włoch tu nie pracował. Domyśliłem się, dlaczego właściciele wybrali mnie - moja śródziemnomorska uroda miała gwarantować oryginalność knajpy. Tyle, że ja ni w ząb nie mówiłem językiem Dantego. By stać się wiarygodnym zacząłem NATYCHMIAST uczyć się włoskiego. Języka, który nigdy nie kojarzył mi się z melodią i śpiewem, ale pretensją i narzekaniem. Nauka szła mi opornie, za to zasmakowałem we

włoskim winie, którego było tam pod dostatkiem. Myślałem, że dzięki niemu mój język będzie bardziej giętki i będę miał lepszy akcent, ale zazwyczaj po dwóch butelkach zasympiałem i śniłem o wzgórzach Toskanii, miasteczkach Apulii, a nade wszystko o sycylijskich winnicach. Każdego ranka, by wypocić *dopo sbornia*, ordynarnego kaca wywołanego przez włoskie sikacze, biegałem wzdłuż soczysto zielonych pastwisk i zagajników pełnych jaskrów. Przeskakiwałem kałuże pachnące angielską jałowcówką i tonikiem, a ruskie fajki, które wypalałem wieczorami nadawały mym kacom i miejscu, w którym się znalazłem, charakter międzynarodowy. Celem biegu był zawsze pub, gdzie czekała na mnie nagroda w postaci Psiego Włosa, bo tak poetycko synowie Albionu nazwali zwykłego klina. Przez drogę przebiegały mi Białe Króliki i Zające Marcowe. Wtedy zastanawiałem się, czy to wpływ taniego napoju gronowego z Italii, czy też nieustannej lektury Lewisa Carrolla? A może jednego i drugiego? Aż pewnego dnia idylliczny nastrój został przerwany. Na mej drodze stanęło dwóch mundurowych.

- Sir, ta droga jest zamknięta, chyba że przebiegnie Pan na własną odpowiedzialność. Na pobliskim polu rozbili się Cyganie, trawellersi. Nie należą do najgrzeczniejszych, więc sugerowalibyśmy wybrać inną trasę - poinformował mnie pierwszy z nich do złudzenia przypominający jednego z bliźniaków z ekranizacji powieści „Alicja w krainie czarów” Tima Burtona.

- Sir, proszę śmiało biec. To bardzo mili ludzie, nie zrobią panu krzywdy, a opowieści o ich złym zachowaniu są wyssane z palca - rzekł drugi policjant, również do złudzenia przypominający Matta Lucasa, który tych bliźniaków zagrał.

Dowiedziałem się, że ci tajemniczy ludzie co roku przybywają do wioski by handlować końmi. Nigdy nie zetknąłem się z tą osobliwą kulturą. Film „Snatch” był jedynym źródłem mej wiedzy na ich temat. Mimo to czułem się niezłe wykształcony, bo obejrzałem go chyba pięć razy. Po chwili konstable zaczęli kłócić się o to, kto ma rację, a ja zaciekawiony ruszyłem w stronę pola zajętego przez Cyganów.

- Proszę być ostrożnym! - ostrzegwał pierwszy

- Śmiało! Niech się pan o nic nie martwi! - zapewniał ten drugi.

- Dyludyludi! Dyludyludam! - krzyknąłem zostawiając stójkowych za sobą.

Słyszałem co nieco o porywczej naturze pikey'ów i ich walkach na gołe pięści. W oczach miałem obraz brawurowego Brada Pitta z „Przekrętu”. Opowiadano o tym, że nie mają domów i mieszkają w budach kempingowych, które ciągną za sobą przez całą Wielką Brytanię. Że nie używają plastikowych kart bankowych i płacą tylko gotówką pochodzącą z różnych, nie zawsze uczciwych, źródeł.

Po chwili biegłem wzdłuż pola pełnego kolorowych przyczep i koni rasy Gypsy Cob. Ludzie gromadzili się wokół ognisk i machali do mnie przyjaźnie. Pomyślałem, że opowieści o ich gwałtownej naturze nie mają potwierdzenia w rzeczywistości. Poczułem się swobodnie i uśmiech ulgi zagościł na mej twarzy. Nagle jednak nad moją głową świsnęły kamienie.

- Run, Forrest, run! - usłyszałem krzyki.

Kiedy odwróciłem się na moment zobaczyłem kilku wyrostków ubranych w dresy i baseballowe czapeczki. Młodzieńcy mieli harde miny i kamienie w dłoniach. Przestraszyłem się

i ruszyłem z kopyta pędząc jak oszalały. Kątem oka dostrzegłem zazdrosne spojrzenia Gipsy Cobów, które leniwie przeżuwały siano. Patrząc na mnie pewnie widziały siebie gnających na wyścigach konnych w Ascot, podziwiane przez królową. Nie dane było im jednak życie konia wyścigowego, ale tułaczka z cygańskim taborem. Nie myślałem o Ascot, chociaż w tamtym momencie miałbym pewnie duże szanse na wygraną. Kiedy dobiegłem zdyszany do pubu „Szalony Kapelusznik” po swą nagrodę za trud joggingu, czyli gin z tonikiem, zastałem zamknięte drzwi. Z okna nad wejściem powitał mnie właściciel.

- Pub i wszystkie restauracje w miasteczku są zamknięte na kilka dni. Przyjechali Cyganie i może być gorąco - rzucił krótko niezwłocznie zamykając okiennice.

Ruszyłem pędem do swojej restauracji żeby ostrzec właścicieli przed grożącym nam niebezpieczeństwem.

- Do nas nie przyjdą. Jesteśmy zbyt daleko od centrum. Nie przejmuj się i otwórz lokal - uspokoili mnie Hindusi.

Wieczór zapowiadał się spokojnie. Restauracja była pusta i nic nie wskazywało, że będzie inaczej. Zostałem tylko ja i szef kuchni, który zawsze, kiedy nie było ruchu medytował na najwyższej lodówce kuchni. Założyłem kamizelkę, ale na wszelki wypadek z kieszonki wyciągnąłem zegarek. Było już późno i tak cicho, że opadły mi powieki. Pogrzeżyłem się we śnie. Widziałem walki bokserskie na dachach bud kempingowych i sforę psów goniących zającą, którym byłem ja. Ze snu obudził mnie gong - alarm, który zamontowany w drzwiach wejściowych miał informować o wchodzących. Zobaczyłem parę, sympatycznie wyglądających ludzi. Kiedy podeszli do baru poczułem zapach osób będących od dawna w podróży i nie mających się gdzie umyć. Zamówili piwo, a mężczyzna wyciągnął telefon i zaczął rozmawiać w języku, którego nie rozumiałem. To nie był angielski, to nie był irlandzki. To był pikey, osobliwy dialekt tych nieprzystosowanych społecznie wagabundów. Już wiedziałem, że nas znaleźli. Nadciągały ciemne, skłębione cumulusy. Za chwilę miała rozpętać się burza.

Zjawili się jak niespodziewana chmura szarańczy. Kobiety, dzieci, faceci w czarnych skórzanych płaszczach ze złotymi łańcuchami na szyjach. Nie nadążałem z zamówieniami, pili w tempie polskich biesiadników weselnych nie jedząc przy tym w ogóle. Kazali grać bez ustanku przebój grupy Smokie „Living next door to Alice”, którego nie cierpiełem, ale w tej sytuacji jakikolwiek sprzeciw z mojej strony mógł zakończyć się uszkodzeniem twarzy. Każde ich zamówienie związane było z darmowym drinkiem dla mnie, więc po godzinie przerażenie, które na początku mnie ogarnęło, przeistoczyło się w zaufanie i sympatię. Zacząłem nawet rozumieć ich mowę, ale był to raczej wpływ alkoholu, niż mojego lingwistycznego talentu.

Brytyjcy nomadzi tak się rozochocili, że zaczęli wykorzystywać wibrację dolnych zwieraczy przełyku. Ich bekanie nie przypominało wyczynów Paula Hunna, rekordzisty Guinnessa w tej konkurencji. Była to wspaniała improwizacja, której nie powstydziliby się Charlie Parker. Jazz zawsze był bliższy mojemu sercu niż muzyka Smokie więc byłem rozanielony. Jeden z gości w pewnym momencie uwolnił, mieniącego się wszystkimi odcieniami zieleni i błękitu, pawia. Brzmiało to tak, jakby wydobył z siebie akord gitary Django Reinhardta, cygańskiego wirtuoza. Charlie Parker i Django Reinhardt – cóż za duet! Po chwili dowie-

działem się, że ten pawi ogon był dziełem kawalera, który w ten sposób chciał zwrócić na siebie uwagę pewnej młodej damy. Nie miałem złudzeń co do powodzenia tej akcji – ogon pawi, którym popisał się właściciel, był zachwycający. Zupełnie nie rozumiałem dlaczego Darwin czuł wstręt do piór tych ptaków. Już wszystko mi się podobało. Oj, sporo było tych darmowych drinków...

W pewnym momencie ze wszystkich stron doszedł do mnie hałas tłuczonego szkła. Cyganie bili szklanki o podłogę, która pokryła się błyszczącymi kawałkami rozbitego szkła. Po każdym wypitym drinku rzucali kieliszkami i kuffami pod nogi ciesząc się przy tym jak dzieci i jednocześnie płacąc żywą gotówką za wyrządzone szkody. To była iście cygańska kryształowa noc. Kiedy wypili cały alkohol, który był w barze, tak nagle jak się pojawili, nagle zniknęli. Zostawili po sobie pobojowisko.

Byłem wykończony i wkurzony. Miałem wielką ochotę napić się, ale puste butelki po wypitym przez travellersów alkoholu doprowadziły mnie do łez. Nagle jednak, pod barem, zobaczyłem pełną flaszkę. Na etykiecie widniał pięknie wykaligrafowany napis *Bevimi*.

- Tego wina nie znam, nie było go tu wcześniej – pomyślałem.

Łzy żalu zamieniły się w łzy szczęścia. Szybko otworzyłem butlę i spragniony wydudliłem całą. Napój był całkiem smaczny, ale raczej przypominał wiśniówkę niż wino. Efekt był piorunujący. Opadłem bezwładnie na fotel...

Uciekałem przez soczysto zielone łąki, zagajniki pełne jaskrów, a za mną pędziła grupa Cyganów. Moje rozbiegane, przekrwione do czerwoności oczy szukały jakiegoś schronienia. Wyciągnąłem z kieszonki kamizelki zegarek - tak, biegłem po rekord. Królowa biła mi brawo. Wygrywałem zawody w Ascot będąc królikiem! Ale moim celem nie była meta wyścigu, lecz jakieś schronienie przed krwiożerczymi Cyganami. W pewnej chwili zobaczyłem dziurę w ziemi i nie namyślając się wskoczyłem do niej. Krzyki pościgu i królewskie brawa ucichły, a ja pędziłem przez ciemny korytarz. W końcu wpadłem do ciemnej komnaty nasłuchując zbliżającego się niebezpieczeństwa. Cisza. Byłem uratowany.

Nagle w komnacie zapaliło się rażące światło wychodzące z nieosłoniętej żarówki. Przed sobą ujrzałem tańczące, w rytm przeboju Smokie, wokół wspaniałego, lśniącego, czarnego kamienia korpusy królicze.

- Tamizo! Idę do ciebie!!! - wrzasnąłem szaleńczo.

Wiem, że czytelnik może być rozczarowany zakończeniem, które, także w moim przekonaniu, nie zaspokaja ciekawości odbiorcy. Proszę, nie oburzajcie się moi mili i dajcie mi wyjaśnić tę palącą sprawę. Otóż główną nagrodę w wyścigach w Ascot, których przez przypadek byliśmy wspólnie świadkami, po raz pierwszy w historii zdobył zespół! Grupa Cyganów dobiegła na metę w rekordowym czasie i zgarnęła trofeum wręczone osobiście przez królową brytyjską. Były to: okazały puchar i wieczyzna dzierzawa pola w Stow on the Wold.

Tadeusz Majewski



Nieśmiertelniki sierżanta STEFANA KOSOBUDZKIEGO

Tydzień przed Jarmarkiem Dominikańskim podjechałem do Pelplina nacieszyć oko tym kwitnącym gotyckim miasteczkiem i porozmawiać z żywo interesującym się historią Pomorza burmistrzem Patrykiem Demskim. Po wyjściu z urzędu po drugiej stronie ulicy spostrzegłem dyskretne drzwi w narożniku kamienicy z rzadkim dziś napisem „Antykwariat”.

Wszedłem do środka i od razu odżyły wspomnienia toruńskich antykwariatów z lat siedemdziesiątych, w których masowo kupowaliśmy rozmaite serie literatury polskiej i światowej, encyklopedie, słowniki, a nawet reprinty znakomitych dzieł. Z literatów rządili wówczas pisarze iberoamerykańscy. Pelpliński antykwariat wypchany był co prawda przedmiotami różnorodnego użytku, ale pachniał identycznie jak tamte w różnym stopniu sfatygowanym przez anonimowe palce papierem. Wśród stłoczonych staroci na szczęście nie dostrzegłem całego tego holenderskiego chlamu, dominującego w dzisiejszych antykwariatach – podrabianych na staro mebli, kopii à la Rembrandt i rzekomo miśnieńskiej porcelany. Pelpliński antykwariat okazał się autentycznym, tak samo jak jego właściciel, co się po kilku dość długich minutach okazało. Długich, gdyż ja do przesady wolno oglądałem przedmioty, a on udawał, że nie dostrzegł mojego wejścia. Siedział w kącie z największym półmrokiem za potężnym biurkiem i swobodnie rozparty w obrotowym fotelu leniwie klikał myszką. Przeglądał, co się później okazało, strony internetowe z aukcjami staroci.

Zawodowcy wiedzą, jak ważny jest początek, kto pierwszy się odezwie. Odwrotnie niż w szachach.

– Czy ma pan może jakieś stare zdjęcia? – nie wytrzymałem.

Pan Antykwariusz niby z roztargnieniem oderwał wzrok od monitora, strzepnął papieros w starej okrągłej popielnicy z rączką jak ubijak na blaszanym dekle, ogarnął mnie przez moment bystrym spojrzeniem i prychnął: – Też bym chciał!

– Ale mnie nie chodzi o zdjęcia Pelplina. O Starogard.

– Ooo, to inna sprawa.

Obrócił fotel, pochylił się, podniósł stojącą w ciemności za biurkiem szyfrowaną aktówkę, położył obok komputera i niespiesznymi ruchami, pewnie żeby wprowadzić element tajemniczości i spotęgować moją ciekawość, zaczął ją otwierać. Po chwili na biurku leżało rozsypane dossier żołnierza (szwoleżera rokitniańskiego?) ze Starogardu. Czegoż tam nie było! Legitymacje, zdjęcia, dokumenty cywilne i wojskowe, nawet świadectwa ze szkoły powszechnej z Brus. Papierowe nieśmiertelniki – pomyślałem zaskoczony.

– Czy mogę zrobić kilka zdjęć z tych zdjęć i zdjęcia dokumentów? Mam portal internetowy. Umieszczę, może ktoś się zgłosi. Rodzina, historycy, inni zainteresowani.

Specjalnie nie musiałem tłumaczyć zalet zamieszczenia kopii w internecie. Pan Antykwariusz nie miał nic przeciwko.

Wyjąłem aparat i zrobiłem zdjęcia kilku fotografii oraz kilku dokumentów. Nie wszyskiego, bo do tego pomieszczenia, jak w porządnym antykwariacie, nie docierało światło naturalne, a żarówki w starych żyrandolach i kinkietach dawały kolor mdły i żółty. Kroplówka lampy jarzeniowej za plecami antykwariusza już w ogóle nie wchodziła w grę.

I tak oto zdegradowano jakiegoś nieznanego naszego żołnierza, szwoleżera rokitniańskiego ze Starogardu – myślałem pstrykając zdjęcia. – Zatrzymano go w tym mrocznym, zatłoczonym pomieszczeniu, zamknięto w aktówce z szyfrowym zamkiem. Smutne, żałosne. Powiększając wykonane zdjęcia na podglądzie aparatu w duchu zakrzyknąłem: Bacność, Żołnierzu Kosobucki! Los przywiódł mnie tutaj po to, żeby wyciągnąć Ciebie z tej smutnej celi na światło dzienne i postawić w szereg choćby w zbiorowej pamięci! Ujawnię Twoje dossier. Na pewno ktoś się Tobą zainteresuje, jeśli nie z rodziny z Brus, to może członkowie z towarzystwa starogardzkich szwoleżerów albo nasze muzeum regionalne, gdzie powinien publicznie zaistnieć choćby w przeszklonej gablocie! Bacność Żołnierzu! ...Spocznij.

W Starogardzie zgrałem zdjęcia do komputera i zadzwoniłem do dyrektora regionalnego muzeum. Podniecony powiadomiłem go o odkryciu.

– ... Pojedziecie do tego antykwariusza i kupicie ten zbiór? - zapytałem na końcu.

– Muzeum nie ma na takie zakupy pieniędzy. A ile on (Kosobucki) kosztuje?

– Ba.

– To może zadzwoń ty. To są zawodowcy. Od nas, placówek muzealnych, z reguły chcą znacznie więcej niż od hobbystów kolekcjonerów.

Zadzwoniłem. No bo fakt, nie zapytałem. Jakoś nie pomyślałem o tle finansowym. Teraz przez telefon prosto z mostu zapytałem antykwariusza: – Ile chce pan za te zdjęcia i dokumenty? Ktoś jest zainteresowany ich zakupem.

Pan Antykwariusz zaczął kluczyć.

– Hmm, ile... Nie wiem... Właściwie to one nie są do sprzedaży. Zbierałem je całe życie. Może sprzedam na Jarmarku Dominikańskim.

Koniec rozmowy.

Alarm. Jarmark Dominikański za kilka dni. Wielka giełda, zjazd kolekcjonerów. Wszystko tam kupują. Żołnierzu Kosobucki będzie bez szans, gdy antykwariusz pojedzie z tą aktówką. Rozdrapią to dossier.

Zadzwoniłem do burmistrza.

– Czy zna pan właściciela antykwariatu mieszczącego się w budynku naprzeciwko urzędu?

Burmistrz znał. Zgodził się poprosić antykwariusza, żeby nie brał dokumentów żołnierza Kosobuckiego na Jarmark Dominikański.

28 lipca 2016 roku wrzuciłem zrobione w antykwariacie zdjęcia do swojego portalu oraz na stronę Facebooka. Pierwszy napisał na Fb w komentarzach współpracujący nieraz ze mną Mariusz Kurowski, człowiek wybitny i o ogromnej, wszechstronnej wiedzy:

– Sierżant Stefan Kosobudzki (przez „dz” nie „c”, na odwrocie zdjęcia jest „8 pani Kosobudzka”) poległ 19.09.1939 roku w Śladowie (Śladow) pod Wyszogrodem. Pochowany na Żoliborzu na Powązkach w 1-KW (kwatery wojskowa). Mój domysł jest taki, że utopił się podczas przeprawy przez Wisłę w Śladowie.

Odpisałem:

– Przyjąłem pisownię ze „Świadectwa zwolnienia” ze szkoły, gdzie jest Kosobucki, ale później rzeczywiście w kilku przypadkach jest przez „dz”.

Wstukałem w wyszukiwarkę Google „Stefan Kosobudzki”, wyskoczyła strona <http://mazowsze.hist.pl/.../Rocznik.../384/2000/12557/>. Tekst Tadeusza Swata pt. „Mord nad Wisłą pod Śladowem (19.09.1939) – hitlerowska zemsta za Grunwald”. Historia wstrząsająca, straszna. W wielkim skrócie działo się tam tak.

W Śladowie nad Wisłą (b. powiat sochaczewski) w 1410 r. stanął słynny „most na statkach zbudowany”, po którym polscy rycerze pod wodzą króla Władysława Jagiełły przeprawili się do Czerwińska, by stąd ruszyć pod Grunwald, czym kompletnie zaskoczyli Wielkiego Mistrza. Dwa miesiące przed II wojną światową w tym samym miejscu w ramach Dni Morza odbyła się manifestacja pod hasłem „Nie damy odepchnąć się od Bałtyku”. Rankiem 19 września Niemcy rozbili w tych okolicach resztki Armii Pomorze. Nasi żołnierze dzielnie się bronili, mając za sobą wał przeciwpowodziowy, a za nim już tylko Wisłę. Być może broniliby się dłużej, ale atakujący pognali przed sobą kolumnę zgarniętych z okolic cywilów jako żywe tarcze i spoza nich rozpoczęli ostrzał. Tak samo zrobili kilka dni wcześniej pod Borzęcinem. I wtedy, i teraz pod Śladowem obrońcy złożyli broń. Do Wehrmachtu dołączyli esesmani. Po ściągnięciu ciężko rannych żołnierzy polskich, których znaleźli w mieszkaniach w Śladowie, ustawiono wszystkich – rannych, cywili – żywe tarcze i żołnierzy – w dwuszeregu nad rzeką plecami do wody. Miejsce, w którym stanął pierwszy dwuszereg, wybrano z perfidną precyzją. Wskazali je zamieszkali koło Śladowa niemieccy koloniści. To tu odbyła się patriotyczna manifestacja podczas czerwcowych Dni Morza. Na wale ustawiono karabin maszynowy i rozpoczęła się masakra. Była to, jak pisze Tadeusz Swat, „Teutońska zemsta nad Wisłą, wendeta po 529 latach”. Pochłonęła 358 ofiar. Zginęło 252 wziętych do niewoli żołnierzy i 106 mieszkańców Śladowa, okolicznych wsi i przybywających tu uciekinierów. Z masakry cudem ocalało czterech ludzi: nieznan z nazwiska żołnierz, Stanisław Klejkowski, Alfred Kitliński i Tomasz Ferster.

W spisie zamordowanych żołnierzy pod pozycją nr 14 odnotowano: Kosobudzki Stefan, sierżant.

Napisałem do Mariusza Kurowskiego o tym tekście i że jest tam Kosobudzki.

Mariusz Kurowski: – To ten sam, którego ja znalazłem. Na 99 procent można stwierdzić, że ten ze zdjęć. Grób numer 16 na Powązkach. W dniach 19-22 września 2 Pułk Szwoleżerów Rokitniańskich przedzierał się przez Puszcę Kampinoską w kierunku Warszawy.

Po dokładnej analizie jednego ze zdjęć Mariusz jeszcze uzupełnił: – ... Na zdjęciu jest też ksiądz Ignacy Stryzyk (ten młodszy po lewej). Jako kapelan dostał się do niewoli w czasie kampanii wrześniowej, zwolniony z oflagu w październiku i po powrocie do Starogardu osadzony w więzieniu. Uniknął rozstrzelania w Lesie Szpęgawskim tylko dlatego, że był jeńcem wojennym. *„Następnie zaprowadzono nas do dwóch autobusów i przewieziono do willi Marcza przy ulicy Gimnazjalnej, gdzie mieścił się Selbstschutz. Tam poznał mnie jeden z policjantów i zwrócił się do przywódcy morderców, Fasta, mówiąc mu, że jestem jeńcem wojennym i że nie wolno mnie rozstrzelać. Fast odpowiedział, że tutaj tylko on wydaje rozkazy. Powstała kłótnia, w czasie której kazano mi to wyjść z autobusu, to znów wejść z powrotem. W końcu zaprowadzono mnie do gmachu Selbstschutzu, gdzie był jakiś oficer, który powiedział: „No, człowieku, miałeś szczęście”. Autobusy odjechały, a mnie odprowadzono z powrotem do więzienia. Od klucznika Reszke dowiedziałem się, że te dwa autobusy, które wywiozły duchownych, wróciły i przywiozły trzewiki, płaszcze i ubrania księży. Tylko ja sam ocalałem spośród wszystkich konfratrów. Następnie wywieziono mnie do Stutthofu, później do Oranienburga i do Dachau. Stamtąd, zakutego w kajdany, przewieziono mnie do gestapo w Gdańsku.”*

...To zdjęcie, które ma opis na odwrocie – drażył dalej Mariusz Kurowski – zostało opisane po wojnie. Czy zrobiła to żona sierżanta Kosobudzkiego? Tak. Dlaczego tak sądzę? Major Niemiec-Niemczyński to major Emil Niemiec, który dopiero w 1947 roku zmienił nazwisko na Niemczyński. Można się także domyślać, że zdjęcie powstało pomiędzy 1937 a 1939 rokiem, kiedy to major rozpoczął dowodzenie Starogardzkim Batalionem Obrony Narodowej. „Emil Niemiec (ur. 2 sierpnia 1895 w Stryju, zm. 26 stycznia 1989 w Grudziądzu) – major piechoty Wojska Polskiego...”

Gdy pisałem do portalu i na swoją stronę Fb pierwszą część o szwoleżerze rokitniańskim Stefanie Kosobudzkiem (pisanym również przez „c”), przecucie natrętnie podpowiadało mi, że niejaki Jerzy Kosobucki, bohater mojego reportażu z 1996 r. pt. „Komu komunalne” („Gazeta Kociewska” nr 1 str. 7 – o historii domów poszwoleżerskich w Starogardzie) – ma coś wspólnego z naszym Sierżantem. Jednak po lekturze (dawno go pisałem i musiałem sobie przypomnieć) reportażu zwątpiłem – Jerzy Kosobucki urodził się w 1945 roku. Ale, ale, coś mnie jednak w tym reportażu – zapisie z 1996 roku uderzyło. Pan Jerzy rzuca w nim zaskakujące zdanie, że jako dziecko mieszkał w domu z najpiękniejszą werandą w Starogardzie, stojącym przy ul. Sikorskiego naprzeciwko budynku, gdzie mieściło się UB i MO. W domu z ekskluzywnymi lokalami mieszkalnymi. Dlaczego właśnie tam?

Intrygujące! Może tu, w tym zdaniu, kryje się jakiś punkt zaczepienia dotyczący historii sierżanta Stefana Kosobudzkiego zabitego pod Śladowem?

Zdobyłem adres Jerzego Kosobuckiego.

Rano podjechałem pod dom, o którym mówił w reportażu, wykonałem zdjęcie werandy (śliczna, mało kto o niej wie, stoi od podwórza), a następnie pod adres na osiedle „domów nauczycielskich” koło Polpharmy.

– Czy ma pan coś wspólnego z Ludwiką i Stefanem Kosobudzkimi – Kosobuckimi? – rzekłem na powitanie.

Zapadła cisza. Zdumienie, jego i moje, bo już wiedziałem. Przeczucie mnie nie zawiodło.

– A skąd pan o tym wie?! – rzucił wreszcie Jerzy Kosobucki.

I podczas kawy wysłuchiwał zdumiony mojej opowieści o zdjęciach i dokumentach, jakie udostępnił mi do skopiowania antykwariusz z Pelplina. Gdy skończyłem, wyciągnął te, które sam posiada.

– Tak, oczywiście, Ludwika i Stefan Kosobudzczy, częściej pisali się Kosobuccy, mieszkali w domu z tą werandą, w 4-pokojowym, pięknie wyposażonym mieszkaniu na pierwszym piętrze – mówił. – Ludwika to moja mama, a szwoleżer Stefan Kosobudzki to w pewnym sensie mój tata...

– Co pan mówi, panie Jurku?!

I tu historia robi się niesamowita!

Teraz z kolei ja zdumiony przeglądałem te inne zdjęcia i ważne dokumenty. Na jednym ze zdjęć Kosobudzczy wyszli wyjątkowo piękni. Co tam wyszli, po prostu byli piękni.

– Żołnierz 2 Pułku Szwoleżerów Rokitniańskich, podoficer Stanisław Kosobudzki, był magazynierem oraz prowadził szkolenia strzelnicze. Jako magazynier trzymał się z podpułkownikiem Niemcem-Niemczyńskim, we wrześniu 1939 roku dowódcą obrony Starogardu – opowiadał Jerzy Kosobucki. – To od niego po wojnie otrzymaliśmy informację, że Kosobudzki leży w lasach koło Warszawy.

Stanisław mierzył metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Wyróżnia się wzrostem na zdjęciu ze szkoły podoficerskiej w Grudziądzu. Zawarł związek małżeński z Ludwiką w 1937 roku.

Tu pan Jurek podsunął mi dokument – zgoda przełożonych na małżeństwo. Nie było sobie tak, że szwoleżer żenił się z byle kim.

Młodzi Kosobudzczy otrzymali mieszkanie w wyżej wspomnianej kamienicy z najpiękniejszą w mieście werandą, stojącej naprzeciwko budynku, w którym po wojnie mieściła się Milicja Obywatelska i w latach dziewięćdziesiątych Policja. Mieli cztery pokoje, łazienkę, kuchnię i tę werandę. I piękne, stylowe, dębowe meble, których po wielu latach nikt nie chciał kupić, gdyż nastała moda na meblościanki i czeczot.

– Trzymali się z kilkoma rodzinami. Pamiętam, mówiła mi mama, byli Maśław, Szyjkow, wachmistrzowie. Był też Niemczyk, wówczas Niemiec (nazwisko zmienił po wojnie). Oni wszyscy świetnie się znali. Ci wachmistrzowie wymienieni są w książce o szwoleżerach, Kosobudzkiego niestety pominęli. Spotykało się towarzystwo na wysokim poziomie. Wśród nich moja mama – super jako mama i kobieta.

– A skąd się wziął pan jako Kosobucki? Przecież przyszedł pan na świat w 1945 roku! Żartując – jakieś przesunięcia w czasie?

– W 1939 roku Stanisław poszedł na wojnę i już nie wrócił. Nie zdążyli mieć dzieci... Skąd się wziąłem jako syn Ludwiki Kosobuckiej? Moja mama, Ludwika Kosobucka, miała w Czersku siostrę, Stanisławę Gradowską. W rodzinie Gradowskich posypało dziećmi, urodziłem się również ja. Stanisława dogadała się ze swoją siostrą Ludwiką, żeby wzięła mnie na wychowanie. Tak więc Stanisława Gradowska jest moją mamą biologiczną, a Ludwika przybraną. Było nawet poświadczenie z sądu, że jestem synem Ludwiki Kosobuckiej... Moja mama w czasie okupacji – ciągnął Jerzy Kosobucki – musiała przyjąć „angedojcz” i podjęła pracę w sklepie tytoniowym przy Wilhelmstrasse – Chojnickiej. Znakomicie mówiła po niemiecku i umiała prowadzić buchalterię. Właściciel sklepu był z niej bardzo zadowolony. Po pewnym czasie zabrano go na front wschodni. Kiedy wrócił, zaproponował mamie wyjazd do Niemiec... Nie, nie chodziło o jakąś miłość z jego strony. Miał żonę, jednak nie za bardzo nadającą się do pracy w handlu.

– I po wojnie mieszkaliście w tym domu z piękną werandą. A dawno temu, w 1996 roku, rozmawiałem z panem w skromnym mieszkanku w jednym z poszwoleżerskich domów przy ulicy Jagiełły...

– ... Długo nie mieszkaliśmy w tamtym domu z piękną werandą. UB czepiało się, no bo jak to może być, że żona przedwojennego żołnierza może mieszkać w służbowym mieszkaniu, tym bardziej, że to był teraz dom z mieszkaniami dla pracowników UB? Mogli ją wyrzucić na ulicę. Ale mama zadzwoniła do Niemczyńskiego do Warszawy, wówczas wysoko postawionego w UB, i na pewien czas nas zostawili. Miała sobie spokojnie poszukać zastępcze mieszkanie. Dokwaterowali jej dwóch lokatorów, pracowników UB.

– Przed wojną mieszkali tam szwoleżerowie, po wojnie pracownicy UB. Szkoda, że pan był wtedy niemowlakiem i nic pan nie pamięta.

– Nie do końca. Mam czasami takie dziecięce obrazy w pamięci. Ci ubowcy często jeździli motorami w Bory Tucholskie na nocne wypadki na Łupaszkę. Mieli psa – owczarka niemieckiego. Raz ten owczarek wskoczył na łóżko i zaczął targać nakrycie. Dostał ledry od babci, mamy mojej mamy, Marty Butkowskiej. Pamiętam, że gdy ubowcy wracali rano po tych nocnych eskapadach, byli zabłoceni, a czasami zakrwawieni. Jeden z nich, Beno, gdy w latach pięćdziesiątych poszedł do cywila, otrzymał za zasługi dla PRL-u domek pod Oliwą. Kiedy miałem 14 lat, Beno przyjechał w odwiedziny. To on, gdy mieszkał u nas, proponował mamie małżeństwo. Odmówiła. Zresztą wtedy nie była jeszcze pewna, czy jej mąż nie żyje. Dowiedziała się o tym dopiero 20 marca 1947 roku. Przyszło zawiadomienie z Warszawy. Moja mama nie wyszła za mąż do końca życia. W ogóle w tym domu i w okolicznych mieszkało UB. Mieszkał z żoną szef UB Kurek, bezdzielne małżeństwo. Dość często zabierali mnie do siebie do mieszkania na Łakocie. Pewnego dnia przepadli. Przyjechała kontrola i któryś z kontrolerów rozpoznał Kurka jako współpracownika gestapo. Zginął prawdopodobnie w kopalni.

Moja mama, Ludwika Kosobucka, długie lata była kadrową w Młynach. Musiała zrezygnować z tego stanowiska, gdy pojawiła się z rekomendacji PZPR-u pani Gergelowa, skądi-

nał całkiem porządna kobieta. Mamę przeniesiono na stanowisko w żłobku i przedszkolu przy Młynie. Zmarła w 1979 roku, w roku zimy stulecia.

– To teraz mamy opowieść o żonie szwoleżera. A skąd te dokumenty w antykwariacie w Pelplinie?

– Nie mam pojęcia. Sam jestem ciekaw!

Nic jakby się nie zmieniło. Antykwariusz zawodowiec swobodnie siedział w fotelu za biurkiem i jak pół roku temu przeglądał aukcyjne strony internetowe ze starociami.

– I sprzedawał pan te zdjęcia?

– Nie sprzedałem... – Nie był zaskoczony moją wizytą. – Coś jeszcze panu pokażę.

Położył na biurku następne zdjęcia z Kosobudzkim. Mało tego. Położył też portfel z wycięciem na zdjęcie, a na zdjęciu chyba Ludwika i Stanisław. No i piękny srebrny sygnet z orłem.

– Tego pan mi wcześniej nie pokazywał. Zrobię zdjęcie.

Antykwariusz nie wstając wyciągnął bagnet, nadział nań sygnet i podłożył białą kartkę, żeby lepiej wyszło.

– Czy panu też mogę zrobić zdjęcie? Może ktoś się wreszcie zainteresuje.

Zawodowcy nie boją się zdjęć.

– Skąd pan to ma?

– Te wszystkie zdjęcia i przedmioty kupiłem na targu w Skórczu.

Inaczej mówiąc, szukaj wiatru w polu.

– A ile pan za to chce?

Antykwariusz wzruszył ramionami i pokazał zdjęcie wielkości znaczka pocztowego na monitorze laptopa.

– Ludzie myślą, że to takie niby nic, że to kosztuje nędzne dwieście, trzysta złotych.

Taka sprytnie określona nieokreślona odpowiedź i cena.

– Moim zdaniem – napisał w mejlu Mariusz Kurowski – albo jakiś małolat znalazł na strychu, albo ktoś znalazł przy remoncie. Dowiedz się od Jerzego Kosobuckiego ze Starogardu, co on o tym myśli. Czy wcześniej te zdjęcia i przedmioty widział. Jest jeszcze jedna opcja. Ktoś wziął to wszystko od rannego albo po zabitym z myślą, że odda rodzinie, ale przez lata tego nie zrobił i ktoś je opchnął „znalaczy”. Osoba nie do znalezienia, bo myślę, że antykwariusz i tak kupił to od jeszcze jakiegoś „pośrednika”. Cena = litr wódki. Inaczej by sygnet zachował. To jest najcenniejsze, cenniejsze niż zdjęcia. A zdjęcia uwiarygadniają sygnet... Jak dużo objętościowo jest tych zdjęć? Tyle, ile w portfelu? Mógł to wszystko mieć przy sobie na wojnie?

– Nie. Nie zmieściłyby się.

– Jeśli jest tak, jak piszesz, to takie rzeczy zostawia się w domu. Albo żona w czasie przeprowadzki gubi dokumenty. A może miejsce ostatniego zamieszkania przed wojną?

- Panie Jurku. Nowe przedmioty! Czy wie pan coś o sygnecie i portfela ze zdjęciem?
- Pierwsze słyszę!
- A może były gdzieś w schowku w tych starych meblach? Może znalazł ten, kto je kupił.
- Niemożliwe.
- Dlaczego?
- Nikt nie chciał kupić i je porąbałem.

Przyglądam się zdjęciu w wycięciu portfela – przecież to nie Kosobuccy! Jeśli nie oni, to i sygnet pewnie też nie naszego żołnierza. Antykwariusz połączył zbiory kilku osób. Być może po mojej pisaninie w internecie miał sporo zapytań o Kosobuckich i innych żołnierzy z tamtego czasu. Cóż, zawodowiec.

Starogard 2016 r.

Adam Kamiński



„WACHMISTRZ” PUSZCZA OKO

Z Krzysztofem Bochusem
rozmawia Adam Kamiński

Adam Kamiński: - Jak minął Ci czas pandemii? Alek Rogoziński powiedział, że wcale się więcej nie pisze, mimo niby większej ilości czasu?

Krzysztof Bochus: - No niestety epidemia dotknęła także moją rodzinę. Różnie z tym bywało. Przeszliśmy to jako tako. Na szczęście mam nadzieję, że wszystko, co najgorsze już jest za nami. Ja ten okres wykorzystałem, myślę, jak najlepiej. Dużo pisałem, sporo biegałem, nawet wróciłem po długiej przerwie do uprawiania tenisa. Starłem się być bardziej aktywny niż przed pandemią. Ja jestem pisarzem raczej niezbyt szybkim. Wydaję przeważnie dwie książki w roku i takiego systemu raczej będę się trzymał. Teraz jesień należała do „Wachmistrza”.

A w tym roku?

Już wiadomo oficjalnie, że na wiosnę powróci w trzeciej części przygód współczesny dziennikarz Adam Berg w „Kłątwie Lucyfera”. Ukazą się także w antologiach dwa moje opowiadania. Pierwsza antologia w marcu, poświęcona będzie stuleciu Traktatu Ryskiego – tam będzie opowiadanie poświęcone Bitwie Warszawskiej. Latem ukaze się kolejna część książki „Zabójczy pocisk - Dziedzictwo”. Tematem tego tomu będą zaginione dobra kultury. Ja napiszę historię obrazu, który obecnie znajduje się w zbiorach Muzeum Narodowego, a przez cały okres wojny wisiał w pokoju Adolfa Hitlera w jego alpejskiej twierdzy. No i zgodnie z moim planem wydawniczym zapewne jesienią powstanie taki powiedzmy „Wachmistrz - Dogrywka”.

„Wachmistrz” zbiera rewelacyjne opinie. Ile trwał research do „Wachmistrza” i kiedy powstał załączek tej powieści?

W zasadzie powstanie tej powieści było naturalnym następstwem moich wcześniejszych książek. O tym, żeby Kukulka był głównym bohaterem utworu, myślałem od dawna. I już



układając tę powieść wiedziałem, że zostało sporo spraw niewyjaśnionych dla czytelnika, do których zapewne powrócę w kontynuacji przygód Wachmistrza. Ja też w pewnym momencie miałem wrażenie, że wyczerpałem już tę tematykę retro (nawet specjalnie uciekłem we współczesność do Adam Berga), ale jednak nie, wracam zawsze do niej z prawdziwą przyjemnością.

To chyba najbardziej mroczna część pary bohaterów, sięgająca rymsztoków starego Gdańska, który zawsze był takim ogromnym kotłem różnych kultur.

No tak. Zawsze czułem, że to była ta niedopowiedziana część ich przygód. Gdzieś tam mimochodem przewija się wspomnienie o ich trudnych początkach a teraz możemy o nich przeczytać. Jest to o tyle ciekawe, że czas, w którym się poznają stanowi taką nowość dla obydwu. Młody radca Abel dostaje takie śledztwo w pewnym sensie na odczepnego, a wachmistrz ma służyć przełożonemu, do którego nie odczuwa zbytnej sympatii. Zresztą ten brak sympatii działa w obie strony. Oni wręcz zostali na siebie skazani.

Geneza i historia niechęci Kukulki i Abela. Początki najlepiej określa cytat słów radcy – „Nie potrafi pan słuchać Kukulka. To źle wróży naszej współpracy...” Początki to ich trochę różne spojrzenie na sprawiedliwość.

Prawda. Dwóch niezwykle charyzmatycznych mężczyzn ściera swoje poglądy na wiele spraw. Prawdziwą sztuką w ich przypadku jest dojście do swego rodzaju porozumienia. Abel to przykład rozsądku, porządku i prawości a w kontraście z nim Kukulka to taki trochę Brudny Harry. Twardy, bezlitosny dla przestępców a jednocześnie bardzo bliski czytelnikowi. Każdy chciałby być taki jak on. Kontrowersyjny, ale też niesamowicie skuteczny. Uwielbia książki Karola Maya i zakochuje się bez pamięci.

Na okładce twojej książki możemy przeczytać zachętę do lektury autorstwa Bernarda Miniera – znawcom literatury kryminalnej tego nazwiska przedstawiać nie trzeba. Jak do tego doszło?

To był prezent od mojego wydawcy, który mnie bardzo tym zaskoczył. Poprzez wydawcę Miniera wysłał mu tekst mojej powieści, a mistrz raczył się z nią zapoznać i wydać taką opinię. Jestem z niej ogromnie dumny. To nie jest żadną tajemnicą, że już od wielu lat jestem wiernym czytelnikiem i fanem tego francuskiego „kryminalisty”. Uwielbiam prozę Miniera, bo to nie jest zwykła lektura. Tam zawsze jest mnóstwo takich smaczków i ukrytych wątków. Ostatnio miał spotkanie z czytelnikami online i tam w trakcie rozmowy wspomniał bardzo ciepło temat „Wachmistrza”.

Jak zawsze nie brakuje w twojej powieści akcentów kwidzyńskich.

No tak. Jeden z bohaterów Erwin Paetz pochodzi z Tychnów, jest w powieści wzmianka o więzieniu w Sztumie, jeden z braci Arens leczy się w szpitalu Marienwerder. Wspominam o przeprawie promowej w Korzeniewie, bo już w tamtych latach na Wiśle kursował prom. Zresztą chyba we wszystkich książkach gdzie ukazuje się Abel widać wyraźnie to ciepło, jakim radca darzy swoje rodzinne miasto. Jak sam zawsze wspomina to miejsce rzeczy pierwszych – pierwsza miłość, pierwsze rozczarowania, pierwszy seks...

Jesteś znany ze swojej ogromnej aktywności na mediach społecznościowych. W trakcie pisania „Wachmistrza” ogłosiłeś konkurs na tytuł tej powieści wśród swoich czytelników. Czy tytuł „Wachmistrz” to właśnie wynik konkursu?

No nie. Ten tytuł już dłuższy czas krążył mi po głowie. Ale sam konkurs mnie zaskoczył. Mnogość wypowiedzi i głosów była bardzo przyjemna, a nad kilkoma propozycjami naprawdę długo się zastanawiałem. To miłe, kiedy widzi się taki oddźwięk na apel autora.

Hasło z książki „Tam skarb mój, gdzie siostry moje” – kojarzy mi się trochę z Panem Samochodzikiem, tam też było podobne hasło odnośnie skarbu templariuszy.

Zgadza się. To było zamierzone działanie. Ja również jak Kukulka uwielbiałem książki Karola Maya czy też Bahdaja, Nienackiego i Niziurskiego. A za biletem na seans Winnetou stało się przed kinem „Tęcza” wiele godzin w kolejce. Czasem myślę, czy nie spróbować swoich sił w takiej literaturze, ale to naprawdę bardzo trudne zadanie. Dobrze, że wspominałeś o Nienackim, bo chciałbym zaznaczyć, że moja najbliższa książka „Kłątwa Lucyfera” jest takim typowym hołdem złożonym autorom dawnych książek przygodowych i sensacyjnych. Sam jako chłopiec w Kwidzynie połykałem książki o tej tematyce. Zresztą zdarzyło mi się po wyjściu z księgarni, że tak wciągnęła mnie od razu książka Nienackiego, że wpadłem na latarnię. Oczywiście Berg to nie jest Pan Samochodzik, co najwyżej taki Samochodzik dla dorosłych.

1929 rok to czas wielkiego kryzysu. Zawsze w czasie kryzysu kwitnie nierząd i przestępczość. Pasożytami były elity wykorzystujące swoją władzę. Kwitnie szmuglerka.

Tak chyba jest już zawsze, że na ludzkich nieszczęściach powstają fortuny. Jest to smutne, ale prawdziwe. Złe czasy dla zwykłych obywateli zawsze stanowią pożywkę dla wszelkiej maści kanciarzy. Każdy, kto pamięta czasy kartek w PRL-u, czy też słynną godzinę trzynastą, wie, co mam na myśli.

Uwielbiam w twoich powieściach wyszukiwać różne smaczki historyczne i zapomniane historie. Jak choćby temat przestępczej żydowskiej organizacji Wic Migdal czy też bokserskiego mistrza Max Schellinga.

A ja uwielbiam takie tematy umieszczać. Może o handlu kobietami rozmawiać nie będziemy, aby nie spojlerować powieści, a co do życiorysu Schmellinga to jest temat na książkę i film. Warto się z nim zapoznać. Dodam tylko, że ten mistrz świata wszechwag dożył 100 lat. Znawcy boksu pamiętają, że Schmelling tę najważniejszą walkę swego życia o tytuł mistrzowski przegrał. Sprawił tym ogromny zawód Führerowi, bo Hitler chciał go wykorzystać jako takiego półbożka – Übermenscha. A ja kiedyś pracując w Niemczech poznałem osobiście ludzi, którzy znali tego słynnego niemieckiego czempiona. W książce poruszona jest tematyka człowieka wtruwianiańskiego, a także słynnych niemieckich 3xk - to była główna wskazówka, do czego nadają się kobiety w myśl niemieckiej ideologii: Kinder, Küchen, Kirche.

Po raz kolejny w twojej powieści zło tego świata ma jak najbardziej ludzkie oblicze, a przestępcy żyją, na co dzień wśród nas.

Takie jest przecież życie. Wielokrotnie podczas spotkań z czytelnikami mówię to samo. Zbrodniarze i mordercy żyją wśród nas. Zboczeńcy najczęściej prowadzą, na co dzień po-

układane życie, mają rodziny, dzieci i co tydzień chodzą na msze do kościoła. Żaden prześpca nie ma na czole wypisanego tego, co zrobił.

Ty lubisz książki Maya, a są one także ulubioną lekturą Kukulki.

Oczywiście. Wychowywałem się na książkach Karola Maya, Zbigniewa Nienackiego czy też Curwooda. Wielkim miłośnikiem książek Maya był dawny właściciel zamku Czocho, który posiadał jeden z największych księgozbiorów w Europie. Również wielkim miłośnikiem przygód Winnetou był sam Adolf Hitler. Ja sam mam taki swój ukryty cel, aby kiedyś napisać taką typową książkę dla młodzieży. Często mówi się, że dzieci i młodzież nie czytają. To absolutna bzdura. Byłem ostatnio na jakichś targach książki w Krakowie i podpisywałem tam swoje książki. W przerwie spacerowałem po tej ogromnej hali spotykając wielu znajomych. Nagle przy jednym stoisku zobaczyłem ogromną kolejkę – jak kiedyś za telewizorami – pełną właśnie dzieci i młodzieży. W pierwszej chwili pomyślałem, że może na targi przyjechała Camilla Lackberg czy też Jo Nesbo, a okazało się, że kolejka ustawiła się do Rafała Kosika – autora popularnej serii przygód Feliksa, Net i Niki.

Wachmistrz Kukulka to człowiek silny i czasem bezwzględny, ale jednak o gołęmbim sercu. Miłość do Marleny Boehm i jego odpowiedź na jej słowa, że jest aniołem: „Jezus spadłby z osiołka, jakby zobaczył takiego anioła jak ja”.

I to jest chyba jego największym plusem. Zresztą czytelnik chyba nawet bardziej integruje się z nim w tej książce, bardziej aniżeli z ułożonym i regulaminowym radcą Abelem.

Na rynku twoje książki żyją i ewoluują. Powstają kolejne części cyklów, wydajesz ebooki i audiobooki. Ostatnio ukazały się twoje powieści w wersji kieszonkowej – pocketbooki.

To prawda i jestem z tego bardzo dumny. Nawet teraz, kiedy rozmawiamy, widzę w tle za Tobą ustawionych kilka moich książek. Tak przed rozmową pomyślałem sobie, że jeszcze 8-10 lat temu w życiu bym w takie coś nie uwierzył. Przypomniała mi się teraz taka historia – pisząc „Wachmistrza” umieściłem tam jedną postać o nazwisku Robel. Pamiętam pana o takim nazwisku, który pracował razem z moim ojcem. I miała być to rola czarnego charakteru. Trochę się przestraszyłem, że jest to tak znane nazwisko w Kwidzynie i wycofałem to nazwisko z książki.

Sfilmowano prozę Bądy, Mroza, ostatnio Twardocha. Chciałbyś zobaczyć Bela na ekranie? Kto w jego roli?

A wiesz, że czasami też się na tym przylapuję, że zaczynam sobie wizualizować postaci moich książek. I nawet mam jednego kandydata do roli Wachmistrza. Gdyby to ode mnie zależało i istniałaby taka opcja, to w tej roli obsadziłbym Roberta Więckiewicza. Byłby idealnym kandydatem i spełnieniem moich marzeń. Abela musiałby zagrać aktor o nor-dyckim typie urody i tu pasowałby mi Krystian Wiczorek, którego gdzieś tam w serialu zauważyłem. A z takich ciekawostek muszę wspomnieć, że w tym roku wyjdą moje książki na rynkach wschodnich – w Rosji i na Ukrainie.

Dziękuję za rozmowę i do następnego spotkania – mam nadzieję, że już z czytelnikami.

Andrzej C. Leszczyński



OKRUCHY

UDOMOWIENIE

Pies to najstarsze zwierzę domowe. Historia jego udomowienia pełna jest ciemnych plam, o których nie będę tu pisał. Badacze są zgodni, że wilki i psy rozdzieliły się około czterdzieści tysięcy lat temu. Władysław Kopaliński pisze w „Słowniku mitów i tradycji kultury”, że jako „towarzysz człowieka, jego obrońca i pomocnik” pies zjawia się w napisach klinowych Mezopotamii już cztery tysiące lat przed naszą erą.

Udomowić zwierzę to tyle, co je oswoić, uczynić „swoim” („domownikiem”), ułożyć, podporządkować własnym regułom, wydobyć z dotychczasowego („dzikiego”) stanu, przenieść z „natury” do „kultury”. Antoine de Saint-Exupéry w swej książce pisze o oswojeniu jako szczególnym „uwięzieniu”, „stworzeniu więzów”. Tłumaczy to Małemu Księciu lis: „Jestem dla ciebie tylko lisem, podobnym do stu tysięcy innych lisów. Lecz jeśli mnie oswoisz, będziemy się nawzajem potrzebować” (tłum. Jan Szwykowski). Coś podobnego można zaobserwować u ludzi, w widocznych np. we Francji oczekiwaniach wobec imigrantów i uchodźców: mają zarzucić dotychczasowe formy pojmowania i wyrażania siebie, swej tożsamości, zostawić praktykowane obyczaje oraz nawyki, i zacząć wrastać w kulturę, w jakiej się właśnie znaleźli. Wielu przybyszów tego nie potrafi bądź po prostu nie chce. Wśród zwierząt taką postawę symbolizuje kot, przeciwstawiany akceptującemu ludzkie reguły psu. W znanym dowcipie mowa jest o psie uznającym wyższość karmiącego go pana, oraz o kocie, który widzi w człowieku sługę dostarczającego mu pożywienie. Irena Lasota pisze w jednym ze swych felietonów drukowanych w tygodniku „Plus Minus”, że ludzie lubią zwierzęta dające się oswoić, uzależnić od człowieka. „Na przykład wilki, czyli psy, które nas nie potrzebują, są zwierzętami godnymi podziwu – ze względu na swoją lojalność stadną, szacunek dla starszych, opiekę nad młodymi, dumę i hardość. My, cywilizacja łaćńska, boimy się ich jednak i zachęcamy do ich zabijania. Wolimy psy udomowione, które jedzą co im podamy w puszcze i za którymi zbieramy to, co już przetrwają”.

Udomowiony, zyskał pies imię własne i stał się elementem kultury. W „Osach” Arystofanesa nazywa się Labes i jest postawiony przed sądem za kradzież sera. W średniowiecznych rzeźbach nagrobnych pojawia się u stóp postaci kobiety jako symbol wierności. Germańskie mitologie mówią o psie strzegącym świata podziemnego. Rzymskie klechdy odwołują się do białych psów, indonezyjskie do czerwono-brunatnego psa piekielnego zwanego Asu Gamplong. W czwartym wieku przed Chrystusem powstaje w Grecji filozofia cyników, której początek dał Antystenes. Nazwa „cynik” wzięła się od słowa kyon (κύων), oznacza-

jącego psa, także opiekuna, stróża. Diogenes Laertios pisze, że Antystenes był nauczycielem w gimnazjum noszącym nazwę Kynosarges (Κυνόσαργες), co znaczy: bystry pies. Być może cynicy uznawali psa za symbol czujności, z jaką pilnuje swego pana, a oni podstaw swej nauki. W 1216 roku Dominik Guzmán powołuje Zakon Braci Kaznodziejów znany jako zakon dominikanów – „psów pańskich” (Domini canes). Józef Maria Bocheński, dominikanin (o. Innocenty), mawiał, że to bardzo trafna nazwa: jesteście wierni jak psy, a jak trzeba potrafimy ugryźć.

Pies stał się też członkiem domowej wspólnoty, członkiem ludzkiej rodziny darzącej go miłością i przeżywającej żalobę, gdy umrze (nie: zdechnie). W niewielkim, liczącym 90 stron „Grochowie” Andrzeja Stasiuka, są cztery opowiadania mówiące o śmierci. Trzecie z nich zatytułowane jest „Suka”. Oto pierwsze zdania: „Nasza stara suka powoli umiera. Najpierw straciła chyba słuch, potem wzrok i na końcu węż”. Stasiuk po swoim, rzeczowo i konkretnie, opisuje powolne odchodzenie szesnastoletniej psy. „Leży teraz w plamie zimowego słońca i niemal nieustannie śpi. Gdy ktoś z nas podchodzi bardzo blisko, podnosi łeb. Trudno ocenić, czy nas poznaje. Lecz głaskanie i dotyk wciąż ją cieszą”. Wychudzona, chwieje się i zatacza, cuchnie. Moment niecierpliwości, jak długo jeszcze. Odrzucona myśl o uśpieniu, czyli zabiciu. „Właściwie nic by się nie stało, gdyby zrobić jej ten zastrzyk. Po prostu spałaby dalej”. Kilka zdań dalej: „[...] piszę i wyglądam na werandę. Suka zjadła i znów zwinęła się w kłębek w swej norze ze ściworów i koców. Nasz młody bury kot wchodzi tam za nią i zwiija się obok w ciepłe jej stygnące ciało”.

Zastrzyk... Nie tylko psów to dotyczy. Wydłuża się dziś życie, ale i skraca, gdy jest wyłącznie cierpieniem. Skrócenie czyjejs męki będące wyrazem współodczuwającej miłości to eutanazja (ευθανασία, dobra śmierć) - akt czynny, dobrowolny, świadomy. „Życzymy sobie – pisze Elena Ferrante w „L’invenzione occasionale” (Pomysły przygodne) – by nasze życie było jak najdłuższe, ale by jednak dobiegło kresu, gdy ulegnie takiej degradacji, że żadna terapia nie zdoła go uczynić znośnym” (tłum. Tadeusz Zatorski). We francuszczyźnie określa się to lapidarnym zwrotem: coup de grace (cios łaski). W lipcu 1924 roku dwudziestotrzyletnia aktorka Stanisława Umińska zastrzeliła w Paryżu, spełniając jego prośbę, chorego na raka wątroby narzeczonego Jana Żyznowskiego, malarza i prozaika. Pół roku później została uniewinniona przez francuski sąd. Po powrocie do Polski, już jako benedyktyńska samarytanka, pracowała w szpitalu i w zakonnym domu dla dzieci niepełnosprawnych (zmarła w 1977 roku). Wiadomo, że nawet od tak podstawowej normy, jaką jest nakaz chronienia życia („Nie zabijaj”) są uznawane społecznie - choć nie wszystkie i nie przez każdego - odstępstwa: samobójstwo, wojna, aborcja, kara śmierci, zabójstwo w obronie własnej czy wspomniana eutanazja.

Umierająca suka i bury kot z opowiadania Stasiuka to prawie moja historia. Stary bezański arystokrata znaleziony przez syna na plaży w Brzeźnie, przyprowadzony do domu w Sopocie i opatrzony imieniem Dingo (zareagował na to, wśród wielu wypowiedzianych na próbę, słowo). Mały kotek znaleziony w pod balkonem na parterze, dla którego Dingo stał się wyrozumiałą matką. Pozwalał mu tulić się, ssać brodawki przypominające sutki, znosił cierpliwie najprzeróżniejsze kocie harce. Kiedy wychodził na spacer, kotek cierpliwie czekał pod drzwiami. Niedługo potem rozpoznano u Dinga nowotworową chorobę, ultra-

sonograf w redłowskiej lecznicy wykluczył możliwość operacji (przerzuty, niewydolność serca, wiek). Psie cierpienia skłoniły nas, jego ludzkich domowników, do coup de grace. Uśpienia? Zabicia? Jakie to ma znaczenie. W sopockim mieszkaniu klęczałem na podłodze, trzymałem na kolanach ciężką psią głowę, drapałem ją za uszami, gdy lekarka wbiła mu igłę w prawe tylne udo. Potem wziąłem Dinga na ręce i zniosłem do samochodu lekarki. Nie pamiętam już, co szeptąłem mu zanim zatrzasnęły się tylne drzwi. Osierocony kotek przez kilka dni biegał po całym mieszkaniu szukając swej matki, aż umarł z żałości.

DOBRY PAN, ZŁY PAN

Chrześcijaństwo opiera swą antropologię na hierarchii istnień¹. Chyba najdobitniej wyrażał to średniowieczny Wielki Łańcuch Bytów: doskonały Bóg, następnie archaniołowie i aniołowie, wreszcie podobny Bogu, wyposażony w rozumną duszę człowiek. A potem już formy radykalnie odmienne - zwierzęta, rośliny, czysta materia. Na tym tle umacnia się, widoczna już w judaizmie, dychotomia: człowiek – zwierzę. Ludzka władza, określona w pierwszych fragmentach Starego Testamentu (Rdz 1, 26), jest potwierdzona ponownie po upadku człowieka i potopie: „Wszelkie zaś zwierzę na ziemi i wszelkie ptactwo powietrzne niech się was boi i lęka. Wszystko, co się porusza na ziemi, i wszystkie ryby morskie zostały wam oddane we władanie” (Rdz 9, 2). Psychologiczne źródła ludzkiego poczucia wyższości są związane z samowiedzą. Budując swą tożsamość, człowiek z konieczności definiuje sam siebie, co jest możliwe dzięki odniesieniu się do czegoś zewnętrznego. W zdaniu „jestem człowiekiem” kryje się pozytywna samoocena niezbędna do opanowania trwogi związanej ze świadomością własnej śmiertelności. Tylko człowiek jest i wie że jest; zatem wie, że umrze. I tylko on zyskuje nieśmiertelność odwołując się do gwarantującej ją religii, a także uczestnicząc w trwałej kulturze.

W antycznej Grecji również uznawano wyższość człowieka pojmowanego jako zwierzę rozumne - ζῷον λόγικον (Arystoteles), animal rationale (Św. Tomasz z Akwinu). Jest u Greków mowa o jeszcze innej, charakterystycznej tylko dla człowieka przypadłości, o której średniowieczne chrześcijaństwo - dość wspomnieć „Imię róży” Umberta Eco - chciałoby zapomnieć. Arystoteles pisał, że „spośród istot żywych śmieje się tylko człowiek”. Niespełna dziesięć wieków później podobną myśl wyrażał jego chrześcijański tłumacz Boecjusz, mówiąc o człowieku jako zwierzęciu rozumnym zdolnym do śmiechu. (Myślę, że trudno byłoby pogodzić się z tak określoną wyjątkowością człowieka komuś, kto niejednokrotnie widział swego psa śmiejącego się, zawstydzonego itp.).

Dopiero czasy Oświecenia przyniosły próby zniesienia powyższej hierarchii, którą zaczęto określać mianem szowinizmu bądź egoizmu gatunkowego. Jeremy Bentham („Wprowadzenie do zasad moralności i prawodawstwa”, 1789) pisał: „Oby nadszedł dzień, gdy reszta żywych stworzeń otrzyma prawa, których mogła pozbawić ich tylko ręka tyrana” (tłum. Bog-

¹ Do wyjątków należy protestancki teolog i lekarz Albert Schweitzer ze swą etyką szacunku dla każdego życia: „Kto jest naszym bliźnim? Dawniej mówiono: człowiek. Teraz rozumiemy, że wszystkie istoty żywe są naszymi bliźnimi”. Dość porównać to z klasycznym dla chrześcijaństwa poglądem św. Tomasza z Akwinu: „Zasada miłości bliźniego rozciąga się jedynie na Boga i bliźniego, zwierzęta nie są bliźnimi człowieka, gdyż brak im życia rozumnego [...]”.

dan Nawroczyński). Dobitnie brzmi wiersz E.E Cummingsa: „O parę kroków// od czubka buta/ mysz wpół Otruta// pyta mnie wzrokiem// sponad podłogi// co ja Takiego/ zrobiłam czego// Ty byś nie zrobił” (tłum. Stanisław Barańczak). Kanadyjski filozof Michael Allen Fox, który w książce pt. „The Case for Animal Experimentation” (1986) wykluczał zwierzęta z obszaru jakichkolwiek praw moralnych, niespełna rok później zmienił zdanie pisząc: „[...] podstawowy obowiązek moralny niekrzywdzenia innych ludzi powinniśmy rozciągnąć na zwierzęta”. Nie jestem pewien, czy potrafiłbym uczynić przedmiotem tego obowiązku karaluchy, szczury, kleszcze czy mrówki i ślimaki, z którymi walczę w Jasieniu na działce. Co się jednak tyczy psów – pełna zgoda. Clive Wynne, psycholog z Arizona State University, pisze (Dog Is Love: Why and How Your Dog Loves You), że tylko psy są wierne w miłości do swego pana na całe życie. Jego zdaniem zwierzęta te mają nie tylko wyjątkową zdolność rozumienia i komunikowania się z ludźmi, ale również niezwykłą zdolność do miłości międzygatunkowej. Jeśli psy będą się wychowywać z owcami, pokochają owce. Jeśli będą żyć z kozami, to pokochają kozy. Zdaniem Immanuela Kanta – zwraca na to uwagę Mary Anne Warren w książce „Status moralny. Obowiązki wobec osób i innych istot żywych” - zwierzęta, z którymi łączą człowieka relacje oparte na czułości i zaufaniu, nie mogą być zabijane lub porzucane, gdy przestaną być użyteczne. Jeremy Bentham: „Należy pytać nie o to, czy zwierzęta mogą rozumować ani czy mogą mówić, lecz czy mogą cierpieć?”.

Kilka lat temu, późnym wrześnieowym popołudniem, pokrecony przez rwę kulzową wracałem taksówką z Gdyni. Za Wrzeszczem, na alei Zwycięstwa, z minął nas z lewej strony ciemnognatowy mercedes z warszawskimi numerami. Nie zwalniając zjechał na prawy pas, uchyliły się tylne drzwi i ktoś wyrzucił z nich niewielkiego psa. Może przeżyłby, gdyby poturłał się po trawie, ale było tam drzewo, uderzył w pień lipy i znieruchomiał. Widziałem to jak w zwolnionym filmie. Taksówkarz zaklął i nie pytając mnie o zgodę krzyknął, że musimy skurwysyna złapać. Kiedy zrównaliśmy się z mercedesem, kierowca widząc nasze gesty przyspieszył. Przez moment mignęła mi twarz chłopca siedzącego z tyłu. Niewiele dał radiowy apel taksówkarza do kolegów, zrezygnował koło rafinerii. Przepraszał za zmianę kursu, ja dziękowałem, że bardzo dobrze zrobił, trochę trwało certolenie się z zapłatą, uścisk ręki. Trudno mi pojąć, skąd się wziął idiotyczny slogan mówiący o „schodzeniu na psy”? Zejść? Chyba wejść, wzniesić się, wzlecieć!

Okrucieństwo wyrządzane zwierzętom podlega w Polsce sankcji karnej. Nie zmienia to faktu, że nie tak rzadko dowiadujemy się o topieniu dopiero co narodzonych szceniąt, przrzucanie się małym szczeniaczkiem jak piłką, przypiekaniu psa ogniem, wyrzucania go z wysokiego piętra, przywiązaniu do łańcucha, głodzeniu; tyczy to nie tylko psychopatycznych osobników, ale także prywatnych schronisk prowadzonych przez podobnych psychopatów. Jeden tylko konkretny z jesieni ubiegłego roku. Pijany mieszkaniec mazowieckiej wsi Goworowo w gminie Tarczyn nie mógł zasnąć z powodu szczekającego na podwórzu psa. Wyprowadził go za stodołę i zatłukł na śmierć metalową rurką.

Dowiadujemy się też o krzepiących inicjatywach ludzi wrażliwych. Na przykład w Gdańsku przed Bożym Narodzeniem można było nakarmić psa dzięki aplikacji. Wystarczyło pobrać aplikację OLX na swój smartfon, tam wybrać opcję „Nakarm”, a następnie znaleźć

pieska, którego chcemy nakarmić. Kliknięcie w „Nakarm psa” pokazywało nie tylko, ile jedzenia przekazano już zwierzakowi, ale także jego historię oraz w którym schronisku się znajduje. Coraz więcej dzieci i dorosłych korzysta z dogoterapii, przynoszącej radość zarówno ludziom jak i ich psim terapeutom².

GRUZJA

Obrazy, zwłaszcza dla przybywających tu jak ja po raz pierwszy, nie z tego świata. Nie mam na myśli pseudoeuropejskich miast w rodzaju Batumi, w których budują luksusowe apartamentowce bogaci Rosjanie, lecz niewielkie, skryte w wąwozach, przykucnięte u stóp zaśnieżonych szczytów Kaukazu skupiska parterowych lub jednopiętrowych, krytych blachą domków. Między ludźmi i zabudowaniami chodzą tam sobie półdzikie warchlaki z paskami na grzbietach, brązowe krowy, owce i kozy. Chodzą też po drogach nie reagując na nadjeżdżające samochody i autobusy. Lubią się położyć na środku szosy, zwłaszcza w ciemnych tunelach, jak gdyby wiedziały, że chroni je tutejsze prawo obarczające kierowców szkodzącym ich życiu wysokimi grzywnami. Dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie, że ani w osadach, ani tym bardziej na szosach nie widziałem psów.

Obrazy nie z tego świata, ludzie jak najbardziej z tego. Owszem, serdeczni i bezpośredni, częstują białym winem (czerwone pojawia się symbolicznie tylko podczas szczególnie ważnych uroczystości), sześćdziesięcioprocentową czaczą (coś jak włoska grappa), pyszną zupą charczo i pierożkami chinkali (mówią, że kto potrafi wessać ich rosółek, ten najwidoczniej dobrze całuje). Starsi po rosyjski, młodsi – rzadziej – po angielsku mówią o miłości do Polski i do prezydenta Lecha Kaczyńskiego (w Tbilisi ma swoją ulicę). Mówię, że Kaczyński, mój dawny kolega z uniwersytetu, nie był wielbicielem Stalina, że miał swoje zdanie o jego muzeum w Gori, że i mnie wystarczyło, gdy popatrzyłem sobie z zewnątrz na pozbawiony okien pudełkowaty budynek z pamiątkami po Dżugaszwili i na jego zieloną salonkę na szynach pod drzewem. W jednej chwili atmosfera się zmienia. Przystają się uśmiechać, odwracają się, machają rękami, wypinają dumnie brzuchy, pokrzykują ze złością w swoim niedostępnym dla innych języku. Stasia Budzisz, dziennikarka i – jak zapewnia – miłośniczka Gruzji, w książce zatytułowanej „Pokazucha. Na gruzińskich zasadach” rozwiewa wiele pięknych stereotypów, które przysyłają prawdziwą, zakulisową rzeczywistość. Ot, choćby słynne toasty wygłaszane przez tamadę, czyli mistrza ceremonii. Okazuje się, że to największe kłamstwo Gruzji. „Jak on pięknie potrafił opowiadać o kobietach, o miłości, o szczęściu i przyjaźni. Aż łza się w ok u kręciła. Ale kiedy tylko drzwi zamykały się za ostatnim gościem, w domu rozpętywało się piekło. – Rozbijał talerze, wyzywał i bił”. Przytaczam te słowa, bo umacniają moje, pewnie mało sprawiedliwe, negatywne nastawienie do Gruzinów, niechęć, która ma swoje źródło w ich stosunku do psów.

Psy w Gruzji nie należą do zwierząt gospodarczych. Są niczyje. Są intruzami bitymi, przepędzanymi kamieniami przez dorosłych i przez dzieci. Urszula Koziół („Tym, z którymi zwierzęta rozmawiają ludzkim głosem nie tylko podczas Wigilii”): „Psy niczyje nie

² W sanktuarium Asklepiosa w Epiduarze trzymano tzw. święte psy, które leczyły chorych lizaniem.

szczekają na widok człowieka, nie zagląдают mu w oczy, nie merdają ogonem. Psy niczyje mijają człowieka, jakby ten był powietrzem. Ignorują go. Niczyje psy nie spodziewają się po człowieku już niczego. [...] Nie słyszałam, żeby którykolwiek z nich wydał z siebie jakiś głos, warczenie czy skomlenie, szczeknięcie czy pomruk, albo żeby jadał. Być może wyją, kiedy już ich nikt nie widzi. [...] niczyje psy mijają człowieka niemo i z opuszczoną zazwyczaj głową, jak gdyby wołały nigdy go już więcej nie widzieć na oczy”.

Psy, o jakich pisze Urszula Koziół, widoczne są najczęściej w gruzińskich miastach. Zabiedzone, zaropiałe, z pozlepianą sierścią, oblizujące rany i skaleczenia, ciągnące za sobą przetrąconą nogę, cuchnące, nieufne, kręcące się przy jadłodajniach w nadziei na ochłapy. Dokarmaiałem je wynosząc co się dało z hotelowych restauracji. Gdy zapytałem kelnerkę, dlaczego zwierzęta tak piękne, wierne, mogące uczyć człowieka bezinteresownej miłości, doznają tu z jego strony okrutnej poniewierki, odparła, że wcale tak nie jest i że zostawia dla nich resztki z kuchni. Znajoma malarka abstrakcjonistka spotkała się z teorią, która ją uwiódła: że kiedyś pies ugryzł w tyłek Mahometa i dlatego wszystkie dziedziczą skutki tamtego grzechu pierworodnego. Jednak trudno odnieść to do Gruzji, gdzie dominuje prawosławie, a islam wyznaje ledwie kilka procent mieszkańców.

Już po powrocie do Polski dowiedziałem się, że władze Zugdidi, miasta leżącego niedaleko Morza Czarnego w pięknej nizinie dawnej greckiej Kolchidy, postanowiły rozwiązać problem psów za pomocą jawnego odstrzału na ulicach; i że z podobnym zamiarem noszą się inne gruzińskie miasta. Bardziej racjonalna, jakkolwiek to zabrzmie, wydaje mi się decyzja Kim Dzong Una, który nakazał oddanie wszystkich domowych psów do restauracji, gdzie staną się podstawą serwowanych dań; ma to być forma walki z panującym w Północnej Korei głodem.

Pies (nie)przyjacielem człowieka? Wyobrażam sobie, jak zareagowałiby Gruzini, gdyby na ich ulicach pojawiły się widoczne u nas plakaty: Uwaga, zły pan. Pewnie zrywaliby je rozwścieczeni, nie zazdrościłbym też osobie przyłapanej na ich rozlepianiu. Nie wiem, czy istnieje gruziński przekład niedokończonego opowiadania Franza Kafki, które Max Brody zatytułował „Forschungen eines Hundes” (Dociekania psa). Czy czytali te zdania: „Oprócz nas psów żyją wokół rozmaite rodzaje istot, biedne, niepozorne, nieme, jedynie do pewnych wrzasków ograniczone stworzenia, wiele spośród nas psów bada je, nadało im nazwy, próbuje im pomóc, wychować je, uszlachetnić itp.” (tłum. Lech Czyżewski).

Myślałem o gruzińskich kundlach w Wiedniu, patrząc na eleganckie pudelki, odżywiwione, kąpiące w odpowiednich szamponach, prowadzone do fryzjera i manikiurzysty, poddawane zabiegom mycia uszu i zębów, odziane w buciki, sukieneczki, kubraczki, kamizelki i szaliczki. Zastanawiałem się, które z nich bardziej zasługują na współczucie.

Grażyna Nawrońska



ŚW. JAKUB STARSZY – APOSTOŁ

Patron pielgrzymów do Santiago de Compostela

Peregrinatio religiosa – to różnorodne kwestie związane z pielgrzymkami, które stanowią bardzo istotny przedmiot badań historyków, archeologów, historyków sztuki i architektury, socjologów religii, ekonomistów, organizatorów turystyki i wielu innych dziedzin.

Określenie *peregrinatio* korzeniami swoimi nawiązuje do greckiego pojęcia *per-epi-demos* określającego cudzoziemca, pielgrzyma lub podróżującego. Słowem łacińskim *peregrinus* oznaczono dobrowolnego wygnańca, banitę lub podróżującego cudzoziemca. Wyraz ten odnosił się także do tych osób, które przebywały poza krajem, zwiedzały nieznaną ziemię, wędrowały i odbywały wojaże.

W pierwszych wiekach istnienia chrześcijaństwa pielgrzymki były w zasadzie zjawiskiem marginalnym i dopiero później stały się masowym zjawiskiem. Od XIII wieku *peregrinatio* zaczęto rozumieć jako specyficzne ascetyczne formy życia w podróżach do miejsc świętych. Spotkanie z *sacrum* upowszechniło się wówczas zarówno wśród mnichów, jak i w niewielkich grupach świeckich, a potem w coraz szerszych kręgach społecznych. Rozpoczęły się powszechne pielgrzymki do grobu Chrystusa i grobów świętych, do miejsc w których znajdowały się ich relikwie lub cudowne przedmioty z nimi związane i słynące łaskami.

W religii chrześcijańskiej, w odróżnieniu od rytualnej pielgrzymki żydowskiej czy mahometańskiej, które były obowiązkiem wyznawców prawa mojżeszowego i Koranu, pielgrzymka była praktykowana trochę peryferyjnie w stosunku do całej liturgii kościoła.

Według dotychczasowych ustaleń badaczy zajmujących się tym zagadnieniem (m.in. A. Witkowska), w chrześcijaństwie możemy wyróżnić kilka typów pielgrzymowania. Najstarszą formą wydaje się być *peregrinatio monastica* polegająca na całkowitym oddaleniu się mnicha od ustabilizowanych form życia klasztornego, które wg niektórych zakonników uniemożliwiało bezpośredni kontakt z Bogiem. Wyznawcami tej formy byli wędrujący od klasztoru do klasztoru eremici, m.in. święci Hieronim i Kasjan. Drugim typem wczesnych pielgrzymek była *peregrinatio ascetica* praktykowana od IV do IX w., co wiązało się z odwiedzaniem miejsc świętych, m.in. wędrowek do grobu Chrystusa w Jerozolimie. Były one połączone z prowadzeniem misji chrystianizacyjnej na obszarach nie objętych dotąd religią chrześcijańską. Charakter pielgrzymek zaczął ulegać zmianie w XII wieku, kiedy teologowie zaczęli nakłaniać pielgrzymów do odwiedzania miejsc związanych z kultem świętych Kościoła. Spotkania z *sacrum* stawały się bardziej powszechne i zaczęły obejmować coraz szersze kręgi społeczne.

Dante Alighieri w swojej pracy *Vita nuova* przedstawił swoistą „trylogię” dzieląc pielgrzymów na trzy kategorie. Pierwszą grupę stanowili *palmieri* odbywający pielgrzymki do Ziemi Świętej do grobu Chrystusa; a jako dowód odbytej wędrowki przywozili stamtąd

gałązkę palmową. Drugim bardzo ważnym szlakiem była trasa pielgrzymkowa do Rzymu, a wędrujących tam pątników określano mianem *romei*. Trzecim i chyba najważniejszym szlakiem, także pod względem zasięgu przestrzennego, wyróżniała się trasa pielgrzymkowa do grobu św. Jakuba (El Camino) obejmująca cały kontynent europejski.

Dla Dantego Alighieri była to najważniejsza droga a jedynie pątnicy udający się do Galicji do Composteli, byli wg niego „właściwymi pielgrzymami”. O randze tego ośrodka pielgrzymkowego i prowadzących do niego trasach z całej Europy może świadczyć wydanie w latach 1133-1173 specjalnego przewodnika pt. *Liber Sancti Jacobi*, napisanego przez mnicha Aymerica Picaud, poświęconego temu ośrodkowi i pielgrzymkom do Composteli.

Pielgrzymowanie do miejsc świętych było dla pątników drogą o różnym przeznaczeniu. Cele pielgrzymek miały charakter osobisty i bardzo zróżnicowany. Proszono o zdrowie dla siebie i osób bliskich, o spełnienie najważniejszych marzeń życiowych. Pielgrzymki podejmowano również aby odbyć pokutę dobrowolną lub wyznaczoną przez spowiednika, a po jej wykonaniu skazany miał możliwy powrót do życia w społeczeństwie. Decydowano się także na dalekie wędrówki do sanktuariów z podziękowaniem za otrzymane dobrodziejstwa lub wypełnione ślubowanie. W każdej pielgrzymce funkcjonował zespół praktyk religijnych, tworzących swoisty wewnętrzny świat pątników – modlitw, zwyczajów i symboli w odwiedzanych miejscach.

W średniowieczu cała Europa była pokryta siecią dróg, które umożliwiały wędrówki przede wszystkim do najważniejszych sanktuariów: Rzymu, Composteli i Jerozolimy. Po krótkich i bardzo długich trasach przemieszczano się w różny sposób: pieszo, konno, rzekami, morzem. Nie odstraszały pielgrzymów czyhające wszędzie napady rabusiów lub toczące się aktualnie wojny, np. wojna stuletnia między Anglią a Francją.

Pielgrzymki do grobu św. Jakuba do X w. przyciągały głównie wiernych z Galicji i dopiero od dwunastego stulecia miejsce to stało się najbardziej znaczącym centrum pielgrzymkowym, którym praktycznie pozostaje do dzisiaj.

Kim więc był św. Jakub, patron centrum pielgrzymkowego w Galicji i licznych szlaków pielgrzymkowych prowadzących do Composteli z całej Europy – z odległej Skandynawii, terenów Rusi, Anglii i wielu innych bliskich i dalekich miejsc; aposto-



Pielgrzymi na szlaku
(wg Mührenberg, Falk 2001)



Św. Jakub Apostoł był symbolem chrześcijańskiej obrony Hiszpanii przed Maurami. Liczne muszle związane są z jego miastem – Compostelą
(wg M. Day 2002)

łem będącym patronem licznych kościołów i kaplic usytuowanych na drogach opanowanych przez pielgrzymów.

Święty Jakub Apostoł, nazywany Większym lub Starszym, był synem Zebedeusza i Marii Salome, bratem Jana Apostoła Ewangelisty. Pochodził z Galilei, być może z Betsaidy i podobnie jak ojciec i brat był rybakiem. Bracia mieli przydomek „synowie grzmotu” ze względu na swoje gwałtowne usposobienie. Jakub razem ze św. Piotrem należał do najbardziej zaufanych uczniów Jezusa i uczestniczył w różnych niezwykłych wydarzeniach, np. wskrzeszeniu córki Jaira, Przemienieniu Jezusa na Górze Tabor i w kazaniu w Ogrodzie Getsemani na początku Męki Jezusa. Jakub był pierwszym męczennikiem wśród Apostołów. Z rozkazu króla Heroda Agrypy, około 43 r. n.e., został ścięty mieczem za głoszenie Ewangelii na terenie Judei, a szczególnie w świątyni w Jerozolimie. Różnorodne zdarzenia związane z jego życiem od drugiego stulecia były spisywane w języku hebrajskim, a następnie tłumaczone na łacinę i grekę. Znaczące dzieło poświęcone św. Jakubowi napisał Abdiasz, na którym wzorowali się później m.in. Juliusz Afrykańczyk i Euzebiusz. Pisane przez następne stulecia żywoty świętych, w tym również Jakuba, uzupełniane były przez barwne legendy i różne przypowieści. Mówiły one m.in. o działalności misyjnej Apostoła na terenie Samarii, Judei i Hiszpanii. Niestety, nie jesteśmy w stanie ustalić na ile są to fakty, a na ile „abstrakcyjne opowieści”.

Jedna z legend opowiada o Jakubie ewangelizującym Hiszpanię. Ze względu na nie najlepsze efekty swojej pracy Apostoł zamierzał powrócić do Jerozolimy „przed czasem”. Tymczasem w okolicach Saragossy, na samotnie stojącej kolumnie, ukazała się Jakubowi Maryja i przekonała go do pozostania w Galicji i kontynuowania nauczania. Na pamiątkę tego wydarzenia Apostoł wznosił w tym miejscu świątynię Jej poświęconą i dopiero w wyznaczonym czasie powrócił do Jerozolimy, gdzie poniósł śmierć męczeńską. Inna opowieść przekazywana przez stulecia mówi o przeniesieniu szczątków męczennika na górę Synaj i wybudowaniu w tym miejscu klasztoru pw. św. Jakuba – obecnie klasztor nosi wezwanie św. Katarzyny. Podobno w ósmym stuleciu, w obawie przed najazdem Saracenów na te tereny Jego relikwie miały zostać przeniesione do Galicji i złożone w specjalnie wybudowanej świątyni. Najpopularniejsza wersja opowiada o tym, jak dwaj jego uczniowie – Teodor i Atanazy – wykradli ciało Jakuba i łodzią poprzez Gibraltar dotarli do brzegów północno-zachodniej Hiszpanii, do rzymskiego portu Iria Flavia, usytuowanego w rejonie przylądka Finisterre (kraniec świata), gdzie złożyli relikwie Apostoła w kaplicy cmentarnej. Potem słuch o tych wydarzeniach zaginął i dopiero na początku dziewiątego stulecia przypominano sobie o „wydarzeniach sprzed setek lat”. Według różnych wersji legend miejsce odkrycia relikwii zawdzięczamy Teodemirowi, królowi Alfonsowi II, jak również Karolowi Wielkiemu. To właśnie wówczas ciało Świętego miało być umieszczone w miejscu określanym Liberum Donum, które później nazwano Santiago de Compostela.

Dzisiaj nie jesteśmy w stanie stwierdzić, czy różnorodne przekazy są wiarygodne i odpowiadają faktom historycznym. Nie mamy bowiem na to żadnych dowodów. Mimo to „miejsce wiecznego spoczynku” św. Jakuba zostało utrwalone w świadomości pątników europejskich. Od średniowiecza po dzień dzisiejszy było i jest najważniejszym miejscem, do którego zdążali i zdążają pielgrzymi z całej chrześcijańskiej Europy.

Obecna nazwa miejscowości Santiago de Compostela wywodzi się od *Compus Stellae*, czyli pola gwiazd. Właśnie światło gwiazd miało wskazywać i prowadzić pielgrzymów do

miejsca, gdzie znajdował się grób Świętego. Z kolei wyraz Santiago wywodzi się z języka hiszpańskiego i oznacza Świętego Jakuba – Sant Jacob.

Odnalezienie grobu Apostoła przyczyniło się do budowy w tym miejscu kościoła, do którego zdążali pielgrzymi. Miejsce początkowo niewielkiej kaplicy zajęła świątynia wybudowana z rozkazu króla Hiszpanii Alfonsa III pod koniec IX w. Po zniszczeniu jej przez Arabów w sto lat później – w 1075 roku – przystąpiono do wznoszenia kolejnego kościoła na planie krzyża łacińskiego, którego budowę w stylu romańskim i wczesnogotyckim zakończono w latach dwudziestych trzynastego stulecia. W kolejnych wiekach obiekt był systematycznie rozbudowywany, a na przełomie XVII/XVIII w. świątynia otrzymała wspianą elewację z dwoma pięknymi wieżami, każda o wysokości 76 m. Wygląd zewnętrzny katedry został wówczas dość mocno zmieniony, ale wystrój wnętrza – kaplice i boczne ołtarze nie uległy większym przeobrażeniom.

Najważniejsze wejście do kościoła znajdujące się w portalu zachodnim prowadzi do romańskiej kruchty, której ozdobą jest słynna *Portico de la Gloria* – Brama Chwały – zbudowana przez hiszpańskiego mistrza Mateo w latach 1168-1188, najcenniejszy i najbardziej podziwiany obiekt w świątyni. W środkowym portalu bramy przedstawiony został Chrystus w otoczeniu czterech ewangelistów; a poniżej znajduje się postać Świętego Jakuba trzymającego w dłoniach pisma i laskę pielgrzymią, symbolizujące Jego misjonarską i apo-



Katedra w Santiago de Compostela. Portico de la Gloria – Brama Chwały – z figurą św. Jakuba na filarze (wg Kubisch 2002)



Portico de la Gloria – Brama Chwały. św. Jakub trzymający w dłoniach pisma i laskę pielgrzymią

stolską rolę w Hiszpanii. Każdy z wchodzących do sanktuarium pielgrzymów – również w dzisiejszych czasach – dotyka rzeźby – postaci apostoła, kończąc w ten symboliczny sposób swoją wędrówkę.

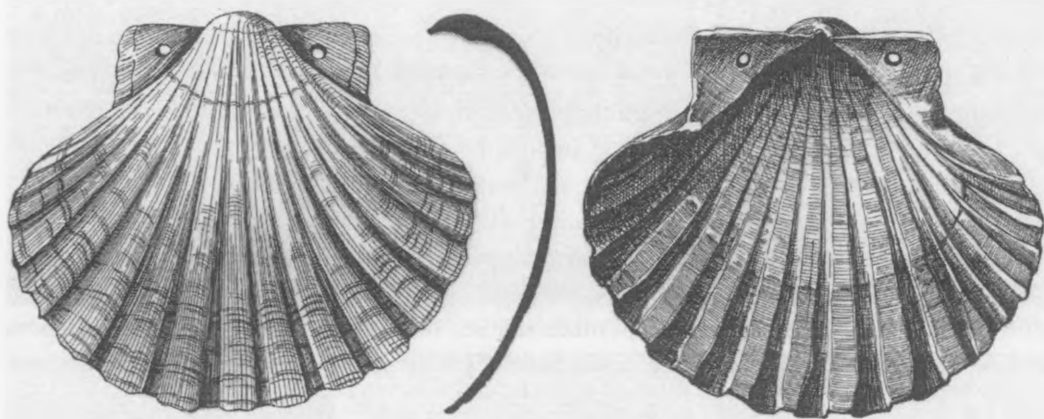
W głównym barokowym ołtarzu świątyni centralne miejsce zajmuje drewniana rzeźba św. Jakuba pochodząca z 1211 r., która w XVIII w. otrzymała srebrną koszulkę wysadzaną kamieniami szlachetnymi. Pod ołtarzem w krypcie znajduje się srebrny sarkofag z relikwiami św. Jakuba i jego uczniów Teodora i Atanazego. W nawie głównej umieszczono wysoką dwumetrową kadzielnicę – Botafumeiro – która kiedyś pełniła także funkcje higieniczne, oczyszczając powietrze w katedrze gdy liczne rzesze pielgrzymów nocowały w świątyni. Dzisiaj przy szczególnych okazjach jest kołysana przez siedem osób przez całą długość transeptu.

Prawie tysiącletnia wspaniała świątynia pw. św. Jakuba jest obiektem niewyobraźalnie pięknym. W doskonały sposób łączy w sobie różnorodne rozwiązania architektoniczne i stylistyczne, zachowując przy tym pewną jednorodność i harmonię bryły.

Postać św. Jakuba ukazywana w ikonografii, malarstwie czy rzeźbie prezentowana jest zawsze z atrybutami charakterystycznymi dla pielgrzymów zdążających do sanktuarium świętego w Composteli. Chociaż niektóre z nich dotyczą również pątników zmierzających do innych ośrodków kultu. Artefaktami św. Jakuba są: księga, miecz (którym został ścięty), muszla, manierka (tykwa, fiasza pielgrzymia), kapelusz z szerokim rondem, laska pielgrzymia, peleryna (płaszcz pielgrzymi).

Najpopularniejszym i powszechnie znanym atrybutem św. Jakuba jest muszla z rodziny *Pecten Maximus L.* o wielkości od kilku do kilkunastu cm średnicy, niekiedy mający nawet dwadzieścia cm, żyjąca przy europejskim wybrzeżu Atlantyku. Jej skorupa pokryta promieniście układającymi się żeberkami w części górnej posiada dwa uszka, w których wiercono otwory w celu przymocowania jej do kapelusza, peleryny lub sakwy. Muszle zbierane na plażach na przylądku Finisterre lub kupowane przed katedrą w Santiago były przynoszone i przywożone przez pielgrzymów do domów i stanowiły – także dzisiaj – świadectwo odbytej pielgrzymki do sanktuarium. Były i są na pewno cenną „relikwią” po zrealizowaniu trudnej i bardzo odległej wędrówki i „spotkania” ze św. Jakubem.

Dla archeologów i historyków znaleziska muszli *Pecten Maximus L.*, odkrywane w grobach, relikwach domów czy w latrynach, stanowią bardzo ważne źródło informacji dotyczące wędrówek dawnych pielgrzymów do Composteli z różnych stron Europy. Najstarsze muszle odnajdywane podczas wykopalisk prowadzonych w obrębie średniowiecznych cmentarzysk m.in. w Szwecji, Anglii, Niemczech, Szwajcarii datowane są na około tysięczny rok. Muszle odkrywane podczas badań archeologicznych, realizowanych w ośrodkach miejskich, m.in. w Polsce, Holandii, Danii i wielu innych krajach, swoją chronologią sięgają piętnastego stulecia. Niektórzy badacze sądzą (np. M. Rębkowski), że muszle tego typu były nie tylko znakiem pielgrzymim charakteryzującym pątników zdążających pieszo, konno lub wodą do Composteli, ale wręcz stanowiły uniwersalny symbol chrześcijańskiej pielgrzymki. Miały one przecież chronić pielgrzyma przed różnymi nieszczęściami, jednocześnie wskazując osoby noszące te muszle jako należące do europejskiej „wspólnoty św. Jakuba”. W Polsce, podczas badań archeologicznych odnaleziono kilkanaście muszli lub ich



Muszla z *Composteli* (XV w.) znaleziona w Elblągu podczas badań archeologicznych. Rys. B. Kiliński

fragmentów, z których największa o wysokości 11,1 cm, maksymalnej szerokości 12,1 cm i dwóch otworach na skrzydełkach o średnicy 0,3 cm, odkryta została w jednej z latryn znajdującej się przy ulicy Wigilijnej 33 na Starym Mieście w Elblągu.

Oprócz muszli zbieranych na wybrzeżu Atlantyku i traktowanych jako znaki pielgrzymie, kształt *Pecten Maximus L.* otrzymywały plakietki wykonywane ze stopów cyny i ołowiu, drewna, srebra, kamieni półszlachetnych (gagat) a nawet złota. Bardzo dużo tego typu znaków pielgrzymich odnaleźli archeolodzy podczas badań wykopaliskowych prowadzonych w wielu ośrodkach miejskich w całej Europie.

Przedmiotem związanym z peregrynacjami do sanktuarium św. Jakuba jest kapelusz pielgrzymi znajdujący się w zbiorach Muzeum Etnograficznego w Poznaniu (Oddział Muzeum Narodowego). Przywieziony do Polski z Hiszpanii w latach trzydziestych ubiegłego stulecia bardzo ostrożnie określono jego chronologię na XVIII w. Jest to jedyny taki egzemplarz w Polsce, a drugi w Europie – obok kapelusza z XVI w. znajdującego się w zbiorach Muzeum w Norwimberdze. Kapelusz „poznański” o średnicy 36,5 cm, wysokości 14,5 cm i obwodzie 63 cm



Kapelusz pielgrzymi (XVIII w. -?) ze zbiorów Muzeum Etnograficznego w Poznaniu

wykonano z czarnego filcu podszytego jedwabną czarną podszewką. Jest bogato zdobiony muszlami i kościanymi laseczkami imitującymi kije pielgrzymie i manierki – tykwy. Centralną partię zajmuje plakietka o średnicy 5 cm przedstawiająca jeźdźca w kapeluszu na galopującym koniu i trzymającego sztandar. Postać ma symbolizować św. Jakuba pogromcę Maurów.

Wyjątkowymi zabytkami odnalezionymi podczas prac archeologicznych, które możemy utożsamiać z peregrynacjami są laski pielgrzymie („wierne towarzyski podróży”) i manier-

ki – flasze wędrowców. Są to przedmioty uniwersalne, dlatego wyłączone przyporządkowanie ich pielgrzymom jest dość trudne.

W miastach nadmorskich, m.in. na wybrzeżach Bałtyku i Morza Północnego, jak i w całej strefie oddziaływania Hanzy, charakterystycznym wezwaniem miejskich kościołów i kaplic było patrocinium (titulus ecclesiae) św. Jakuba Starszego – obok najpopularniejszych: św. Mikołaja i Najświętszej Marii Panny. Zwiększająca się stale od XIII w. liczba pielgrzymów zdążających do sanktuarium w Composteli spowodowała nadawanie tego wezwania także świątyniom znajdującym się na szlakach pielgrzymkowych w innych rejonach Europy. Wznoszone kościoły i kaplice pw. św. Jakuba były często filialnymi obiektami dla głównych far miejskich. Taka sytuacja miała miejsce również w Elblągu. Usytuowany poza średniowiecznymi obwałowaniami miasta kościół pw. św. Jakuba wraz z cmentarzem przykościelnym był filią parafialnej fary pw. św. Mikołaja.

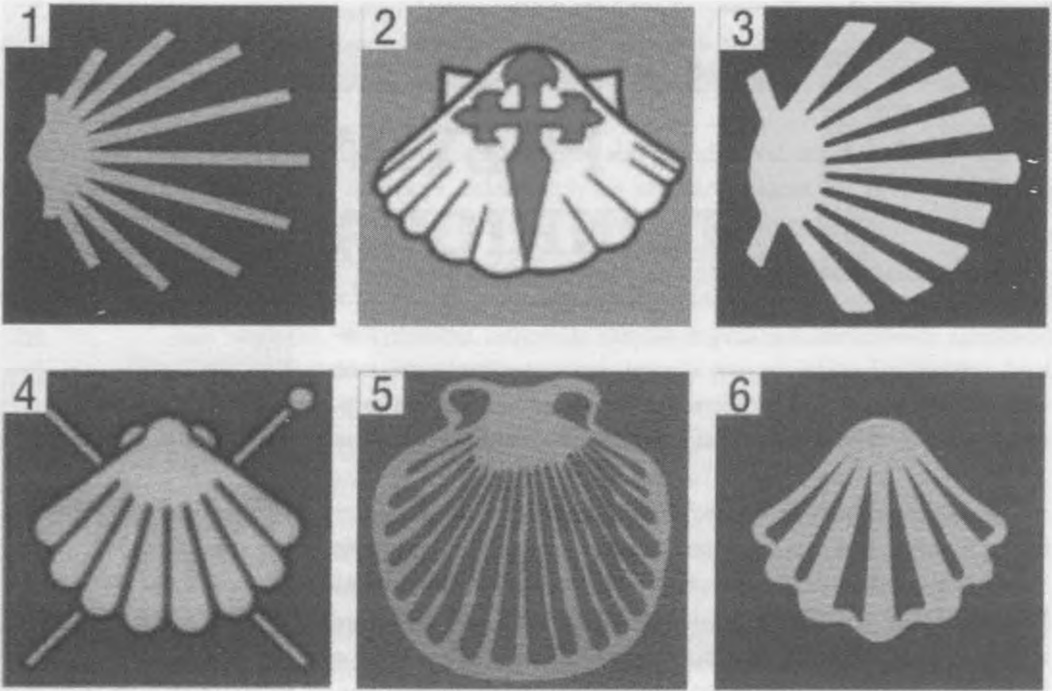
A. Witkowska, jedna z autorek prac o szlaku św. Jakuba, ukazuje zagadnienia związane z kultem Apostoła nie tylko jako fakty historyczne, ale przedstawia też to miejsce opierając się na bogatej legendzie i zapotrzebowaniu na ludową pobożność. Miejsce pielgrzymkowe w Santiago de Compostela i drogi – szlaki prowadzące do niego, powstały z potrzeby i na zamówienie społeczne stworzone przez średniowieczną pobożność, ucieczką przed złem i próbą szukania lepszego świata. Zainteresowanie i fascynacja pątników z całej Europy pielgrzymkami do grobu św. Jakuba, od tysiąca lat w różnych okresach czasu były zmienne – i trwa do dziś.

W 1986 r. Rada Europy ogłosiła *Drogę św. Jakuba* pierwszym europejskim szlakiem o wielkim znaczeniu dla kultury, a samą miejscowość Santiago – *Europejską Stolicą Kultury*. Od tego czasu w wielu krajach Europy odtwarzane są dawne szlaki pielgrzymkowe, które przez setki lat prowadziły pątników do Santiago de Compostela; a dzisiaj te drogi łączą regiony i kraje, stając się w pewnym sensie „szkieletem Europy” – duchowym i turystycznym szlakiem miejsc niezwykłych.

Różne nazwy określają dzisiaj szlaki pątnicze prowadzące do sanktuarium w Composteli – Canino de Santiago, le Chemin de Saint Jacques, Jacobsweg, Way of St. James, Szent Jakab-út, Svatojakúbsta Cesta, Pelegrimsroutes naar Santiago – integrując Europę w kulturową jedność. W Polsce pierwszym odtworzonym szlakiem w 2004 r. była Dolnośląska Droga św. Jakuba łącząca Jakubow k/Głogowa ze Zgorzelcem. Dwa lata później reaktywowano trasę z Olsztyna do Gietrzwałdu, w kolejnych przedłużono ją do Torunia i Trzemeszna. Potem powstawały następne: Wielkopolska Droga św. Jakuba, Droga Żytawska, Lubuska, Śląska. Obecnie większą część naszego kraju obejmują trasy



Uśmiechnięty św. Jakub Apostoł wita pielgrzymów w Composteli. Rzeźba znajduje się na ścianie frontowej katedry



Wzór muszli przyjęty przez Radę Europy: 1; wzory muszli stosowane na Drogach św. Jakuba w Polsce: 2-6

pielgrzymkowe, które łącząc się ze szlakami niemieckimi, poprzez terytorium Francji prowadzą do sanktuarium w Composteli.

Współczesne peregrynacje drogą Jakubową do Santiago także dzisiaj stanowią swoisty fenomen religijny, społeczny, kulturowy, ale także geograficzny. Turyści i pielgrzymi udający się do sanktuarium, w ramach zorganizowanych wycieczek lub indywidualnie (pieszo, konno, samochodem), docierają w różny sposób do legendarnego, jakże urokliwego miejsca w północno-zachodniej Hiszpanii. Spotykając się w Composteli, jak i po drodze na różnych trasach, kontynuują wspianą tradycję minionych stuleci, które już upłynęły, ale jednak nadal są świadectwem przeszłości. Przybywającym do grobu Apostoła w Composteli zarówno osobom wierzącym jak i niewierzącym, ukazuje się swoisty, wyjątkowy świat. Nasze szybkie tempo pozwala w tym miejscu „trochę zatrzymać się”, zastanowić nad kruchą codziennością i być może pobudzić nas do refleksji nad życiem i przemijaniem w tak zwariowanym świecie.

Bueno camino A więc w drogę.



„Współczesny pielgrzym”

Katarzyna Gentkowska



Mroczne oblicze menonitów PRZYPADEK HEINRICHA HAMMA

Chcąc dowiedzieć się czegoś więcej na temat historii Żuław, a także mieszkańców tej krainy, postanowiłam przejrzeć źródła internetowe. Dzięki temu trafiłam na angielskojęzyczną stronę poświęconą mennonitom – anabaptisthistorians.org. Gdy przeglądałam artykuły opublikowane w tym miejscu, zafascynowała mnie historia mennonitów z uwagi na to, że zostali ukazani z nieznanego mi dotąd perspektywy. Szczególnie jeden tekst dotyczący mennonitów i ich udziału w nazizmie autorstwa Benjamina Goossena był dla mnie nader wymowny. Otóż mennonici zapisali się w historii jako pokojowa wspólnota religijna, stroniąca od piastowania wysokich urzędów, zbytków oraz rygorystycznie przestrzegająca zasad ewangelii. Natomiast idea pacyfizmu stała się niemalże dogmatem ich wiary. Tymczasem wspomniany wykładowca akademicki na Uniwersytecie w Oxfordzie, autor książki pt. *Chosen Nation. Mennonites and Germany in a Global Era* (2007), dokonuje demystyfikacji tej grupy wyznaniowej, a przynajmniej wybranych jej członków. Ujawnia bowiem mroczne oblicze mennonitów związane z okresem holocaustu. Wobec tego chciałabym w oparciu o anglojęzyczny tekst autora przedstawić kluczowe wątki z życia Heinricha Hamma. Wzorowałam się przede wszystkim na artykule zamieszczonym na wskazanej przeze mnie stronie, który przetłumaczyłam na potrzeby niniejszej pracy i przytaczam sformułowane fragmenty tekstu¹.



Heinrich Hamm, 1944

Tuż po II wojnie światowej wyodrębniła się organizacja pomocowa – Mennonicki Komitet Centralny (MCC), która funkcjonowała w późnych latach 40. i wczesnych 50. XX wieku. Pomagała przesiedlić tysiące europejskich mennonitów, którzy zostali wysiedleni w wyniku wojny. Jednym z głównych członków Mennonickiego Komitetu Centralnego był uchodźca Heinrich Hamm. Podobnie jak dziesiątki tysięcy innych mennonitów, którzy doświadczyli nazistowskiej okupacji Europy Wschodniej, pochodził z radzieckiej Ukrainy i wycofał się na zachód wraz z wojskami niemieckimi w 1943 roku, aby uniknąć ponownego dostania się pod komunistyczną władzę. Pięć lat później został pracownikiem MCC, pomagając w prowadzeniu obozu dla uchodźców w okupowanych Niemczech. Spisał wersję swoich wojennych przeżyć, zgodną z ogólnym przesłaniem MCC:

¹ B. Goosse, *How to Catch a Mennonite Nazi*, dostępny w Internecie: <https://anabaptisthistorians.org/2020/10/29/how-to-catch-a-mennonite-nazi/>, [dostęp: 29 listopada 2020]. Więcej informacji na temat autora można znaleźć pod tym adresem internetowym: <https://scholar.harvard.edu/goossen/home>

Dość błędnym pomysłem jest myślenie, że wszystkich mennonitów sprowadzono do Polski w celu osiedlenia się na farmach. Przyjechałem z rodziną do obozu w okolicach Stargardu. Natychmiast po tanią siłę roboczą przybyli przedstawiciele różnych koncernów. Musiałem pracować w fabryce maszyn, w której pozostałem do końca wojny.

Wysiłki Mennonickiego Komitetu Centralnego, aby przedstawić uchodźców, takich jak Heinrich Hamm, jako ofiary nazizmu, zakończyły się w dużej mierze sukcesem. Uważano bowiem, że „większość [mennonitów], którzy znaleźli się w Niemczech pod koniec wojny, nie przybyła do tego kraju dobrowolnie. Zostali deportowani wraz z innymi Rosjanami, aby wykorzystywać ich jak niewolników”. W tym miejscu należy zadać pytanie, czy relację H. Hamma należy uznać za wiarygodną? Aby odpowiedzieć na to pytanie, warto nakreślić krótki rys historyczny tej postaci. H. Hamm urodził się w carskiej Rosji w 1894 roku. Służył jako sanitariusz w czasie I wojny światowej, a podczas rosyjskiej wojny domowej podjął walkę zbrojną, porzucając pacyfizm, podobnie jak wielu innych młodych mennonitów. Kiedy bolszewizm zatriumfował, H. Hamm stracił gospodarstwo w pobliżu ukraińskiego miasta Zaporoże. W czasie rządów Stalina wraz z rodziną przeniósł się do Dniepropietrowska. Tam kontynuował pracę po nazistowskiej inwazji w 1941 r., ale ostatecznie opuścił Ukrainę wraz z rodziną, a w 1944 r. osiedlił się w Stutthofie.

Niezwykle istotny okazuje się dokument napisany tuż po inwazji Hitlera na sowiecką Ukrainę przez etnicznego Niemca Heinricha Hamma. Sześciostronicowy maszynopis, zachowany w aktach Ministerstwa Rzeszy ds. Okupowanych Terytoriów Wschodnich, opowiada o okropnościach, jakich doświadczyli pod rządami żydowsko-bolszewickimi. Autor dokumentu twierdzi, że ZSRR represjonował etnicznych Niemców bardziej niż inne narodowości. Opisuje, jak rozstrzeliwano lub deportowano młodych mężczyzn. Autor nie pozostawiał wątpliwości,ogo winić:

W ten sposób żydowskie bestie bolszewickie niszczyły niemieckie rodziny [w czasach komunistycznych]. Wyrażenie „bestie” nie jest nawet poprawne, ponieważ zwierzęta zabijają dla pożywienia, podczas gdy ci żydowscy mordercy i niedorozwinięte dranie zabijają i niszczą dla sportu, praktykując najgorszy rodzaj okrucieństwa jako dzieło swojego życia.

Czy to mogły być słowa późniejszego pracownika MCC? Otóż nazwisko „Hamm” było powszechne wśród ukraińskich mennonitów, a „Heinrich” – popularnym imieniem. Jednak trudno połączyć mennonitę z hasłami nienawiści. W raporcie stwierdzono, że jego autor mieszkał w Dniepropietrowsku. Niecały miesiąc przed powstaniem raportu nazistowskie szwadrony śmierci rozstrzelały dziesięć tysięcy Żydów z tego miasta. Końcowe uwagi H. Hamma brzmią przerażająco: „Tylko ci, którzy doświadczyli [sowieckiej tyranii], mogą w pełni zrozumieć frazę: <<Wyzwolenie od Żydów. Jarzmo bolszewizmu w jego najprawdziwszym sensie>>”. Zakończył tymi słowami, chwając Hitlera i wszystkich niemieckich żołnierzy.

Innym dokumentem wiążącym się z tą postacią był list z 1943 roku – również napisany przez Heinricha Hamma. Został wysłany z obozu z okupowanej przez nazistów Polski. Zdaje się, że ten list łączy H. Hamma, który potępiał Żydów w szczytowym okresie Holokaustu na Ukrainie z człowiekiem, który później pracował dla MCC, twierdząc po wojnie,



Mapa pokazuje przemieszczanie się Heinricha Hamma i jego żony Anny z uwagi na nazistowską inwazję na Związek Radziecki. Ostatecznie wyemigrowali do Kanady.

że mennonici byli nienazistowską grupą, która ucierpiała w Trzeciej Rzeszy. W tym liście H. Hamm poinformował, że on i inni uchodźcy z Ukrainy zostali dobrze przyjęci w Kraju Warty: „Po przyjeździe doświadczyliśmy nieoczekiwanej miłości i wzruszającego przyjęcia. Nasz obóz – jeśli w ogóle można to tak nazwać – leży w lesie niedaleko Kirchberga [Austria] (14 km na wschód od Litzmannstadt) i nie składa się z baraków otoczonych drutem kolczastym, jak wielu się spodziewało, ale z pięknie urządzonych domów (dawniej dla żydowskich letników)”. Przyznał także, że nie wszyscy są zadowoleni z nowej siedziby. Zdyskredytował narzekających, nazywając ich „rasowymi śmieciami”. Jak pisał: „prawdziwi Niemcy dziękują codziennie Bogu i Führerowi ze łzami w oczach za wielkie przywileje, którymi się cieszą”. Daleki od krytyki ze strony niemieckich menonitów list H. Hamma z 1943 roku pomógł mu zyskać przychylność lokalnej organizacji wyznawców Menno Simonsa.

Na początku 1944 roku H. Hamm i jego żona Anna przeprowadzili się z dawnego żydowskiego obozu letniego w pobliżu Łodzi do nadmorskiej miejscowości Stuthof. Tam zaprzyjaźnił się z lokalnym biznesmenem Gerhardem Eppem. Przed I wojną światową G. Epp pracował w Rosji i nadal interesował się mennonickimi współwyznawcami ze Związku Radzieckiego. Przedsiębiorca zaproponował H. Hammowi pracę w dużej fabryce maszyn, której był właścicielem. To był ten sam zakład, o którym H. Hamm wspominał później w notatce, którą napisał dla MCC, twierdząc, że został zmuszony do zapewnienia taniej siły roboczej chciwym niemieckim spekulantom wojennym.

Bliższe przyjrzenie się tej sprawie ujawnia, że H. Hamm nie był skromnym robotnikiem. Wydaje się także, że nie sprzeciwiał się spekulacji wojennej, która faktycznie miała miejsce w fabryce G. Eppa. Trzy lata po upadku III Rzeszy, na krótko przed wejściem na pokład parowca płynącego do Kanady, H. Hamm napisał długi list do swoich dwóch synów, którzy służyli w niemieckiej armii i obaj zaginęli w ostatnich miesiącach wojny. Został go lokalnemu przywódcy mennonitów na przechowanie, mając nadzieję, że któryś z jego synów kiedykolwiek przeczyta te słowa. List H. Hamma datowany jest na 23 lipca 1948 roku. Podpisał go zaledwie kilka dni po napisaniu odcinającego memorandum dla MCC. Opowiadał w nim o jego ostatnich dniach w Stutthofie, zanim natarcie Armii Czerwonej zmusiło go do ucieczki wraz z żoną, jej ciotką oraz z tysiącami innych uchodźców statkiem przez Bałtyk do Danii. Zimą na początku 1945 r. radzieckie naloty pustoszyły pobliskie duże miasta oraz okoliczne tereny. Gerhard Epp wysłał swoje maszyny na zachód i przekształcił fabrykę w prowizoryczny obóz dla uchodźców. H. Hamm poinformował, że G. Epp i cały jego personel gorączkowo starali się ratować potrzebujących. Wypełnione hale fabryczne stanowiły cele dla radzieckich lotników, o czym informował H. Hamm, a każda bomba, która uderzyła w zakład, zabijała i raniła setki ludzi:

Ogromna ilość ciał i zamrożona ziemia uniemożliwiały ich pochowanie, dlatego specjalnie powołani więźniowie wyznaczani do sprzątnięcia zwłok przenosili je do obozu koncentracyjnego, aby tam dokonać ich „zagazowania”.

Ciekawe jest przypadkowe odniesienie do bezimiennego pobliskiego obozu koncentracyjnego. Wydaje się, że H. Hamm spodziewał się, że jego synowie zrozumieją odniesienie. Kiedy odwiedzał swoją rodzinę w Stutthofie, synowie Hamma musieli wiedzieć o dużym obozie koncentracyjnym w tej miejscowości, który powstał w 1939 r. i w ciągu następnego pięciu lat stał się głównym miejscem niewolniczej pracy na wybrzeżu. Wraz z obozem koncentracyjnym rozwijała się fabryka G. Eppa. Jej właściciel czerpał ogromne zyski z racji funkcjonowania obozu, gdyż wynajmował stamtąd setki więźniów do produkcji uzbrojenia w swojej fabryce. Żydzi i inni więźniowie byli dla niego tanią siłą roboczą. H. Hamm pomagał Eppowi w tym procederze.

Natomiast później H. Hamm wyraził żal z powodu liczby zgonów, które miały miejsce w fabryce w Stutthofie. Jednak wyraźnie wymienił tylko niemieckie ofiary radzieckich nalotów, a nie więźniów obozów koncentracyjnych. „Bardzo dużo krwi niewinnych kobiet i dzieci płynęło po ziemi Eppa” – przekazał H. Hamm swoim synom. „Niezliczeni, bezimienni zmarli... Nikt nie pytał, kim oni są, skąd pochodzą, nic nie zostało zapisane”. Można się zastanawiać, jaki jest cel tej prywatnej powojennej sprawozdawczości. Czy H. Hamm próbował zapomnieć o Żydach i więźniach innej narodowości, którzy pracowali ponad ludzkie siły w fabryce G. Eppa, wspominając uchodźców, których on i właściciel fabryki próbowali uratować?

Widać też, że po wojnie H. Hamm próbował zdystansować się od tej odpowiedzialności. Zamiast tego podkreślił cierpienie własnej rodziny, która uciekła ze Stutthofu w kwietniu 1945 r. Kiedy przepłynęli Bałtyk pod osłoną nocy, radziecki okręt podwodny storpedował ich statek. H. Hamm chwalił Boga za to, że pozwolił mu na dotarcie do Danii uszkodzo-

nym statkiem. Rodzina pozostała tam przez następne 18 miesięcy.

H. Hamm pozostawał w kontakcie z mennonitami w wielu krajach we wczesnych latach powojennych. Z Danii napisał komunikat do krewnych w Kanadzie, którzy opublikowali go w kościelnej gazecie. Wkrótce listy i dobra materialne dotarły do rodziny Hammów, jak i innych mennonitów w okolicy. H. Hamm koordynował tę



Biuro administracyjne fabryki Gerharda Eppa w Stutthofie, w którym H. Hamm pracował od 1944 do początku 1945 roku.

pomoc, wydając dziesiątki paczek żywnościowych z Ameryki Północnej innym uchodźcom. Kiedy jego rodzina otrzymała pozwolenie na wyjazd z Danii do Niemiec, zamieszkali u mennonitów w Bawarii. Osiem miesięcy później dyrektor obozu dla uchodźców Komitetu Centralnego Mennonitów w Gronau, niedaleko granicy z Holandią, zaproponował H. Hammowi stanowisko swojego zastępcy. Ten przyjął tę pracę i przez prawie rok pracował dla MCC w Gronau, aż do momentu wyjazdu do krewnych w Kanadzie.

Zrozumienie wojennej działalności H. Hamma pomaga również wyjaśnić znaczenie europejskich operacji związanych z uchodźcami Centralnego Komitetu Mennonitów. Gdybyśmy wzięli pod uwagę tylko powojenne raporty MCC dla organów takich jak ONZ, moglibyśmy założyć, że główna organizacja pomocowa denominacji działała w dobrej wierze. Przywódcy nie byli świadomi nazistowskiej współpracy uchodźców, takich jak H. Hamm, który stał się płatnym pracownikiem i rzecznikiem. I właśnie o to chodziło. Głównym celem programu uchodźczego MCC była pomoc osobom przeżywającym trudności prawne lub materialne z powodu ich skojarzeń z nazizmem. Zatrudnianie przywódców wojennych, takich jak H. Hamm, dostarczyło tu cennej wiedzy.

Zdawałoby się, że na gruncie polskiej historiografii wiele napisano już o mennonitach. Zazwyczaj ukazywano ich jednak zgodnie z obowiązującym paradygmatem jako wyznanie pacyfistyczne, pracowite i przesiąknięte religijnością. Tym samym nie dostrzeżono ciemnych stron, które od lat bada historiografia angielskojęzyczna². Prezentowany tekst to zaledwie wierzchołek góry lodowej. Miejmy nadzieję, że w niedalekiej przyszłości znajdzie się grupa badaczy, która podejmie się pogłębionych analiz odmitologizujących tę grupę wyznaniową, która w dyskursie polskojęzycznym jest przedstawiana wręcz idyllicznie.

² J. Zob.: Thiesen, *Mennonite and Nazi. Attitude Among Mennonite Colonists in Latin America 1933-1945*, *Studies in Anabaptist and Mennonite History*, 1999.

S. Schroeder, *Mennonite-Nazi Collaboration and Coming to Terms Withthe Past. European Mennonites and the MCC. 1945-1950*, [w:] *The Conrad Grebel Review*, s. 6-16.

G. Rempel, *The Mennonite*, (1), 2012.

R. Preheim, *History. White supremacist's racist faith'in Mennonite World Review*, (28), 2017.

B. Goossen, *Chosen Nation. Mennonites and Germany in a Global Era*, Princeton, 2017.

Ponadto w 2018 roku odbyła się konferencja naukowa w Bethel University, która miała na celu ukazanie związków mennonitów z nazistami. Link do programu tej konferencji jest dostępny pod tym adresem: <https://www.bethelks.edu/academics/convocation-lectures/mennonites-and-holocaust>, [dostęp: 29 listopada 2020].

Radosław Kubus



KARY CIELESNE I PUBLICZNE KARY ŚMIERCI W PIERWSZEJ POŁOWIE XIX WIEKU NA TERENIE POMORZA

Osobę kata, zwanego też „mistrzem świętej sprawiedliwości”, powszechnie kojarzy się przede wszystkim z publicznymi spektaklami śmierci urządzanymi w nowożytnych miastach i wsiach. Wiele ostatnio mówi się również o innych aktywnościach przezeń wykonywanych, takich jak choćby paranie się medycyną. Zazwyczaj jednak mówiąc i pisząc o osobie kata historycy zatrzymują się na okresie schyłku XVIII stulecia.

Interesującym jest zatem fakt, iż katowskie rzemiosło powszechnie łączy się z okresem średniowiecza i czasami nowożytnymi (XVI-XVIII wiek). Znajdziemy mnóstwo prac poświęconych temu zagadnieniu, lecz czytając je można odnieść mylne wrażenie, że rytuał publicznej karności kończy się wraz z nastaniem epoki oświecenia. Co prawda, już od połowy XVII wieku dostrzega się zjawisko, które następnie rozkwitnie w wieku XVIII, a które zostało nazwane przez wybitnego filozofa, historyka i socjologa Michela Foucaulta „wielkim zamknięciem”. Termin ten oznacza, że już w XVIII wieku silnie zauważalną tendencją było kierowanie osób, które dopuściły się przestępstw do powstających wówczas licznie zakładów odosobnienia, tj. więzień, domów pracy przymusowej, zakładów poprawczych, itd. Nie oznacza to jednak, że publiczne kary śmierci odeszły do przeszłości. Wykonywało się je nadal i nadal nie brakowało chętnych chcących oglądać te krwawe spektakle.

Powszechnie wiadomo, że teren Pomorza w końcu XVIII wieku w wyniku rozbiorów trafił w ręce Prus. Kolejni władcy tego kraju, na czele z Fryderykiem II Wielkim, zapoczątkowali szereg reform, których celem miało być stworzenie nowoczesnego i rozwijającego się w duchu oświecenia państwa. Jedną z fundamentalnych zmian, było wprowadzenie w 1794 roku innowacyjnego i monumentalnego kodeksu prawa, zatytułowanego *Allgemeines Landrecht für die Königlich Preussischen Staaten* (*Powszechne prawo krajowe dla państw królewsko-pruskich*). Ten zbiór przepisów prawnych zaczął obowiązywać na całym obszarze Królestwa Prus, także na ziemiach wcielonych do tego państwa w wyniku trzech rozbiorów Rzeczypospolitej.

W odniesieniu do prawa karnego zapisy kodeksu obowiązywały do połowy XIX wieku (a dokładnie do roku 1851). Pojawia się zatem następujące pytanie: czy pruski kodeks karny dopuszczał publiczne kary cielesne i kary śmierci? Jeżeli tak, to jakie rodzaje kar przewidywał dla przestępców, dopuszczających się konkretnych przewin?

Okazuje się, że publiczne kary śmierci były wykonywane w Prusach niemal przez całą I połowę XIX wieku, a ich opisy znajdujemy w rejencyjnych dziennikach urzędowych, tzw. *Amtsblättern* oraz na łamach regionalnej prasy. Konkretnie przypadki publicznych karności na

terenie rejencji gdańskiej i kwidzyńskiej były już tematem przede mnie podejmowanym¹. W tym miejscu nie chciałbym opisywać konkretnych przypadków, a raczej skupić się ogólnie na rodzajach kar cielesnych i publicznych karach śmierci, które występowały na terenie Prus, a zatem także i na terenie Pomorza w I połowie XIX wieku.

Ukazanie tego zagadnienia jest możliwe dzięki kwerendzie w Tajnym Archiwum Państwowym Fundacji Pruskiego Dziedzictwa Kulturowego w Berlinie (*Geheimes Staatsarchiv Preußischer Kulturbesitz*). Znalazłem tam jednostkę archiwalną zatytułowaną *Prüfung, Ansetzung und Vereidigung der Scharfrichter und Festsetzung ihrer Gebühren für die Vollstreckung, 1811-1893* (Egzamin, wyznaczenie i zaprzysiężenie kata oraz ustalenie jego wynagrodzenia za przeprowadzoną egzekucję, 1811-1893)². Wewnątrz dołączono niezmiernie ciekawą drukowaną instrukcję pt. *Die Prüfung der Qualifikation der Scharfrichter in Ostpreußen und Litthauen betreffend* (Względem egzaminu kwalifikacyjnego kata w Prusach Wschodnich i Litwie). Zawiera ona dokładny wykaz kar cielesnych i rodzaje publicznych kar śmierci stosowane na terenie Królestwa Prus w I połowie XIX wieku, wraz z precyzyjnym opisem ich wykonania. Treść zawarta w instrukcji została oparta o konsultację z lokalnym katem o nazwisku Brand.

Jeżeli chodzi o kary cielesne, to należy tu w pierwszej kolejności wskazać na publiczną chłostę różgami (*Staupenschlag*). Kara ta należała do kar hańbiących. W pruskim Prawie Krajowym (*Landrecht*) wymierzano ją wyłącznie wraz z karą wieloletniego więzienia. Karę tę wykonywał pomocnik kata pod nadzorem mistrza. Razy wymierzano stopniowo. Pierwsze trzy uderzenia oskarżony przestępca otrzymywał przed budynkiem sądu, a następnie przed innymi ważnymi budynkami miejskimi, tj. siedzibą wójtostwa, ratuszem, czy bramą miejską. Tylko od sędziego zależało, czy uderzenia będą mocne czy delikatne. Podlegający tej karze przestępca, rozebrany był do pasa i miał związane z tyłu ręce. W przypadku kobiet ich piersi zasłaniano płachtą. Pomocnik kata wymierzał pękiem różg liczbę uderzeń oscylujących zazwyczaj w granicach czterdziestu. Po dojściu do określonego miejsca, na przykład przed bramą miejską, na przestępcę czekał już drabiniasty wóz, który odwoził go do docelowego miejsca odosobnienia.

Kolejnym rodzajem cielesnej kary hańbiącej, która funkcjonowała w rzeczywistości pruskiej I połowy XIX wieku, była kara wypalania na ciele przestępcy odpowiednich symboli. Wypalonymi symbolami były najczęściej wizerunek szubienicy lub też koła z literą „S”. Znamiona wypalano na policzkach skazańca, a następnie wcierano w nie proch, w ten sposób, aby wypalony wizerunek był dobrze widoczny. Tego typu kara stosowana była w przypadku osób, które dokonywały grupowych kradzieży lub rabunków oraz osób dopuszczających się powtórnie rozboju. Zazwyczaj kara ta stosowana była wraz z karą wieloletniego pobytu w twierdzy. Tak jak w przypadku chłosty, wypalania na policzkach przestępcy określonych symboli, dokonywał pomocnik kata pod nadzorem zwierzchnika.

¹ R. Kubus, *Lamanie kołem i inne kary śmierci na Pomorzu w I połowie XIX wieku*, [w:] *Gdańsk jest kluczem do wszystkiego. W poszukiwaniu „Genius Loci” miasta*, (red.) A. Siekierska i W. Borzestowski, Gdańsk 2019, s. 121-144; Idem, „Ku przestrodze”. Kary zasądzone wobec kobiet w I połowie XIX w. w świetle gdańskiego dziennika urzędowego, [w:] *Kobiety w Prusach Królewskich*, (red.) W. Zawadzki, Pelplin 2020, s. 381-397.

² GStA PK I. HA Rep. 77, Tit. 1208 Nr 1.

Niezwykłe ciekawym rodzajem kary, który miał formę pozacielesną, ale w założeniu charakter hańbiący, było zawieszenie imienia przestępcy bądź przybicie jego portretu do szubienicy. Taką karę stosowano w przypadku przestępców, których nie udało się schwytać. Chodzi tu przede wszystkim o osoby, które dopuściły się przestępstw finansowych oraz dezertarów. Symbolicznego przypięcia imienia bądź portretu do szubienicy, które kat i jego pomocnicy otrzymywali od władz cywilnych bądź wojskowych, dokonywał pachołek katowski pod nadzorem mistrza.

Wśród publicznych kar śmierci wykonywanych w I połowie XIX wieku na terenie Pomorza i szerzej Prus zaliczyć należy w pierwszej kolejności karę powieszenia. Najbardziej wprawni kaci, z dużym doświadczeniem, najczęściej wykonywali stryczek z dwoma węzłami umieszczonymi w odpowiednich miejscach. Było to robione w tym celu, aby w momencie spuszczenia skazańca w dół jego kręgi szyjne zostały błyskawicznie zmiażdżone, a on sam cierpiał jak najmniej. Rolą kata było w tym przypadku odpowiednie przygotowanie węzła oraz nadzorowanie kolejnych etapów egzekucji. Samą egzekucję natomiast wykonywało dwóch pachołków katowskich. Jeden wspinał się na dużą drabinę w celu podciągnięcia i umocowania sznura na górnej części szubienicy. Drugi z kolei prowadził skazańca po mniejszej drabinie na podest, na którym nakładał na jego szyję pętlę i z którego następnie ten spuszczał się w dół.

Kolejną, chyba najczęściej wykonywaną karą w I połowie XIX wieku na terenie Prus, była kara ścięcia. Do roku 1811 w tym celu używano miecza, natomiast od tego roku znacznie dogodniejszego narzędzia jakim był topór. Chodziło bowiem o to, że w związku z coraz mniejszą liczbą egzekucji poziom umiejętności katów obniżał się. Mieli oni problemy z szybkim odebraniem życia delikwentowi, a zdarzało się, że nieumiejętnie wykonana egzekucja mogła zakończyć się zabiciem przez rozsierdzony tłum samego *Mistrza Świątej Sprawiedliwości*. W związku z tym zastąpienie miecza toporem miało ułatwić katu precyzyjne skierowanie ostrza w kilkucentymetrową przestrzeń między podbródkiem, a ramionami. Każdy kat musiał posiadać swój własny topór, natomiast blok, na którym umieszczano ciało przestępcy dostarczany był przez władze zlecające egzekucje. Ciało skazańca kładziono na drewnianym bloku. Na nim umieszczano po prawej i lewej stronie żelazne pierścienie, przez które przeciągnięte były liny. Krępowały one ręce skazańca i dociskały jego tułów do bloku w ten sposób, ażeby nie mógł on wykonywać jakichkolwiek ruchów. Ponadto do bloku mocowano rzemień, w który wpinano głowę skazańca, celem jej unieruchomienia. Co ciekawe, w Prusach podejmowano próby wykorzystania do egzekucji - cieszącej się w rewolucyjnej Francji dużą popularnością - gilotyny, zakończone jednak niepowodzeniem. Historia gilotyny i jej potencjalnego stosowania na terenie Pomorza wymaga jednak osobnego tekstu. Temat ten na pewno w przyszłości zostanie przeze mnie podjęty.

Kolejnym rodzajem kary, która w teorii znajdowała się arsenał środków orzecznich sądów pruskich, była kara spalania na stosie. W tym przypadku kat nadzorował przygotowywanie stosu, dbając szczególnie o odpowiedni ciąg powietrza i łatwopalność materiałów, z których ten był wzniesiony. Do obowiązków kata należało także podłożenie ognia pod stos. Pachołek katowski z kolei musiał w trakcie kaźni rozrywać ciało skazańca hakami, dopóki nie zostało ono całkowicie spalone. Aby skrócić męki ofiary, niekiedy do jej piersi

przywiązywano woreczek z prochem, niezwykle rzadkie rozwiązanie w Prusach. Wydaje się, że częściej przed rozpaleniem stosu, przestępcy byli potajemnie duszeni. Należy zauważyć, że kara spalenia dotyczyła w połowie XIX stulecia wyłącznie podpalaczy, którzy poprzez celowe zaproszenie ognia doprowadzili do śmierci osób postronnych. Jeszcze kilkadziesiąt lat wcześniej kara ta stosowana była w przypadku chociażby czarownic czy sodomitów. Choć w XIX wieku palenie na stosie teoretycznie istniało w zapisach prawa karnego, to stosowanie tej formy karni było niezmiernie rzadkie. Ostatnia wykonana w ten sposób egzekucja w Prusach przeprowadzona została najprawdopodobniej w 1813 roku. Jednak jeszcze w połowie lat 30. XIX wieku taka kara w pierwszej instancji została wymierzona względem werblisty pułku piątego Johanna Friedricha Usha. W nocy z 17 na 18 marca 1835 roku wznicił on pożar na rogu gdańskich ulic Rajskiej i Bednarskiej, w wyniku czego zginęło dwóch żołnierzy. Ostatecznie jednak zasądzoną w pierwszej instancji karę zamieniono na ścięcie toporem, egzekucje zaś wykonano w Gdańsku 15 marca 1837³.

W końcu ostatnią i najbardziej spektakularną publiczną karą śmierci, wymierzaną nadal w I połowie XIX wieku - przynajmniej do lat 40 tegoż stulecia - było łamanie kołem. W tym przypadku istniały dwie możliwości. Łagodniejsza forma łamania od góry i znacznie bardziej brutalna forma łamania od dołu. W pierwszym przypadku kat rozpoczynał łamanie od trzech uderzeń drewnianym kołem w kark skazańca. Następnie, po przesunięciu ciała, kolejne trzy uderzenia wymierzane były w klatkę piersiową. Później z kolei kat uderzał kołem w prawe ramię, lewą nogę, lewe ramię i prawą nogę. Łamanie od dołu przebiegało w odwrotnej kolejności, tj. zaczynało od prawej nogi, a kończono na karku. Wówczas skazaniec cierpiał znacznie bardziej, nim ostatecznie został pozbawiony życia. Aby oszczędzić bólu skazańcom, w momencie unieruchomienia ciała, dwaj katowscy pachotkowie za pomocą cienkiego sznura dusili ofiarę. Co prawda w I połowie XIX wieku nie obowiązywał już zwyczaj wplatania osoby łamanej w koło i wystawiania jej na widok publiczny, jednak utrzymywał się i był zasądzany inny niezwykle brutalny zwyczaj, tj. wleczenie delikwenta na miejsce egzekucji na bydlęcej skórze. Wyglądało to tak, że na początku wiązano delikwenta przed jedną z bram miejskich. Następnie sadzano go na bydlęcej skórze, do której po obu stronach przytwierdzone były deski. Wówczas podczepiano go pod konia rakarza⁴, który ciągnął odwróconego plecami do miejsca egzekucji przestępcę. Zanim skazaniec dotarł na miejsce swojej karni z pewnością pozostawał już na wpół żywy.

Wypada zatem powiedzieć, że choć epoka oświecenia przynosi znaczne zmiany w zakresie wykonywania kar cielesnych i publicznych kar śmierci, to aż po połowę XIX stulecia tego rodzaju publiczne kary nadal istnieją w praktyce orzeczniczej sądów pruskich. Oczywiście ich wykonywanie ma miejsce na znacznie mniejszą skalę niż w poprzednich stuleciach. Ponadto pod koniec XVIII wieku znosi się niektóre rodzaje kar, takie jak choćby kary mutylacyjne⁵. Dopiero od połowy XIX wieku w Prusach zaprzestaje się wykonywania publicznych kar śmierci. Od tamtej pory egzekucje będą miały miejsce w salach

³ R. Kubus, *Łamanie kołem i inne kary śmierci na Pomorzu...*, s. 136-137.

⁴ Pomocnik kata. Rakarz zajmował się wyłapywaniem i zabijaniem bezpańskich psów. Skórował także zabite zwierzęta, a z ich skóry wyrabiał rękawiczki, którymi następnie kat mógł obdarowywać wysokich dygnitarzy miejskich.

⁵ Polegały na pozbawianiu skazanego poszczególnych części ciała, na przykład obcięciu kończyn, nosa, uszu, piersi, oślepieniu (wydarciu oczu), wyrwaniu języka.

więziennych, w asyście określonych władz, członków najbliższej rodziny skazańca, ewentualnie osób pokrzywdzonych. Do tego momentu kary nadal były niezmiernie surowymi, stanowiąc swoiste spektakle śmierci, przyciągające rzesze ludzi chcących zobaczyć ostatnie momenty życia osoby, która zdecydowała się zakłócić porządek prawno-społeczny. Warto o tym pamiętać, bowiem wiek XIX to nie tylko „wiek pary i żelaza”, „wiek wynalazków”, „piękny wiek” itd. To także czas, w którym myślenie magiczne nadal miesza się z racjonalizmem, zabobon z nauką, a brutalność pozostaje istotnym elementem i składnikiem życia codziennego wielu ludzi.

Patryk Pawłowski



Z „ŻELAZNYM” do końca

Działalność Żołnierzy 5 Wileńskiej Brygady Armii Krajowej majora Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”, która z Wileńszczyzny poprzez Białostoczczyznę, Warmię i Mazury trafiła na Pomorze, odbiła się szerokim echem także na ziemi sztumskiej i malborskiej. Dowódcą 5 szwadronu w okresie pomorskim był ppor. Zdzisław Badocha ps. „Żelazny”. 10 czerwca 1946 roku w Tulichach w czasie walki z siłami Urzędu Bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej „Żelazny” został ciężko ranny. Trafił dzięki pomocy Józefa Piątka, ps. „Marek”, administratora majątku Zielenice (obecnie Zielonki) do zarządzanego przez Ottomara Zielke gospodarstwa w Czerninie. Obaj należeli do siatki konspiracyjnej 5 Brygady.

Przez kilka lat starałem się dotrzeć do świadków, którzy mieli kontakt z ppor. „Żelaznym” w ostatnich dniach jego życia. W grudniu 2020 roku w książce Wiesława Jedlińskiego „Malbork. Dzieje miasta”, natrafiłem na nazwisko Hansen¹- lekarza, który pracował w Malborku przy ul. Raszyńskiej 6 (obecnie ul. Witosa 6). Adres, który udało mi się ustalić po opisie okolicy budynku w protokole przesłuchania Józefa Piątka ps. „Marek” z 1948 roku² był miejscem zamieszkania doktora Arwida Hansena. Po dotarciu do jego rodziny okazało się, że pozostawił wspomnienie ze swojego wyjazdu do rannego partyzanta „Żelaznego”.

W końcu lata lub w początkach jesieni 1946 roku [w pierwszej połowie czerwca 1946 roku - P.P.], w nocy, obudziła mnie Matka: 2 mężczyzn przybyło z pilną prośbą o udzielenie pomocy choremu. Nie podali żadnych dodatkowych informacji o chorym, ale z ich zachowania i mowy można było sądzić, że pomoc była pilna. Jednego z nich znałem z widzenia, mógł być radnym miasta, gdyż był znajomym kierownika PUR-u p. Buczka. Nie zdziwiłem się, kiedy powiedzieli, że do chorego będą jechać rowerem. Młodszy z mężczyzn (20-25 lat) będzie jechał rowerem



Ppor. Zdzisław Badocha, ps. Żelazny,
fot. Archiwum IPN

¹ Arwid Hansen, ur. 28.10.1917 r. w Helsinkach. W 1924 roku z rodziną trafia do Polski do majątku Nowicze, a w 1945 r. wraz z matką przyjeżdża do Malborka z Wilna. Lekarz, filozof, ergonom, działacz społeczny, autor książek z zakresu BHP. Bracia Erik oraz Rynar byli na terenie wileńszczyzny w Armii Krajowej. Zmarł 2.11.2002 r. w Warszawie.

² Protokół przesłuchania Józefa Piątka, AIPN OI, 8/1290.

około 100-200 m przodem. Spotkać się mamy na drodze wiodącej z Malborka do Sztumu. Szybko ubrałem się. Do walizeczki zabrałem materiały opatrunkowe, elastyczne bandaże, ampułki sulfatiazolu, zestaw strzykawkowy itp. Pożegnałem się z Matką, która była przeciwna nocnej wyprawie. Przez całkowicie puste ulice Malborka przejechałem szybko. Drogę do Sztumu znałem. Była to odległość ok. 15 km. Szosa asfaltowa, gładka jak stół, bez zakrętów. Tej pogodnej nocy szosa była dobrze widoczna. Było rześko i ciepło. Jadąc już szosą na Sztum, dopiero po dobrych paru minutach spostrzegłem mego „przewodnika”, był z przodu około 150-200 metrów. Mając na uwadze lepszą widoczność, zwłaszcza nocą, włożyłem na siebie biało-kremową marynarkę - jeszcze po moim ojcu lekarzu (często w niej jeździłem do chorych po Malborku i okolicach). Podczas jazdy co pewien czas traciłem wzrokowy kontakt z „przewodnikiem”. Ale po pewnym czasie znów go dostrzegłem. Tak jechałem około kilkadziesiąt minut. Dojeżdżając już do okolic Sztumu, w całkowitej dotychczas ciszy - słysząc jedynie szum opon i pracę łańcucha mego roweru - usłyszałem od przodu z początku ze strony prawej, a potem i lewej zupełnie inne, wyraźnie narastające dźwięki i głosy ludzkie. Nie przejechałem więcej niż 300 m, gdy wjechałem z prawej i lewej strony szosy, kilkadziesiąt metrów od niej, umundurowane oddziały wojska oraz czynności ustawiania karabinów w kozły, a także przyspieszone krzątanie żołnierzy. Spojrzałem w głąb szosy przede mną, „przewodnika” nie było - zniknął. Instynktownie mocniej nacisnąłem pedały. Rower zaczął jechać coraz szybciej i już wkrótce wszystko ucichło i znikło. Tylko szum opon i dyskretny chrobot łańcucha na przekładni jakby potwierdzał, że dobrze zrobiłem przyspieszając i nie zatrzymując się na szosie - zresztą nikt mnie nie zatrzymywał... Ale „przewodnika” znów na szosie nie było. Mijały minuty - jechałem dalej. Kiedy już przejechałem 2-3 km, zaniepokojony zwolniłem rozglądając się. I właśnie wtedy dostrzegłem odchodzącą w prawo od szosy drogę ginącą w lesie. Zsunąłem się z siodełka do przodu, podpierając się stopami o asfalt, i w głębi tej drogi z dużym trudem (bo było to już w lesie) dostrzegłem „przewodnika”. Stał na środku leśnej drogi - jakby mnie oczekiwał. Skręciłem w tę leśną drogę. Widoczność drogi i poboczy była teraz na tyle zła, że solidnie trzęsło, a gałązki co chwilę uderzały w twarz. Musiałem jechać wolno i środkiem drogi.

Po około 15-20 minutach jazdy tą drogą znalazłem się na obszernej polanie - podwórz. Poczulem zapach bydłowego nawozu. Była cisza. Zobaczyłem zarysy ogromnych czarnych dachów na tle jaśniejszego nieba. Były to dachy wielkich stodół lub innych pomieszczeń gospodarczych, tonących w ciemności. Dostrzegłem przy jednym z tych budynków sylwetki kilku osób. Podjechałem rowerem i szepem przedstawiłem się. Osoby te odeszły na bok i porozumiewały się między sobą. Po chwili jedna z nich o potężnej budowie wskazała mi ręką drogę. Wziąłem walizczkę lekarską, a rower pozostawiłem opiece tych osób. Po paru minutach zjawiała się młoda, szczupła kobieta bez nakrycia głowy w wieku 20-30 lat, trzymająca w ręku latarnię naftową. Poprowadziła mnie do jednego z budynków. Wchodziliśmy i schodziliśmy po różnych schodach wiele razy - wszędzie pachniało sianem lub słomą. W pomieszczeniu panowała kompletna cisza, a wokół światła naftowej latarni - mrok. Wreszcie na którejś kondygnacji budynku dostrzegłem słabe światło. Tam skierowała się moja przewodniczka i weszliśmy do małego pomieszczenia. Na stosunkowo wąskiej sofie - tapczanie, oparty plecami o ścianę z desek w pozycji półleżącej ubrany w mundur oficera WP i w długich butach patrzył na nas młody ok. 30-letni, przystojny mężczyzna. Mundur był całkowicie rozpięty, widać było białą koszulę nieco poplamioną świeżą krwią... Mężczyzna był w dobrym humorze - dowcipkował, pomyślałem, że „nadrabia miną”,

młoda kobieta stała tuż obok z latarnią. Po przywitaniu pochylilem się nad rannym i odchyliłem mundur oraz koszulę zobaczyłem otwór postrzałowy w okolicy podobojczykowej lewej z wylotem w okolicy nadłopatkowej lewej. Rany zewnętrznie nie krwawiły intensywnie, sączyły. Nie stwierdziłem naruszenia kości kulą (prawdopodobnie karabinową). Ruchliwość kończyny górnej lewej była ewidentnie ograniczona i bolesna. Ostuchowo w płucu lewym był odgłos pęcherzykowy, normalny. Na piersi rannego na łańcuszku u szyi zwisał wypukły metalowy ryngraf z wizerunkiem Matki Boskiej Ostrobramskiej. Opatrunki uciskowe założyłem na obie rany. Dodatkowo obandażowałem elastycznym bandażem staw barkowy lewy, unieruchamiając ten staw. Mając wysterylizowaną strzykawkę podałem domięśniowo 5 cm^3 5% sulfatiazolu. Nie miałem surowicy przeciwtężcowej. Zaleciłem pozostawanie w łóżku i leki.



Arwid Hansen stoi drugi od lewej
(w jasnej marynarce). Malbork 1.07.1946 r.,
fot. zbioru rodziny Hansen



Kamienica w Malborku przy ul. Witosza 6 (dawniej Raszyńska 6), w której mieszkał i pracował Arwid Hansen, 2021 r.,
fot. P. Pawłowski

Kiedy rowerem wyjeżdżałem z leśnej drogi na szosę do Malborka już dniało. Coraz głośniejszy piąty koguty, żegnały mnie z oddali, aż ucichły. Wojsko, które widziałem nocą po obu stronach szosy sztumskiej, znikło. Miałem pełną świadomość hipokratesowej przysięgi: pomóc i milczeć.³

Wiosną 2014 roku w Sadłukach niedaleko Mikołajek Pomorskich spotkałem się z Haliną Reiter z d. Zielke⁴, która przez dwa tygodnie opiekowała się rannym żołnierzem 5 Brygady. *Przychodziłam do „Żelaznego” do pokoju z jedzeniem, opiekowałam się nim. Widziałam, że leży pistolet oraz skórzana walizka. W Sztumie byłam z receptą w nieistniejącej już aptece. Prowadząca aptekę przyglądała się jej, gdyż nie kojarzyła nazwiska lekarza, który ją wystawił⁵. Feralnego dnia 28.06.1946 roku Halina Reiter obchodziła swoje 21 urodziny, była rówieśnicą „Żelaznego”. Po jego śmierci została aresztowana przez Urząd Bezpieczeństwa wraz ze swoim wujem Ottomarem Zielke oraz jedną z pracownic majątku Czernin. Na samochodzie funkcjonariusze umieścili również drewnianą skrzynię z ciałem Zdzisława Badochy. Tak wspominała moment aresztowania:*

Ustawili nas pod ścianą pałacu, następnie wzięli nas na samochód. Zatrzymaliśmy się koło cmentarza, ci żołnierze wzięli go i za bramę go postawili⁶ - relacjonowała Halina Reiter.

³ Relacja ze zbiorów rodziny Hansen. W zbiorach autora.

⁴ Halina Reiter z d. Zielke, ur. 28.06.1925 r. w Łapalicach. 5.03.1945 r. jej ojca zastrzelili Rosjanie. Trafiła do Czernina, gdzie mieszkała ze swoim wujem Ottomarem Zielke. Aresztowana w dniu śmierci ppor. „Żelaznego”. Osadzona gdańskim więzieniu przy ul. Kurkowej, który opuściła 3.10.1946 roku. Obecnie mieszka w Sztumie.

⁵ Relacja Haliny Reiter z d. Zielke z 04.2014 r. W zbiorach autora.

⁶ Tamże.



Na zdjęciu pierwsza z lewej Halina Reiter z d. Zielke. Koźmicko lata 40. XX w, fot. zbiory H. Reiter



Na zdjęciu autor z Haliną Reiter, Sztum 19.11.2019 r.

Latem 2014 roku pojechałem do Gdańska na spotkanie ze Stanisławem Szczykno-Suchodolskim, ps. „Stach”⁷. Jego również zatrzymano w Czerninie. Będąc łącznikiem 5 Brygady Wileńskiej, 28 czerwca 1946 roku przyjechał końmi wraz z Józefem Piątkiem, aby zabrać ppor. „Żelaznego” po rekonwalescencji do oddziału. *Schodziliśmy [z „Żelaznym” - P.P.] po schodach w stronę lasu. Pamiętam wybuch granatu, do dziś nie słyszę na to jedno ucho*⁸ - wspominał „Stach” tragiczne wydarzenia.



Stanisław Szczykno-Suchodolski lata 50.,
 fot. zbiory Heleny Suchodolskiej

⁷ Stanisław Szczykno-Suchodolski, ps. „Stach” - ur. 1.12.1919 r. w Nowym Jorku. Żołnierz AK na Nowogródzczyźnie, w 1945 r. dołączył do 5 Brygady Wileńskiej, jeden z głównych łączników tej Brygady. Aresztowany 28.06.1946 r. w Czerninie. Skazany na 6 lat, zwolniony po 3 latach z więzienia. Przez wiele lat utrzymywał kontakt byłymi żołnierzami 5 Brygady, m.in. z Zygmuntem Błażejewiczem zamieszkałym w Stanach Zjednoczonych oraz sanitariuszką 5 Brygady Lidią Lwow-Eberle. Zmarł 30.08.2018 r. w Gdańsku.

⁸ Relacja Stanisława Szczykno-Suchodolskiego z 07.2014 r. W zbiorach autora.

Leon Jaworski, ówczesny komendant posterunku Milicji Obywatelskiej w Mikołajkach Pomorskich⁹, biorący udział w obławie w Czerninie, z którym udało mi się porozmawiać także w 2014 roku, tak wspomina moment śmierci Zdzisława Badochy:

- *Ten milicjant, sieknął granatem, rzucił... ja byłem w dalszej odległości... ten młody mówi, że granatem zabił... no to teraz mówi, zabieramy więcej milicjantów i do UB, bo takie były przykazy...*¹⁰ Funkcjonariuszem MO, który zabił ppor. Badochę, był Bolesław Łagocki.



Zdjęcie pośmiertne ppor. „Żelaznego” wykonane przez funkcjonariuszy UB, fot. Archiwum IPN

W Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej znajdują się zdjęcia pośmiertne por. Zdzisława Badochy wykonane na tle budynku Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Sztumie. Z pośrednich relacji wynika, iż również teren przylegający do dawnego UB może być potencjalnym miejscem ukrycia zwłok „Żelaznego”. Od wielu lat zespół pracowników IPN i wolontariuszy pod kierunkiem prof. Krzysztofa Szważyka poszukuje szczątków ppor. Zdzisława Badochy. Prace odbyły się m.in. na terenie dawnego ogrodu należącego wówczas do Urzędu Bezpieczeństwa. Nie przyniosły jednak spodziewanych rezultatów.

⁹ Akta osobowe Leona Jaworskiego, AIPN Gd 067/440.

¹⁰ Relacja Leona Jaworskiego z 2014 r. w zbiorach autora.

Andrzej Lubiński

Z historii SZTUMSKIEGO SĄDU (1945-1975)

Sąd Grodzki w Sztumie został powołany do życia decyzją prezesa Sądu Apelacyjnego w Toruniu 2 lipca 1945 roku. Jego kierownikiem został emerytowany sędzia śledczy z Nowego Sącza Franciszek Tunikowski. Sprawozdanie o przejęciu agend niemieckiego sądu zostało złożone Ministerstwu Sprawiedliwości w Warszawie 10 lipca a prezesowi Sądu Apelacyjnego w Toruniu 21 lipca 1945 roku. Sędzia - kierownik działał na mocy dekretu wydanego przez Ministra Sprawiedliwości.

Po kilku tygodniach do Tunikowskiego dołączył Lucjan Tomaszewski, który przed wojną pracował w Sądzie Grodzkim w Gdyni. Po zakończeniu działań wojennych powrócił do tego miasta z Saksonii, dokąd został wywieziony na roboty przymusowe i rozpoczął pracę w Sądzie Apelacyjnym w Gdańsku. Na początku sierpnia 1945 roku otrzymał propozycję stworzenia administracji sądowej w Sztumie. Do tego miasta przybył 15 sierpnia 1945 roku, by objąć stanowisko kierownika sekretariatu Sądu Grodzkiego. Podróż z rodziną do Sztumu była skomplikowana i trwała kilka dni. Najpierw pociągiem do Tczewa, promem przez Wisłę na drugi brzeg, nocleg i oczekiwanie transportu do Malborka. Furman



Pracownicy Sądu w Sztumie w 1947 r. - od lewej Lucjan Tomaszewski, Franciszek Tunikowski,

zażyczył sobie solidnej zapłaty za podwiezienie: parę butów i koc. Z Malborka do Sztumu szedł z żoną i dzieckiem już piechotą. Sędzia Franciszek Tunikowski sprezentował przybyłemu worek mąki i powiedział: - Resztę ma pan w ogrodzie... Jest tam trochę warzyw i drzewa obwieszane śliwkami. Przez kilkanaście dni jedyną strawą były zupy śliwkowe, kompoty, knedle.

Pierwsze tygodnie pracy sądu polegały na doprowadzeniu do porządku budynku administracyjnego, gdzie po różnych pomieszczeniach wały się księgi wieczyste i ich częściowo uszkodzone akta. Zabezpieczeniu ksiąg poświęcono wiele uwagi, ponieważ stanowiły one dokumentację właścicieli nieruchomości obywateli (autochtonów) pochodzenia polskiego. Dzięki znajomości języka niemieckiego przez sędziego Franciszka Tunikowskiego i kierownika sekretariatu Lucjana Tomaszewskiego ich uporządkowanie nie nastęczało trudności. Do pomocy został zaangażowany były sekretarz niemieckiego sądu w Sztumie Nikolaus. We wrześniu 1945 roku w ramach przesiedlenia wyjechał do Niemiec.

Od połowy sierpnia podjął pracę jako woźny sądowy Jan Szlachcikowski z Czerska. Początki pracy były trudne, wiązało się to z trudnościami finansowymi, brakiem papieru, druków sądowych, materiałów pisarskich oraz kłopoty ze zdobyciem żywności dla pracującego personelu w sądzie. Poważnym problemem były kłopoty z komunikacją z tzw. Polską Centralną, gdyż tory kolejowe na linii Malbork – Sztum - Kwidzyn były zerwane. Po pobory dla pracowników i pieniądze na organizację sądu należało jechać do Ministerstwa Sprawiedliwości w Warszawie. Podróż do stolicy trwała prawie tydzień, biorąc pod uwagę dojazd podwodą furmanką do Wisły (prom w Janowie) lub Kwidzyna i następnie oczekiwanie na okazyjny pociąg do Warszawy, przeważnie z wagonami towarowymi. Jedną z takich podróży w listopadzie 1945 roku odbył sędzia Franciszek Tunikowski na trasie Kwidzyn - Toruń - Warszawa. Stracił podczas niej akta osobowe kierownika sekretariatu sądu Lucjana Tomaszewskiego oraz teczkę do akt sądowych. Jeżeli weźmie się pod uwagę, że w okresie tym grasowali po stacjach kolejowych szabrownicy itp. indywidualnie, to stwierdzić trzeba, że podróż ze Sztumu do Warszawy była niebezpieczna.

Nowa polska administracja sądowa w Sztumie przejęła, poza budynkiem administracyjnym przy ulicy Sądowej 16 oraz mieszkalnym przy ulicy Jagiełły 12, znajdujący się w bezpośrednim sąsiedztwie sądu oraz wypalony budynek sądu i dom mieszkalny w Dzierzgoniu. Z uwagi na złe warunki komunikacyjne Sąd Grodzki w Sztumie dla wygody ludności tamtego terenu odbywał w latach 1945-1947 wyroki sądowe w prowizorycznej salce Rady Miejskiej w Dzierzgoniu. Podróż do tego miasta sędziego Franciszka Tunikowskiego i protokolanta odbywała się furmanką Ligi Obrony Kraju lub dwukołówką konną, którą udostępniał piekarsz Szczygieł.

15 stycznia 1946 roku do administracji sądu przyjęto Alinę Malewską. Wcześniej dostała skierowanie do pracy w Urzędzie Bezpieczeństwa w Sztumie. Idąc ze skierowaniem ulicą spotkała znajomego i pokazała mu to pismo. On po jego przeczytaniu powiedział, że UBP to takie polskie gestapo. Ona zawróciła do urzędu, skąd dostała skierowanie i powiedziała, że nie chce tam pracować. Dostała skierowanie do Sądu Grodzkiego.

Przez pierwsze trzy miesiące nie otrzymała wynagrodzenia, ponieważ zagubiła się podczas podróży służbowej jejteczka personalna. Razem z sędzią Franciszkiem Tunikowskim,

kierownikiem sekretariatu Lucjanem Tomaszewskim, zamieszkała w budynku przy ulicy Jagiełły 12. Miała dwa pokoje i kuchnię z widokiem na zamek.

Jesienią 1946 roku przyjęty został asesor sądowy Witold Husar i prowadził sprawy karne. Do tego czasu wszystkie sprawy spoczywały na Franciszku Tunikowskim, który był jednocześnie sędzią śledczym. Lucjan Tomaszewski obok kierowania sekretariatem sądu niekiedy pełnił obowiązki komornika sądowego. Praca była niebezpieczna. Musiał eksmitować jakiegoś żołnierza, który bezprawnie zagarnął gospodarstwo. Nielegalny posiadacz wyszedł na ganek z bronią w ręku. Eksmisja udała się dopiero za drugim razem, gdy przybył z uzbrojonym milicjantem.

Pierwszym interesantem w sądzie był Jan Rujner, młynarz z Postolina, mówiący poprawnie po polsku, Zgłosił się do sądu po wyciąg z księgi wieczystej prawa własności do młyna. Pierwszym podejrzanym doprowadzonym przez organa milicji był inspektor Urzędu Likwidacyjnego w Sztumie, dysponujący niemieckim mieniem ruchomym. Ze względu na rozmiar jego nadużyć sędzia śledczy zastosował areszt.

W latach 1945-1947 Sąd Grodzki rozstrzygał w sprawach o przywrócenie własności, w tym wydanie inwentarza żywego lub martwego osobom, którym żołnierze armii radzieckiej lub polskiej inwentarz ten zabrali i pozostawili następnie u sąsiada lub w innej wsi. Wpływało wiele pozwów o ich wydanie, należało potem w drodze egzekucji wykonywać wyroki sądu.

Poważne sprawy na tle politycznym, np. współpraca z okupantem, rozstrzygał Sąd Okręgowy w Elblągu. Jego pracownicy przybywali co miesiąc na sesje wyjazdowe do Sztumu z uwagi to, że oskarżeni przebywali w Centralnym Więzieniu w Sztumie. Sędzia Franciszek Tunikowski uzupełniał komplety sędzące, a kierownik sekretariatu Tomaszewski z braku adwokata w Sztumie w niektórych sprawach był mianowany obrońcą z urzędu. Na rozprawy do Sztumu z Elbląga przybywali sędziowie - Łaparewicz, Bułhak, Wnuczek, prokuratorzy - Bolesław Kosel, Eugeniusz Firmaniuk, Różańska.

17 czerwca 1947 przyjęty został do pracy starszy rejent Paweł Neds z Torunia, prowadził sekcję karną i księgową. 19 lipca 1947 roku Leokadia Prawdzik przybyła z Augustowa, prowadziła sekcję cywilną, a następnie sprawy związane z księgowością, wcześniej przez okres roku prowadził je Karol Myszka. Stan personalny sądu liczył 2 sędziów, 7 pracowników administracyjnych, woźny oraz sprzątaczką Gertruda Karczevska.

Do Sądu Grodzkiego w roku 1947 r. zwieziono kilka tysięcy ksiąg wtóropisów Stanu Cywilnego obejmujących urodzenia, śluby, zgony z całego powiatu sztumskiego. Przywieziono je z Sądu Powiatowego Kościerzynie, dokąd Niemcy zawieźli je z zamiarem ich wywiezienia do Niemiec. Na skutek szybko posuwającego się frontu wojsk radzieckich i polskich nie zdążyli tego zrealizować.

14 grudnia 1947 roku odbyła się uroczystość przekazania rolnikom aktów nadania gospodarstw. Wręczał je osobiście starosta sztumski Józef Grodnicki i tak wzruszająco przemówił do zgromadzonych (był aktorem z zawodu), że wszyscy zebrani płakali. Sądowi Grodzkiemu przybył nowy obowiązek uporządkowanie i wpisanie tych ksiąg stanu cywilnego oraz udzielania zgłaszającej się ludności odpisów z tychże ksiąg, gdyż pierworzory

uległy zaginięciu w wyniku działań wojennych. Znajdowały się one w przechowaniu sądu do listopada 1949 roku.

Pierwsza wizytacja Sądu Grodzkiego odbyła się 10 listopada 1947 r. prowadzona przez prezesa Sądu Okręgowego Stanisława Różańskiego z Elbląga, druga uzupełniająca 9 lipca 1948 r. Agendy polskiego Sądu Grodzkiego znacznie wzrosły i utworzono dwie sekcje: cywilną i karną oraz wieczysto-skarbową.

Pierwszy remont gmachu sądu rozpoczął się w roku 1949 przez odmalowanie pomieszczeń, korytarzy, okien, postawieniu kilku pieców. Poprzedni z roku 1945 dotyczył ogólnego uporządkowania pomieszczeń sądowych i drobnego remontu dachu i kilku drzwi.

Sędzia Franciszek Tunikowski od roku 1946 pełnił obowiązki notariusza, a w tych sprawach pomagała mu Alina Malewska. Wzrosła ilość spraw w celu odtworzenia aktów stanu cywilnego z liczby 800 w roku 1948 r. do 1300 w roku następnym. W celu sprawnego wykonywania tych spraw sędziowie i protokolanci wyjeżdżali do poszczególnych gromad i na miejscu spisywali protokoły i wydawali postanowienia o odtworzeniu aktów stanu cywilnego. Liczba załatwianych spraw na takim posiedzeniu dochodziła od 40 - 60.

Przejęciowo w latach 1948-1949 zatrudnieni byli asesor Wanda Hrynkiewicz i rejestratorzy Jan Schmidt i Brudowski. Sędziemu Franciszkowi Tunikowskiemu podlegały sprawy cywilne. Sprawy karne prowadził Witold Husar, w sekcji karnej pracował starszy rejent Paweł Neds, który miał do pomocy Jana Schmidta. Sekcję ksiąg wieczystych prowadził Lucjan Tomaszewski oraz wszystkie sprawy związane z gospodarką sądu, administrację prowadziła Alina Malewska i Leokadia (Prawdzik) Żółczyńska.

We wrześniu 1950 roku nastąpiła reorganizacja sądów powszechnych. Sąd Grodzki w Sztumie został przekształcony na Sąd Powiatowy w Sztumie. Franciszek Tunikowski dnia 21 września 1950 roku zdał agendy sądu prezesowi Stefanowi Gburkowskiemu z Grudziądza, ponieważ przeszedł na emeryturę. Mama sędziego Gburkowskiego pochodząca ze Sztumu aktywnie działała w ruchu polskim po I wojnie i w czasie plebiscytu. Przez parę miesięcy prezes sądu był jedynym sędzią, gdyż sędzia Witold Husar przeniesiony został do sądu w Kwidzynie. Dopiero 2 stycznia 1951 roku podjął pracę sędzia Stanisław Bęski, który będzie pracował do 31 maja 1957 roku, przejmując potem agendy Państwowego Biura Notarialnego w Sztumie.

Na przejściowe okresy do Sądu Powiatowego w Sztumie przydzielano asesorów - Konstantego Wieckiego (3 miesiące 1951 roku) i Łucję Ziółkowską (7 miesięcy 1952 roku). Od maja 1952 do lutego 1953 urzędował sędzia Karol Aubiewicz. Od 1 czerwca pracownicą administracyjną została Urszula Ostrowska z przydziałem do sekcji karnej. Nowym woźnym został w styczniu 1953 r. Władysław Stolp, a sprzątaczką Waleria Stolp.

Agendy Sądu Powiatowego od czasu reorganizacji znacznie wzrosły ze względu na rozszerzoną kompetencję sądów powiatowych. W skali wojewódzkiej w latach 1950-1953 sąd w Sztumie zajmował miejsce w pierwszej piątce sądów powszechnych.

1 września 1953 r. przeniesiony został do Sądu Wojewódzkiego w Gdańsku prezes Stefan Gburkowski, jego miejsce zajął dotychczasowy asesor sądowy Franciszek Zieńczuk.

W międzyczasie odszedł do innego sądu Karol Aubiewicz. W jego miejsce przybył asesor Edmund Gałka.

W czerwcu 1955 nastąpiła zmiana w składzie sędziów. Sprawy cywilne prowadził Zygmunt Borzych, a karne prezes Ryszard Górecki. W ogólnej ocenie Sąd Powiatowy należał w latach 1955-1961 do czołowych sądów (2-4 miejsce) w skali wojewódzkiej. Przyjęto do pracy w administracji sadowej Anastazję Mańkowską i Marię Mowińską. Ruch kadrowy pracowników był dość duży. Niektórzy pracownicy po okresie przeszkolenia zwalniali się do innych instytucji z uwagi na złe warunki płacy w sądzie.

1 lipca 1955 r. rozpoczął urzędowanie nowy sędzia Edmund Waraczewski. Do pracy w Sztumie dojeżdżał z Kwidzyna. Przez okres dwóch lat w Sztumie pracowało 3 sędziów. Przyczyniło się to do lepszej pracy sądu. W miejsce odchodzącego sędziego Zygmunta Borzycha, przybył 1 października 1959 r. sędzia Napoleon Żylis przydzielony do spraw karnych. Na skutek zarządzenia prezesa sądu wojewódzkiego przeniesiony został w charakterze prezesa do Sądu Powiatowego w Starogardzie Gdańskim Ryszard Górecki. Wiceprezesem został Edmund Waraczewski. Sąd znowu miał obsadę dwuosobową.

Kadra pracowników administracyjnych w latach 1954-1961 to: Lucjan Tomaszewski, Leokadia Żółczyńska, Urszula Osmańska, Anastazja Mańkowska i Maria Kaszubowska.

1 stycznia 1964 r. nastąpiła zmiana na stanowisku prezesa - Napoleon Żylis przeniesiony został do Sądu Powiatowego Gdańsk, a jego miejsce zajął Antoni Nowaczyk. Sąd Powiatowy osiągnął znowu jedno z czołowych miejsc w województwie Gdańskim. 1 stycznia 1965 r. (praktycznie 1 marca) przekazane zostały z Sądu Powiatowego w Sztumie do Powiatowego Biura Notarialnego w Kwidzynie agendy wieczysto księgowe. Fakt ten umożliwił kierownictwu Sądu lepszy podział czynności tak sędziów, jak i pracowników administracyjnych. Skutkiem tego było, że sąd w roku 1965 osiągnął maksymalne wyniki swej pracy.

W okresie istnienia polskiego sądu stan cywilny zmieniły: Alina Malewska na Giembicka, Urszula Ostrowska na Osmańska, Maria Mowińska na Kaszubowska, Gertruda Ohl na Hoffmann, Teresa Jakusz na Rudoman, Danuta Kępińska na Obroślińska. Od roku 1945 do 1966 zatrudnionych było ogółem 71 pracowników, w tym 17 sędziów lub asesorów, 3 komorników sądowych, 40 pracowników administracyjnych, 7 praktykantów (studentów), 4 sprzątaczkę. Największą płynność kadr wykazują pracownicy administracyjni, następnie sędziowie i asesory. Najdłuższy staż w Sądzie w Sztumie biorąc pod uwagę dzień 31 grudnia 1965 r. w administracji mieli: 21 lat kierownik sekretariatu Lucjan Tomaszewski, 19 lat główny księgowy Leokadia Żółczyńska, 11 lat starszy referent Urszula Osmańska, 11 lat sekretarz Anastazja Mańkowska, 8 lat sekretarz Maria Kaszubowska oraz 7 lat sędzia Edmund Waraczewski, 12 lat woźny Władysław Stolp, 8 lat komornik sądowy Wincenty Chodakowski.

W miejsce odchodzących pracowników administracyjnych przyjęto nowych: Krystynę Łaszewską, Danutę Kępińską i Zbigniewa Branacha. Byli to pracownicy po maturze. Na starszych pracownikach ciążył obowiązek szkolenia młodych. Poza szkoleniem praktycznym w poszczególnych sekcjach prowadzono szkolenie teoretyczne z zakresu prawa cywilnego, karnego, regulaminu instrukcji sądowej oraz przedmiotów ustrojowych. Natężenie szkolenia narastało w okresie poprzedzającym egzamin sekretarski.

Zbigniew Branach został zatrudniony 3 stycznia 1966 r. przez sędziego Antoniego Nowaczyka na stanowisko pomocnika sekretarza sądowego z wynagrodzeniem 750 zł w wydziale cywilnym. Opiekowała się młodymi pracownikami Maria Kaszubowska. Po kilkutygodniowym przeszkoleniu powierzono mu protokołowanie na sali rozpraw. Szybko opanował sztukę pisania na maszynie. Sędzia Edward Waraczewski był zadowolony z tego, że nadążał z biegiem wydarzeń na sali, nie musi dwukrotnie dyktować tego, co należy zapisać na maszynie. Nie popełniał błędów ortograficznych. Te pochwały miały dla niego również wymiar finansowy.

Oprócz pracy w sądzie pomagał adwokatowi Andrzejowi Sztremerowi, w jego biurze przyjmował interesantów. Przygotowywał proste podania sądowe i pozwy. Grywał z adwokatem w tenisa na nieistniejącym korcie przy ulicy Mickiewicza. 30 września 1967 roku zakończył pracę i wyjechał do Torunia, gdzie rozpoczął studia. Potem zajął się dziennikarstwem.

Wiosną 1966 r. dokonano w sądzie remontu dachu oraz wymieniono na pierwszym piętrze 9 okien od strony podwórza.

1 stycznia 1968 roku nastąpiła zmiana na stanowisku prezesa sądu Antoni Nowaczyk przeniesiony został do Gdańska. Nowym prezesem został Krzysztof Zieniuk przybyły z Malborka. Według Biuletynu Prezesa Sądu Wojewódzkiego Sąd w Sztumie za rok 1967 utrzymał w skali wojewódzkiej pierwsze miejsce wraz z sądem powiatowym w Kwidzynie.

5 czerwca 1971 r. wizytowali sąd powiatowy wiceminister Sprawiedliwości Rusek i prezes sądu wojewódzkiego w Gdańsku Józef Walczyński. Przedmiotem wizytacji były sprawy zabudowań sądowych. Za pierwsze półrocze 1971 roku sąd w Sztumie zajął w skali województwa pierwsze miejsce. Urzędujący w tutejszym sądzie asesor Jerzy Ciszewski przeniesiony został do sądu powiatowego w Pucku. We wrześniu i październiku niektórzy pracownicy sądu zostali zaangażowani w akcję wyborczą ławników sądowych na kadencję 1972-1975. Zebrania wyborcze w zakładach pracy obsługiwal prezes Krzysztof Zieniuk, wiceprezes Edmund Waraczewski, asesor Andrzej Suchy, Bolesław Senyszyn, aplikant sądowy Teresa Thiel-Kubacka oraz kierownik sądu Lucjan Tomaszewski. Jednocześnie prezes sądu opracował wnioski o odznaczenie 8 ławników odznaką Zasłużony Ziemi Gdańskiej. 28 października 1971 r. miała miejsce sesja w sprawie wyboru ławników. Referat wprowadzający na temat działalności ławników i Rady Ławniczej w latach 1968-1971 wygłosił Krzysztof Zieniuk. Do wyróżniających się ławników należą Stefan Coghena, Kazimierz Kiełpiński i Alfred Przełiński.

27 maja 1971 roku pracownicy sądowi pożegnali oficjalnie przeniesionego do sądu powiatowego w Gdyni Krzysztofa Zieniuka. Wymieniony piastował urząd prezesa od 1 stycznia 1968 r. i wykazał dużą energię, pracowitość oraz dobre współzycie z wszystkimi bez wyjątku pracownikami sądu powiatowego, którzy z żalem go pożegnali. W czasie jego kadencji sąd wykazał bardzo dobre wyniki pracy. W związku z długotrwałą chorobą asesora Bolesława Senyszyna rozprawy prowadziło 2 sędziów: wiceprezes Edmund Waraczewski - sprawy cywilne, asesor sądowy Andrzej Suchy karne. W listopadzie 1971 roku w czasie wizytacji sądu przez prezesa Józefa Walczyńskiego powierzono pełnienie obowiązków prezesa sądu w Sztumie Edmundowi Waraczewskiemu.

10 czerwca 1972 roku przeniesiony został do sądu w Pucku Bolesław Senyszyn, w jego miejsce przydzielony został sędzia Marian Zientała. Asesor sądowy Andrzej Suchy 19 lutego 1972 roku przydzielony został do sądu powiatowego w Kwidzynie. Pracownicy sądowi założyli własne koło Miłośników Ziemi Sztumskiej, przewodniczącym jest Lucjan Tomaszewski.

W roku 1973 dokonano remontu uszkodzonych przewodów wodociągowo-kanalizacyjnych na dziedzińcu sądowym i dokonano naprawy urządzeń sanitarnych w budynku administracyjnym. Uzupełniono sprzęt przeciwpożarowy, nowe gaśnice, worki ewakuacyjne. Wyznaczono woźnego Stanisława Czaję na stanowisko referenta przeciwpożarowego.

Obchodzony Rok Kopernikowski miał także swoje sztumskie akcenty. Mikołaj Kopernik przebywał osobiście w dniu 18 stycznia 1512 roku na zamku w Sztumie. Z tej okazji Komitet Powiatowy Obchodów Roku Kopernikowskiego w Sztumie, którego przewodniczącym jest Lucjan Tomaszewski zorganizował i urządził w Muzeum Regionalnym Powiśla mieszczącym się także w zabudowaniach dawnego zamku „Wystawę Kopernikowską”. Na dziedzińcu sądu odbyło się zgromadzenie miejscowego społeczeństwa i grup młodzieżowych z okazji przyjazdu do Sztumu historycznego dyliżansu pocztowego odbywającego swój przejazd zaprzęgiem konnym na szlaku Kopernikowskim Olsztyn Kraków.

W ramach czynu społecznego pracownicy sądu pracowali nad uporządkowaniem odcinka budującego się bulwaru nad jeziorem. W czynie uczestniczyli Edmund Waraczewski, Marian Zientała, komornik Wincenty Chodakowski, Szczepański - pracownik komorniczy, prokuratorzy Edwin Grochola, Edward Leciejewski, Widowski oraz woźny Stanisław Czaja.

Pisząc o pracy sądu, trudno pominąć prokuraturę. Pierwszym prokuratorem, którego udało się ustalić a pracował w Sztumie w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku był Tadeusz Gawroński. Edwin Grochala pracę w Sztumie rozpoczął w roku 1962, był zastępcą prokuratora Kazimierza Nowackiego. Ten w roku 1972 r. zrezygnował z pracy i zatrudnił się jako radca prawny w Komendzie Wojewódzkiej w Elblągu, skąd później wyjechał do Niemiec Zachodnich i osiadł w Duisburgu. Prokurator Edwin Grochola od 1972 roku pełnił funkcję pierwszego prokuratora w Sztumie, dojeżdżając z Malborka. Po likwidacji sądu i prokuratury przez dwa lata pracował w Prokuraturze Okręgowej w Elblągu, następnie został szefem prokuratury w Malborku.

Rok 1975 stał się rokiem wielkich przemian na szczeblu całego kraju. Utworzono 49 województw, przy równoczesnym zniesieniu powiatów, które podzielone zostały na miasta, miasta i gminy, gminy. W związku z tym podziałem nastąpiła także likwidacja szeregu sądów powiatowych w Polsce i utworzenie sądów rejonowych. Likwidacji uległ także z dniem 15 czerwca 1975 roku Sąd Powiatowy w Sztumie, którego agendy przejęte zostały przez nowo powstałe sądy rejonowe w Malborku i Kwidzynie. Sąd Rejonowy Kwidzyn przejął gminę Ryjewo. Pozostałe gminy i miasto Sztum przeszły do Malborka. Sąd Wojewódzki utworzony został w Elblągu. Całkowita likwidacja sądu powiatowego w Sztumie ukończona została z końcem czerwca 1975 r. Komisję likwidacyjną stanowili: Edmund Waraczewski, Lucjan Tomaszewski, Leokadia Żółczyńska.

W opracowaniu wykorzystano: Kronikę Sądu w Sztumie, rozmowy z byłymi pracownikami administracyjnymi sądu - Aliną Giembicką i Zbigniewem Branachem. Informację o prokuratorach uzyskałem od Andrzeja Grocholi, którego ojciec był prokuratorem w Sztumie oraz Hildegardy Dziendziela, pracownicy administracji sztumskiej prokuratury.

O B W I E S Z C Z E N I E

Dnia 14 grudnia 1947 r. odbędzie się w Sztumie uroczyste wręczenie osadnikom powiatu sztumskiego

AKTÓW SĄDOWYCH

o dokonanych przewłaszczeniach w księgach gruntowych na przydzielane im gospodarstwa rolne.

Dzień ten będzie symbolicznym podkreśleniem objęcia Ziemi Odzyskanych w wieczyste posiadanie przez chłopą polskiego jego warsztatu pracy, jak tego dokonał już robotnik i technik polski, uruchamiając odzyskane porty, fabryki i kopalnie.

Uroczystość wręczenia osadnikom aktów przywłaszczeniowych będzie również zadokumentowaniem, że RZĄD DEMOKRATYCZNEJ POLSKI naprawił wiekową krzywdę chłopą polskiego, czyniąc go prawnym dziedzicem ziemi polskiej.

Program uroczystości:

- | | |
|----------------|---|
| 1) godz. 11,30 | Zbiórka w sali Starostwa osadników mających otrzymać akta oraz przedstawicieli władz i organizacji społecznych. |
| 2) „ 12,00 | Zagajenie przez ob. Starostę. |
| 3) „ 12,10 | Przemówienie delegata ob. Wojewody Gdańskiego. |
| 4) „ 12,30 | Przemówienie przedstawicieli miejscowego społeczeństwa. |
| 5) „ 13,00 | WRĘCZENIE AKTÓW. |
| 6) „ 14,00 | ODŚPIEWANIE „ROTY”. |

Starosta

(-) Józef Grodnicki



Marcin Owiński



Żuławskie okruchy wojennej codzienności,

czyli dwie godziny Himmlera w Stutthofie

Muzeum Stutthof w Sztutowie wydało w grudniu 2020 roku moją książkę poświęconą wizycie szefa SS Himmlera w obozie Stutthof. Publikacja tylko pozornie kryje zestaw typowych zdjęć ukazujących szefa SS i jego podwładnych w czasie „pracy”. Większość z tych zdjęć bardzo dobrze Państwo kojarzycie. Nie o zdjęcia jednak w niej chodzi a o tło tych wydarzeń. W obszernym tekście na przykładzie konkretnego miejsca i czasu zajmuje się ona bowiem przede wszystkim wszechstronnie całokształtem okoliczności towarzyszących każdej takiej wizytacji. W kontekście jej tła występują ludzie ówczynie żyjący na Żuławach, z których wielu było członkami SS różnych szczebli. Wizyta szefa SS w Stutthofie to zatem nie tylko ponura historia nazistowskiego obozu, ale i także fragment lokalnej, prowincjonalnej historii Żuław. Z tej perspektywy chciałbym Państwu przybliżyć kontekst historyczno-regionalny tej książki, a potem zaproponować wejście w jej świat za pomocą kilku refleksji opartych na wieloletniej pracy badawczej.

Marcin Owiński



Dwie godziny w listopadzie...

Wizyta Heinricha Himmlera w obozie Stutthof 25 listopada 1941 roku: geneza, przebieg, konsekwencje

Two Hours in November...

Heinrich Himmler's visit to Stutthof camp on 25 November 1941: the background, the course and the consequences

Marcin Owiński, *Dwie godziny w listopadzie... Wizyta Heinricha Himmlera w obozie Stutthof 25 listopada 1941 roku: geneza, przebieg, konsekwencje* / *Two hours in November... Heinrich Himmler's visit to Stutthof camp on 25 November 1941: the background, the course and the consequences*, Wydawnictwo Muzeum Stutthof, Sztutowo 2020, ss. 112, ISBN 978-83-958670-0-2.

PO PIERWSZE: ILE WIEMY?

Analizowanie wojennych wydarzeń na Żuławach w czasie II wojny światowej ma dwa wyraźne krańce, między którymi nie ma wnętrza. Zaczyna się opowieścią o 1 września 1939 roku i zwińczeniem historii o polskich celnikach w Wolnym Mieście Gdańsku, skupia się na dramatycznych walkach w Kałdowie i Szymankowie, a potem szybko przeskakuje do zimy i wiosny 1945 roku. Przygląda się, jak przetacza się sowiecki walec, nieuchronnie kończący dzieje wojny i niemieckiego wladztwa na tym terenie kapitulacją na Mierzei Wiślanej 9 maja 1945 roku. Początek i koniec są wyraźne, między nimi brak, opartego na rytmie kalendarza wypełnienia. To jeszcze przed nami historykami... Co było i działo się tutaj przez kolejne wojenne lata?

PO DRUGIE: ZAPOMNIANI LUDZIE DNIA POWSZEDNIEGO?

Między tymi dwoma krańcowymi datami zamykającymi się w umownym zapisie „1939-1945” jest wciąż swoista *terra incognita*, obszar nieobjęty dotychczas dla tego terenu żadnymi badaniami historyków. W perspektywie polskich badań mamy tytuły opowiadające o okupacyjnej codzienności Warszawy, czy Mazowsza, od niedawna jest także trochę literatury o Gdańsku w okresie wojny, jednak cały czas nie ma w tym miejsca na niemieckie Żuławy w okresie trwania działań wojennych. Czy było tutaj tak „normalnie i zwyczajnie” jak w okresie przed wrześniem 1939 roku? Jak rozwijała się tutaj gospodarka wojenna, ilu ludzi powołano do Wehrmachtu i ilu było na tym terenie robotników przymusowych, a jak działały struktury NSDAP? Czy wojna zmieniła ludzi mieszkających tutaj od pokoleń? Kto i dlaczego służył w SS i obozie Stutthof i dlaczego tak wielu z nich pochodziło z Żuław? Czy to byli rzeczywiście zwykli ludzie na poboczu historii? Dlaczego tak mało jest ich własnych świadectw z tego okresu? O zwykłych codziennych aspektach wojennego życia na Żuławach sami świadkowie nie chcieli i chyba już nigdy nie opowiedzą. Chyba nie bardzo mieli się jednak czym chwalić...

PO TRZECIE: TOTALITARNIA CODZIENNOŚĆ

Tymczasem tych kilka tysięcy dni Żuław w czasie wojny to życie i wojenna codzienność. To coraz większa militaryzacja i totalizacja społeczeństwa oraz gospodarki, ideologiczny fanatyzm, zwątpienie, urodziny, śluby pogrzeby, życie. W przynajmniej kilku wypadkach w niewielkich wsiach na tym terenie organizowano wielotysięczne partyjne masówki. Pozornie żuławskie powiaty i miejscowości toczyły się przez codzienność swoim lokalnym rytmem, od którego nie było wielkich odstępstw. Z wielotysięcznych szeregów partyjnych pozostawały liczne notatki prasowe oraz grube archiwa



Strona tytułowa albumu pamiątkowego wykonanego w Stutthofie po wizycie H. Himmlera. Źródło: AMS, sygn. I-IF-1, s. 1

dokumentujące zebrania, narady, uroczystości, politykę i gospodarkę, które prowadzono skrupulatnie w każdej miejscowości. Zniszczono je nieprzypadkowo i bardzo świadomie w 1945 roku, lub skutecznie ukryto, żeby zostały zapomniane. O niektórych z tych zbiorów, np. ze Steegen, od niedawna wiadomo, jednak dostęp do nich wciąż jest bardzo utrudniony. To w nich jest lustro aktywności wojennej ówczesnych mieszkańców Żuław. Drugim źródłem są dokumenty administracji załogi SS obozu Stutthof, które pokazują ścisłą integrację tej struktury z okolicznym społeczeństwem. To takie rzeczy wypełniają codzienność umownego okresu „1939-1945” na terenie Deltę Wisły.

PO CZWARTE: MAGIA DYGNITARZY W MUNDURACH

Od rutyny codzienności wytrącały na krótko wizyty poślednich oficjeli, partyjne masówki z okazji ważnych zwycięstw lub komunikatów, jednak Żuławy w latach 1939-1944 były de facto na marginesie wielkiej historii politycznej czy militarnej. Był to jednak czas uniformizacji, gdy praktycznie każdy miał swoje organizacyjne umundurowanie i miejsce w służbowej hierarchii partyjnej czy wojskowej. To takich ludzi widać na większości nigdy nie opublikowanych zdjęć z regionu. Każdy gdzieś należał, coś sobą reprezentował, komuś podlegał i czyis rozkazów słuchał. Wsie i miasta miały swoich lokalnych bonzów partyjnych, zwanych „bażantami”, działaczy wojskowych czy propagandystów. Świat Trzeciej Rzeszy to piramida sformalizowanej struktury ludzi w mundurach. W relacjach mieszkańców Żuław pojawiają się oni tylko w tle w okolicznościach 1945 roku, kiedy uciekali jako pierwsi przed Rosjanami. O ile w okresie Wolnego Miasta Gdańska bywali tutaj wysocy dostojnicy Trzeciej Rzeszy w randze ministra, co dokumentują między innymi zdjęcia Goeringa z Tiegenhofu, o tyle w czasie wojny poza gauleiterem Forsterem i jego ludźmi z lokalnej wierzuszki NSDAP nie odwiedzał tych terenów nikt ważny ze szczytów władzy. Wyjątek od tej normy był tylko jeden, wiedzieli jednak o nim tylko nieliczni i nie napisały o tym żadne gazety. 23 listopada 1941 roku w Stutthofie z krótką wizytą przebywał bowiem drugi po Adolfie Hitlerze najpotężniejszy człowiek Trzeciej Rzeszy, minister spraw wewnętrznych, szef niemieckiej policji, komisarz Rzeszy do spraw umacniania Niemczyzny, realizator i koordynator wielkiej akcji rasowych czystek i fizycznej likwidacji, Reichsführer SS Heinrich Himmler. Na Żuławach był on tylko ten jeden raz przez dwie godziny. Każdy jego krok dokumentował jednak wówczas najlepszy gdański fotograf.

PO PIĄTE: NIEZWYKŁE ZWYKŁE ZDJĘCIA

Zatrzymane na jego fotografiach kadry ukazują wizerunki wielu znanych ludzi w konkretnym czasie i sytuacji. Ich gesty, wyraz twarzy czy język ciała wskazują na konkretne uwarunkowania osobiste, polityczne, czy służbowe. Za pomocą dogłębnej analizy źródeł, relacji, szczegółów dotychczas niedostrzeganych na fotografiach w niespotykany sposób udało się odtworzyć sposób myślenia i determinanty działania osób, które wówczas się spotkały. Książka jest przede wszystkim zbiorowym portretem ludzi SS w decydującym dla losów milionów mężczyzn i kobiet okresie późnej jesieni 1941 roku. W rutynowej wizycie wśród SS-manów w Stutthofie w wielu płaszczyznach odbija się bowiem wielka polityka, ambicje, animozje i codzienność funkcjonariuszy nazistowskiego aparatu przemocy. Takie

odtworzenie historii umożliwiły źródła, do których można dziś dotrzeć. Można mieć nadzieję, że kwestią czasu będzie także otwarcie dostępu do nowych źródeł, które w podobny sposób odtworzą żuławską i pozostającą we wstydlwym cieniu wojenną codzienność.

FRAGMENT KSIĄŻKI:

Wizytacja Reichsführera SS i szefa niemieckiej policji w obozie Stutthof była w dziejach tego miejsca wydarzeniem jednorazowym i bardzo znamienym, a miała miejsce w niedzielę 23 listopada 1941 roku. Kilka godzin pobytu Himmlera w Stutthofie zdecydowało *de facto* o zasadniczej zmianie jego organizacji i zasięgu działania w kolejnych latach wojny oraz włączyło ten obóz osobistą decyzją szefa SS w system państwowych obozów koncentracyjnych Trzeciej Rzeszy. Wykonany w czasie wizytacji zestaw zdjęć jest także jedynym znanym zestawem dokumentującym obóz Stutthof w czasie jego istnienia – ukazuje sprawców i infrastrukturę obozu jesienią 1941 roku.

Szef SS był w obozie w krótkiej przerwie między częstymi wyjazdami na front wschodni i spotkaniami z Hitlerem poświęconymi na koncepcji „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”. Jednocześnie borykał się ze sporami i nieformalną walką ze swoimi przeciwnikami w łonie decydentów Trzeciej Rzeszy i angażował w nieformalny związek ze swoją sekretarką. Miał wówczas 41 lat i był u szczytu swojej władzy i znaczenia. Była to jego pierwsza i ostatnia wizyta w Stutthofie i na Żuławach.

Wbrew pozorom wizyta w obozie nie była głównym celem kilkudniowej wizyty Himmlera na Pomorzu i w Gdańsku. Kolejnym ciekawym wnioskiem, na który dotychczas w ogóle nie zwracano uwagi, jest fakt, że w czasie wizytacji szefowi SS towarzyszyło 3 najwyższej rangi generałów SS i szefów ważnych rządowych struktur podległych Himmlerowi. Wszyscy dostojnicy zmieścili się w jednym specjalnym i bardzo prestiżowym samochodzie przydzielonym Reichsführerowi SS przez Adolfa Hitlera. Auto było atrybutem władzy i znaczenia i miało numer rejestracyjny „SS-1”.

W obozie honory gospodarza pełnił 34-letni Max Pauly, stary bojownik ruchu naziowskiego, członek NSDAP do 1928 roku i SS od 1930 roku, mieszkaniec Gdańska od 1936 roku, który od września 1939 roku kierował obozem Stutthof i uczestniczył w wielu akcjach eksterminacyjnych. Znał on niewątpliwie Himmlera z innych sytuacji, jednak tym razem przyjmował go oficjalnie i zależało mu na osobistej dalszej karierze. Był wyprężony i przejęty. Podobne napięcie odczuwali członkowie jego sztabu, którzy ubrani w najlepsze mundury i przypiętymi wszystkimi odznaczeniami stanowili tło delegacji w czasie jej przejścia przez obóz.

Większość czasu w Stutthofie Himmler spędził na okolicznościowym spotkaniu z SS-manami w nowo oddanym budynku komendantury. W części więźniarskiej obozu był zaledwie kilka minut, obejrzał wnętrze jednej izby, warsztat rzemieślniczy. O wiele więcej uwagi i słów poświęcił na obserwację obozowej królikarni czy sieci kanalizacyjnej. Znalazł też czas na dyskusję o jakości żuławskiej gliny, z której można było według niego wyrabiać dużo cegieł w położonej koło obozu państwowej cegielni. Wypowiedział się też za prowadzeniem własnych upraw przez SS na żuławskiej ziemi, co miało taki skutek, że wkrótce na

jego rozkaz zakupiono na rzecz SS zarówno cegielnię jak i duże gospodarstwo rolne, gdzie szybko zatrudniono dziesiątki więźniów obozu. Po takich charakterystycznych dla siebie rozmowach technicznych, Himmler, zwany przez jego biografa „buchalterem śmierci”, przystąpił do ceremonialnej części wizyty. Przez godzinę przemawiał i słuchał przemówień w sali, gdzie kelnerzy z SS w białych uniformach przynosili skromne „wojenne” robocze śniadanie. Na końcu wpisał się do księgi pamiątkowej. Jeszcze tego samego dnia wieczorem był znów w kwaterze wojennej Hitlera koło Kętrzyna i znów rozmawiał z nim o niuansach kwestii żydowskiej. Nigdy więcej nie był już w Stutthofie ani nie zajmował się specjalnie jego sprawami.

Mimo pozorów rutyny i normalności, jakie towarzyszyły tej wizycie, a których odbiciem jest zachowany materiał ikonograficzny, miała ona jednak dalekosiężne efekty i nie była zwykłym spotkaniem urzędników ze swoim szefem. Niewielka, kilkunastoosobowa grupa ludzi w mundurach z runami SS, rozmawiała przy roboczym śniadaniu o życiu, pracy i śmierci dziesiątek tysięcy więźniów, którzy mieli trafić do obozu Stutthof w kolejnych latach. Te dwie godziny w listopadzie 1941 roku i dialog sprawców dotyczący buchalterii i logistyki obozu w kierunku zwiększenia jego wydajności to także dyskurs o codzienności sprawców i klasycznej „banalności zła” w bardzo lokalnym i przyziemnym wydaniu niewielkiego obozu, który wkrótce stał się państwowym obozem koncentracyjnym Stutthof.



Zwiedzanie więźniarskiej części terenu obozu 23 listopada 1941 roku w Stutthofie. Na pierwszym planie grupę prowadzi Lagerführer A. Dittmann. W drugim rzędzie idą od lewej: K. Wolff, R. Hildebrandt, H. Himmler i M. Pauly. Grupa znajduje się w środkowym rzędzie zabudowy obozu, przy baraku warsztatowym. Zwracają uwagę pomalowane ściany i ramy okienne, opierzenie dachu, słupy linii elektrycznej, liczne kominy, skrzynka gaśnicy oraz pozbawiony roślinności wydeptany plac między barakami. W tle ściana wschodnia i dach komendantur obozu i szkoły-SS. Źródło: AMS, sygn. I-IF-1, s. 29

Po wizycie Himmler zlecił bowiem notatką przejęcie Stutthofu w poczet instytucji nadzorowanych przez Inspektorat Obozów z Oranienburga. Od stycznia 1942 roku w nazwie Stutthofu pojawiły się zatem litery „KL”. Każda w bardzo symboliczny sposób mogła odnosić się do dwóch godzin samej bardzo rutynowej dla szefa SS wizyty.

Opowieści o wizycie Himmlera w Stutthofie nie byłoby, gdyby do dziś nie przetrwał specjalnie wykonany z tej okazji album z fotografiami. Jest ich kilkadziesiąt, wykonał je znany i najlepszy gdański fotograf, ten sam, który zrobił m.in. ikoniczne zdjęcie pancernika „Schleswig-Holstein” ostrzeliwującego Westerplatte 1 września 1939 roku. Znane jest nazwisko i losy więźnia, który na polecenie komendanta przygotował i kaligrafował podpisy pod zdjęciami z Himmlerem. Album był aż do ewakuacji obozu przechowywany w kancelarii komendanta i z pewnością przez lata istnienia Stutthofu stanowił cenne wspomnienie dla SS-manów. Wywieziony w zimie 1945 roku wraz z dokumentacją obozową został znaleziony przez byłych więźniów latem 1945 roku i przekazany do PCK, a stamtąd do Prokuratury Specjalnego Sądu Karnego w Gdańsku. Był dowodem na procesie SS-manów ze Stutthofu w 1947 roku. Wrócił do Stutthofu po powstaniu Muzeum w końcu lat 60. XX wieku. To unikalne źródło, które - jak dowodzi najnowsza książka - nie powinno być odczytywane tylko w warstwie wizualnej. Idealnie czysty i symetryczny obóz ze zdjęć nie odzwierciedlał rzeczywistości. Jedynie na kilku ujęciach w oddali widać ludzi, których zamieniono w Stutthofie w niewolników i więźniów. Stali w tle, ale byli podmiotem tej historii. Doświadczenie obozu koncentracyjnego dla więźniów nie było miłym krótkim spacerem, rozmową i poczęstunkiem przy kawie.

Jeśli wyznaczać symboliczną cezurę dziejów tego miejsca oraz wpływ indywidualnych decyzji jednostki na los tysięcy to jednorazowa i epizodyczna z pozoru wizyta Himmlera w obozie Stutthof na Żuławach będzie przykładem wydarzenia, po którym nic już nie było takie jak wcześniej. Warto pamiętać o tym, jak małe z pozoru rzeczy i wydarzenia mogą wpływać na losy zbiorowości i jednostek. Tłem tych wydarzeń byli też szeregowcy i oficerowie SS ze Stutthofu, Tiegenhofu, Gdańska i Żuław, których dziesiątki służyły od 1939 roku w obozie. Dwie godziny ich szefa w Stutthofie w 1941 roku, których byli świadkami było na pewno ważnym wydarzeniem ich wojennej kariery, z którym podzielili się w swoich domach. Wielu z nich w 1942 roku przeniesiono do jednostek frontowych Waffen-SS. Do KL Stutthof na ich miejsce dobrowolnie przyszło w latach 1942-1944 wielu kolejnych mężczyzn, a także i kilkanaście młodych kobiet z Żuław. Opowieść o nich i o wojnie w tym regionie wymaga jeszcze wielu uzupełnień i na pewno oczekuje wyjścia poza dwie krańcowe daty, wiele bowiem działo się tutaj między 1 września 1939, a 9 maja 1945 roku. Jednym z takich okruczeń tego wciąż ukrytego w większości obrazu jest opowieść o 23 listopada 1941 roku w Stutthofie.

ZAKOŃCZENIE: PRZYSZŁOŚĆ BADANIA PRZESZŁOŚCI

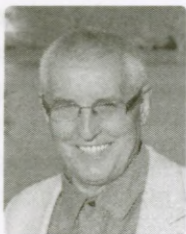
Pamięć historyczna świadków historii bywa selektywna, nieobiektywna, złudna, potrafi też być jedynym źródłem na jakim może w swojej pracy bazować historyk. To bardzo ważne narzędzie w naszej pracy, jednak wymaga wiele doświadczenia i krytycyzmu. Ważne w niej jest nie tylko to co dana osoba mówi, ale i to czego nie opowiada. W miarę upływu

kolejnych dekad narracja świadków historii jest poddawana coraz chłodniejszej analizie przez kolejne pokolenia badaczy i historyków. W zakresie Żuław opowieść o ich wojennej codzienności we wspólnej i niedużej w ogóle narracji ówczesnych ich mieszkańców jest wyparta i zastępowana przez symboliczne obrazy „końca” jaki miał miejsce w 1945 roku. Na tysiącach stron wielu niemieckich wydawnictw mamy opowieści o ewakuacji i ucieczce przez Sowiecami, albo przedwojennych latach szkolnych, a nie mamy właściwej i szczerzej relacji o niewygodnych aspektach wojennej codzienności. Na kartach nie wymienia się nazwisk członków rodziny aktywnych w nazistowskich strukturach, oni sami też w ogóle nawet po latach nie zajmowali publicznie głosu. Zdjęcia i dokumenty z tego czasu spalono, albo zamknięto szczelnie w szufladach. Takie wstydlive wyparcie świadomie zniekształca przeszłość. Kwestią czasu już tylko jest, kiedy ta ekwilibrystyczna konstrukcja upadnie. Żuławy z czasów wojny wciąż czekają na swojego badacza, który przybliży nam jak to rzeczywiście było. Przykład zestawu zdjęć ze Stutthofu pokazuje, że ówczesna codzienność bywała i banalna, i brutalna, a o jej obliczu decydowali miejscowi...



Zespół kelnerów – SS-manów z załogi obozu Stutthof – obsługujący przyjęcie na cześć Himmlera 23 listopada 1941 roku. Widoczne szczegóły wystroju sali z portretem Hitlera i flagami, śniadaniowa zastawa stołowa oraz przygotowane jedzenie. SS-Unterscharführer L. Wanniger, ówczesny Rapportführer, stoi pierwszy z prawej. Źródło: AMS, sygn. I-IF-1, s. 46.

Janusz Ryszkowski



DONIMIRSKI, LIPNICKI I KRÓL FOGOSZY¹

1.

Na Eugeniusza Lipnickiego natrafiłem przypadkiem wertując „Bibliotekę Warszawską”. Nic nie wiedziałem o autorze, ale wydał mi się dziwnie znajomy. To znaczy niekoniecznie może on, co jego teksty ukazujące się począwszy od zeszytu z maja 1883 roku w miarę regularnie przez kilkanaście następnych lat. Założony w 1841 roku miesięcznik, jak głosił podtytuł, poświęcony naukom, sztukom i przemysłowi, przez całe lata odgrywał ważną rolę w życiu intelektualnym kraju. Ukazywał się nieprzerwanie do 1914 roku.

Lipnicki imponował szerokim wachlarzem zainteresowań - pisał szkice podróżne (Afryka, Bułgaria, Madryt, Budapeszt, Zagrzeb), kreślił sylwetki polityków, głównie austriackich, nieobce mu były zagadnienia filozoficzne (m.in. Schopenhauer, Hobbes, Rousseau, Wolter). Omawiał książkowe nowości literatury historycznej i słał korespondencje z Wiednia.

Kim był? Próbowałem tego dociec. Choć staranie zacierał za sobą ślady, to jednak - tak mi się zdaje - udało się pozbawić go anonimowości, o którą zabiegał. Zdradził go fogosz łowiony w Balatonie.

2.

Od września do grudnia 1882 roku Antoni Donimirski opublikował w „Kurierze Poznańskim” trzy cykle: „Z podróży po krajach słowiańskich”, „Znad Adriatyku” i „Z wycieczki do Zagrzebia”. Sygnował je kryptonimami Dr... . W kilku przypadkach nie były wcale podpisane, ale o ich autorstwie świadczyło to, że miały związek z wcześniej podpisanymi. Skąd z całą pewnością wiadomo, że „Dr...” to Donimirski? Z jego listu pisanego z rodzinnego Buchwałdu w styczniu 1883 do prof. Władysława Pawińskiego, redaktora „Tygodnika Ilustrowanego”. Proponował redakcji relację z podróży nad Adriatyk, której drobne fragmenty drukował wcześniej w „Kurierze Poznańskim”. „Dubrownik” - już pod nazwiskiem - ukazał się w trzech odcinkach w połowie 1884 roku.

Profesor Tadeusz Oracki, który wie o Donimirskim prawie wszystko, na podstawie analiz testów w kilkunastu czasopismach podał jego 15 kryptonimów: A. D., A. Brochwicz, dr A. D., D., Antoni Brochwicz, Antoni D., (abd), (ad), (d), D -ski, ski, d., A. Don., ad, Ado, oprócz pięciu znanych ze „Słownika pseudonimów pisarzy polskich XV w. - 1970 r.” (A.D., A. Don., D., Da, Dr A. D.). Dodał, że wiedza w tej materii jest ciągle niepełna. Może uda nam się ją nieco wzbogacić?

¹ Fragment przygotowywanej książki o Antonim Donimirskim (1846- 1912). Zob. też „Prowincja” nr 2, 3, 4 z 2020 r. W tym roku obchodzimy 175 rocznicę urodzin (6 czerwca) tego redaktora, publicysty, ekonomisty, działacza spółdzielczego pochodzącego z Buchwałdu (obecnie Bukowo) w powiecie sztumskim.

Ta podróż Donimirskiego na południowy-wschód do braci Słowian mocno mnie zaintrygowała. Choćby dlatego, że jak sam napisze, nie była celem samym w sobie, ale towarzyszyła innym sprawom. Interesom handlowym, może nawet jakiejś misji politycznej? Tego nie wiemy. W każdym razie wyprawa stanowiła także poligon pisarski dla 36-letniego autora, zmieniającego fotel bankowca na mniej chyba niepewny - publicysty. W tym czasie Donimirski, kryjący się pod kryptonimami, zamieścił także w „Dzienniku Poznańskim” korespondencje „Z Rosji i o Rosji” (sygnowane D) i „Z podróży” (AB) i prawdopodobnie „Z wystawy” [moskiewskiej] (A).

Nie miały one uporządkowanego charakteru, jak te publikowane w „Kurierze Poznańskim”. Choć wszystkie one mają w większości charakter wprawek, to warto się z nimi bliżej zapoznać. Wiele mówią o autorze i jego widzeniu świata.

3.

W Splicie upał niemożebnie doskwierał, choć gospodarz - Chorwat, poseł do austriackiej Rady Państwa - posadził gości w najbardziej zacienionej części ganku. Stąd najlepiej mogli podziwiać panoramę miasta. W oddali rysowały się – wskazywał to przybyszom - sylwetki: pałacu Doklecjana, resztki akweduktu, świątynię Jowisza dawnego Spalatum.

W pewnej chwili, zmęczony wypatrywaniem Donimirski, wzrok przeniósł na kwietny dywan, który ozdabiał pobliski trawnik. Starał się pojąć jego wzór, ale nic nie przychodziło mu na myśl. Gospodarz, odczytując to w lot, powiedział tylko: „Tak, panie doktorze, to marzenie o naszej przyszłości”. Wtedy Donimirski pojął: kwiaty ułożyły mu się nagle w herby Sławonii, Dalmacji i Chorwacji - wszystkie na jednej tarczy. To było marzenie posła-gospodarza o zjednoczeniu...

W korespondencji Donimirskiego dla „Kuriera...” sygnowanej: „Split” nie ma wzmianki o spotkaniu z posłem Bułatem. Ten kwietny epizod, który tu odtworzyliśmy po sobie, przedstawił czytelnikom dopiero po 26 latach. Stanowił wprowadzenie do artykułu w warszawskim „Słowie”, dotyczącego - co podkreślał autor z naciskiem – rzekomego spisku „wielkoserbskiego”, mającego na celu utworzenie federacji republik słowiańskich.

W tekście „Kuriera...” miasto wspominał jedynie mimochodem. Rekomendował tylko dobry hotel de la Ville. „A jeżeli za przybyciem gościa nie przechodzi się przez szpaler garsonów, to za to nikt nie wyciąga ręki przy pożegnaniu, a brak wygód niektórych równoważy się niskimi cenami, praktykowanymi wszędzie w hotelach i restauracjach dalmatyńskich.”.

Spróbujmy więc nieco więcej naświetlić to, co chciał w cyklu podróżniczym pokazać ówczesnym czytelnikom „Kuriera...”.

Zaczyna tak:

„Nie pamiętam już przy jakiej okazji wyczytałem kilka tygodni temu w „Kurierze” radę dla tych, którzy odbywają podróże, aby kroki swe zwrócili ku krajom zamieszkałym na południe Austrii przez pobratymcze szczepy słowiańskie i starali się poznać je bliżej i wejść w stosunki dla umożliwienia wzajemnej wymiany myśli. Rada wasza utkwiała mi w pamięci; nie należę wprawdzie do tych, co każdego lata podróż jakąś odbywają, ale korzystam tylko z sprzyjającej sposobności, aby, poświęcając na to dni kilka lub kilkanaście, pójść

za radą waszą. Jak dotąd nie mam przyczyny żałować tego. Kraj piękny, ludzie zacni i serdeczni, oprócz szalonego upału wszystko się składa na podróż przyjemną i pożyteczną - dla mnie przynajmniej. Czy także inni z niej doznają przyjemności lub pożytku - nie wiem, nie bardzo sam w to wierzę.”

Donimirski nie ma więc złudzeń, że łatwo będzie czytelnika z Wielkopolski zainteresować tematem. Próbuje zatem znaleźć obszary wspólnych problemów dla Polaków żyjących w państwie niemiecko-pruskim i Słowian w monarchii austriackiej. Jedną z takich stycznych są prawa polityczne, pokazane na przykładzie Styrii, gdzie jedną trzecią ludności stanowią Słoweńcy. Choć są grupą znaczącą, w sejmie mają o połowę mniej posłów niż wynikałoby to z oficjalnych statystyk i tak zaniżających liczbę ludności słowiańskiej.

W Lublanie, „gdzie polityczny i umysłowy ruch Słoweńców najsilniejszy”, Donimirski rozmawia z redaktorem największego dziennika politycznego „Slovenski Narod”. Przy okazji wymienia 20 pism w narodowym języku, w tym specjalistyczne - rolnicze, prawnicze, pedagogiczne, kościelne, dla dzieci. Ma swój organ nawet Towarzystwo Śpiewu św. Cecylii. Wszystkie - podkreśla - dobrze stoją finansowo. I zauważa, że to w sytuacji, gdy Słoweńców jest mniej niż Polaków w całym Wielkim Księstwie Poznańskim i Prusach Zachodnich. „Chyba wypada wyciągnąć wniosek, że umiejętność czytania między Słoweńcami bardziej musi być rozpowszechniona, albo większa chęć do czytania, a najprędzej jedno i drugie”. Dość gorzka konstatacja, zwłaszcza dla elit polskich w zaborze pruskim, żyjącym w przeświadczeniu, że mogą być niedościgłym przykładem dla innych pozbawionych wolności narodów.

I dalej idzie w tym kierunku stawiając sprawę jasno:

„Wy w Poznaniu dawno łamiecie głowę nad wymyśleniem najodpowiedniejszego towarzystwa dla oświaty ludu; towarzystwo Družba św. Mohora (Hermogoras) w Celowcu [Klagenfurt], którego celem jest zaopatrywanie ludu w odpowiednie książki, liczyło w roku 1881 25 084 (piszę dwadzieścia pięć tysięcy osiemdziesiąt czterech) członków z roczną opłatą 1 złr. Za 250000 złr można kilka książek, choć z tak wielkim nakładem, drukować. Družba św. Mohora dostarcza swoim członkom 4-5 książek rocznie. Towarzystwem kierują przeważnie księża; wydawane przez nie książki są po części treści religijnej, po części popularno-naukowej.” Dalej podkreśla, że w każdym miasteczku jest „czytalnica”, gdzie znajdują się wszystkie czasopisma słoweńskie. „Główną myślą, która Słoweńców dziś zaprzęta, jest projekt Doma Narodowego w Lublanie.”

W kolejnych odcinkach „Podróży po krajach słowiańskich” podsuwa czytelnikom kolejne analogie:

„Pomimo istniejących w Austrii praw o równouprawnieniu narodowości, położenie Słoweńców i Chorwatów, zamieszkujących Triest i Istrię, jest prawie to samo, co Polaków w zaborze pruskim. W sądownictwie, administracji, w szkole, wszędzie język włoski jest urzędowym, nawet sejm istriański w Poreczu (Pozerzo) obradować musi w języku włoskim”.

4.

Wyprawa Donimirskiego do Zagrzebia wiodła przez Peszt. Na jeden dzień Antoni zatrzymał się nad Balatonem, w Füredzie. Skąd to zainteresowanie? „Pobudziła mnie powieść

najznakomitszego romansopisarza węgierskiego Manzura Jokaja pod tytułem „Arany ember”, w niemieckim przekładzie „Der Goldmensch”. Bohater tej powieści Michał Timor nad jeziorem Balatonem odzyskuje pokój duszy, odrzuca złoto, rwie więzy niezdolnych stosunków, aby żyć pracą i miłością. Rozdział, poświęcony opisowi Balatonu w jesieni i w zimie, mianowicie też łowom sławnych fogoszów, należy do najświetniejszych objawów epickiego talentu Jokaja i śmiało stanąć może obok najświetniejszych tego rodzaju ustępów w powieściach Waltera Scotta.”

Pisarz mieszkał w Füredzie, miejscowości uzdrowiskowej i tam odwiedził go Donimirski. Zastanawia łatwość, z jaką Donimirski, początkujący przecież dziennikarz, trafia do przesławnego Jokaia. To zarazem kolejna postać ze świata polityki, z którą Antoni spotkał się podczas wycieczki do południowo-wschodnich braci Słowian. To już nie może być przypadek. Oczywiście Donimirski nie zdradza, bo nie może, treści rozmów, tłumaczy wizytę fascynacją autorem. Brzmiało to nawet wiarygodnie, bo Jokai znany był w naszym kraju z licznych przekładów. Właśnie warszawski wydawca - jak dostrzegł Donimirski - przysłał mu pakiet oprawionych w skórę egzemplarzy książek. Poza tym, w tej sentymentalnej opowieści o Timorze dostrzegł siebie? Opuuszczając toruński bank, który zostawił w trudnej sytuacji finansowej i wybierając życie publicysty w Wiedniu, także zerwał „więzy niezdolnych stosunków, aby żyć pracą i miłością”?

W rozmowie Jokai zdradza, że koresponduje ze swoją polską tłumaczką panią C., którą polecił mu... Krasieński. Donimirski jest mocno zawiedziony tą wpadką pisarza, świadcząca jednak o słabej znajomości współczesnej naszej literatury. Sprawa tym boleśnieszka, że w swoich książkach - jak zauważa Antoni - Jokai zawarł wiele „przyjaznych wzmianek” o Polsce. Więc dopytuje, bo chce być pewny: „Krasieński?”. „Krasieński, czy Kraszewski” - odparł Jokai. „Tak. Kraszewski jest pana kolegą z międzynarodowego stowarzyszenia literackiego” - dopowiada Donimirski. Jest zażenowany: jak można pomylić niezjącego od ponad 20 lat wieszczą Zygmunta Krasieńskiego z Józefem Ignacym Kraszewskim? Tego ostatniego zna osobiście, w bliskich kontaktach z nim jest od dawna ojciec Teodor. Kraszewski odwiedził ich dworek w Buchwałdzie. Nie tak dawno wydał we Lwowie listy Zygmunta Krasieńskiego do Adama Lwa Sołtana. Ich oryginały znajdują się w bibliotece pałacu hrabiego Sierakowskiego w Waplewie, z którymi Donimirscy, mieszkający parę kilometrów dalej utrzymują ścisłe stosunki.

Na pożegnanie Antoni dostaje od Jokaia powieść po niemiecku „Szaleńcy miłości” z autografem.

5.

Z ciekawości sprawdziłem, kto był tą polską tłumaczką Jokaia, ukrytą pod „C”. Okazało się, że Aleksandra Callierowa, jedna z pierwszych polskich dziennikarek. Zmarła w 1923 roku w Tczewie, gdy przebywała na wakacjach u córki. O krok od rodzinnej Ziemi Malborskiej Donimirskiego. Oczywiście to czysty przypadek, ale czasem niewidoczne linie powiązań dają o sobie znać nieoczekiwanie.

Sięgnąłem też po przełożoną z węgierskiego z upoważnienia autora, co zaznaczono na stronie tytułowej przez Callierową powieść Jokaia „Złoty człowiek” (wyd. 1925). Zajrzałem

do rozdziału, który tak zachwyił Donimirskiego, gdy czytał go w niemieckim przekładzie. Ciekawiły mnie bardzo łowy na fogosze. Po raz pierwszy słyszałem o takich rybach.

„Najrozmaitsze rybie głowy wynurzają się z wody i przeźroczyste skrzele, czerwone ogony, niebieskie, zielone, srebrne tuski błyszczą na słońcu. Ciśnie się grzbiet do grzbietu. Czasami wilk balatoński, a i sandacz się pojawi, roztworzy paszczę, potrząśnie grubym i wąsem i znów zniknie na spodzie, jak gdyby tam się spodziewał znaleźć ratunek.

Trzech parobków, a z nim i pierwszy rybak, wylawiają ręczną siecią tę całą żyjącą masę i wyrzucają ryby na łód, biedne stworzenia drgają konwulsyjnie. Nie ma już dla nich ratunku.

Dziury wyrąbane znów zatażono lodem, a obok na lodzie istny poczyną się taniec!

Karpie o szerokich nozdrzach podskakują do góry, szczupak zrozpaczony, wije się jak wąż po stosach na pół martwych karasi i pstrągów. Niejedna większa ryba rzuca się na kielbika, rybacy ją strącają i rzucają dalej, a ona bije na prawo i lewo silnym swym ogonem.

Wokoło przerebli wszędzie piętrzą się ryb stopy, karpie w około skaczą, a znużeni i leniwi rybacy kładą się koło tego pobjowiska, dla odpoczęcia po trudach.

- A co! czy nie mówiłem - rzekł stary rybak, - że kiedy jaśnie pan z nami, to nabierzemy ryb huk. A gdybyśmy do tego złapali króla fogoszów!

- Zdaje mi się, że go mamy - zawołał jeden z parobków trzymających grubą linę, po sieci buja jakies ogromne stworzenie, aż mi ręce drętwieją.

- Jest! Jest! - zawołał drugi parobek, który właśnie wyciągnął porządną porcję ryb, gdy ogromny, jakby krokodyli łeb ukazał się nad wodą.

Cały łeb był srebrnawy, w otwartej paszczy sterczały dwa rzędy ostrych zębów jak u kajmana, a oprócz tego świeciły się po bokach zakrzywione kły, istne kły tygrysie. Taki potężny łeb w zbudza uszanowanie. Można go, bez wahania, nazwać królem jeziora, boby w nim pewno nie znalazł równego.(...)

- Ciągnij! - krzyknął stary rybak i wszyscy z całych sił ciągnęli. Reszta ryb już była na wierzchu w mgnienu oka. I król fogoszów był z nimi. Co za precudowne stworzenie! Wążył więcej jak czterdzieści funtów; raz tylko w dwadzieścia lat taki się napotka egzemplarz. Przebił w samej rzeczy sieć silnym łbem, ale ugrzązł kolczastem i skrzelami między jej sznurami. Gdy go wyciągnięto, uderzył potężnym swoim ogonem jednego z parobków w głowę. Był to ostatni jego czyn bohaterski. Nigdy nie można dostać fogosza żywcem.

Zetknięcie z powietrzem go zabija.”

Nie mogłem się oprzeć, by cytować tak obszernie. Ten piękny motyw walki z wielką rybą. I próbka przekładu Callierowej.

Fogosz, powtórzmy, co to za ryba? Po węgiersku fogas (czyt. fogasz) to po prostu sandacz. Ale w przytoczonym tekście pojawia się też sandacz, tyle że drobny, nie budzący zachwytu. Może ten dorodny, budzący przestach i podziw, dla odróżnienia tłumaczka postanowiła nazwać fogoszem? Brzmi tajemniczo i dostojnie. Hipoteza niezła, tyle że Donimirski wspomina o fogoszach, idąc w ślad za tłumaczeniem niemieckim powieści Jokaia.

Jak zatem Callierowa powtórzyła tego fogosza, jeśli przekładała z języka oryginału? Chyba że jednak korzystała także z przekładu niemieckiego. Sprawa może być ciekawa dla badaczy twórczości przekładowej.

6.

To król fogoszy - pośrednio oczywiście - zaprowadził mnie do publicysty, Eugeniusza Lipnickiego. W „Bibliotece Warszawskiej” (1883) przeczytałem jego relację z podróży „Z Wiednia do Pesztu i Białogrodu”, czyli dzisiejszego Budapesztu i Belgradu. Czytałem niespiesznie, aż natknąłem się na tajemniczą rybę nazywaną fogoszem i taki fragment dotyczący Pesztu: (...) z materialnym rozwojem stolicy idzie w parze świetny rozkwit piśmiennictwa madziarskiego. W roku zeszłym miałem sposobność poznać najznakomitszego reprezentanta tego piśmiennictwa Maurycego Jokaja. Odwiedziłem go w Furedzie nad jeziorem Balatonem. (...) Po długiej i ciekawej rozmowie (...) , p. Jokay obdarzył mnie przy pożegnaniu jednym z swych nowych romansów: „Szaleńcy miłości” (w przekładzie niemieckim) z własnoręcznym przypiskiem.”

Zaraz, zaraz, przecież jakbym gdzieś o tym czytał wcześniej. Sprawdzam: tak u Donimirskiego. Ten sam czas, ta sama książka w podarunku. Byli u Jokaia obaj?

Porównanie fragmentów tekstów zamieszczonych w „Kurierze Poznańskim” („Z wycieczki do Zagrzebia”) i kilka miesięcy później w „Bibliotece Warszawskiej” ujawniają zaskakujące zbieżności szczegółów. Jest ich tak dużo, że: albo trzeba mówić o plagiacie, albo wyszły spod tego samego pióra.

Porównujemy:

„Na wzgórzu, w środku starannie utrzymanego ogrodu stoi willa gmach parterowy na wysokich suterrenach. Po schodkach wchodzimy do przysionka, z którego dwa wielkie okna i szklane drzwi dostarczają przepysznego widoku na jezioro. Przysionek zapełniony skończonymi już lub rozpoczętymi obrazami, które świadczą o niezwykłych zdolnościach córki pana domu. Słynny powieściopisarz przyjmuje nas uprzejmie i wprowadza do gustownie urządzonej pracowni.



Kto w tej marcialnej postaci, **o dość długiej siwej brodzie**, z wzięciem **wysłużonego generała**, nie domyśliłby się **pisarza, który wydał już przeszło 250 tomów powieści**, a nadto poświęca się mozolnej czynności posła i redaktora naczelnego (obecnie „Nemzeta,” najznakomitszego organu madziarskiego). [„Kurier Poznański”]

„Willa Jokaja stoi naprzeciwko pięknego kościółka katolickiego, **na wzgórzu, w środku starannie utrzymanego ogródka**. Jest to **parterowy gmach na dość wysokim souterrainie**. **Po schodkach wchodzimy do przedsionku, z którego dwa wielkie okna i szklane drzwi dostarczają cudownego widoku na Balaton**. **Przedsionek** ten służy córce Jokaja jako atelier i **zapełniony wykończonymi i zaczętymi płótnami, które świadczą o zdolności** młodej dyletantki. Szklanymi drzwiami wstępujemy do salki, trochę ciasnej, trochę ciemnej, gdzie nas przyjmował Jokaj i skąd prowadził nas na lewo do swej pracowni, urządzona skromnie, ale ze smakiem, godnej tak genialnego pisarza. Notabene **pisarza, który wydał już 250 tomów**, nie poznać wcale po Jakaju. Jest to wysoki mężczyzna (...) trzymający się prosto, po wojskowemu, **o dość długiej siwej brodzie** (...). Kto by go spotkał incognito przypuszczałby raczej, że to **generał**, ubrany po cywilnemu, nie zaś zgarbiony nad biurkiem tak płodny pisarz.” [„Biblioteka Warszawska”]

Trudno mówić o przypadkowej zbieżności, zwłaszcza, że Lipnicki i Donimirski wspominają sławnego fogosza z Balatonu... Dalsze porównywanie obu tekstów tylko potwierdza - tak to określimy - bliską więź autorów. Jeśli to jeszcze nie przekonuje (w zanadrzu jest jeszcze analiza tych samych motywów w drukowanych w tym samym czasie tekstów w „Niwie”), to na koniec tylko sięgnijmy do wspomnienia o Dominirskim z „Biblioteki Warszawskiej”. Otóż napisano w nim, że redakcja straciła w jego osobie jednego z jednego z najbardziej cenionych współpracowników, długoletniego przyjaciela pisma, który służył pomocą w ocenie tekstów specjalistycznych. Ważne dla nas jest jednak to, że w *piśmie zamieszczał liczne i cenne prace*. Gdyby policzyć teksty, które ukazały się w „BW” popisanego nazwiskiem Donimirskiego, to byłoby ich raptem kilka. Lipnickiego zaś kilkanaście...

Skąd wziął się taki pseudonim? Imię wydaje się oczywiste - po żonie Eugenii z Benisławskich. Notabene po rozwodzie ostaje się z niego inicjał. A nazwisko? Nie wiem...

Ostaszewo. Taka gmina...

Andrzej Kasperek



OSTASZEWO.

Taka gmina...

Dla Wojtka

Ni wyżyna, ni nizina,
ni krzywizna, ni równina -
taka gmina.
Ani piasek, ani glina,
tylko lasek i olszyna -
taka gmina.

Jeremi Przybora „Taka gmina”



Gesamtansicht



Weichselstrand mit Fähre



Molkerei

Villa Liebeth.

Klein'sche Mühle



Gruß aus Schöneberg a. W.

fortopolska.eu
zdjęcia na licencji

Piosenka Jeremiego Przybory i Jerzego Wasowskiego, czyli sławnych Starszych Panów, powstała w 1973 roku, prawie pół wieku temu. Najłatwiej byłoby stwierdzić, że opisana tam gmina oraz panujący w niej stan bylejałości i beznadziei, to świetne oddanie ducha PRL-u, natomiast dziś jest już zupełnie inaczej. Pewnie, że jest inaczej, ale co ze słowem „zupełnie”? Czy dziś nie ma już takich gmin, z których mieszkańcy najchętniej by puciekali?

Jako człowiek spieszony podróżuję najczęściej autobusami i pociągami. Takie podróże, które zwalniają z obowiązków kierowcy i nie zmuszają do skupienia się na drodze, pozwalają na obserwacje mijanej okolicy. Można dostrzec wówczas rzeczy piękne i szpetne. Dziś te brzydkie staramy się schować przed wzrokiem postronnych obserwatorów, ale jeszcze niedawno nikomu one nie przeszkadzały. Pasażer autobusu PKS jadący z Nowego Dworu Gdańskiego do Gdańska lub Tczewa (ta linia już nie istnieje) do woli mógł patrzeć w Ostaszewie lub Nowej Cerkwi na zabałaganione podwórza, zarosłe chwastem, zawalane rdzewiejącymi maszynami rolniczymi, latem cuchnące gnojem. A do tego dochodził przygnębiający widok niszczących domów i zabudowań gospodarczych, często obiektów zabytkowych. Gmina - wypisz, wymaluj - jak z cytowanej piosenki. Oczywiście nie tylko ta, pełno było takich. Przez ostatnie trzydzieści lat tu zaszła ogromna zmiana. Dziś widzimy zadbane ogródki, starannie przystrzyżone trawniki, porządne wyasfaltowane drogi. Coś się zmieniło w mentalności Polaków. Kiedyś kałuża gnojówki w obejściu im nie wadziła, dziś przeszkadza. Okazało się, że można posprzątać obejście, posadzić iglaki, pomalować płot.

Ostaszewo jest najmniejszą i najuboższą z gmin żuławskich. Nie ma tu plaż i ośrodków wczasowych, brak tu atrakcyjnych szklaków wodnych. Kolejka wąskotorowa, która miała przywozić turystów została rozebrana. Co pozostaje? Rolnictwo - prawie 90% obszaru gminy zajmują użytki rolne. Kiedyś było to źródło i fundament żuławskiego bogactwa,



Przedwojenne zdjęcie remontowanego domu, fot. ze zbiorów Krzysztofa Stelmasińskiego

dzisiaj jednak już nie przynosi takich profitów¹. Dawne PGR-y polikwidowano, ich ziemię przejęli bogaci rolnicy lub agrofirmy. Dzisiaj nie da się dobrze żyć z uprawiania 2-3 hektarów. Wielki przemysł tu (może na szczęście) nie przyjdzie. Powstało kilka zakładów przemysłowych, budowlanych i usługowych. Bezrobocie jest podobne jak w całym województwie pomorskim (6%).

Mocną stroną gminy jest położenie. Bliskość trasy S7 sprawia, że do Gdańska jest kwadrans drogi. Krócej niż z wielu dzielnic Gdańska do jego centrum. Ostaszewo stało się atrakcyjnym miejscem, gdzie za rozsądne pieniądze (w porównaniu np. z Kaszubami, czy najbliższą okolicą Trójmiasta) można kupić działkę albo dom. Osiedlają się tu ludzie, którzy pracują w metropolii, ale wolą mieszkać z dala od zgiełku wielkiego miasta - powoli gmina staje się sypialnią. Nie ma tu smogu, ale zimą można poczuć zapach palonych śmieci. Jest spokój, bliski kontakt z naturą. Jednak przybysze narzekają na problemy z przyłączeniem do kanalizacji, słaby Internet, brak rozrywek.

Pytam wójta Michała Chrzęszcza o stan gminy. Mówi, że on sam jest najlepszym przykładem siły przyciągania Ostaszewa – przeprowadził się tu dwadzieścia lat temu, od sześciu lat pracuje w Urzędzie Gminy. Żuławy go zafascynowały, dlatego zrezygnował z mieszkania w Gdańsku i wybrał wieś. Trwają prace nad budową nowej oczyszczalni ścieków, w planach jest rozbudowa sieci kanalizacji. Opowiada o budowie ścieżki rowerowej, nowych chodnikach i nawierzchniach dróg, o poprawie oświetlenia. Obecnie jest duża sprzedaż działek budowlanych, więcej mieszkańców, to większe wpływy z podatków i większe szanse na rozwój.

Mnie jednak bardziej interesuje, czy gmina ma coś do zaoferowania turystom? Brak tu wspaniałych zabytków i olśniewających widoków. Tak, jak na całych Żuławach, krainie dla koneserów. Na spotkaniach autorskich, które odbywały się po publikacji pierwszego tomu „Mojego płaskiego kraju” kilka razy spytano mnie: Dlaczego nie napisał pan nic o Osta-

¹ „Największy udział w ogóle podmiotów gospodarczych gminy, blisko 55% wszystkich podmiotów stanowią firmy prowadzące działalność w zakresie usług, z kolei najmniejsza liczba podmiotów przypada na rolnictwo, leśnictwo, łowiectwo i rybactwo”. Cyt. za: Projekt „Programu Ochrony Środowiska dla Gminy Ostaszewo na lata 2015-2018 z perspektywą do 2022 roku”, dostępny na: <https://www.ostaszewo.pl/>



szewie? No to postanowiłem sprawdzić, czy warto. Pojechałem, moim przewodnikiem był Wojtek Wycichowski, mój dawny uczeń. Spędziłem w gminie Ostaszewo piękny sierpniowy dzień i okazało się, że warto było. Opowiem dlaczego.

Zawsze śmieszyło mnie, gdy przewodnicy turystyczni rozpoczynali swą opowieść od prehistorii. Na twarzach turystów pojawiał się wówczas grymas męki. I nigdy nie myślałem, że i ja kiedyś tak zacznę: „W latach 2850-1700 p.n.e., czyli w okresie neolitu - na Górze Szubienicznej koło Ostaszewa i Górze Wiatracznej (koło Lubieszewa) odnaleziono zabytki z okresu młodszej epoki kamiennej”. Co mnie podkusiło? Otóż dwie sprawy: góry na Żuławach i wykopaliska. Ta kraina kojarzy się raczej z mokradłami i z płaskością... Ale słowo „góra” jest tu bardzo umowne. To były raczej kilkumetrowe wyniesienia, raptem 5-6 metrów². Dziś próżno ich szukać, zostały zaorane, śladu po nich nie ma. Po drugie wykopaliska - zastanawiałem się, co można wykopać z mułu? To błędne myślenie - nie całe Żuławy wyłoniły się z morza. Wzmiankowana mapa rekonstruuje dokładnie stan z okresu średniowiecza - widać tam, gdzie był ład stały a gdzie jeszcze wodne odstępki. Na Szubienicznej Górze w 1896 roku miejscowy rolnik odkopał urny. Badania archeologiczne pokazały na liczne ślady osadnictwa na tych terenach³. „Prawdopodobnie odnalezione osady miały charakter okresowy, a ich powstanie mogło mieć związek z głównymi zajęciami ówczesnej ludności - rybołówstwem oraz poławianiem i obróbką bursztynu”⁴.

Początki wioski to początek XIV wieku. Założyli ją krzyżacy, podobnie jak wiele wsi na Żuławach⁵. Było to konsekwencją decyzji o utworzeniu w Malborku stolicy Zakonu. Zamiast sprowadzać żywność postanowiono ją produkować na miejscu. Wcześniejsze osadnictwo słowiańskie było dość słabe. Krzyżacy zdecydowali się sprowadzać kolonistów z obszarów fryzyjskich i holenderskich, bo ci dobrze sobie radzili z melioracją tych podmokłych terenów⁶. „W wyniku podjętych przez zakon krzyżacki prac melioracyjnych i budowy wałów, około 1330 r. została tu założona wieś lokacyjna zasiedlona przez niemieckich chłopów. Osada ta otrzymała w 1333 r. przywilej lokacyjny na prawie chełmińskim, z rąk wielkiego komtura zakonu krzyżackiego Konrada Kesselhuta”⁷.

To był sposób na zagospodarowanie tych ziem - podmokłych i dzikich. Łądu będącego wówczas gmatwaniną wysp i ostrowi, kęp, łach i zdradliwych mokradel, topieli i zamulonych strug. Krzyżacy umieli dostrzec w tych nieżyczliwych człowiekowi odludnych peryferiach potencjał. W lokowanych wioskach wznosili kościoły. To tłumaczy, że w płaskim kraju jest taka obfitość gotyckich kościołów, często stojących bardzo blisko siebie: Marynowy, Tuja, Orłowo, Lubieszewo, Świerki, Jeziernik, Ostaszewo... Stojąc na wale przeciwpodziowym nad Tugą widać dwie, czasem nawet trzy wieże kościelne.

² Według mapy Bertrama „Das Weichseldelta um des Jahr 1300”, na której zaznaczono warstwie od 0,5 m. n.p.m. do 9 m. na południe od Mątów Małych. Mapa jest załącznikiem w: „Das Weichsel-Nogat-Delta. Beiträge zur Geschichte seiner landschaftlichen Entwicklung, vorgeschichtlichen Besiedelung und bäuerlichen Haus- und Hofanlage” von H. Bertram, W. La Baume, O. Klooppel, Danzig 1924.

³ Więcej na ten temat: „Das Weichsel-Nogat-Delta...”, s. 57-104.

⁴ https://pl.wikipedia.org/wiki/%C5%BBu%C5%82awy_Wi%C5%9Blane#Historia_osadnictwa

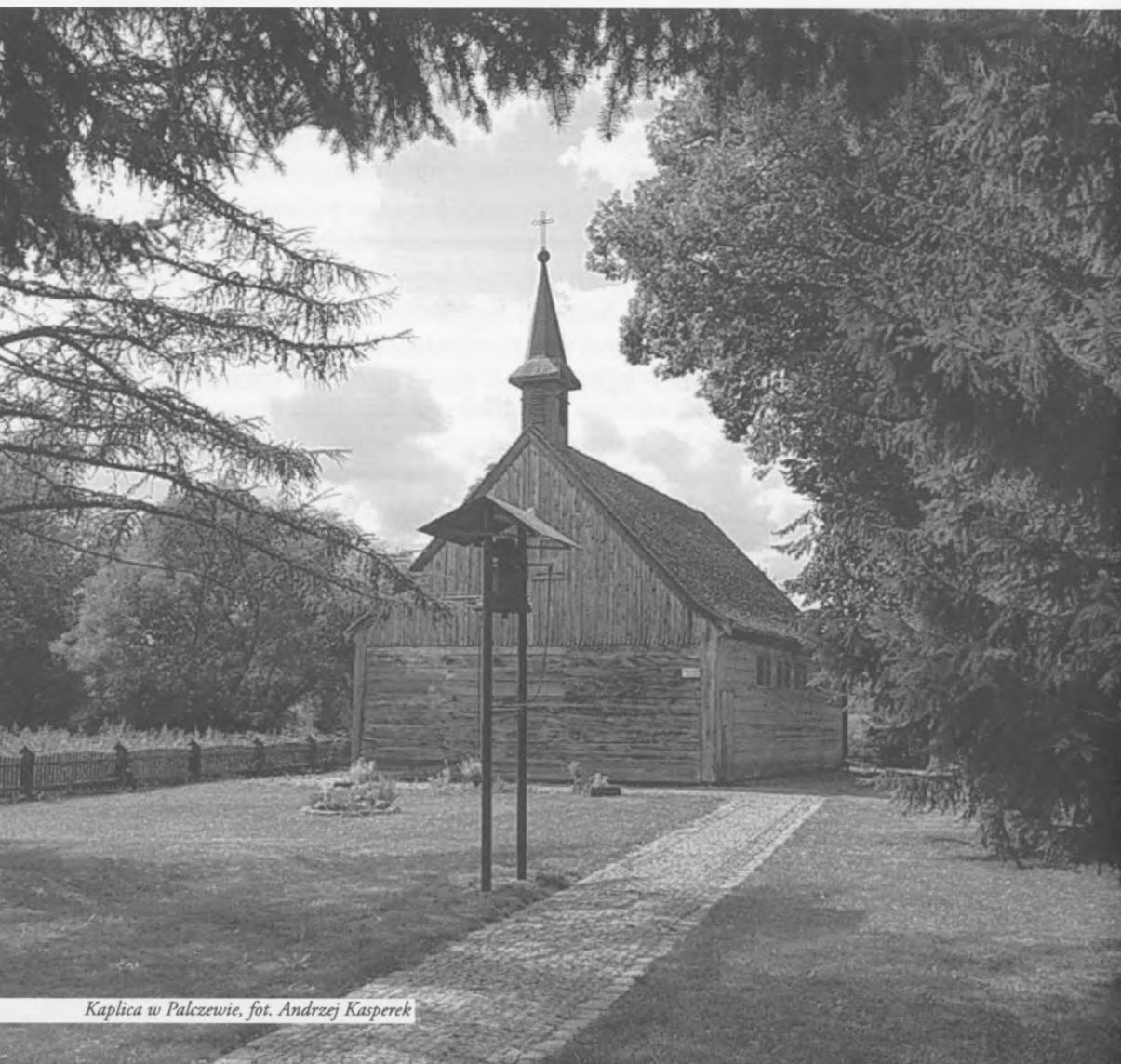
⁵ Więcej na ten temat: Wiesław Długocki „Osadnictwo na Żuławach w XIII i początkach XIV w.”, Malbork 1992.

⁶ Zob.: „Dzieje Pomorza Nadwiślańskiego od VII wieku do 1945 roku”, Gdańsk 1978, s. 77.

⁷ Christofer Herrmann „Dawny katolicki kościół parafialny pw. Św. Jana Chrzyciela w Ostaszewie ekspertyza historyczno-budowlana” (2013). Zob.: <https://www.academia.edu>

Niemiecka nazwa wioski brzmiała: *Schöneberg*, czyli Piękna Góra, choć może lepiej użyć tu innego znaczenia tego słowa, a mianowicie: wzniesienie, pagórek. Wspominałem już o Górze Szubienicznej (*Galgenberg*). Takie nazwy były kiedyś często spotykane - szubienice wznoszono wysoko, bo widok wisielca miał odstraszać, ciała powieszonych przestępców pozostawiano na szubienicy do chwili: „aż zgniją ścięgni i rozluźnią się spojenia kości”⁸. Kontrast pomiędzy Pięknym Wzgórzem a szubienicą jest wielki. Może chodziło o magiczną moc słów, w ten sposób chciano zaczarować rzeczywistość, bo na Żuławach nader często znajdziemy w dawnych niemieckich nazwach miejscowości cząstkę *Schöne*. Jeziernik zwał się kiedyś *Schönese* (Piękne Jezioro), Gniazdowo - *Schönhorst* (Ładne Gniazdo) a Drewnica po niemiecku to *Schönbaum* (Ładne Drzewo).

⁸ Tak w „Roczniku kapituły krakowskiej” opisano ukaranie przez Władysława Łokietka buntowników w Krakowie w roku 1312.



Kaplica w Palczewie, fot. Andrzej Kasperek

Wieś usadowiona była strategicznie, blisko Wisły, na szlaku z Malborka do Gdańska. Urządzono tu przeprawę promową. To o niej wspomina Sebastian Klonowic w swym dziełku „Flis, to jest spuszczenie statków Wisłą i inszemi rzekami do niej przypadającemi”⁹:

„Tam kępa Czczowska, tam też niedaleko
Przewóz Malborski przez Wisłę poprzeko,
Gdzie Szynberg w swojej karczynie jako w jamie
Zasiadł na tamie”¹⁰.

Przeprawa do wioski Leszkowy na lewym brzegu Wisły istniała do okresu powojennego. Dziś zostały tylko brukowane drogi, które urywają się przy rzece i ruiny dawnej karczmy „Gasthaus Schönebergerfähre”, czyli „Gospoda przy Promie Ostaszewskim”. Na przedwojennym zdjęciu lotniczym widać wyraźnie, że organizacja ruchu była wówczas zupełnie inna - główna droga wsi wiodła prosto do rzeki a okolice promu były tak naprawdę przysiółkiem. Nieoceniony „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich” w haśle „Szembark” podaje, że owo wybudowanie liczyło „6 dm., 63 mk.”¹¹, czyli 6 dymów (zabudowań) i 63 mieszkańców. To strategiczne położenie sprawiło, że w wiosce odpoczywali dwa razy polscy królowie: w 1457 r. zatrzymał się tu król Kazimierz Jagiellończyk, który podróżował z Gdańska do Malborka, a w 1526 r. król Zygmunt Stary stanął z popasem w gospodzie przy rzece.

Historia Ostaszewa to historia Żuław w pigułce - najpierw w granicach Pomorza Gdań-

⁹ Opowiadałem o tym w 36 numerze „Prowincji”.

¹⁰ Sebastian Fabian Klonowic „Flis, to jest spuszczenie statków Wisłą ...”, oprac. Stefan Hrabec, Wrocław 1950, s. 91.

¹¹ „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich”, Warszawa 1890, t. XI, s. 891.



Zdjęcie ruin kościoła: <http://www.forum.dawnygdansk.pl/>

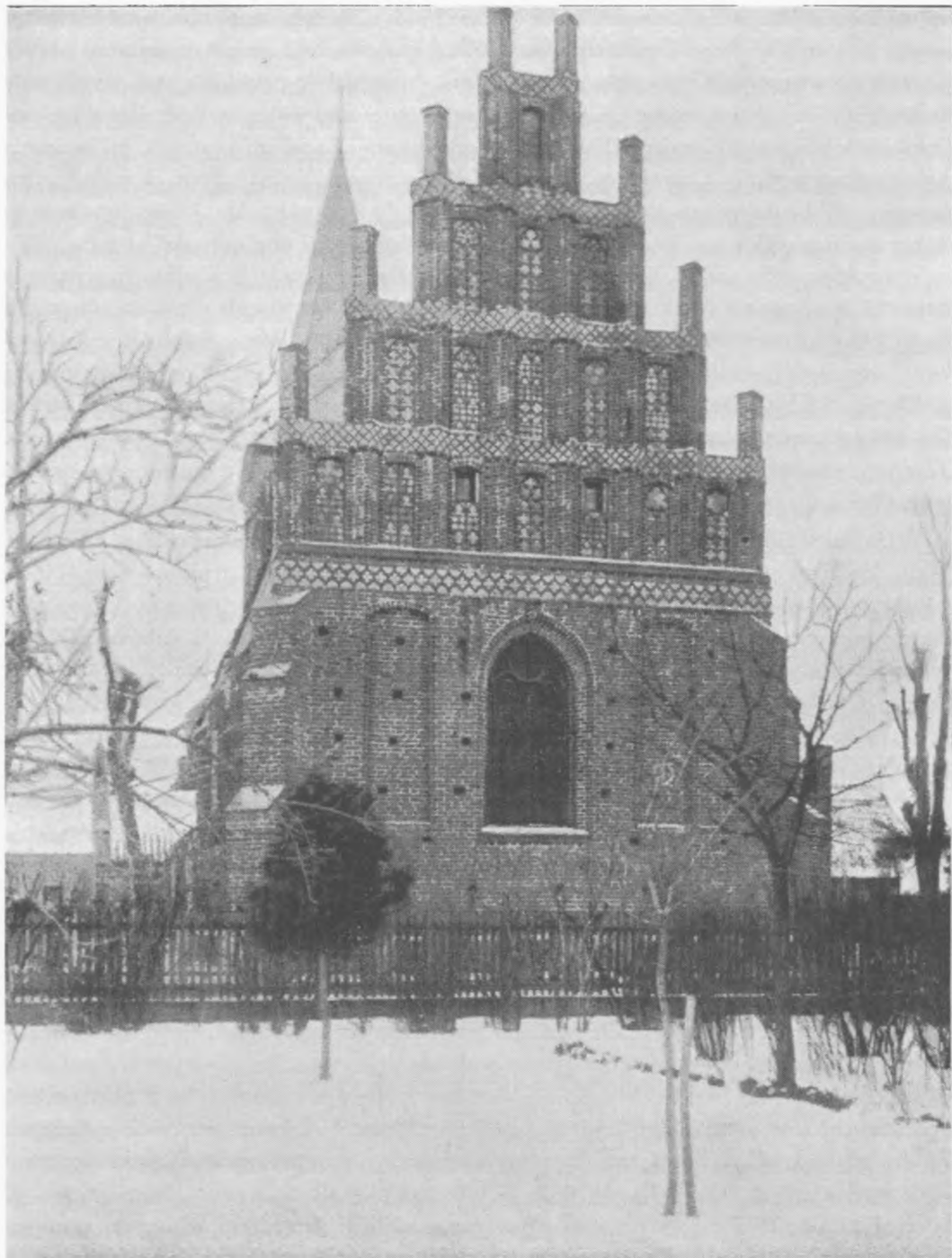
skiego pod władzą księcia pomorskiego Świętopelka, a później pod panowaniem krzyżaków. Od 1466 r., czyli pokoju toruńskiego, nastąpił powrót do Polski (znalazły się w granicach województwa malborskiego). W 1526 r. wielka powódź zalała 15 wsi żuławskich. „W jej wyniku utonęło łącznie 5000 ludzi, 1500 koni, 400 krów. W samym Ostaszewie podczas snu utonęło 200 osób, a kolejnych 85 w czasie naprawy wału. Usuwanie skutków powodzi i naprawa wałów trwały 5 lat”¹². W 1535 r. król Zygmunt August oddał w lenno wsie Ostaszewo i Jeziernik Michałowi Loitzowi w zamian za pożyczkę w wysokości 40.000 talarów. Sprowadzono osadników mennonickich. Lata 1626-1635 r. zajęcie terenów Żuław przez wojska szwedzkie. W czasie potopu (1657 r.) Szwedzi przerwali wał wiślany w miejscowości Kiezmark - Żuławy po raz drugi zostały zalane. Po I rozbiorze wieś i cały region znalazły się pod panowaniem pruskim. 1806 r. - wojna napoleońska - w Ostaszewie stacjonowało ponad 2000 żołnierzy francuskich. Pod koniec XIX w. zbudowano kolej wąskotorową - na trasie Malbork - Nowy Staw - Ostaszewo - Nowy Dwór Gdański. Po zakończeniu wojny tereny Ostaszewa znalazły się w obrębie Wolnego Miasta Gdańska. II wojna światowa - Żuławy włączono do Rzeszy. W 1945 r. armia niemiecka, by zatrzymać Rosjan, przerwała wał na Wiśle i cała okolica znalazła się pod wodą. Pod koniec wojny niemiecka ludność opuściła swą wieś. Po sześciu wiekach rozpoczyna się nowa era w dziejach wioski - polskie osadnictwo. To tylko najważniejsze fakty, nie jest moim zadaniem dokładne opisywanie dziejów miejscowości i okolic. Zainteresowanych odsyłam do książki Lidii Sobolewskiej-Kiszkiel pt. „Obrazki z dziejów Ostaszewa”¹³.

¹² <https://www.ostaszewo.pl/index.php/o-gminie/wazne-daty>.

¹³ Lidia Sobolewska-Kiszkiel „Obrazki z dziejów Ostaszewa”, Ostaszewo 2000.



Ostaszewo, fot. fotopolska.eu



Ostaszewo – dawny kościół, fot. fotopolska.eu

Można w niej odnaleźć prawdziwe perełki, np. przetłumaczone na polski fragmenty pamiętnika stolarza Franza Goike. Opisuje w nich ciężkie dni, które dla mieszkańców spokojnych do tej pory Żuław nastąpiły od końca 1944 r., wtedy napór Armii Czerwonej stawał się coraz większy. Dylematy - uciekać czy pozostać? Co zapakować, a co ukryć? Coraz bliższa kanonada sowieckiej artylerii, front zatrzymał się prawie za wsią, wysadzenie wałów na Wiśle. Powtarzające się rozkazy natychmiastowego wyjazdu, podpalenie kościoła katolickiego przez niemieckich żołnierzy, strzelaniny i bombardowanie... 30 kwietnia pamiętnikarz zapisał: „O godzinie 16.15 oficerowie przyszli do nas. Sytuacja była bardzo poważna. W brutalny sposób zostaliśmy zmuszeni do ucieczki”. Ale mnie zdumiał wpis dokonany trzy dni wcześniej, 27 kwietnia: „Piękna pogoda. Tucholski sadi kartofle. Wieczorem znowu strzelanina”. Wojna, nie wojna. Kartofle trzeba sadzić. Wielkie przywiązanie do ziemi ojczystej, z której trzeba udać się na poniewierkę. Ale pewnie w ten sposób ocalili życie. Pół roku wcześniej w Nemmersdorf, wiosce w Prusach Wschodnich, Rosjanie dokonali masakry ludności cywilnej. Mieszkańców Schöneberg ewakuowano drogą morską do Danii. 612 lat od założenia wioski przez krzyżackiego komtura odeszło w zapomnienie. Do dawnej historii Ostaszewa wracano niechętnie, zmieniło się to dopiero po 1989 roku. To dotyczy zresztą całych Ziemi Odzyskanych. Dziś na szczęście nie musimy już historii przemilczać ani fałszować.

Warto tu wspomnieć, że przed wojną we wsi działała organizacja polonijna. Ciekawe, że polskie korzenie miało wielu mieszkańców wsi. Jeśli spojrzeć na strukturę wyznaniową wioski pod koniec wieku XIX to wyraźnie widać, że połowa mieszkańców była katolicka, połowa protestancka¹⁴. Można przyjąć, że wielu katolików uważało się za Polaków. Tyle, że od rozbiorów następowała coraz silniejsza germanizacja. Pani Sobolewska-Kiszkiel w swej książce przytacza wspomnienie Zygmunta Kurka, nauczyciela i działacza gdańskiej Macierzy Szkolnej, który jesienią 1936 r. odwiedził Ostaszewo, aby uczyć miejscowe dzieci języka polskiego. Choć działał legalnie, zgodnie z przepisami Senatu Wolnego Miasta Gdańska, został w czasie lekcji aresztowany przez miejscowych żandarmów i zmuszony do powrotu do Gdańska. Eskortujący go na przystanek autobusowy policjant okazał się Polakiem, który korzystając z okazji wyznał, że „tutejsze Polaki” już licho mówią po polsku, ale gdyby jutro do wsi przyszło polskie wojsko, to więcej jak połowa wsi przypominałaby sobie o polskim pochodzeniu¹⁵. Ciekawe, co się z tymi ludźmi stało po wojnie, ilu z nich pozostało w Ostaszewie? Jakie były ich losy?

Okres powojenny był także typowy - dla gminy i Żuław. Trudy odbudowy i osuszania, zakładanie pegeerów na ziemiach wielkich gospodarstw należących niegdyś do miejscowych gburów, czyli bogatych gospodarzy, brak perspektyw... Zupełnie jak w cytowanej na wstępie piosence: „ani POM-u, ani młyna, krzyż, chałupy i krowina [...] Taka gmina. Spotkasz chłopca - gęba sina, Oj, nie wraca ci on z kina...”. Przekleństwem powojennych Żuław był brak poczucia tożsamości, płytkie korzenie owej „mieszanki kielecko-kresowej i kociewsko-powiaślańskiej”. To nie moje, to poniemieckie - było wytłumaczeniem inercji, biedy, braku ambicji i braku marzeń. Autorka książki o Ostaszewie kończy ją smutno:

¹⁴ Wieś liczyła 1510 mieszkańców, z czego 719 katolików, 753 ewangelików, 35 „dysydentów” (czyli mennonitów) i 3 żydów. Zob.: „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego...”, op. cit., s. 891.

¹⁵ Lidia Sobolewska-Kiszkiel, op. cit., s. 53.

„Uptywające lata coraz częściej jednak malowały szary, brudny, przygnębiający wręcz obraz wsi, odzwierciedlający prawdziwe ubóstwo, nie tylko materialne, ale i duchowe społeczeństwa”. Dodaje jednak z nadzieją: „Czy mieszkańcy naszych wsi [będą] potrafili jeszcze budować uczciwe jutro - czas pokaże, a historia za kilka lat oceni”¹⁶.

Dziś, po dwudziestu latach, można dokonać pewnych podsumowań. Na szczęście saldo jest dodatnie. Wspomniałem wcześniej, że gmina stała się ładniejsza, bardziej zadbana. Rozmawiałem z Krzysztofem Stelmasińskim, który od półtora roku remontuje dom z 1850 r. Prawdopodobnie jest to najstarszy dom w miejscowości. Stoi przy głównej drodze, przed 1945 r. pełnił funkcję sklepu kolonialnego, był tam salon fryzjerski, działała mała gastronomia. Należał kiedyś do jego dziadków i rodziców. Nowy właściciel mówi, że kiedy wszedł do niszczonego budynku, coś poczuł, jakiś impuls kazał mu przywrócić go do stanu jak najbliższego tego, jak wyglądał on w czasach swej świetności. Samodzielnie zbił młotkiem każdy kawałek tynku, którym pokryto go po wojnie, wyciągnął setki gwoździ z pokaleczonych belek. Znalazł fachowców i krok po kroku doprowadza go do wymarzonego kształtu. Udało się zachować przeszło 65 procent autentycznej substancji domostwa. Prościej byłoby zmieść go z powierzchni i postawić dom z katalogu, ale tu od 1965 r. żyła jego rodzina, to już historia żuławskich Stelmasińskich, na to już nie można machnąć ręką. Po remoncie Krzysztof zamieszka tam wraz z rodziną, może część powierzchni przeznaczy na cele usługowe. To przykład wrastania w tę ziemię, czego zawsze tu brakowało.

Anna i Roman Głobińscy to drugie pokolenie żuławiaków. Rodzice Romana mieszkali najpierw w Nowej Cerkwi (od 1947 r.), a później przenieśli się do Ostaszewa. Koło ich domu jest hektarowa działka. Przez nią w latach 70. nie chcieli ich przyjąć do spółdzielni mieszkaniowej w Gdańsku. Po studiach (oboje są inżynierami, specjalistami od budownictwa) zamieszkali więc na ojcowiznie. Od 1989 r. zaczęli upiększać otoczenie domu, ale chyba złapali bakcyła ogrodniczego, bo pojechali do arboretum w Wirtach koło Starogardu i po powrocie spróbowali stworzyć coś na jego podobieństwo. Oczywiście skala była zupełnie inna, pod zasadzenia przeznaczili pół hektara gruntu. Zamówili projekt i od 1997 r. poczęli tworzyć swój las, park, ogród. Sami zastanawiają się jak go nazwać, bo choć całość planował fachowiec, to wcale nie chcieli, żeby wszystko rosło pod linijkę. Posadzili przeszło 400 drzew i krzewów: brzozy, buki, jodły, daglezie, modrzewie, świerki i sosny. Długo by jeszcze wymieniać... Byłem u nich w latach 90., odwiedziłem niedawno i moją reakcją był zachwyt. Chodziłem po alejkach, siadałem na polanach i nieustannie dopytywałem się o nazwy drzew i krzewów. Dla mnie to kapitalny przykład nie tylko pasji, ale także energii i robienia czegoś pożytecznego. Bo zakładanie ogrodów, sadzenie drzew (szczególnie w czasach kiedy nieustannie słyszymy o wyrębie i oglądamy ogłowione lub powalone pnie) jest działaniem dla przyszłości, przykładem myślenia ekologicznego. Dziś państwu Głobińskim pomaga córka Joasia z mężem. Zamieszkali wśród drzew i przejęli pasję po rodzicach.

Kiedy pytam Wojtka Wycichowskiego, mojego przewodnika po gminie: z czego jesteś dumny w Ostaszewie, odpowiada, że z kilku rzeczy, które udało mu się zrobić m.in. jako radnemu w latach 2010-2018. Bez wątplenia będą to Mady Ostaszewo - ukochany klub piłkarski, który wspólnie z kilkoma osobami reaktywował w 2012 r. Dzięki zaangażowaniu

¹⁶ Ibidem, s. 77.

wielu ludzi awansował on kolejno z B do A klasy, a następnie do V ligi, co jest historycznym sukcesem. Udało się również zmodernizować boisko piłkarskie, a w zasadzie wybudować stadion z nową murawą, ogrodzeniem, trybuną na 200 osób i całym zapleczem sanitarnym. Dodaje, że był również pomysłodawcą, inicjatorem budowy kortu do tenisa ziemnego w parku w Ostaszewie. Zamyśla się i mówi: „Z tych rzeczy jestem dumny, jakiś ślad po mnie pozostanie”.

Kiedy Stelmasiński remontował dom, Głobińscy sadzili drzewa, a Wycichowski walczył o klub wielu mówiło: Na co to wam? Chce się wam? Ci sami ludzie dziś często mówią: Ładnie ci idzie ten remont. Piękny ten laszek. Ale nasz klub zagrał! Pozytywne myślenie ma kolosalną siłę. I może wiele zmienić.

Ale po co zaglądać do gminy Ostaszewo? Spróbuję zaproponować marszrutę na jeden dzień. Najlepiej jeśli trafimy na pogodę i kwitnące rzepaki lub wyłoczone łąny zbóż. Brzmi kiczowato? Cóż zrobić? Wówczas płaski kraj jest najpiękniejszy.



Palaceva, salubrious organy. fot. Andrzej Kasprzak



Synthale

Hilfsbau



Gutshof Halzweg

Größ am Schöneberg a. W.

Kiedy skręcimy z trasy S7 na Ostaszewo znajdziemy się w Dworku (Baarenhof = Niedźwiedzi Dwór), zaraz za nim jest Nowa Kościelnica. Pierwsza miejscowość należy do gminy Stegna, druga to już gmina Ostaszewo. Zastanawiałem się, czy pisać o budynku dawnej pastorówki, bo znajduje się on we Dworku, a więc w sąsiedniej gminie. Ale pomyślałem, że turystę niewiele obchodzi granica administracyjna i jeśli zatrzyma się, żeby obejrzeć w Nowej Kościelnicy dwa domy podcieniowe, to przejdzie kilka metrów i stanie przed ścianą domu będącego domem pastorów nieistniejącej dziś parafii ewangelickiej. Naprzeciwko był zbór i cmentarz, na ich miejscu jest był zajazd „Flis”, dziś to Dom Seniora. Pozostawiam to bez komentarza. Co ciekawego jest w pastorówce. Otóż pozostała na jej fasadzie kamienna tablica pamiątkowa¹⁷, z której ktoś pracowicie, litera po literze, skuł napis. Wmurowano ją na cześć Abrahama Hartwicha w 1809 r., rok po wybudowaniu nowego domu kapłanów. Miała uczcić najznamienszego mieszkańca dawnej plebanii. Abraham Hartwich (1663 - 1720) to niemiecki teolog protestancki, pedagog, historyk, autor trzytomowego dzieła o Żuławach Wiślanych pt. „Geographisch-Historische Landes-Beschreibung deren dreyen im Pohnischen Preußen liegenden Werdern, als das Dantziger- Elbing- und Marienburgischen”, czyli: „Geograficzny i historyczny opis trzech Żuław leżących w Polskich Prusach: Gdańskich, Elbląskich i Malborskich”. Wydana w 1722 r. książka jest pierwszym i do dziś nieocenionym kompendium wiedzy o Żuławach - ich historii, geografii, demografii, faunie i florze, obyczajach i wierzeniach mieszkańców¹⁸. Dzieło dla badaczy Żuław bezcenne. Napis brzmiał:



Dworek, skuta tablica, fot. Andrzej Kasperek

*Zum Andenken an
Abraham Hartwich
Verfasser der Landesbeschreibung
der drei Werder
geb. 1663 zu Königsberg
gest. 1720 zu Baarenhof
1712-1720 Prediger hierselbst*

*Pamięci
Abrahama Hartwicha
Autora opisu krainy
trzech Żuław.
Ur. w 1663 roku w Królewcu.
Zm. w 1720 roku w Dworku.
Był tu kaznodzieją (1712-1720). 19*

Warto pomyśleć o nowej dwujęzycznej tablicy i powiesić ją na budynku. Czasy skrzyżnego usuwania wszelkich śladów niemieckich w naszym regionie mamy na szczęście już za sobą.

¹⁷ Informację o niej znajdziemy w przewodniku Karoliny Manikowskiej i Tomasza Wąsika „Żuławy rowerem”, Gdynia 2012, s. 64-65. Autorzy przypisują ten budynek do Nowej Kościelnicy. Zob. także: <https://zulawy.infopl.info/index.php/pndg/gstegna/dworek>. Tam podana jest prawidłowa lokalizacja budynku.

¹⁸ Oto opinia Bernarda Schmida o dziele Hartwicha zamieszczona w 1941 r. w „Altpreußische Biographie (s. XXXI): Hartwiche „daje dzieło o wielkiej wartości źródłowej, które w podobnej formie nie ma sobie równych, i dlatego jest nieodzowną pomocą do badań regionalnych”. Cyt. za: Wojciech Zawadzki „Recenzja „Geographisch-historische Landesbeschreibung...“ [w:] „Komunikaty Mazursko-Warmińskie”, 2005, nr 1, s. 107.

¹⁹ Dziękuję Wolfgangowi Naujocksowi za ustalenie tych informacji. Skuty napis jest opublikowany w: „Mitteilungen des Westpreussischen Geschichtsvereins”, 1910, nr1, s. 10.

Wspomniałem o dwóch domach podcieniowych. Noszą one numery: 50 i 64. Należały do bogatych gospodarzy. Jeden liczy 8 słupów. Jeśli zastosować przelicznik: 1 kolumna = 1 łan to łatwo obliczyć, że jego właściciel gospodarował na 8 łanach, czyli na prawie 144 hektarach. Łan to prawie 18 hektarów. Drugi jest jeszcze większy, ma 9 słupów. Powodziło się żuławskim gburom i określenie domu podcieniowego jako „chłopskiego pałacu” jest zupełnie zasłużone. Ten większy pochodzi z XVIII wieku i od 2013 r. jest remontowany. Pewnie Daniel Kufel, Artur Wasielewski albo Mariusz Wiśniewski²⁰ nie pochwaliliby sposobu remontu, bo są purystami, którzy dbają bardzo o zachowanie jak największego procentu dawnej substancji materialnej remontowanych obiektów. Tutaj mamy do czynienia raczej z rekonstrukcją. Ja cieszę się, że dom ocalał, nawet jeśli użyto współczesnej cegły. Zbyt wiele domów podcieniowych zmarniało. Dobrze, że obecni właściciele, Mariola i Grzegorz Nowakowie, go ratują. W planach jest urządzenie na parterze restauracji, a na piętrze pokojów gościnnych. Nikt w gminie nie zajmuje się takimi usługami i mam nadzieję, że mają duże szanse na sukces.

W Ostaszewie najciekawsze są ruiny kościoła katolickiego. Został zbudowany w stylu gotyckim w I połowie XIV wieku. Była to prosta konstrukcja wzniesiona na planie prostokąta, jednonawowa, z wieżą od zachodu. Ściana wschodnia wyróżniała się przepięknym, blendowo-sterczynowym szczytem. „Zgodnie z chrześcijańskimi zasadami kościoły stawiano przede wszystkim na linii wschód-zachód. Od wschodu rozpoczynano budowę świątyni. Tam umieszczano prezbiterium i ołtarz główny. Stamtąd oczekiwano nadejścia Jezusa Chrystusa. Wschodnie ściany szczytowe kościołów pełniły również najbardziej dekoracyjną i eksponowaną rolę”²¹. Można odnieść wrażenie, że krzyżacy budowali kościoły w swym państwie wręcz seryjnie, tak są do siebie podobne. Wystarczy porównać wschodnie ściany w kościołach w: Starej Kościelnicy, Trutnowach, Cyganku, Mątowach Wielkich, Kmiecinnie czy Miłoradzu...

W 1945 r. wycofujący się żołnierze niemieccy wysadzali i palili wszelkie obiekty, które ze względu na swą wysokość mogły być punktami orientacyjnymi dla artylerii wroga. Ofiarą padały przede wszystkim wiatraki i wieże kościołów. Nie wiadomo, dlaczego w Ostaszewie postanowiono spalić cały kościół. Wiąże się z tym dramatyczna historia. Obok ruin znajduje się cmentarz, a na nim znajdziemy grób nieznanego, niemieckiego żołnierza, który odmówił wykonania rozkazu podpalenia świątyni i został rozstrzelany. Ten, który zdecydował się wykonać świętokradczy rozkaz, „spłonął we wznieconym przez siebie ogniu”²². Tak to opisano w szkolnej kronice. Prawda czy legenda? Nikt tego już dziś nie ustali. Katolicy zajęli kościół ewangelicki zbudowany w latach 1873-74 w stylu neogotyckim. Przez długie lata ruiny stały otwarte i traktowane były przez wielu jak śmietnik. Stare nagrobki i wszelkiego rodzaju śmieci zwalano tutaj. Proboszcz, ks. Jerzy Młocicki, podjął się trudu uporządkowania wnętrza. Wstawiono porządną bramę. Kolejny proboszcz, ks. Jacek Hac, miał pomysł na odbudowanie i zagospodarowania budowli z przeznaczeniem na centrum kulturalne wsi. Jak zwykle zabrakło pieniędzy, ale przynajmniej nikt już w ruinach nie śmieci.

²⁰ Wymieniam właścicieli domów podcieniowych w Koszwałach, Żuławkach i Orlowie, którzy w odremontowanie swych domów włożyli mnóstwo czasu i pieniędzy.

²¹ Józef Golicki „Żuławy - niezwykła kraina”, Pelplin 2017, s. 15.

²² Lidia Sobolewska-Kiszkiel, op. cit., s. 127.



Schöneberg

AN DER WEICHSEL



LINKE REIHE:

Der Kindergarten
Das Kriegerdenkmal
Der „Dorikrug“ von
Paul Groß

RECHTE REIHE:

Die Apotheke
Die Schule

1910-polska.eu

W Palczewie warto odwiedzić pochodzącą z 1712 r. drewnianą kaplicę pw. Matki Bożej Częstochowskiej. Miałem to szczęście, że oprowadzał mnie po niej ks. Roman Cielas, proboszcz z parafii w Borętach. Kapliczka jest zwykle zamknięta, ale warto postarać się, aby obejrzeć ją od środka. Na zewnątrz uderza prostotą, niektórzy mówią, że była to po prostu wiejska stodoła kryta strzechą²³. Wieżyczkę z sygnaturką dobudowano dopiero pod koniec XIX w. Pierwotnie należała do protestantów, a od 1949 r. przejęli ją katolicy. W środku zachwyca ołtarz (1754 r.) i stare organy z 1687 r. Prymitywne polichromie na ścianach i ławkach o tematyce biblijnej mają wiele uroku, jakby namalował je Nikifor.

²³ Żuławy pod panowaniem polskich królów nie były łaskawe dla innowierców. Utrudniano im budowę świątyń. Ich kościół w Ostaszewie początkowo też wyglądał jak wiejska chata. Zob.: L. Sobolewska-Kiszkiel, op. cit., s. 149.



Na terenie gminy - w Palczewie - ostał się wiatrak typu „holender”, czyli taki, który w odróżnieniu od „koźlaka” nie obraca się cały do wiatru - kręci się tylko „czapa”. Został on zbudowany w XIX wieku i był użytkowany jeszcze po II wojnie światowej. Na zdjęciu Marka Opitza sprzed ćwierć wieku widzimy jego wnętrze, a w nim worki ze zbożem i ściany ubielone mąką²⁴. Jest to konstrukcja murowano-drewniana z wysoką, ceglana podstawą i drewnianą wieżą. Wieża i obracana czapa kryte są gontem. Wiatrak jest obecnie (podobnie jak „koźlak” z Drewnicy) w prywatnych rękach. Ale ich właściciel chyba nie ma dobrego pomysłu na ich wykorzystanie - stan techniczny zabytków jest zły. Smutne, że symbole żuławskie tak niszczą. Tym bardziej, że na Żuławach Wielkich, czyli Wiślanych, są to jedyne obiekty, które przetrwały. Ostatnie ostanice z kilkuset²⁵... Radzę oglądać go z dystansu, otoczenie budynku jest zaniedbane, dociera się doń przez prywatną posesję. W 2015 r. pojawiło się ogłoszenie o sprzedaży wiatraka²⁶. Tomasz Płocke, jego właściciel, chyba nie znalazł do dziś chętnego. Dla gminy „450 tys. to nie jest ani dużo, ani mało”²⁷ stwierdził wówczas wójt, ale koszty remontu zapewne odstraszyły włodarzy gminy. Boję się o dalsze losy tego zabytku. A przecież to największa atrakcja turystyczna gminy.

Jeden dzień w gminie Ostaszewo. Myślę, że nikt nie będzie rozczarowany. A gdyby udało się jeszcze wyremontować i uruchomić wiatrak, to byłoby tak, jak to widziałem w Holandii, w skansenie Zaanse Schans. To jedna z najbardziej popularnych atrakcji turystycznych w kraju tulipanów. Holendrzy mają ich „już tylko około 1100”²⁸. Mój Boże – **tylko!** Dlaczego na Żuławach nie potrafimy zadbać o te dwa ostanice. Wyobrażam sobie, jaka to byłaby atrakcja, gdyby można było wejść do wiatraka, zobaczyć jak kręcą się jego śmigła, a młynarz udzielałby wyjaśnień, jak pracuje jego młyn. Można by poczuć zapach starego drewna, zboża, kupić świeżo zmieloną mąkę. Chcę wierzyć, że jest to możliwe. I wierzę, że taka atrakcja na pewno sprowadziła by do Gminy Ostaszewo wielu turystów.

²⁴ Zob.: Marek Opitz „Żuławy. Czas przełomu”, Nowy Dwór Gdański, il. 53.

²⁵ N W 1818 r. na samych Żuławach Malborskich istniały 124 wiatraki odwadniające i 35 przemiałowych. Do 1945 roku przetrwało ich co najmniej kilkadziesiąt. Piszę o tym w swojej książce „Mój płaski kraj Żuławy”, Nowy Dwór Gdański 2018, s. 25.

²⁶ „Powierzchnia: 403 m kw., stan: do remontu, rok budowy: 1800. Cena: 450 tys. zł (1117 zł za m. kw.)”. Zob.: <https://trojmiasto.wyborcza.pl/trojmiasto/1,35612,19202321,kup-sobie-zabytkowy-wiatrak-cena-niecale-pol-miliona-zlotych.html>

²⁷ ibidem.

²⁸ <https://www.amsterdam.info/pl/holandia/wiatraki/>

Beata Grudziecka



Historie malowane tlenkiem kobaltu (cz. I)

Tuż po wojnie można je było znaleźć w wielu żuławskich domach. Do lat 70-tych zachowały się sporadycznie, a dziś zobaczyć je można jedynie w dwóch wnętrzach domów podcieniowych w Żuławkach. Dla jednych są zwykłymi płytkami ceramicznymi, dla innych obiektami pożądanymi do gromadzonych przez lata kolekcji. Dla mnie są opowieścią o ludziach i miejscach - historią zapisaną błękitnym barwnikiem na białym szkliwie.

NIDERLANDY

Moda na biało-niebieskie płytki ceramiczne rozpoczęła się w Holandii na początku XVII wieku. Wprawdzie flizy wytwarzano tam już wcześniej, miały one jednak nieco inny wygląd, były wielokolorowe, bogato zdobione i zdecydowanie bliżej im było do włoskiej majoliki niż do dalekowschodniej porcelany. A to właśnie ta ostatnia stała się inspiracją do zmiany zdobnictwa, co jak się później okazało, dało początek wieloletniej modzie na holenderskie wyroby w całej Europie.

W 1604 roku, z ładunku statku przejętego przez Kompanię Wschodnioindyjską, na aukcję w Amsterdamie trafiło ponad 100 tysięcy wyrobów z chińskiej porcelany. Holendrzy natychmiast zakochali się w biało-niebieskich naczyniach, a ich posiadanie stało się wyznacznikiem dobrego gustu i wysokiego statusu społecznego. Nie wszyscy jednak mogli sobie pozwolić na zakup orientalnych wyrobów. Niszę na rynku szybko zapełniły holenderskie manufaktury fajansu. Choć oferowane przez nie wytwory jakością materiału nie przypominały w niczym cieniutkiej, przepuszczającej światło porcelany, to sposób zdobienia bardzo przypadł do gustu odbiorcom.

Jednym z miasteczek, które zasłynęło z produkcji biało-niebieskich naczyń, było Delft, dlatego też przyjęło się mówić o holenderskich wyrobach „fajanse z Delft”. Określenia tego używa się również w kontekście ceramicznych płytek ściennych, co jest nie do końca zgodne z prawdą. Największe ośrodki wytwórstwa fliz mieściły się bowiem w Amsterdamie, Rotterdamie, Utrechcie, Goudzie oraz w miastach fryzyjskich – Makkum, Bolsward i Harlingen.

W Holandii fajansowe płytki pełniły głównie funkcję użytkową. Na obrazach niderlandzkich mistrzów możemy zobaczyć je często w tle, ułożone w pasie tuż przy podłodze czy jako okładzinę ścian przy kominku. Z czasem zaczęto stosować je na większych powierzchniach – ścianach przedsionków, kuchni, spiżarni, klatek schodowych czy piwnic,



Odtworzone wnętrze dawnej holenderskiej kuchni, Museum Ons'Lieve Heer Op Solder, Amsterdam, fot. B. Grudziecka

czyli w miejscach, które najczęściej ulegały zabrudzeniu. Szkliwione płytki łatwiej było bowiem utrzymać w czystości niż białkowane ściany.

Dopiero w XVIII wieku flizy zaczęły zdobić całe wnętrza kuchni i izb mieszkalnych, a w okładzinę z kafli nierzadko włączano dekorację w postaci wieloflizowych paneli, które wyglądały jak obrazy. Łączono je również z płytkami malowanymi manganem, o barwie zbliżonej do fioletu lub brązu.

EUROPA

W XVII-wiecznej Europie sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Fascynacja chińską porcelaną pojawiła się również we Francji, która wówczas dyktowała modowe trendy. Holenderskie wyroby, nawiązujące charakterem do pożądaney chińszczyzny, szybko spotkały się z ogromnym zainteresowaniem i aprobatą właścicieli francuskich zamków i pałaców. Fajansowe płytki zaczęły więc zdobić wnętrza bogatych rezydencji, a wykonane z nich okładziny pokrywały nierzadko całe powierzchnie ścian, od podłogi aż po sufit, świadcząc nie tylko o zamożności, ale również o dobrym guście właścicieli.

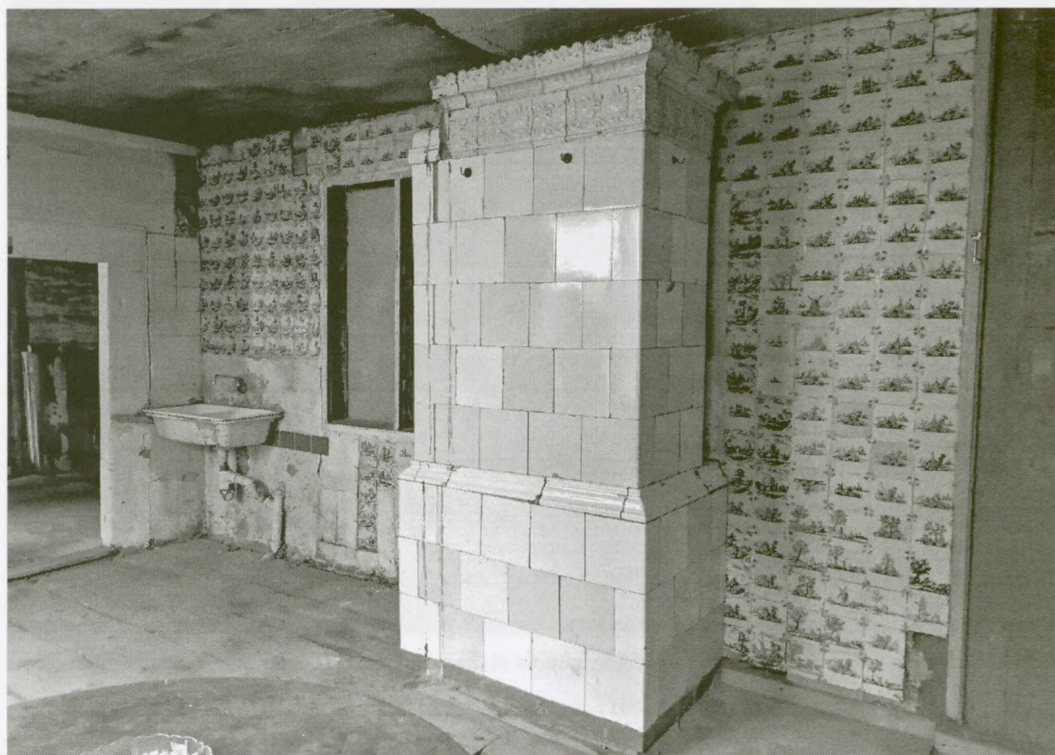
Moda na flizy dotarła także na tereny dzisiejszej Polski. Pierwsze olicowania pojawiły się w rezydencjach Marii Kazimiery i Jana III Sobieskiego, m.in. w pałacu w Wilanowie, gdzie do dziś można podziwiać wspaniałą okładzinę gabinetu farfurowego, składającą się z nie-



Pałac w Nieborowie, olicowanie ścian i sufitu klatki schodowej, fot. B. Grudziecka



Gdańsk, rekonstrukcja cyfrowa sieni w kamienicy przy Rycerskiej 10, wyk. A. Kriegseisen



Zachowane przedwojenne olicowanie w domu podcieniowym w Żuławkach 64, fot. B. Grudziecka

mal 2 tysięcy holenderskich płytek, w tym 122 dwunastoflizowych paneli przedstawiających wazony z kwiatami. W ślad za rodziną królewską podążyli możnowładcy, a fajansowe olicowania pojawiły się m.in. w pałacu w Nieborowie, w oficynie dworskiej w Gardzienicach i w sali Fontany w łaskowskiej Kamienicy pod Gruszką.

Na modowe trendy nie pozostawali również obojętni mieszkańcy Gdańska, którzy wyjątkowo często dekorowali flizami reprezentacyjne sienie mieszczańskich kamienic. W grodzie nad Motławą najczęściej wykładano płytkami całe powierzchnie ścian reprezentacyjnych izb i sieni – od podłogi po sufit. Wyposażone w kręte drewniane schody prowadzące na antresolę, zdobione barokowymi meblami, szafami udekorowanymi fajansowymi garniturami, rzeźbami i dziełami sztuki, sienie gdańskie miały świadczyć o wysokim statusie społecznym gospodarzy i dodawać splendoru całemu domostwu. Kamienice z flizami znajdowały się m.in. przy ul. Świętego Ducha, Mariackiej, Pivnej, Rycerskiej, Chlebnickiej, Tkackiej, Kotwiczników, Długiej, Ogarnej czy Długich Ogrodach.

ŻUŁAWY

W żuławskich wsiach flizy holenderskie pojawiły się nieco później niż w Gdańsku czy Elblągu. Wiązało się to bezpośrednio z zanikającą w miastach modą na ceramiczne okładziny. Pod koniec XVIII wieku płytki często, jako olicowania wtórne, trafiały właśnie na tereny zamieszkiwane przez niderlandzkich osadników, nazywanych mennonitami lub olędrami.

Flizy na Żuławach znalazły podobne zastosowanie jak w Niderlandach. Używano ich powszechnie we wnętrzach domów, zarówno podcieniowych, jak i tych bez podcienia. Ich funkcja dekoracyjna, którą do niedawna pełniły w mieszczańskich kamienicach, zesłała na drugi plan, choć zdarzało się, że płytkami wykładano reprezentacyjne sienie i izby.

Bardzo ciekawe olicowanie znajdowało się w Palczewie. W domu podcieniowym, który spłonął w 1976 roku, flizy holenderskie znajdowały się w co najmniej dwóch pomieszczeniach, m.in. w wielkiej izbie. Były to wykonane w Amsterdamie około 1740 płytki pejzażowe i pasterskie, z wzorem malowanym kobaltem ujętym w brązową – malowaną tlenkiem manganu ramę.

Dekoracyjne i bardziej reprezentatywne olicowanie udokumentowano również w domu podcieniowym w Orłowie, wybudowanym przez Petera Loewena dla Corneliusa Froese. Jednak zdecydowanie częściej flizy występowały w miejscach, które najłatwiej ulegały zabrudzeniu – nad paleniskami, w czarnych kuchniach i przy piecach, co ułatwiało utrzymanie tych miejsc w czystości.

Wtórne i typowo użytkowe zastosowanie fliz sprawiło, że nie przywiązywano aż tak dużej wagi do ich wyglądu. Okładziny składały się często z płytek pochodzących z różnych wnętrz, ułożonych niestarannie, niepasujących do siebie ornamentami narożnikowymi, a nawet obróconych wzorem o 180 stopni.

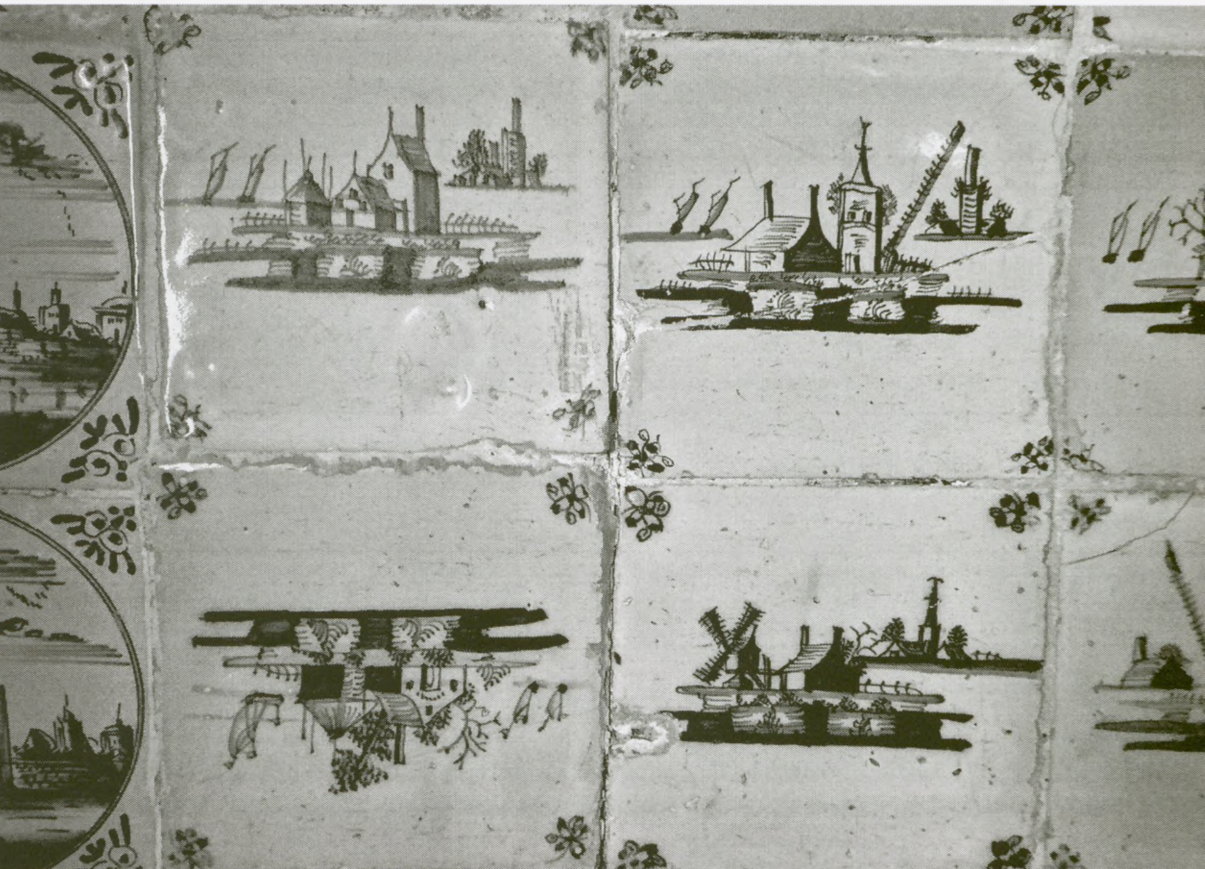
FLIZY DZIŚ

Obecnie zachowało się niewiele śladów po żuławskich flizach. Dwa oryginalne przedwojenne olicowania znajdują się w Żuławkach, w domach podcieniowych 6 i 64. Pozostałe

miejsca znamy głównie z dokumentacji konserwatorskiej i maszynopisów będących opracowaniem prowadzonych w II połowie XX wieku badań.

W latach 60-tych resztki olicowania można było znaleźć w domach podcieniowych w Orłowie i Myszewku. Do lat 80-tych istniały jeszcze olicowania w domach podcieniowych w Przemysławiu, Orłowie PGR II, w domu podcieniowym w Orłowie, który spłonął w 1987 roku, w zagrodzie wzdłużnej w Mikoszewie i we wnętrzach dwóch domów niepodcieniowych w Staryni.

Przyczyn znikania fliz z żuławskich wnętrz było kilka. Flizy często odpadały samoistnie. Słaba zaprawa w połączeniu z zawilgoceniem dolnych partii ścian powodowała, że okładziny odpajały się od powierzchni. Zachowaniu fliz nie sprzyjały również powojenne przebudowy domów i zmiana wnętrz na wielorodzinne. Nie bez znaczenia było również pozbywanie się ich jako pozostałości „poniemieckiej”, a także skuwanie i zastępowanie nowymi, ładniejszymi płytkami. W wielu miejscach flizy zamalowano farbą olejną, co pozwalało im przetrwać na ścianach kolejne lata. Odkrywane później, przez następne pokolenie mieszkańców lub nowych właścicieli domów, sprzedawano czasem osobom prywatnym lub do muzeów.



Fragment olicowania, Żuławki 64, fot. B. Grudziecka

Poszukiwania dawnych olicowań są niezwykle trudne i czasochłonne. W wykonanej dotychczas dokumentacji konserwatorskiej znajdują się przede wszystkim informacje o bryłach budynków, stanie ich zachowania, o stolarce okiennej i drzwiowej, pokryciach dachowych i układach przestrzennych. Wzmianki o wystroju wewnątrz i ceramice architektonicznej są niestety sporadyczne. Dodatkowe utrudnienie stanowi to, że dokumentacja jest rozproszona i niekompletna, a wielokrotne zmiany administracyjne spowodowały, iż miejsce jej przechowywania nie zawsze odpowiada obszarowi, którego dotyczy. Dlatego kwerendę materiałów archiwalnych i dokumentacji konserwatorskiej uzupełniłam o badania i wywiady terenowe.

Podczas rozmów z mieszkańcami wsi, autochtonami, wielokrotnie różne osoby wskazywały tę samą lokalizację budynku, w którym dawniej były flizy. Z relacji ustnych wiadomo np. o domu w Miłoradzu, gdzie podczas prac remontowych właściciel znalazł destrukty płytek ceramicznych, które zostały wykorzystane jako podsypka do utwardzenia posadzki w przedsionku. Ciekawym przypadkiem jest też Lubieszewo, wskazywane przez okolicznych mieszkańców i pojawiające się również w opowieści mennonitki mieszkającej tu jeszcze przed wojną. Mimo że dom, o którym mówiła, już nie istnieje, precyzyjnie wskazała miejsce, w którym stał, i wspominała kuchnię z holenderskimi flizami. W Nowym Stawie dawni mieszkańcy czy wnukowie niegdysiejszych właścicieli domów wspominają przynajmniej pięć lokalizacji; niestety żaden z budynków już nie istnieje. Były to obiekty wpisane do gminnej ewidencji zabytków i nie miały założonych białych kart. Kilka miejscowości zostało wskazanych również przez konserwatora zabytków, który prowadził prace inwentaryzatorskie na Żuławach – np. Drewnica, Izbiska, Marynowy, Mątowy Małe, Mikoszewo, Złotowo. Nie udało się jednak odnaleźć dokumentacji tych obiektów, dlatego w moim opracowaniu pozostają one jako „niepotwierdzone”.

Dokładne opracowanie tematu możecie Państwo znaleźć na prowadzonej przez mnie stronie www.flizywpolsce.pl, która powstała w ramach stypendium MKiDN.

Bibliografia:

Oczko P., *Holenderskie flizy na dawnych ziemiach polskich i ościennych, cz.2: Mody i wnętrza*, Malbork 2018.

Oczko P., Pluis J., *Gabinet farfuruowy w pałacu w Wilanowie*, Warszawa 2013.

Pluis J., *De Nederlandse Tegel. Decors en benamingen 1570-1930*, Leiden 2013.

Internet

Grudziecka B., *Holenderskie flizy w Delcie i Dolinie Dolnej Wisły*, 2020, Internet, dostęp <http://www.flizywpolsce.pl/o-flizach/wprowadzenie-2/>, [dostęp: 05.01.2021]

Ryszard Rząd



HISTORIE NIE TYLKO MALBORSKIE (3)

KRÓTKA HISTORIA O DWÓCH MÖLLERACH

W czwartek 14 maja 1587 r. gdański malarz i rysownik Anton Möller starszy (ok. 1563-1611) w drodze z rodzinnego Królewca do Gdańska zatrzymał się na krótko w Malborku. Trafił tu na sytuację, wobec której postanowił zachować się niczym współczesny fotoreporter. Otóż w jednej z karczm na Piaskach podpici chłopci, a niewykluczone, że i mieszczanie, wszczęli jakiś spór, który zakończył się ogólną bijatyką. Möllera oszczędzono, dzięki czemu mógł wykonać rysunek tego tumultu, który do dziś jest przedmiotem studiów i analiz rzesz historyków sztuki i architektury. Utrwalił bowiem na nim także wschodnią panoramę zamku malborskiego.

Jeszcze tego samego 1587 r. Anton poślubił w Gdańsku Barbarę, z którą następnie miał kilkoro dzieci. Pierworodnym był także Anton (1592-po1632) zwany młodszym, który poszedł w ślady ojca zostając malarzem. Nim w 1617 r. osiadł w Italii wykonał jeden ciekawy rysunek. Powtórzył bowiem scenę malborskiej bójki, której świadkiem był niegdyś jego ojciec.

Poniżej oba rysunki. Jeden, autorstwa ojca, który jak sądzę sportretował tam także siebie pod postacią pielgrzyma (z prawej pod drzewem, z laską), przechowywany jest dziś w Kupferstichkabinett w Berlinie. Dolny, dzieło syna (już bez domniemanego portretu taty), w styczniu 2015 r. „poszedł” w domu aukcyjnym Christie’s w Nowym Jorku za 185 000 dolarów.



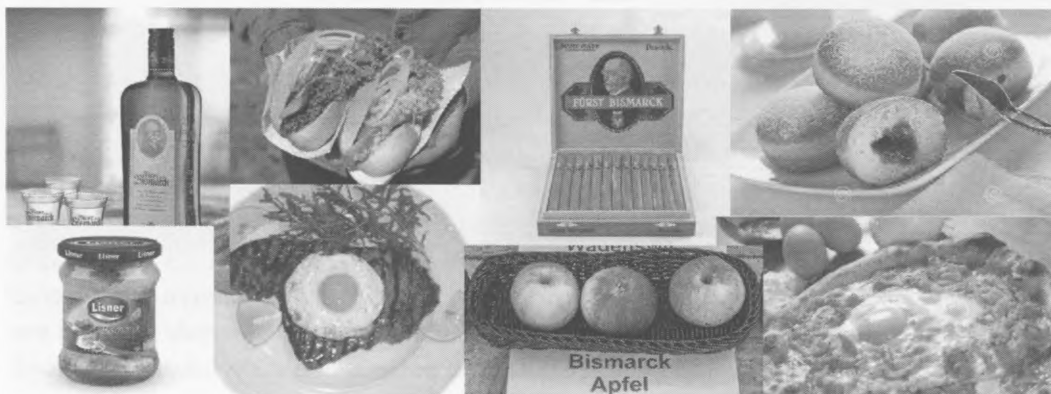
ŚLEDZIE BISMARCKA

Długoletni kanclerz Rzeszy, książę Otto von Bismarck (1815-1898), już za życia cieszył się powszechnym szacunkiem, który po jego śmierci przerodził się nieomal w kult. Dedykowano mu setki pomników i wież. Z dziejami wieży w Jasnej koło Sztumu mieliśmy możliwość zapoznać się w jednym z ostatnich numerów „Prowincji”. W Malborku kamień i dąb Bismarcka znajdowały się nieopodal zamku, na dawnym szańcu szwedzkim. Imieniem „starego kanclerza” nazywano miejscowości, kopalnie, góry, archipelagi w niemieckich koloniach a nawet... artykuły spożywcze.



Do dziś możemy się więc zająć śledziami Bismarcka (nazwanymi tak za osobistą zgodą kanclerza, który za nimi przepadał), befsztykami Bismarcka (o dziwo, popularnymi we Włoszech), kanapkami Bismarcka ze śledziem, ogórkiem lub cebulą (bardzo lubianymi w Niemczech), pizzą Bismarcka (z sadzonym jajkiem!) i jabłkami Bismarcka. Do kawy zaś może nam posłużyć rolada biszkoptowa lub pączki Bismarcka. W chwilach wolnych możemy odszukać jeszcze rosnące lipy lub dęby jego imienia, usiąść pod nimi i poskubać słonecznik Bismarcka lub zapalić cygaro Bismarcka, Okazję wyjątkową możemy uczcić, wspólnie z przyjaciółmi, „Bismarckiem” 38-procentowym lub rozcieńczonym... w piwie, czyli tzw. „Herrengedeckiem”.

PS. Wielką fanką w/w śledzi jest aktualna kanclerz Niemiec Angela Merkel. W 2006 r. podarowała nawet ich beczułkę prezydentowi USA G. Bushowi.



ŚLEDZIE GÖRINGA

79 lat temu, 27 listopada 1941 r. zamek malborski zwiedziły razem dwie niby „nie pasujące do siebie” osoby: adiutant Führera Albert Bormann (1902-1989) i znany wówczas aktor-komik Weiß Ferdl (1883-1949).

Położmy zasłonę milczenia na tego pierwszego, ciekawszy bowiem jest drugi. Postawić można sobie pytanie: czy w czasach totalitarnego reżimu można było jeszcze być komikiem?

Okazuje się, że tak, ale pod jednym podstawowym warunkiem: jeśli się jest poprawnym politycznie.

Bawarczyk Weiß Ferdl (właściwie to Ferdinand Weisheitinger) karierę kabareciarza zaczął jeszcze przed I wojną światową i nie porzucił jej nawet w trakcie tego konfliktu. Został bowiem szefem grupy śpiewaczej, zwanej „Platzl im Felde”, starającej się podnosić morale żołnierzy w trudnych chwilach wojny pozycyjnej na froncie zachodnim. W latach 20. grał w licznych filmach komediowych.

Niestety, był sympatykiem ruchu narodowo-socjalistycznego od chwili jego powstania. Spotykał się z jego przywódcami, pojawiał się na wiecach. Od czasu do czasu pozwalał sobie jednak na słowa krytyki. Kiedyś powiedział słuchaczom, że wie na pewno, iż 98 procent populacji jest zdecydowanie za partią, ale on z jakiegoś powodu ma pecha spotykać na ulicy jedynie pozostałe dwa procent.

Innym razem wszedł na scenę z walizką i oznajmił: „Nasz rząd jest w środku!”. Policjant, który zawsze musiał być obecny na jego występach, natychmiast nakazał jej otwarcie. Przeszukując ją krzyknął: „Ale tu są same szmaty!“, na co Ferdl ze śmiechem: „Ty tak powiedziałeś”.

Po rymowance: „Hering, Hering! Leit kaufst Hering so fett wie der Göring!” („Śledzie, śledzie! Kupujcie śledzie tłuste jak Göring!”), został aresztowany na kilka dni. Gdy wrócił na estradę zmodyfikował te słowa: „Śledzie, śledzie! Kupujcie śledzie równie tłuste, jak dziesięć dni temu!”.

Czarnym humorem była jego „propozycja” przedstawiona w radio w 1943 r., by walczące strony zbombardowały własne miasta - co zaoszczędzi paliwa.



KOLEJ W POPRZEK ŚWIATÓW

W 1842 r. powstała koncepcja budowy Pruskiej Kolei Wschodniej („Preußische Ostbahn”), wielkiej magistrali kolejowej, która przeciąć miała ówczesne Prusy z zachodu na wschód, z Berlina do Królewca. Pierwsze prace rozpoczęto w 1846 r. Zakończono je 12 października 1857 r. oddaniem do użytku odcinka z Frankfurtu nad Odrą do Krzyża i mostów na Wiśle w Tczewie i Nogacie w Malborku. W latach 1861 i 1871-73 zrealizowano budowę drugiej równoległej linii z Bydgoszczy, przez Toruń, Iławę, Olsztyn do Wystruci w Prusach Wschodnich. Tam obie nitki zbiegały się w jedną, która zmierzała m.in. do stolicy imperium rosyjskiego – Petersburga. Od 1896 r. docierał doń także luksusowy „Nord-



Dirschau Bahnhof mit Weichselbrücken

TCZEW. Dworzec z mostami przez Wisłę



C^o INT^l DES WAGONS-LITS ET DES GRANDS EXPRESS EUROPEENS
NORD-EXPRESS

Paris-S ^t Petersburg		S ^t Petersburg-Paris	
Litewski	120	W. Przewodny	220
Warszawski	110	Wichow	120
KONKORD	100	Wick	110
Collo	90	Calgen	100
Warszawski	80	Elgen	90
Wiedeński	70	FARES	70
Elgen	60	Elgen	60
PARIS	50	Reverbe	50
Calgen	40	Wagon-lit	40
Wiedeński	30	Wagon-lit	30
Elgen	20	WAGON	20
Collo	10	Wagon-lit	10
Warszawski	5	WAGON	5
Wiedeński	2	WAGON	2
Elgen	1	WAGON	1

-Express” wprost z Paryża. W efekcie rosyjskie nadgraniczne miasteczko Wierzbołów stało się ówczesnym symbolem granicy cywilizacyjnej i mentalnej między Rosją a Europą. Jak mówiono: „Все ново только в Вежболово - то, что здесь нового, там не ново”, czyli „Nowe jest wszystko tylko do Wierzbołowa – co nowe tutaj, nie jest nowe tam”, w domyśle „w krainie carów”.

Preußische Ostbahn, zwłaszcza jej północna, tczewsko-malborska odnoga, miała bardzo ważne, wręcz strategiczne znaczenie dla bezpieczeństwa militarnego Niemiec. Pełniła też niezwykle ważną rolę w życiu gospodarczym tego kraju. Słabo zurbanizowane i nieuprzemysłowione Prusy Wschodnie przez wiele lat były bowiem wewnątrzniemieckim eksporterem płodów rolnych. Pora więc na liczby.

Tylko w jednym, 1875 r., Ostbahnem wywieziono z Prus Wsch. 32 979 koni, 3 811 wołów opasowych, 37 537 sztuk bydła, 35 323 cieląt i świń opasowych, 400 130 świń chudych, 60 997 prosiąt, owiec, kóz i jagniąt, 40 689 gęsi.

I tak, rok po roku ...

Na zdjęciach mapa Pruskiej Kolei Wschodniej, znany nam wszystkim Tczew i mniej znany Wierzbołów, plakat reklamowy Nordexpressu i zegarek firmowy dla malborskich kolejarzy Ostbahnu.

O PISARZU RODEM Z ŻUŁAW

96 lat temu, 21 października 1924 r. magistrat malborski obdarzył honorowym obywatelstwem znanego wówczas niemieckiego pisarza Maxa Halbe (1865-1944).

Urodził się on w rodzinie chłopskiej w Koźlinach koło Tczewa, a w latach 1874-83 uczył w malborskim gimnazjum. Tu też uzyskał maturę. Następnie studiował prawo w Heidelbergu oraz w Monachium, uzyskując tytuł doktora filozofii. Po ukończeniu studiów przeniósł



się do Berlina. Tam opublikował swą pierwszą, entuzjastycznie przyjętą sztukę „Jugend”. W 1895 r. przeprowadził się do Monachium, gdzie spędził resztę życia. Otworzył tam „Intime Theater für dramatische Experimente” (Intymny Teatr Eksperymentów Dramaturgicznych), był też współzałożycielem „Münchener Volksbühne” (Sceny Monachijskiej). Badacze jego twórczości literackiej stawiają go, wraz z Gerhartem Hauptmannem, pośród głównych inicjatorów naturalizmu niemieckiego („Eisgang”, „Mutter Erde”). W powieściach „Doktor Sieverings Heimfahrt” i „Hortense Ruland” doszukują się także odniesień do Malborka lat 80-tych XIX w. W krzyżackim Malborku toczy się akcja jego dramatu „Heinrich von Plauen”, napisanego specjalnie na malborski Festiwal Sztuk Plenerowych, jako wyraz wdzięczności za wspomniane wyżej honorowe obywatelstwo.



Na zdjęciu nr 1 kamienica przy Wysokich Podcieniach 34, w pobliżu Bramy Mariackiej, gdzie na pierwszym piętrze, na pensji pani Dormann mieszkał młody Max Halbe. Roztaczający się z niej widok na Wielkie Żuławy był natchnieniem do napisanego później głośnego dramatu „Der Strom”.

Na fot. nr 2 gmach dawnego malborskiego gimnazjum. W klasie Halbego zawiązano tam nieformalne stowarzyszenie akademickie zwane „Markomannia”. Zbierało się ono w lokalu „ciotki Hinz” na Wielbarku, potocznie zwanym wówczas „wsią piwną”. Jak pisał młody Max: „pito dużo, dużo piwa, kufle grzmiały o stoły, zaś prezes i Fuchsmajor (przełożony pierwszego rocznika) dyrygowali śpiewami, tak że gospoda trzęsa się cała”.

Na fot. nr 3 Halbe (w środku) w swoim monachijskim ogrodzie, spożywający śniadanie w towarzystwie przyjaciół – scena utrwalona na obrazie przez jednego z nich, znanego niemieckiego malarza Lovisa Corinthy.

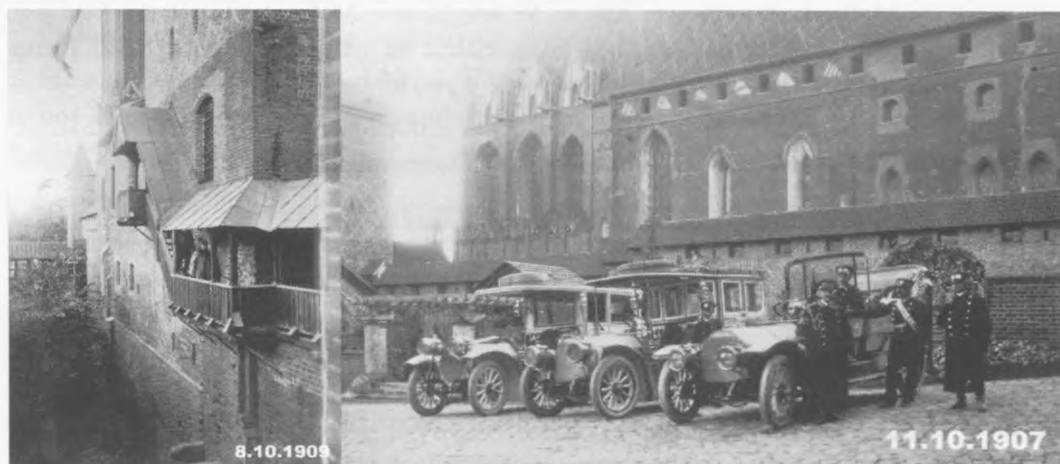
JELENIĘ A SPRAWA MALBORSKA

Przeglądając ostatnio swoje zapiski dotyczące wizyt składanych na zamku zauważyłem pewną regularność. Otóż na przełomie XIX i XX w. pierwsze dni października były niejako „zarezerwowane” w Malborku dla Hohenzollernów. Zaczynijmy od dzisiejszej rocznicy. Dokładnie 143 lata temu, 9 października 1877 r. następca tronu, książę Fryderyk Wilhelm (1831-1888), odsłonił na Przedzamczu pomnik króla Fryderyka II Wielkiego. Imponujący monument, dzieło znanego berlińskiego rzeźbiarza Rudolfa Siemeringa (1835-1905), został ustawiony w najbardziej atrakcyjnym punkcie Malborka: przy przecinającej zamek ruchliwej szosie z Berlina do Królewca. Był więc podziwiany zarówno przez turystów jak i przez przejeżdżające tędy osoby.

7 października 1891 w godz. 8.00-9.45 pierwszą oficjalną wizytę na zamku złożył cesarz Niemiec Wilhelm II (1859-1941). Bawił tu jeszcze około 30 razy, żywo interesując się odbudową dawnej stolicy Zakonu, m.in. 6 października 1903 i 1904 r.

8 października 1906 r. o godz. 15.25 Wilhelm II przybył do Bramy Mostowej, zwiedził ją i przeszedł gankiem obronnym od bramy św. Mikołaja na Zamek Wysoki. Tam obszedł ganki obronne tarasów południowego i wschodniego, kaplicę św. Anny, Kapitułarz i kościół NMP. Po czym udał się na Zamek Średni, zwiedził Pałac Wielkich Mistrzów, Wielki Refektarz i Infirmerię. Wyjechał o godz. 17.05.

11 października 1907 r. cesarz dotarł samochodem na dziedziniec Zamku Średniego. Powtórzył to dwa lata później, 8 października 1909r. kiedy to o godz. 15.08 wysiadł z samochodu i w towarzystwie najbliższej świty udał się na Zamek Wysoki. Zwiedził jego najważniejsze pomieszczenia, zszedł na taras północny, do kaplicy św. Anny i na cmentarz na tarasie wschodnim. Po czym zawrócił i udał się na Wieżę Kleszą. Z niej, nieistniejącym dziś



drewnianym gankiem, przeszedł do skrzydła wschodniego Zamku Średniego. Tam zapoznał się z kaplicą św. Bartłomieja, Gastkamerami (dawnymi pokojami dla gości zakonu) i tworzonymi właśnie w jej korytarzu polichromiami ze scenami z Apokalipsy. Następnie udał się do Pałacu Wielkich Mistrzów, w którego Refektarzu wypił herbatę. Zszedł do Wielkiego Refektarza, Infirmierii, Łaźni i zatrzymał się w bramie Zamku Średniego, gdzie z tej okazji opuszczono i podniesiono kratę. Na tym zwiedzanie zakończono i o godz. 17.20 cesarz opuścił zamek, udając się w dalszą drogę.

Czemu Hohenzollernowie tak często bywali w tych dniach w Malborku? Zamek był jednym z bardziej atrakcyjnych miejsc na szlaku do Puszczy Rominckiej. Wilhelm II, mimo niesprawnej lewej ręki, był zapalonym myśliwym. Jak wyliczono średnio spędzał na polowaniach 39 dni w roku (z chwilą abdykacji porzucił tę pasję). W Romintach bywał rokrocznie właśnie na przełomie września i października.

Powyżej kilka fotek z wizyt cesarskich w Malborku i obraz przedstawiający Wilhelma II w Romintach.

Andrzej Kasperek



PRL

w 100 przedmiotach

Rów w którym płynie mętna rzeka
nazywam Wisłą. Ciężko wyznać:
na taką miłość nas skazali
taką przebodli nas ojczyzną

Zbigniew Herbert „Prolog”

Telewizja Polska kilka miesięcy temu pokazała serial „Osiecka”. Nikt chyba nie spodziewał się burzy medialnej, którą wywołała opowieść o zmarłej prawie ćwierć wieku temu poetce. Ilość komentarzy, skrajnych opinii oraz hejtu (a jakże) wobec twórców pokazała, że życie znanych i popularnych osób, których znaczna (jeśli nie prawie cała) działalność przypadła na czasy tzw. Polski Ludowej, potrafi wzbudzać wielkie emocje. Mimo że od 32 lat PRL nie istnieje.

Podły rok pandemii przynosi niekończącą się litanię nazwisk zmarłych: Penderecki, Demarczyk, Janion, Szurkowski, Lityński – długo można wymieniać osoby nauki, kultury, sportu i polityki, które ostatnio pożegnaliśmy, a które w latach „słusznie minionych” tworzyły, działały, uprawiały sport. Dla wielu osób (piszący te słowa zalicza się do nich) to nie tylko nazwiska z nekrologu, to ludzie, których znaliśmy, podziwialiśmy, kochaliśmy... „Ta nasza młodość ten szczęśny czas” – jak śpiewała Halina Wyrodek w krakowskiej „Piwnicy pod Baranami”. Innego kraju nie mieliśmy, nikt z nas sobie go nie wybierał.

Ludzie odchodzą, zostają przedmioty. Jak w wierszu Wisławy Szymborskiej „Muzeum”: „Z braku wieczności zgromadzono /dziesięć tysięcy starych rzeczy. [...] / Metale, glina, piórko ptasie / cichutko tryumfują w czasie. [...] / Korona przeczekwała głowę. /Przegrała dłoń do rękawicy. / Zwyciężył prawy but nad nogą”. Poetka pisze o przedmiotach, które przeżyły swych właścicieli. Ale można potraktować to nie jako zwycięstwo materii nad ludzkim życiem. Przedmioty mogą stać się dokumentami potwierdzającymi istnienie swych właścicieli. Artefakt (łac. arte factum = sztucznie wykonane) to przedmiot będący sztucznym wytworem, nieistniejący w naturze. A więc dzieło rąk i myśli ludzkiej.

Przyznaję się, że pomysł książki powstał w trakcie czytania „Trzeciej Rzeszy w 100 przedmiotach” Rogera Moorhouse’a. Później trafiłem na książkę „Druga Rzeczpospolita w 100 przedmiotach” Andrzeja Fedorowicza. W czasie ich lektury pomyślałem o tym, że historię PRL także można opowiedzieć przez przedmioty... W notesie powstała lista, ale nie jest za-

mknięta, ciągle coś dopisuję lub skreślam. Sporządzając ją zależało mi na tym, żeby dobierać rzeczy związane z życiem codziennym, kulturą i nauką, oświatą i sportem. Nie sposób jednak pominąć ideologii, aparatu ucisku i opozycji wobec ustroju... Staram się pamiętać o proporcjach. Każdemu przedmiotowi chciałbym poświęcić krótki (2-3 strony) esej wraz z ilustracjami (maksymalnie 4 sztuki). Oto robocza lista, zaznaczam, że liczy więcej niż setkę rzeczy:

1. Manifest PKWN
2. Radio Pionier
3. Balony Radia Wolna Europa
4. Samochód Syrena [Warszawa / Fiat 125p / Maluch / Polonez]
5. Czarna suknia Ewy Demarczyk
6. Rubaszka Czesława Niemena
7. Longplay „Mury” Kaczmarskiego
8. Kamienica z serialu „Dom”
9. Drzwi, na których niesiono Janka Wiśniewskiego [Grudzień 1970]
10. Opaska ORMO
11. Dokument podróży z 1968 roku
12. Tajny referat Chruszczowa
13. Koszula Romka Strzałkowskiego [Poznań 1956]
14. Dekret o stanie wojennym
15. Winieta „Tygodnika Powszechnego”
16. Szkoła Tysiąclatka
17. Brama Stoczni Gdańskiej [Sierpień 1980]
18. Opakowanie czekolady 22 Lipiec d. E. Wedel
19. Stolik z kawiarni Czytelnik
20. Ołtarz papieski na Placu Zwycięstwa
21. Butelka oranżady
22. Kaset VHS
23. Motocykl junak [SHL, Komar]
24. Magnetofon kasetowy Kasprzak
25. Adapter Bambino
26. Kapelusz Piotra Skrzyneckiego
27. Bocznokołowiec z filmu „Rejs”
28. Bony towarowe Pewex
29. Polska Kronika Filmowa
30. Papierosy Sport

31. Wino patykiem pisane
32. Korkowiec z odpustu
33. Wódka Żytnia Extra
34. Miś z filmu Stanisława Barei
35. Gra planszowa Chińczyk
36. Pralka Frania
37. Guma balonowa Donald
38. Film animowany „Bolek i Lolek”
39. Konserwa Paprykarz szczeciński
40. Piwo Żywiec
41. Cegielka SFOS na odbudowę Warszawy
42. Krzyż z Nowej Huty
43. Legitymacja ZMP
44. Kartki zaopatrzeniowe
45. Pałka milicyjna
46. Grobowiec Bolesława Bieruta
47. Kolaże [wyklejanki] Wisławy Szymborskiej
48. Oskar Andrzeja Wajdy
49. Medal noblowski Czesława Miłosza
50. Nóż Romana Polańskiego
51. Obraz „Podaj cegłę” Aleksandra Kobzdeja
52. Polski plakat filmowy [film „Cabaret” autor: Wiktor Gorka]
53. Książka „Zły” Leopolda Tyrmanda
54. Plakat „Strzeż tajemnicy państwowej” Wojciecha Fangora
55. Krawaty Edwarda Gierka
56. Mundur górniczy Jarosława Iwaszkiewicza
57. Biblioteka Marii Janion
58. Kubek Funduszu Wczasów Pracowniczych
59. Pomnik Wincentego Pstrowskiego
60. Trumna Grzegorza Przemyka
61. Nekrolog Stanisława Pyjasa
62. Arboretum Krzysztofa Pendereckiego
63. Nagrobek Tadeusza Kantora
64. Pałac Kultury i Nauki
65. Szubienica Rudolfa Hoessa

66. Opornik [koksownik, Dekret o stanie wojennym]
67. Komiks „Tytus, Romek i A”Tomek” Papcia Chmiela
68. Respirator profesora Religi
69. Plakat „Zapluty karzeł reakcji”
70. Telewizor Belweder
71. Neon Jaskółka [Mody Polskiej]
72. Egzemplarz „Kultury” paryskiej
73. List z więzienia Kazimierza Moczarskiego
74. Maszyna do pisania Agnieszki Osieckiej
75. Kwestionariusz osoby rozpracowywanej – ks. Jerzy Popiełuszko
76. Cylinder i frak – Kabaret Starszych Panów
77. Dres Kazimierza Górskiego
78. Czapka kolarska Ryszarda Szurkowskiego
79. Skarby profesora Kazimierza Estreichera
80. Złote medale olimpijskie Ireny Szewińskiej
81. Spodek w Katowicach
82. Tabliczki „potykacze” z Kielc
83. Solidaryca – czcionka Solidarności
84. Order Budowniczych Polski Ludowej
85. Talerz ze swastyką - mienie poniemieckie
86. Hotel Kasprowy
87. Książeczka wojskowa LWP
88. Ulotka z napisem „3xTAK”
89. Szaberplac we Wrocławiu
90. Traktor Ursus
91. Stadion Dziesięciolecia
92. Papier toaletowy
93. Koksownik
94. Domy z wielkiej płyty
95. Porcelanowe figurki z Ćmielowa
96. Etykieta zapalczana z napisem: Tęp muchy!
97. Kolorowe skarpety bikiniarza
98. Czapka studencka
99. Woreczek z ziemią z Kresów w filmie „Sami swoi”
100. Lody Calypso

101. Radio tranzystorowe Eltra
102. Łopata z czynu partyjnego
103. Rower składany Wigry
104. Znaczek pocztowy wydany na 1 Maja
105. Bar mleczny PSS „Społem”
106. Powielacz
107. Restauracja Maxim w Gdyni
108. Saturator [bibuła]
109. Cielęcina [baba z cielęciną]
110. Sztandar PZPR
111. Buty bitelsówki
112. Sokowirówka Malina
113. Płaszcz ortalionowy
114. Koszula non-iron
115. Goździk od badylarza
116. Zdjęcie z Białołęki
117. Grzebień w kieszeni spodni szwedzki...

W moim debiucie, zbiorze opowiadań pt. „Back in the DDR...”, chciałem opisać Polską Rzeczpospolitą Ludową przez rzeczy, ważne i nieważne: zupa, lody, papierosy i wódka, pornografia, adapter i kino. Planowana książka to w jakim sensie powrót do tamtego pomysłu. Tyle, że zamiast opowiadania historii, planuję namysł i refleksję.

Wybór przedmiotów, to zadanie nader trudne. Oto przykład - motoryzacja w PRL-u. O czym pisać? O starej czy nowej warszawie, syrenie, maluchu, facie 125p czy polonezie. Opisywać kultowego junaka czy raczej popularną eshalkę (SHL). A może motorower komar? Pisać o rowerze Szurkowskiego czy raczej o jego skromnej szmacianej czapeczce? Pewnie niektórzy woleliby jednak hasło o pompce rowerowej Królaka. A zamiast medali olimpijskich Szewińskiej może zająć się zgubioną przez nią pałeczką w sztafecie na olimpiadzie w Meksyku w 1968 r. ? Czyli potraktować to zdarzenie do analizy antysemityzmu à la PRL... Mój zamysł polega na tym, żeby przedmioty były punktem wyjścia do stawiania pytań i szukania odpowiedzi, jak żyliśmy, co czytaliśmy, co jedliśmy, o czym marzyliśmy.

Szukając materiałów do planowanej książki odbyłem kwerendę biblioteczną. W Bibliotece Uniwersytetu Gdańskiego jest 1688 pozycji z PRL w tytule. Ale nie ma „100 przedmiotów PRL”. Chyba warto się tym zająć.

Piotr Podlewski



Niekomercyjny przewodnik po **ZIEMI SZTUMSKIEJ** (9)

BUDOWA DROGI Z UŚNIC DO WOLNEGO MIASTA GDAŃSKA

Obecny układ dróg przecinających obszar lasów znacznie różni się od szlaków, które znane są z map z XVIII i z początku XIX wieku. Od średniowiecza główną arterią leśną była droga prowadząca od Ryjewa przez Borowy Młyn, Barcice i Benowo w kierunku Gościszewa i Malborka. Odchodziły od niej poboczne trakty prowadzące na zachód do Białej Góry, wsi Rozenkrantz, Uśnic, Parpar, przeprawy przez Nogat w Kittelsfähre i majątku Węgry oraz na wschód do Sztumu i okolic. Układ tych dróg jest doskonale widoczny na mapie Schroettera z przełomu XVIII i XIX wieku.

Mapy z początku XX wieku pokazują siatkę dróg zbliżoną już do obecnych rozwiązań komunikacyjnych, ale były to typowe trakty leśne. Sytuacja polityczna, która po I wojnie światowej wpłynęła na układ granic w Europie, przyspieszyła decyzje władz ówczesnego powiatu sztumskiego dotyczące modernizacji dróg łączących Sztum z wsiami leżącymi wzdłuż Nogatu. Obszar Pomorza odebrany Prusom przypadł Polsce, przez co Prusy Wschodnie, w tym także Sztum, zostały odcięte od pozostałych części Niemiec. Za Nogatem natomiast rozciągały się tereny Wolnego Miasta Gdańska.



Zdjęcie z 1933 r. Prace przy budowie drogi. W lewym górnym rogu stan obecny, fot. Heimatkalender... 1933

W związku z nową sytuacją wieś w zachodniej części powiatu, a zwłaszcza Uśnice, do której podlegały wsie Parpary, Duże i Małe Uśnice z 769 mieszkańcami, jak również dawna gmina Rosenkranz z 65 mieszkańcami, poniosły ogromne szkody, ponieważ duża część mieszkańców utraciła stałe zatrudnienie po drugiej stronie Wisły i Nogatu. Starostwo Powiatowe zostało obciążone wysokimi wydatkami socjalnymi, co w połączeniu z nową sytuacją zaczęło też wpływać na samo miasto Sztum. Postanowiono zatem wspomóc rozwój gospodarczy Uśnic i okolic oraz samego Sztumu przez budowę brukowanej drogi, łączącej opisany region z południowym krańcem Wolnego Miasta Gdańska.

Ze względu na ogólną sytuację finansową w tamtym czasie nie było możliwe wykonanie całej zaplanowanej budowy drogi, czyli do przeprawy Kittelsfähre na odcinku 6 650 m. 15 czerwca 1932 r. Rada Powiatu zdecydowała, że droga do Uśnic będzie wybudowana na długości 4 750 m. Wykorzystano w tym celu szlak starej drogi leśnej, niwelując jednocześnie jej niepotrzebne łuki i zakręty. Za wykonanie podbudowy drogi odpowiedzialna była firma Wandel & Weidemann z Elbląga, która zobowiązała się także dostarczyć około 3000 m³ kostki brukowej. Plan drogi o tej długości został ukończony jeszcze w 1932 roku. Zaplanowano około 24 000 metrów sześciennych robót ziemnych. Dostawa i transport około 8000 m³ materiałów budowlanych odbywała się do maja 1933 roku.

Modernizacja rozpoczęła się przy jeziorze Białym. Następnie na specjalnie w tym celu zainstalowanych szynach przemysłowej kolejki wąskotorowej transportowano na kolibkach (wagonikach) surowce i materiały w głąb lasu, kładąc bruk w kierunku Uśnic i przeprawy w Kittelsfähre, dzięki której można było dostać się bezpośrednio na teren Wolnego Miasta Gdańska. Oddanie drogi do użytku zaplanowano na dzień 1 listopada 1933 roku.

Zdjęcia wykonane w 1933 roku uchwyciły robotników podczas prac na odcinku koło jeziora Białego. Widać na nich rozładunek i załadunek materiałów z kolibek oraz sposób ich transportowania.

Dziś droga pokryta jest asfaltem, jednak są miejsca, w których nadal widać fragmenty bruku. Inwestycja z czasów międzywojennych nadal służy mieszkańcom powiatu. Nie prowadzi już jednak do przeprawy Kittelsfähre, której ślady można jeszcze odnaleźć koło zakładu Sonac Uśnice Sp. z o.o. (Samej przeprawie poświęciliśmy oddzielny artykuł, zob. „Prowincja” 2018, nr 4). Jako ciekawostkę warto dodać informację, że niwelowane łuki dawnej drogi leśnej służą dziś jako niewielkie fragmenty ścieżki rowerowej.¹

NOWOTARSKI KRZYŻ

Krzyż przydrożny w Nowym Targu może mieć już 120 lat. Jest więc świadkiem wielu wydarzeń, które miały miejsce od początku XX wieku. Jego odręczny szkic można znaleźć w książce „Ziemia Malborska” ks. Władysława Łęgi, wybitnego etnologa, wydanej w 1933 r. Jest on także zaznaczony na mapie topograficznej z 1910 r. Krzyż jest ociosany, czworoboczny.



Krzyż w Nowym Targu

¹ Źródło: *Heimatkalender des Kreises*, Stuhm, 3. Jg. 1933.

Zakończenia oddzielono od ramion kulistymi wcięciami. Nie zachowała się niestety żelazna chorągiewka z datą. Figura Chrystusa i daszek nad nią są już z późniejszych czasów. Krzyże przydrożne stawiano jako formę podziękowania za wysłuchanie modlitwy lub jako prośbę o łaskę. Krzyż z Nowego Targu jest zabytkiem kultury ludowej.

RAJD ZIMOWY PIETRZWAŁD - KĘPINA

Korzystając z zimowej aury postanowiliśmy razem z p. Tomaszem Bogdanowiczem i Arkadiuszem Dzikowskim odwiedzić wieś Pietrzwałd, a następnie zaśnieżonymi polami dojść do Kępiny, a dokładnie do dawnej osady folwarcznej Antonienhof.

Pierwszym przystankiem był kościół w Pietrzwałdzie. Dzięki życzliwości proboszcza oraz sąsiadujących z kościołem mieszkańców mogliśmy obejrzeć wnętrze świątyni. Mający średniowieczną metrykę, lecz wielokrotnie przebudowywany obiekt swoją ostateczną formę uzyskał w 1922 roku. Na ścianach zewnętrznych można wysledzić jeszcze wtórnie użyte starsze cegły z charakterystyczną zendrówką. W kruchcie naszą uwagę zwróciła średniowieczna, kamienna chrzcielnica (baptysterium), pełniąca dziś funkcję naczynia z wodą święconą, którą wierni żegnają się wchodząc do świątyni. Chrzcielnica była przez stulecia jednym z najważniejszych elementów wyposażenia kościoła. Dziś zdegradowana do roli kropielnicy stoi przy wejściu. Warto mieć na uwadze, iż jest to najstarszy zabytek kościoła.

Średniowieczną figurę św. Szczepana z kościoła w Pietrzwałdzie można oglądać w Muzeum Narodowym w Gdańsku. Barokowy ołtarz z płaskorzeźbą Trzech Króli przypomina o czasach odbudowy kościoła po dewastacjach, jakim uległa świątynia w dobie wojen szwedzkich.

Jednak największą ciekawostką, której się nie spodziewaliśmy były nazwiska umieszczone w kwaterach empery chóru poświęcone poległym żołnierzom, poborowym z Pietrzwałdu,



Folwark Antonienhof w Kępinie

którzy zginęli na frontach I wojny światowej. W kwaterze środkowej widnieje symboliczny krzyż żelazny (Eisernes Kreuz), czyli pruskie odznaczenie wojskowe z datami 1914 - 1918 (czas trwania I wojny). Po obu jego stronach wymienione są nazwiska z datami śmierci.

Kwaterna lewa: Joseph Pogorzalski † 28.8.14, Bernhard Żelastowski † 15.11.14, Franz Wölk † 27 Juli 1915, Johann Wölk † 27 Marz 16, Edmund Izydorek † 1916. Kwaterna prawa: Paul Dombrowski † 1917, Johann Żelaskowski † 24.1.1918, Johann Greding † 4 April.18, Franz Kuffa † October 18. Oprócz nazwisk jest tam oraz wers z Pisma Świętego: Jan. XV.13.

Dawniej w wielu miejscowościach na terenie Prus upamiętniano poległych w I wojnie. W samych Prusach Wschodnich miejsc pamięci było prawie pół tysiąca. Po 1945 roku, wraz z niemal całkowitą wymianą ludności na terenach dawnych Prus Wschodnich, zmieniło się również znaczenie miejsc pamięci ofiar I wojny. Dla nowych osadników był to element niemiecki kojarzony bezpośrednio z III Rzeszą.

Do obecnych czasów niewiele takich miejsc przetrwało. Jako przykład podam pomnik w Brachlewie, na którym również występują obok siebie nazwiska polskie i niemieckie dawnych mieszkańców miejscowości oraz Gaj Bohaterów w Starym Mieście koło Dzierzgonia.

Krzyż żelazny umieszczony w Pietrzwałdzie w środkowej kwaterze empory jest dziś częściowo zasłonięty zwisającym z chóru krzyżem z wizerunkiem Chrystusa.

Idąc z Pietrzwałdu polami, skierowaliśmy się w kierunku Kępiny. Po drodze minęliśmy zadrzewione miejsce będące śladem po rozległym gospodarstwie spalonym w styczniu 1945 roku przez żołnierzy Armii Czerwonej. W Pietrzwałdzie i okolicy rozegrał się dramat szczegółowo opisany w tomiku „Requiem dla hrabiego” (Towarzystwo Miłośników Ziemi Sztumskiej, Sztum 1997) autorstwa Janusza Ryszkowskiego.



Pietrzwałd. Nazwiska poległych żołnierzy na chórze kościelnym

Świadkiem tamtych wydarzeń jest grób bestialsko zamordowanych właścicieli gospodarstwa. Obok, wśród drzew, widać jeszcze aleję dojazdową prowadzącą do znajdujących się dawniej na wzgórzu zabudowań. Dziś nie ma po nich śladu. Pozostało jedynie rumowisko domu, z którego roztacza się rozległy widok na okolicę.

Kilkaset metrów na zachód, według mapy z 1938 r., znajdowało się kolejne gospodarstwo. Zbyt wysoka warstwa śniegu nie pozwoliła jednak dokładniej zbadać tego terenu. Ruszyliśmy więc dalej.

Bardzo dobra pogoda i zasypane śniegiem pola sprawiały, że momentami trudno było uchwycić linię widnokregu. Z daleka widać było punkt docelowy, czyli osadę folwarczną Antonienhof, leżącą na terenie Kępiny. Wybijający się wśród śniegu ceglany budynek gospodarczy pochodzi z połowy XIX wieku. Prostokątna budowla z dwuspadowym dachem ozdobiona jest sterczynami. Wnętrza oświetlają okna z oryginalnymi drewnianymi okiennicami. Składowano tu zapewne zboże i produkty rolne. Pozostałe dwa budynki to mocna już przebudowana siedziba właściciela folwarku oraz drewniany budynek, prawdopodobnie inwentarski, w dolnej partii murowany. Przed laty czworobok budynków zamykała od południa duża stodoła. Drzewa oddzielające majątek od drogi głównej są pozostałością parku dworskiego. Nazwa Antonienhof pochodzi od imienia córki właściciela majątku Simona von Czarnecki, który piastował urząd skarbnika miasta Sztum. Jego nazwisko pojawia się w *Grundakten Vorschloss Stuhm, Band, I, Blatt 30* z lat 1799-1905.

PLYTA NAGROBNA BURMISTRZA SZTUMU PETERA MOGGE

W czasach studenckich zainteresowała mnie płyta nagrobna wisząca w przedsionku kościoła na placu Wolności. Krok po kroku, zbierając materiały udało mi się odtworzyć historię tego zabytku, a także wyjaśnić jego symbolikę. Płytę umieszczono w kościele ewangelickim na polecenie burmistrza Sztumu dr Josefa Nesterera, który pełnił swój urząd w mieście około roku 1933. Burmistrz kazał ją odnowić na własny koszt wraz z fragmentami inskrypcji i płaskorzeźbami. Płyta nagrobna przed wmurowaniem jej w ścianę przedsionka znajdowała się na cmentarzu ewangelickim przy dzisiejszej ulicy Kochanowskiego, obok kaplicy grobowej rodziny Philipsen i przykrywała grób rodziny Petera Mogge, burmistrza Sztumu, który pełnił swój urząd w latach 1685-1716. W czasach przedwojennych legenda Petera Mogge była wśród mieszkańców miasta bardzo popularna. Burmistrz był patronem dzisiejszej ulicy Osińskiego, a także szkoły podstawowej (obecny sąd grodzki).



Fragment płyty Petera Mogge

Urodził się 10 listopada 1650 r., „we wtorek przed Marcinem” jako dziewiąte dziecko w rodzinie chrześcijańskich Niemców. Jego ojciec, Peter był stróżem lenna w Knacksee

(ob. Przeleg pow. Szczecinek). Matka Katarzyna pochodziła z domu Leutz. Po śmierci ojca jego wychowaniem zajął się brat matki, Jakub Leutz, podskarbi i poborca podatków urzędów w Koszalinie i Białogardzie z ramienia elektora brandenburskiego. Następnie przez cztery lata Mogge przebywał u krewnych w Poznaniu, gdzie nauczył się języka polskiego, pracując u kupca. Następnie przez 10 kolejnych lat pracował jako pisarz u wojewody poznańskiego Krzysztofa Grzymułtowskiego, dyplomaty w służbie królewskiej, uczestnika rokowań pokojowych ze Szwecją w Oliwie w 1660 r. i z Rosją w Moskwie w 1686 r. Te ostatnie zakończyły się traktatem, który przeszedł do historii jako traktat Grzymułtowskiego. Do Sztumu Mogge przybył wraz z Grzymułtowskim, który w latach 1676-1678 sprawował tutaj urząd starosty.



Postać Petera Mogge, jego żony i pastora na płycie nagrobnej

Dnia 15 maja 1678 r., kiedy urząd sztumskiego starosty objął Jan Bonawentura Dobrogost Krasieński herbu Ślepowron, Mogge został jego sekretarzem. Dwa lata później w ewangelickim domu modlitwy ożenił się z Marią Barbarą Schristiani, wdową po pastorzcu Johannie Reimerusie (Reihmusie). Miał z nią trzech synów i dwie córki. Od 1685 r. przez 10 kolejnych lat Mogge sprawował urząd burmistrza, bez wcześniejszych wyborów oraz bez pomocy rajców i pobierania uposażenia. Dopiero w 1695 r. jednogłośnie wyboorem ratusza i miasta został wybrany burmistrzem miasta Sztum. Sprawował ten urząd w trudnych warunkach politycznych aż do śmierci w 1716 r.

Po wielkim pożarze w 1683 roku, kiedy to spłonął ratusz stojący w miejscu dzisiejszego kościoła ewangelickiego, Mogge ofiarował miastu jeden z domów przy rynku, który od tej pory pełnił funkcję ratusza oraz ewangelickiego zboru. Co trzecią niedzielę nabożeństwa odbywały się tam w języku polskim. Ofiarował też gminie ewangelickiej działkę pod cmentarz (dziś cmentarz przy ul. Kochanowskiego). W 1706 r., ze względów politycznych opuścił miasto i udał się do Prabut, z których nadal kierował polityką Sztumu.

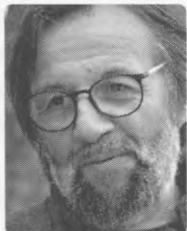
W 1709 r., po 29 latach małżeństwa, zmarła mu żona, a następnie podczas epidemii dżumy szalejącej w latach 1709-1710 wszystkie dzieci. Peter Mogge zmarł w wieku 66 lat w 1716 r. w Prabutach. Przed śmiercią ulokował dużą sumę pieniędzy w gdańskiej kamerze miejskiej. Odsetki od tej kwoty trafiały na utrzymanie szpitala ewangelickiego, pastora i domu modlitwy. Pochowany został z honorami w Sztumie na cmentarzu ewangelickim, który wcześniej sam ofiarował gminie ewangelickiej.

Wapienna płyta nagrobna z kościoła na rynku o wymiarach 2,4 x 1,43 m. obramiona jest płytko rytym napisem. Poza wyrazami „Peter Mogge” (prawy górny róg płyty) oraz „Johan Reimerus” (lewy górny róg) inskrypcja jest nieczytelna. Napis pokrywał także centralną, wolną przestrzeń płyty i ścianki boczne. Górną część zabytek ozdabia płaskorzeźba Chrystusa Ukrzyżowanego, u podstawy której widnieje czaszka ze skrzyżowanymi piszcze-

lami (symbol Adama, pierwszego człowieka, według tradycji pochowanego pod Golgotą). Po środku, w łuku, widać 14 klęczących postaci, natomiast na dole płaskorzeźbę przedstawiającą figurę w aureoli, która trzyma lewą rękę na ramieniu szkieletu. Po obu jej stronach znajdują się symetrycznie rozmieszczone herby. Zabytek posiada ciekawą symbolikę. Czternaście postaci umieszczonych pod krucyfiksem pełni rolę orantów. Są wyobrażeniem zmarłych. Postacie klęczą (stać mogli jedynie święci), ręce mają złożone.

Możemy założyć, że postacie na płycie z kościoła ewangelickiego przedstawiają rodzinę burmistrza Mogge. Centralną postacią jest kobieta, która symbolizuje żonę Petera Mogge, Marię Barbarę. Kolejna postać po jej prawej stronie to sam burmistrz Mogge, a następnie pięcioro ich dzieci, odpowiednio - trzech synowie i dwie córki. Osobą znajdującą się po lewej stronie żony Petera Mogge, w stroju ewangelickiego duchownego, może być pastor Johann Reimerus, jej pierwszy mąż. Tłumaczyłoby to występowanie jego nazwiska na płycie. Sześć kolejnych postaci po jego lewej stronie to z kolei dzieci pastora i Marii Barbary. Krzyże umieszczone nad głowami większości figur oznaczają, że w chwili wyrabiania płyty już nie żyły. Zastanawiający jest tutaj brak krzyża nad głową Petera Mogge. Ostatnia scena przedstawia ludzki szkielet ze świętym trzymającym rękę na jego ramieniu. Orantom towarzyszyła nie tylko rodzina, ale także patron, który pełnił rolę orędownika. Przedstawiany był za orantem, często z ręką na jego ramieniu. Podążając tym tropem można przypuszczać, że postać z aureolą to św. Piotr, imienny patron burmistrza. Jednak umieszczenie żony w centralnym miejscu oraz brak krzyża nad głową burmistrza może sugerować, że płyta została wykonana za życia Petera Mogge, na jego polecenie, i przykrywała grób żony oraz dzieci. Później pochowano w nim też Petera. Nad sceną ze szkieletem widzimy herb umieszczony na owalnej tarczy. Oznacza to, że przypisany jest on kobiecie. Idąc tym tropem, herb po lewej stronie należy do pastora, a po prawej do Mogge. Niestety, oba herby są dziś nieczytelne. Warto zaznaczyć, że misterne wykonanie i bogata symbolika klasyfikuje tę płytę nagrobną do najciekawszych zabytków sztuki sepulkralnej w regionie.

Krzysztof Czyżewski



NOTATKI SŁÓW I OBRAZÓW (14)

BHUTAŃSKA OPOWIEŚĆ

26 września 2020 roku



Trudna sprawa, bogactwo. Los podrzuca ci do rąk rozżarzony węgielek. Chwytasz, bo cudownie świetlisty. Zwłaszcza jak masz dłonie zmarzniete, długo nie czujesz, że cię wypala. Są tacy, którzy zatrzymują go dla siebie, ale ci pozbawieni są instynktu życia. Tyle masz z bogactwa dobrego, ile zdołasz przekazać go innym i na ile pozyskasz ich zaufanie, by się nie odrzekli. Ratujemy innych, przyjmując od nich dary. Inaczej pozostaliby z rozżarzoną węgielką w dłoniach. Raz w życiu zostałem milionerem, ale jeszcze tego samego dnia udało mi się przekazać pieniądze dalej...

Tak sobie rozmawialiśmy z Kunzang Czoden, schodząc w dolinę z jej rodzinnego klasztoru Ogjen Czoling, uczeplonego południowych stoków Himalajów. Na drogę powrotną do domu podarowała mi książkę, w której spisała bajki i stare opowieści mieszkańców dzongu i wiosek doliny Tang. „Przeczytaj, a zrozumiesz dlaczego u nas w Bhutanie czułeś się tak bardzo u siebie.” Znalazłem w niej i tę opowieść...

Dangbo... o Dingboo... Mimi Hejlaj Hejlaj pracował na polu, a słońce mocno prażyło. Czułe mówiono o nim dziadek Hejlaj. To był silny duch w kruchym ciele. Wąty, na pałkowatych nogach, z zawiadacko bulwiastymi łydkami. Na wiejskich zebraniach skubał swoją kozią bródkę. Serdeczny i pomocny każdemu, nie przepadał za ciężką fizyczną pracą. Żył długo dzięki dobrożyczliwości sąsiadów. Tego dnia czekało go kopanie motyką, by przygotować pole pod zasiew gryki. Dużo sił kosztowało go wyrwanie pniaka o głębokich korzeniach. Pot wystąpił mu na czoło, na rękach pojawiły się bąble. Słońce już zachodziło za górami, gdy ostatnią resztką zdołał wyciągnąć go z ziemi.

Jeszcze słyhać było jęk wrywanych korzeni pniaka, gdy w jamie po nim ujrzał ogromny turkus. Szlachetny kamień mienił się cudownym światłem i był okrągły jak golang, ta patelnia do smażenia *bumthangpa khuli*, czyli gryczanych naleśników. Zaniemówił, nie wierząc własnym oczom. W końcu schylił się by podnieść kamień i obejrzeć go w zachwyceniu. Zaprawdę, w życiu nie widział niczego piękniejszego.

„Gdy go sprzedam – mówił do siebie Mimi Hejlaj Hejlaj – stanę się bogaty i nie będę już musiał porywać się z motyką na pniaka.” Włożył turkus do kieszeni i chwiejnym krokiem wyruszył na targ. Ledwie to uczynił, spotkał na drodze człowieka prowadzącego konia. „Mimi Hejlaj Hejlaj, dokąd się udajesz?” – spytał ów człowiek. „Nie mów Mimi Hejlaj Hejlaj, lepiej posłuchaj: Pracowałem motyką, by przygotować pole pod zasiew gryki, wykopałem pniaka i w jamie po nim znalazłem cudowny turkus. Zamierzam sprzedać go na targu, ale może chcesz zamienić na niego swojego konia?” Człowiek nie posiadał się ze zdumienia i pomyślał, że staruszek zwariował. Kamień był bezcenny, a druga taka okazja mogła mu się już w życiu nie zdarzyć. Nie namyślając się wiele, zgodził się na zamianę i szybko oddalił, w obawie, że staruszek może się jeszcze rozmyślić.

Tymczasem Mimi Hejlaj Hejlaj, szczęśliwy z ubitego targu, razem z koniem wędrował dalej. Ledwie uszedł trochę drogi, a spotkał człowieka prowadzącego byka. „Mimi Hejlaj Hejlaj, dokąd się udajesz?” „Nie mów Mimi Hejlaj Hejlaj, lepiej posłuchaj: Pracowałem motyką, by przygotować pole pod zasiew gryki, wykopałem pniaka i w jamie po nim znalazłem cudowny turkus, którego zamieniłem na konia. Zamierzam sprzedać go na targu, ale może chcesz zamienić na niego swojego byka?” Człowiek długo się nie namyślał, bo ten piękny młody ogier wart był o wiele więcej od jego starego byka.

Mimi Hejlaj Hejlaj wędrował dalej z bykiem, aż spotkał człowieka prowadzącego barana. Zapytany dokąd zmierza, ponownie odpowiedział: „Nie mów Mimi Hejlaj Hejlaj, lepiej posłuchaj: Pracowałem motyką, by przygotować pole pod zasiew gryki, wykopałem pniaka i w jamie po nim znalazłem cudowny turkus, którego zamieniłem na konia, a potem konia zamieniłem na byka. Zamierzam sprzedać go na targu, ale może chcesz zamienić na niego swojego barana?”

Baran podążył za swoim nowym panem, becząc żałością, gdy tymczasem jego stary pan nie posiadał się z radości prowadząc byka i rozmyślając o najlepszej transakcji, która przytrafiła mu się w życiu. A co na to Mimi Hejlaj Hejlaj? Ano rozmawiał już z napotkanym na drodze właścicielem koguta, który uszom nie wierzył słysząc, że w zamian za niego miałby otrzymać barana.

Mimi Hejlaj Hejlaj wziął koguta pod ramię i wędrował dalej, dumny i szczęśliwy. Napotkał wreszcie na drodze człowieka, który niczego nie miał, tylko śpiewał w niebogłosy.

Zapytany dokąd się udaje, Mimi Hejłaj Hejłaj odrzekł: „Nie mów Mimi Hejłaj Hejłaj, lepiej posłuchaj: Pracowałem motyką, by przygotować pole pod zasiew gryki, wykopałem pniaka i w jamie po nim znalazłem cudowny turkus, którego zamieniłem na konia, a potem konia zamieniłem na barana, a barana na koguta. Zamierzam sprzedać go na targu, ale może chcesz zamienić na niego swoją piosenkę?” Słyszac, że człowiek nie odrzeka się jego prośby, wniebowzięty Mimi Hejłaj Hejłaj wcisnął w ramiona zachwyconego śpiewaka koguta i ruszył w drogę powrotną do domu, śpiewając radośnie: „Shom a lay laymo, ow lay pey owlay pey... ow lay pey...”.

KRZYSZTOF GIEDROYĆ

30 września 2020 roku

Krzysztof Gedroyć, jak prawdziwe życie z „Bierzałowiec”, ostatniej jego książki poetyckiej, „nie da się opowiedzieć”. Dochowujemy mu wierności, próbując pomimo wszystko.

Odszedł mając 67 lat, w mieszkaniu w Warszawie, po spacerze z kulawym psem, którego niedawno zaadoptował, we śnie, cicho. Wiadomość od Ewy nadeszła późnym wieczorem. Jeszcze rano długo z nim rozmawiała przez telefon. Jest taka ich małżeńska fotografia zrobiona przez Małgorzatę Niedzielko, na której obojgu zagnieździły się w głowach ptaki, a na szyjach zawisły odkryte serca – „dziwni”, no bo jakże inaczej dobrzy ludzie mogą wyglądać w tym piekielnie normalnym świecie.

Mówią, że każde pokolenie ma swoich trzydziestu sześciu sprawiedliwych, w tradycji żydowskiej cichych łamed wowników, na których trzyma się świat. Może był jednym z nich? No bo jeśli nie Krzys, to kto? Poeta, powieściopisarz, pedagog, społecznik. Nie tylko kim był jest ważne, ale jakim człowiekiem. Za to otrzymuje od nas pamięć, w duchu nagrody przyznawanej podlaskim lekarzom „leczącym człowieka, nie tylko chorobę”. Nagrodę ufundowali wspólnie, by upamiętnić ojca Ewy, zmarłego nagle chirurga, dr Krzysztofa Kanigowskiego.

Przyjaciel. Zwykle dodaje się jeszcze „mój” albo „nasz”. I owszem. W jego przypadku jednak to słowo mówi więcej. Krzysztof żył zaprzyjaźniając się. Życie, jeśli było dobre, poszerzało krąg przyjaźni. Dzięki Ewie, którą nazywał „radykalnym zwierzolubem”, przeżył wielką przemianę – jak sam o niej mówił – wydobywającą go z „niskiego wychowania”, w którym zwierzęta są z innego, niższego porządku. Zaczął rozumieć swoją obecność w świecie jako współistnienie z innymi czującymi istotami. „Zabijanie zwierząt... Nie mogę sobie z tym poradzić. Nie wiem jak wy...” Podczas odwiedzin u niego w Bierzałowcach szliśmy w gościnę do starego dębu: „można z nim porozmawiać, – pisał w wierszu – dobrze / zacząć od przeprosin...” Gdy zasiadał w naszym domu przy stole, czuliśmy, że jest przyjacielem domu, wszystkiego, co w nim żywe. Podobnie jak był przyjacielem Pogranicza, niepostrzeżenie, poprzez dobre słowa, bezinteresowne gesty, czynne uczestnictwo stając się jego budowniczym. Był „dwuosobowy”, z miejscem wolnym dla kogoś, kto zechce się przysiąść; gościnny



dla spotkań powszednich, sprawiających wrażenie błahych, a w istocie zmieniających świat. O takim spotkaniu pisze w wierszu „Dwuosobowy”, z panią Justyną z Bierżałowiec, która w dzień marny przyszła z dwoma słoiczkami zapraw w darze: „powstał wir kosmiczny... było dobrze, spokojnie, jak w gnieździe”. Był nie tyle obywatelem, ile przyjacielem świata.

O życiu Krzysztofa w dużej mierze zdecydowały przyjaźnie związane podczas studiowania historii sztuki na Uniwersytecie Warszawskim. Spotkali się tam na początku lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku Dorota i Krzysztof Łepkowski, Ryszard Michalski, Wacław Sobaszek i on. Przy okazji studenckiego wyjazdu śladem zabytków Dolnego Śląska, zawitali do Teatru Laboratorium we Wrocławiu. Obejrzenie spektaklu „Apocalypsis cum figuris” stało się dla nich mickiewiczowską książką zbójczą – nic już nie było takie samo. Zespół Jerzego Grotowskiego był wówczas w fazie realizacji programu „kultury czynnej” – zejścia ze sceny ku międzyludzkiemu spotkaniu, zaproszenia dotychczasowych widzów do udziału w procesie twórczym, zanurzenia się w świat natury, łączenia poszukiwań artystycznych ze świadomością ekologiczną, psychoterapią, antropologią i edukacją alternatywną. Niezależnie od tego, jakie „kulturze czynnej” przypiszemy znaczenie dla rozwoju teatru (sam Grotowski wkrótce nabierze do niej dystansu i zwróci się w stronę rzemiosła wysublimowanych technik rytualnych), faktem jest, że stała się ona inicjacyjnym doświadczeniem dla wielu ludzi, którzy w przyszłości zostaną – tak w skali lokalnej, jak i międzynarodowej – kreatorami nowych idei i form działania. Choć realizować się będą w różnych dziedzinach życia, od pedagogiki po rolnictwo ekologiczne i samorządy, łączyć ich będzie wrażliwość na wykluczenie, zrównoważony rozwój, empatia i filozofia dialogu, otwarta duchowość, etos pracy organicznej, kultura solidarności, tworzenie małych centrów świata. To ważna polska tradycja, ciągle zbyt mało doceniana, którą Krzysztof współtworzył. Najpierw poprzez powołanie do istnienia w 1977 roku Placówki Twórczo-Badawczej „Pracownia” w Olsztynie. Do grona absolwentów historii sztuki dołączyła Ewa Kusiorska-Wołoszko, dzisiaj Szeliga, a potem Erdmute Henkys z NRD, wkrótce Sobaszek. W stronę Olsztyna ciągnęła ich twórczość artystów konceptualnych Wiesława Wachowskiego i Tadeusza Burniewicza, bliskich nurtowi „po-sztuki”. „Pracownia” stała się fenomenem na mapie kulturalnej kraju dzięki temu, że w oryginalny sposób łączyła działania kontrkulturowe, takie jak happening czy performance, z pracą na rzecz społeczności lokalnej i środowiska naturalnego. Występowali na podwórkach, w domach dziecka, zakładach opiekuńczych i szpitalach. W książce „Parateatr II. Sztuka otwarta” odnaleźć można tekst Krzysztofa opisujący akcję „Smok” w obronie zanieczyszczonej rzeki Łyny. Oto w szarej i zniewolonej rzeczywistości prowincjonalnego miasta PRL-u pojawiają się ubrane na białą dziewczyny w maskach przeciwigazowych, apelujące do ludzi na moście, aby wlewali do rzeki czystą wodę. Chciałyby urządzić piknik nad wodą, ale: „Zbliża się smok-potwór zrobiony z odpadów i resztek. Opadają liście z drzew namalowanych na płótnie, malarz pryska czarną farbę na obraz. Z ogona smoka zaczynają wydobywać się kłęby dymu”. W finale pojawia się napis „Ziemia nie należy do człowieka, to człowiek należy do ziemi”. Już w tamtym czasie Krzysztof był też pośród tych, którzy na miejscach wycinanych drzew stawiali tabliczki „Tu było drzewo”.

„Pracownia” zostaje zamknięta wraz z wprowadzeniem stanu wojennego. Jej liderzy wkrótce tworzą własne, zmieniające świat inicjatywy: Łepkowski gospodarstwo ekologiczne

i słynną „zieloną szkołę” w Gotkach, a Rysiek Michalski stowarzyszenie „Tratwa” i działający w bliskiej symbiozie z samorządami Warmii i Mazur Ośrodek Animacji Kultury Czynnej. Krzysztof, u boku Wacka i Mutki Sobaszków, budować będzie zręby Teatru Węgajty. To budowanie miało też wymiar dosłowny: położył podłogę w dawnej oborze gospodarstwa Warmiaków, którzy – jak wielu innych w okolicy – wyjechali do RFN na początku lat siedemdziesiątych. To miejsce stało się salą teatralną, która na trwałe pozostanie w historii polskiego teatru alternatywnego. Odkąd pamiętam, nie można było chodzić po Krzysiowej podłodze w butach. Myślę, że tak jest do dzisiaj. Do ostatnich dni pozostanie wiernym przyjacielem Węgajt. Poza wszystkim innym, było to jego pierwsze „autonomiczne księstwo”. Przez resztę życia będzie wspierał i propagował ideę ich tworzenia, najpierw jako antidotum na komunistyczne zniewolenie, później na zniewolenia fanatyzmem rynkowym, narodowym czy religijnym. Przyjaciele nazywali go „Kniaziem”. Miał nieskrywany tatuaż Wschodu: rozlewną serdeczność, miłą duszę połączoną z zawiadacką niesfornością, której do twarzy było z kozacką „baranką” na głowie z tej małżeńskiej fotografii. „Kniaziowskie” były jego powściągliwość i niespieszność, dostojność zsyta ze skromnością i niewymuszona distingué. Mógłby zrobić ze swojej książęcości użytek na mainstreamowych salonach, ale te go mało interesowały. U siebie czuł się w „autonomicznych księstwach” i to w nich odzyskiwał pełnię blasku dla swojego arystokratycznego ducha. „Kniaź” zwolnił, ugasił gorączkę chciwości, cieszył się przerwą w pracy, wiedział, jak się „rzeczy w świecie mają, / na sposób, którego podręczniki / nie przewidują”, i lubił siadać „pod okapem, centymetr od / letniego deszczu”.

Ważne rzeczy w życiu Krzysztofa rodziły się z przełamania własnych słabości. Został „Kniaziem” przezwyciężając wrodzoną nieśmiałość. Oryginalność jego pisarstwa naznaczona była walką z trudnością wyrażania się w języku, a zwłaszcza w literackiej polszczyźnie. Miał też trudności z mową. Jeszcze jako aktor i performer „Pracowni” i Teatru Węgajty podjął pracę nad doskonaleniem emisji własnego głosu. Ze słabości uczynił siłę, a żywioł mowy stał się jego życiową fascynacją. To, jak się wypowiadamy, nabierało dla niego znaczeń nie tylko w odniesieniu do teatru, było częścią procesu indywidualizacji, autoterapii, archeologią kulturową, odkrywaniem nowych horyzontów na styku z edukacją, psychologią, medycyną i życiem społecznym. Nie było przypadku w tym, że swoje dalsze twórcze życie związał z Pantomimą Olsztyńską. Jeszcze w latach osiemdziesiątych został zastępcą jej lidera Bohdana Głuszcza, a potem, przez prawie całą dekadę lat dziewięćdziesiątych jej dyrektorem i kierownikiem artystycznym. Trafił na bardzo ciekawy okres tego niezwykłego teatru, tworzonego przez ludzi głuchych i głuchoniemych we współpracy z wybitnymi artystami z drugiego brzegu ciszy. Początkowo formą ich ekspresji był język migowy. Rewolucji dokonał Głuszcza, wprowadzając do teatru sztukę pantomimy. Za czasów Krzysztofa dodano jeszcze eurytmię. Olsztyńscy mimowicze stali się nie tylko pionierami arteterapii i żywym dowodem na to, że człowiek słyszy nie tylko uszami, ale także twórcami nowatorskich spektakli teatralnych. Praca Krzysztofa przeniosła się na pogranicze zaniemówienia i nowej mowy, wydobywanej z głębi osoby poprzez ruch, taniec, obraz i muzykę słyszana całym ciałem, wreszcie poprzez słowo, rodzące się w teatrze niejako po raz pierwszy. Za jego kadencji większą uwagę poświęcono młodzieży, w tym olsztyńskim Romom, oraz integracji głuchych ze słyszącymi. Praca z dziećmi niepełnosprawnymi i z rodzin patologicznych zaowocowała powstaniem małej Pantomimy i teatru cieni. Niemal równolegle zostaje wy-

kładowcą, a przez kilka lat także prodziekanem, Akademii Teatralnej im. A. Zelwerowicza. Uczy przyszłych aktorów impostacji głosu, metafory w teatrze, ale także, jak to on, czegoś więcej. Przeczytamy o tym w liście pożegnalnym władz Akademii: „Przez wiele lat uczył studentów, [...] że ich głos ma sens, że się liczy, że jest ważny. Nie odwracał się od głosów cichych i pełnych bólu, ale sprawiał, że stawały się one słyszalne”.

Marzeniem Krzysztofa było stworzenie podlaskiego muzeum mowy, swoistej Izby Dźwięków poświęconej gromadzeniu, badaniu i odsłuchiwaniu rozmaitych mów, ciągle jeszcze żywych na Podlasiu. Nie chodziło mu tylko o języki narodowe, nie tylko o dialekty i gwary, ale może przede wszystkim o mowy tutejsze, środowiskowe, rodzinne, subkulturowe, często synkretyzujące świat wschodniego pogranicza. Miał do nich doskonałe ucho. Jego dwie powieści o milicjantce, a potem prywatnej detektyw Piwonii powstały z odsłuchu mowy tutejszej, białostockiej. Nauczył się jej od kolegów w piaskownicy na podwórzu przy ulicy Lipowej 33, wejście przez bramę z ulicy Grochowej. Matka, pochodząca z Hajnówki, raczej skrywała przed nim mowę tutejszą, uważając ją za gorszą, zrusycyzowaną. Rosyjski i staro-cerkiewno-słowiański przenikały do jego świata ze strony dziadka, unity, z którym bywał w cerkwi. Interesował się mową Tatarów. Z wizyty w Kruszynianach zapamiętał, że imam, czytający na jego prośbę Koran, potrafił recytować i zaśpiewywać modlitwy, nie potrafił jednak przetłumaczyć mu ich treści. Mowa i śpiew rządziły się swoimi prawami, podobnie jak w dawnych łacińskich nabożeństwach katolików. Poznawał litewski i białoruski, ciekawiły go jidysz i hebrajski. W swoich książkach unikał posługiwania się czystym dialektem, wolał tworzyć polifoniczną partyturę mowy. „Wszędzie szukał tematów do życia-koncertu. Znajdował, grał i dyrygował jednocześnie.” To słowa K, dość niezwykłego narratora parapowieści „Przygody K”, mówiącego w trzeciej osobie liczby pojedynczej rodzaju nijakiego. W tamtym czasie to właśnie ono – K zdawało się najlepiej wyrażać samego autora. Jemu samemu najbliższym wówczas było do życiopisania Edwarda Stachury, do bezmienności w literaturze, do człowieka Nikt. Wprawdzie praca ta nie zakończyła się spektaklem, ale razem z Wackiem Sobaszkiem w początkach Węgajt podjęli próbę inscenizacji poematu Steda „Kropka nad ypsylonem”. „Na pociechę pozostało, - wspomina Wacek – że Krzyś zajął się tym poematem głębiej, recytował go, przepracowywał, używał w swoich warsztatach pracy nad głosem.” Wacek uświadomił mi także, że to spotkania ze Stedem, połączone z lekturą jego późnego poematu „Oto”, dały początek ścieżce buddyjskiej w jego życiu. W chwili, gdy piszę te słowa, w sandze Karma Kagyu w Kucharach, gdzie praktykował medytację, trwa rytuał przygotowania jego umysłu do przejścia przez Bardo. Krzysztof przez całe życie, nie tylko w literaturze, nie odnajdował siebie w „egotycznej tożsamości”, walczył o dostęp do światów leżących „poza zasadą ego”. Może tym przede wszystkim była dla niego mowa – wydobyciem się z siebie, przejściem ku drugiemu, polifonicznym zasłuchaniem, domem zbudowanym na palimpseście.

*...za każdym milimetrem żeglugi w górę
krajobraz rozszerzał się.*

Tak pisał w wierszu „Ślimakowa Górka”. Przenosi on nas do ostatniego „autonomicznego księstwa” Krzysztofa. Pisze w nim o jaćwieskim kurhanie zarzuconym głazami, tafłach jezior i polodowcowej Górce pełnej ślimaków, o Miłoszu w płaszczu po Mickiewiczu

i Małgorzacie lecącej na wieprzu, o oszronionych północnym chłodem księgach z Prus, z Pribałtyki, ze Skandynawii...

*Krasnogruda była w zasięgu ręki,
i cała Litwa, z Niemnem, z dorzeczami.*

Odczytaliśmy ten wiersz ubiegłej jesieni w kawiarni „Piosenka o porcelanie”, gdy bohaterką wieczoru była ostatnia książka poetycka Krzysztofa „Bierzałowce”. Był wśród swoich, ludzi o splątanych pogranicznych korzeniach. Szybko znalazł z nimi wspólny język, wymieniając uwagi o różnych smakowitych słowach i zwrotach tutejszej mowy: karabanka, wędzenie (od wędki), pałonik, przedałbać się... Ludzie mieli łzy w oczach słysząc z jaką miłością opowiadał o mowie, o tym, żeby nie bać się mówienia po swojemu, o szacunku dla mowy starszych, dla mowy sąsiadów, o potrzebie jej zachowania. Mieszkańcy Żegar, Dusznicy, Puńska, Sejn czy Augustowa pamiętali z domu wstyd swojej mowy. Pewnie, dobrą rzeczą są książki, szkoła, opanowanie języka literackiego. Ale nie za cenę tego wstydu i wyparcia się intymnych obcować z mową. Tak, jak możemy być wielotożsamościowi, tak możemy być wielomowni. Ludzie władający różnymi mowami potrafią przewyżczać podziały, tworzyć nowe jakości, być łącznikami między różnymi kulturami. „Dobrze jest – mówił do nich poeta – odzepić się od mówienia poprawnego. Mowa żywa pełna jest mówienia po swojemu. Trzeba wyzwolić się z tego przymusu urzędowo-literackiego”.

Krzysztof Gedroyć ostatnią przystań w życiowej wędrówce znalazł w Bierzałowcach, ongiś królewskiej wsi, położonej około dziesięciu kilometrów na południowy wschód od Sejn, na skraju Puszczy Augustowskiej. Razem z Ewą zakupili tu stary dom z kawałkiem ziemi. Nie był całkowicie przyjezdnym – jego dziadek od strony ojca urodził się w którejś z wiosek wokół Sejn, blisko Serw, ale nigdy nie udało mu się dociec w której. Dom okazał się być też „sejneński”: „Belka po belce rozebrany w Sejnach, przywieziony na wozach w 1950. Na powrót złożony. Tak zwany pożydowski. Dlaczego po-żydowski wyjaśniać nie trzeba. Wszyscy wiedzą. Oddycha nocą Ich oddechami. Jak Oni się nazywali? Ilu ich było? Jak żyli? Jak umarli? Stąpamy po przetartych z farby deskach Ich podłogi. Latem na bosaka”. Próbował „wwiercić się” w to miejsce również poprzez język. Szybko nauczył się, że w mowie tutejszej jedzie się nie „do Sejn”, lecz „do-Sejn”. Tamtego wieczoru w Dworze Miłosza mówił o tym, że potrafi pisać tylko w związku z miejscami, które czuje mocniej, przez wspólnotę ludzi, przyrody, kolorów i mowy. Jak bardzo było to prawdziwe, przekonał się gdy zachorował. Był sierpień 2018, kiedy po raz pierwszy otarł się o śmierć. Sparaliżowany, nie mogąc poruszać rękami ani nogami, trzy miesiące przeleżał w warszawskim szpitalu. Po dwóch miesiącach odzyskał sprawność ręki. Gdy tylko mógł pisać, zaczął powracać do swojego Miejsca: na szpitalnym łóżku klikał w smartfona, tworząc cykl jesiennych, mądrych wierszy, dzięki którym w annałach literatury już na zawsze zachowane zostanie imię jego wioski – Bierzałowce.

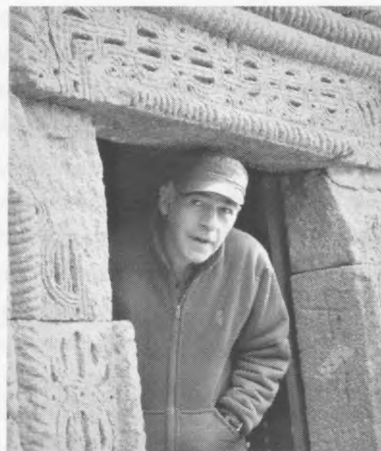
...tu u pana dom od domu daleko, mało ludzi,
słów mało, można nie odpowiadać,

płynąć samotnie wieczorem,
cicho w jeziorze utonąć, nie wołać o pomoc,
zostać na zawsze...

ARCZIL KIKODZE

19 listopada 2020 roku

Są takie czarodziejskie miejsca w Gruzji, w których oczom ludzi podróżnych ziemia objawia tajemnicę swojego palimpsestu, zwykle dostępną tylko geologom. Są takie miasta, w których pisarze stają się geologami i warstwa po warstwie zstępują w głąb ich psyche. Takim pisarzem stał się Arczil Kikodze. Tę fotografię zrobiłem mu podczas wspólnej włóczęgi w górach. Wydawało mi się wtedy, że mieszkanie w Tbilisi służy mu jedynie jako baza wypadowa, w której przepakuje plecak, bierze prysznic, załatwia kilka formalności i przygotowuje się do kolejnej wyprawy. Żył z wypatrywania ptaków. Z całego świata ciągnęli do niego miłośnicy rzadkich okazów istot skrzydlatych, z którymi zapuszczał się w odległe od ludzi głusze. Z tego ży-



wiołu wędrowania i towarzyszących mu opowieści zrodziła się jego pierwsza książka „Ptaki i ludzie”. Tymczasem w nowej, przetłumaczonej przez Magdę Nowakowską powieści „Słoń południowy” odnalazłem go głęboko zanurzonego w infernalnym żywiole gruzińskiej stolicy. Niczym japoński artysta kintsugi roztrzaskuje naczynie swojego miasta, by próbować odrodzić jego zagubione piękno poprzez sklejanie skorup, które już zawsze nosić będą bliźny rozbicia.

Szczęśliwe Tbilisi, które ma „Słonia południowego”. Powieść Arczila Kikodze ofiaruje kaukaskiej metropolii potęgę mitu. Przez jeden dzień towarzyszymy peregrynacjom gruzińskiego flâneura. Od podszewki poznajemy życie miasta, ciągnie się za nami cień Berii, zaglądamy za kuliszy historii miłosnych, chodzimy po kręgach traumatycznych przeżyć z dzieciństwa, oddajemy się nostalgii, dopada nas postsowiecka chandra i kac nieodrobionych lekcji z historii, śmiejemy się przez łzy, nasze marzenia stają się zakładnikami cynicznych nuworysz, rozglądamy się za lekarstwem na samotność, szybko się starzejemy, za późno odkrywamy, co prawdziwie ważne w życiu, aż odzywają się w nas człowiek i miasto, warci miłości.

IRENE VEISAITĖ

11 grudnia 2020 roku

Irena Veisaitė (1928-2020). Ocalona. Człowiek Pogranicza. Nauczycielka. Była jedną z najważniejszych osób w moim życiu. Wiedziałem, że odchodzi od kiedy we śnie przyszła się pożegnać. Potem, gdy nie mogła już mówić, napisała SMS-a „I am on my way”. Wtedy przez noc napisałem te słowa...

Czego nauczyłem się od Ireny Veisaitė?

1. Że życie to góra, której szczyt jest zawsze – którą by nie iść i dokąd by nie zmierzać – tylko w połowie drogi.
2. Że ocaleni chcą tańczyć, boso, nic sobie nie robiąc ze zgorzenia celebrantów śmierci na widok zrzuconych butów, uwierających jak należy, do krwi.
3. „Że we własnym życiu nie wolno poddawać się rozpacz z powodu naszych błędów i grzechów, ponieważ przeszłość nie jest zamknięta i otrzymuje sens nadany jej przez nasze późniejsze czyny.”
4. Że niewierna faktom pogoda ducha jest bardziej dalekowzroczna niż rozpacz wierna naoczności koszmaru.
5. Że pamięć jest kochanką przyszłości.
6. Że nie ma nic piękniejszego od brzydoty muśniętej światłem.
7. „Że prawdomówność jest dowodem wolności, a po kłamstwie poznaje się niewolę.”
8. Że prawdziwy nauczyciel uczy się przez całe życie, ale mistrzostwo osiąga ucząc się od swoich wychowanków.
9. Że zatrute dusze ludzi można uzdrowić przez przyjęcie ich choroby do siebie, bo tylko tak, od wewnątrz tworzą się antyciała złoczynienia.
10. Że świata nie zmienia posiadanie racji lecz sztuka współlistnienia z innymi, choćby za cenę wyrzeczenia się racji.
11. Że niewidzialny most można odbudować tylko razem z tymi, którzy go zburzyli.
12. Że z piekła wychodzi się za głosem serca.
13. Że można kochać cudze nikogo nie raniąc.
14. Że bogiem jest przebaczenie.
15. Że miłość jest możliwa.



JAN STACHOWSKI

24 grudnia 2020 roku

Odszedł Jan Stachowski. W Wigilię. Tłumacz, bohemista. Poznałem go tuż po 1989 roku jako dyplomatę, w ogrodach polskiej ambasady w Pradze. Jeszcze raz tłumacz. Co jak co, ale mamy w Polsce tłumaczy na jakich zasługuje literatura czeska. Inni bohemiści lubili podkreślać, że nikt tak jak on nie znał języka czeskiego. A skoro tak mówią tłumacze, to wiadomo, że nie chodzi o werystyczną znajomość narzecza,



tylko o coś znacznie ważniejszego – wiedzę o duszy języka, o zasobach konfitur w jego spiżarniach, o jego najdziwniejszych, sięgających daleko poza centrum odrostach.

Zapytany niedawno przez Andrzeja Jagodzińskiego, kto jest najbardziej „jego” czeskim pisarzem, odpowiedział, że – poza „klasykami” Hrabalem i Škvoreckim – jest to Patrik Ouředník. Kiedy sobie teraz o tym przypominam, to przychodzi mi na myśl epizod z „Europeanów” (książki uznawanej przez niego za swoje największe dokonanie translatorskie) o tłumaczu, a właściwie jego braku na wojnie, podczas której „żołnierze z mniejszości narodowych lub regionów, w których mówiło się dialektem, nie rozumieli języka, w jakim dowódcy wydawali rozkazy”. Otóż zdarzyło się, że kiedy „pewnemu bretońskiemu żołnierzowi wraza kula odstrzeliła palec u ręki, to podporucznik wysłał go do lekarza, ten jednak uznał, że chodzenie do doktora z tak błahą raną jest niepatriotyczne, no i oddał żołnierza pod sąd polowy, który skazał go na rozstrzelanie, bo tłumacz, który mógłby wyjaśnić, że żołnierza wysłał do lekarza jego dowódca, akurat był na urlopie”. Jan Stachowski przychodził do wydawców – bo najczęściej to on proponował książki warte przekładu – z myślą o publikacji literatury pomagającej zrozumieć świat, którego wielu, w tym przywódcy, nie rozumie. Trudno powiedzieć ilu z nas z tego powodu nie poszło na rozstrzelanie, ale nie powinniśmy zbyt pochopnie lekceważyć tego epizodu pierwszej wojny światowej. Nie powinniśmy choćby ze względu na pamięć o Janie Stachowskim.

Cenił Ouředníka za niezwykle wycucie języka: „W każdym zdaniu kryje się pułapka, w każdym zdaniu ukryte są aluzje, które tłumacz musi rozwikłać”. Nasza ostatnia, tegoroczna wspólna praca dotyczyła „nowelki” Patrika pod tytułem „Ad acta”, która na wiosnę ukaze się w serii „Meridian”. Coraz częściej w korespondencji zdarzało mu się powtarzać „jeżeli dożyję”, albo „nie wiem czy doczekam”... Wiedzieliśmy, że walczą z rakiem. I jak zawsze, mieliśmy nadzieję.

Chciałoby się teraz powtórzyć za panem Dykiem z „Ad acta”: „Oczy zmarłych dodają gwiazdom blasku”. Zbyt to jednak patetycznie wychodzi jak na nadzwyczaj ludzką i wewnętrznie uśmiechniętą duszę Jana Stachowskiego. Muszę więc dodać coś jeszcze... Tymi słowami o oczach zmarłych pan Dyk zwraca się do pani Procházkovéj, by zaraz dodać: „Księga Przysłów, 125, 8”. Kiedyś nie opatrywał swoich sentencji zmyślonymi źródłami, ale zwracając się do ludzi w stylu „...jak ja to mówię” w reakcji otrzymywał jedynie zakłopotany uśmiech. „Dawno zrozumiał, że za najwyrazistszy przejaw inteligencji uchodzi w Czechach powtarzanie tego, co już ktoś wcześniej powiedział.” Zmienił więc taktykę: „Kop w piasku, a znajdziesz siebie. Eklezjasta 17,5”, zachęcał w pracy koleżankę, na którą miał chrapkę. „Ojciec krzyczy głośno, lecz biada, syn go nie słyszy. Gilgamesz, pieśń trzecia”...

Tak bym chciał do łez pośmiać się z Janem Stachowskim. Wiadomo, co ze śmiercią. Ale co z życiem? Zwłaszcza tym, w którym – jak to mówił pan Krebs – „Człek kupi cedzak – cieknie! Da go zreperować – nie cedzi!”. Tam też będzie takie? Inaczej przecież człowiek by zwariował. Panie Janku...

CLAUDIO MAGRIS

19 grudnia 2020 roku

W powietrzu czuć już Narodziny, a mnie zebrało się na refleksję o starzeniu się. Zresztą sprawy te nie muszą być od siebie bardzo odległe. Późne lata życia bliskie są nowemu. Przynajmniej taką myśl podsuwa lektura nowej książki Claudio Magrisa.

Claudio Maximus, może największy w najmniejszych formach prozy. Jak Mansfield, albo Kafka, albo Akutagawa. Opowiadki zebrane w tom „Zakrzywiony czas w Krems” to jedna z najpiękniejszych z wielu jego książek, które przeczytałem. A mamy po polsku wszystko, co najważniejszego napisał. Wielka w tym zasługa Joanny Ugniewskiej. Wieloletnie obcowanie tłumaczki z dziełem Magrisa zaciera granicę między oryginałem a kopią przekładu. Przychodzi taki moment, kiedy pisarz z tłumaczem rozumieją się bez słów, a wtedy przekład pisany jest językiem oryginału. Czyż nie tę właśnie tajemnicę zdradza ich spojrzenie, uchwycone na fotografii z Krasnogrudy?



Magris pisze o starości. Skreślić. Magris pisze o starzeniu się. A to nie jest to samo. Nie wydaje walki starzeniu się, jak choćby transhumanista Roy Kurzweil, marzący o przekroczeniu z pomocą nowoczesnej technologii granicy śmierci. Bohaterów swoich opowieści dogania w tych chwilach ich późnego życia, gdy mają odwagę je zmienić, zrewolucjonizować ustalone hierarchie, wyemancypować się z iluzji ludzi sukcesu. Pracuje w laboratorium słowa przypominającym starą aptekę, w której choćby najmniejsze odważniki z mosiądzu są zbyt ciężkie by zrównoważyć szalę wagi z eliksirem życia, więc pęsetą na drugiej szali kładzie się listki aluminium, stu- a nawet jednomiligramowe. O jedną uncję za dużo, a zakłócone zostaną proporcje, słowa zaczną tracić moc, będą się powtarzać, zagadywać na śmierć. Tymczasem alchemia słowa Magrisa jest procesem przemiany ars moriendi w ars viva. Bliskość śmierci uczy żyć. Jak u jego mistrza Italo Svevo, autora niesfornych „Wyznań starca”, któremu wystarczyła obecność nieznannej dziewczyny, przypadkowo acz z wigorem na piazza Goldoni ocierającej się niemal o jego samochód, ubranej w poprzecinaną zielenią śnieżnobiałą suknię, by już na zawsze się ocknął i pozostawił za sobą inercję późnych lat życia, zmęczenie oczu, przemożną chęć odpoczynku, a także nieodwracalne wydawałoby się wygaszanie barw i sensów świata. A może dla nich obu mistrzem jest samo miasto? Stary dobry Triest, „przesadnie zwrócony ku wielkiej tafli wody”, więc tak budowany, by ulice prowadzące prostopadle do morza, „w stronę wielkiego światła”, poprzecinać tymi równoległymi do nabrzeży, tworzącymi „kratę broniącą dostępu do zatoki i jej bezmiaru”. Dojrzałości wieku przyja cięń w ulicach osłoniętych wysokimi domami, wcześniej zapadający wieczór i dystans do morza, które i tak „robi się coraz większe”. Starzenie się – wbrew temu, co powszechnie się sądzi – nie ma nic wspólnego z rozkojarzeniem, koncentruje się tylko na czymś zupełnie innym, czymś zwykle przeoczonym w pierwszej fazie życia, którą ludzie

poświęcają na budowanie swojej kariery lub inne rzeczy skończone. Na czym konkretnie się koncentruje? Choćby na stożku świetlnym w nieskończoności, zwłaszcza gdy za rozmówcę bierze się sobie Rogera Penrose'a, albo – jak to ma miejsce w tytułowym opowiadaniu – we własnym życiu doświadcza się odwrócenia relacji przyczynowo-skutkowej. Dla starzejącego się człowieka w opowieściach Magrisa istnieje życie wieczne, ale tylko tu i teraz. Znika przedtem i potem, jest tylko „nic, tylko nieistniejący kosmiczny pył, muszki, które oko starego człowieka widzi unoszące się w powietrzu, ale których nie ma”.

Pchamy się na szczyt. Gęsto tam od nas, jak na zboczach Czomolungmy. Uczymy kolejne pokolenia młodziaków jak to się robi i ciągle rozbudowujemy już i tak gigantyczną fabrykę sztucznej energii pozyskiwanej ze zdobywczego geniuszu człowieka. Udajemy, że na tym rzecz się kończy. Nasza kultura zapomniała o tym, że sztuką jest zejście z góry, duchowo najbardziej wysublimowaną. Gdybyśmy nawet chcieli tego uczyć, to szybko rozbijemy się o rafy deficytu nauczycieli, utraty wartości rynkowej i désintéressement mediów, a przede wszystkim lęku przed degradacją w oczach przyzwyczajonych do blasku światowego sukcesu. Trzymając się kurczowo szczytów, łatwo zapadamy na megalomanię. Uparcie ją bagatelizujemy, nie dopuszczając do siebie świadomości, że to choroba śmiertelna. Igramy z nią jak z alkoholikiem, któremu w imię dobrego obyczaju i świętego spokoju stawiamy wódkę. Megaloman jest śmiertelnie uzależniony od szczytu i nigdy nie umiera sam – pozostawia w świecie spustoszenie, od przemocy wobec innych po katastrofę ekologiczną. Umiejętnie zstępując oddajemy dary, opróżniamy kieszenie napełnione kamieniami pozaciąganych wcześniej, często na ślepo, długów, uczymy się pokory przyznając się przed sobą, że w pojedynkę nie dalibyśmy rady i że jest cena, którą innym przyszło zapłacić za nasz zwycięski szczyt. Więcej – że ta cena dotyczy nie tylko czasu przeszłego i nie tylko najbliższych, że jest częścią naczyń połączonych obejmujących środowisko naturalne i ludzi, których nigdy nie poznamy. Nie dając sobie rady z zstępowaniem, szukamy wybiegów, wszak od czego mamy inteligencję. Mówimy wtedy na przykład, że takie jest prawo rządzące światem, albo że nie zrobiliśmy tego dla siebie, tylko dla sztuki, dla postępu nauki, dla przyszłych pokoleń... Tyle, że to nie jest gadka dla dobrze starzejących się ludzi, którzy też otarli się o szczyt, a teraz żyją mądrze u podnóża góry. Tacy są bohaterowie opowiadań Magrisa, dla których starzenie się było „marszem do przodu po to tylko, by móc zawrócić...”

Ponieważ źle umiejscowiliśmy metę, nie potrafimy dobrze się starzeć. Usiłują to zmienić bohaterowie Magrisa, z których każdy zdaje się być głosem wewnętrznym autora. Są inni niż bohaterowie Conrada, o których Magris pisał w „Alfabetach”. Dopatrywał się w nich refleksów portretu ojca, wybitnego polskiego patrioty, prześladowanego przez carat, którego dwunastoletni syn podejrzwał jak niszczy własne rękopisy, i konstatował: „bohaterska przegrana, nieustraszona odwaga w zmierzeniu się z nią i ukryta skłonność do kapitulacji.” Bohaterowie Magrisa nie ponoszą klęski, stając jednocześnie na szanćcu obrony kodeksu moralnego. Pragną wykorzystać swoje życiowe doświadczenie by lepiej żyć. Nie potrzebują do tego wielkich rewolucji. Zstępowanie to ciąg małych kroków, drobnych podskórnych zmian, skromnych gestów, potrafiących jednak wybić świat z utartego toru. Giuseppe, a właściwie Joseph Della Quercia, dawniej Eichholzer, nie zostaje portierem z powodu życiowej przegranej, bankructwa albo roztrwonienia dużego majątku, który zgromadził

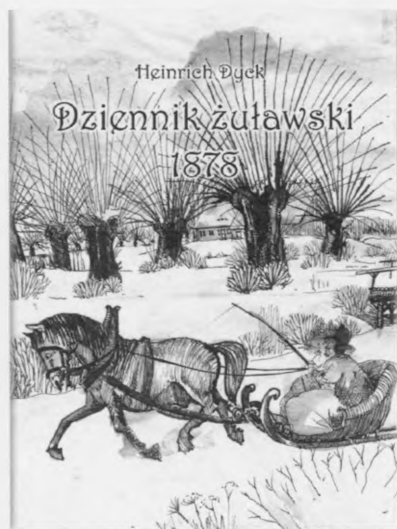
prowadząc liczne przedsiębiorstwa w Trieście i całej Europie. Wręcz przeciwnie, jego sprawy rodzinne i majątkowe mają się jak najlepiej. Chce jedynie uwolnić się od tego osobnika, którego życie uzależnione było biznesowych transakcji i podpisywania dokumentów własnym imieniem i nazwiskiem. Chce uwolnić się od niego „jak zdejmuje się ubranie przeznaczone na uroczyste okazje i odwiesza do szafy. Czy tak wygląda starzenie się? Naprawdę wydawało mu się, że to ten drugi się starzeje, biorąc na swoje barki coraz więcej lat, niczym przeciążony wieszak, on sam zaś stawał się coraz lżejszy i zwinniejszy”.

Można też inaczej dobrze się starzeć. Maestro Salman Meierstein, z korzeniami rodzinnymi w Biłgoraju, składa wizytę uczniowi, robiącemu światową karierę. Bogata dzielnica Triestu, willa rodziny Vilardi pamiętająca czas prosperity epoki Mussoliniego. Uczeń, tuż przed wyjazdem na tournée do Nowego Jorku, daje swojemu maestro szkic własnej kompozycji: „Pomyślałem, że może pana zainteresować pewien fragment, zatytułowałem go Kadysz, to hołd złożony żydowskiej tragedii...” Maestro Salman mógłby odwrócić się od tego efekciarskiego gestu, tym bardziej, że wystarczyło mu rzucić okiem na nuty by dostrzec tam zbyt wiele mrowiących się Cis-dur i b-moll, mógłby być pamiętliwy, tym bardziej, że Zagłada nie oszczędziła jego rodziny. Obiecuje sobie jednak, że przeczyta partyturę z zainteresowaniem, uwydatni jej trafne pomysły, poszuka w niej śladów fantazji i pasji, rozumiejąc w głębi duszy, że tej przyjemności bardziej może od ucznia potrzebuje on sam, starzejący się człowiek, jak nigdy dotąd nonkonformistyczny wobec życia, które pamięć sprowadzało do zniewalającej pamiętliwości. Podobnie otwarty na wyzwolenie z pęt racjonalnie ustabilizowanego życia okazuje się być profesor wygłaszający w Wiedniu referat o Kafce. Podczas kolacji wydanej na jego cześć w miasteczku Krems czas wypada z linii prostej, w konsekwencji czego staje przed nim pytanie, co znaczy żyć w prawdzie, skoro doświadcza się spojrzenia, które się nie starzeje, i odkrywa w sobie bliźniaków, z których jeden jest domatorem, który się zestarzał, „a drugi, ten który podróżował z prędkością zbliżoną do prędkości światła, pozostał młody.”

Bohaterom opowiadań Magrisa przewodzi maksyma Goethego „Umrzyj i stań się”. Potrafia też doskonale wyczuć moment, w którym „wykrochmalony kołnierzyk robi się nagle wymięty i przepocony”. Poza wszystkim innym, daje im to szansę nowego spojrzenia na swoje wcześniejsze życie, a także życie młodych pokoleń ich dzieci i wnuków. Sympatyzują z ich rewolucyjnym duchem, ale dostrzegają także zaślepienie dobrze im znanego „teraz my”, pochopną zgodę na nieuchronność popełniania tych samych błędów, małą odporność na wirusa plemienności, potrafiącego najlepsze idee przyskrzynić ciasnym horyzontem. Nie powinno ujść naszej uwadze, że dobre starzenie się, to zmaganie z tym młodym w nas, który bierze na swoje barki coraz więcej lat i odbiera nam szansę stawania się lżejszymi i zwinniejszymi.

Biblioteka kwartalnika

PROWINCJA



Prowadzimy sprzedaż wysyłkową: provincja@onet.pl

Piotr Opacian



ORKNEY – archipelag niezwykły





Smagane wichrami północnego Atlantyku, strzeżone przez jedne z najgroźniejszych prądów pływowych świata, skaliste, pozbawione drzew Wyspy Orkney, fascynowały od zawsze naszych przodków. Na jednej z nich, Papa Westray, znajdują się pozostałości najstarszych budynków Neolitu w Europie Zachodniej - Knap of Howar (3500 p.n.e.). Wyspa Rosay ze swoją „miłą zabytków” nazwana została szkockim Egipcem. W Skara Brae możemy przyjrzeć się kamiennemu kredensowi, który pomimo faktu, że pochodzi z neolitu, zachował się w idealnym stanie! Brakuje tylko naczyń w nim przechowywanych.

Dotarli tu również we wczesnym średniowieczu Wikingowie. I choć byli to nieustraszeni żeglarze, tutejsze morze budziło w nich trwogę. Wir Swilkie, którego nazwa pochodzi z języka staronordyjskiego: Svalgr, czyli ten, który połyka łodzie, do dziś wymownie wskazuje na kryjące się w tutejszych wodach mordercze pułapki. A jednak warto zaryzykować i opłynąć te wyspy kajakiem. Jak inaczej bowiem spenetrować niekończące się klify podziurawione jak ser szwajcarski pieczarami i tunelami?

Orkney, w języku polskim Orkady, to grupa wysp położona na północ od wybrzeży Szkocji. Oddziela je od niej Pentland Firth - rodzaj cieśniny z najsilniejszymi w Europie prądami morskimi. W rejonie Pentland Skerries przy odpowiednim układzie Ziemia - Księżyc - Słońce szybkość prądów pływowych dochodzi do 30 km/h – informacje podawane przez UKHO (United Kingdom Hydrographic Office), popularnie zwanym brytyjską Admiralicją. Szereg zjawisk związanych z dynamiką wód morskich sprawia, że to kwintesencja morskiego kajakarstwa – ale tylko dla bardzo doświadczonych.

Akwen ten jest bardzo niebezpieczny. Pomimo tego, że to otwarte morze, regularnie, bo to efekt zjawisk astronomicznych, ni stąd ni zowąd, spokojne wody zamieniają się w rwącą górską rzekę z bystrzami, wirami i małymi „progami wodnymi”. Wodniak nowicjusz, który ocenił właśnie stan morza na dość łatwy i wypływa w stronę pobliskiej wyspy, oddalonej o niespełna 2 km, bardzo szybko może stracić panowanie nad swoją małą jednostką. Jeśli



nie przeanalizował przed wypłynięciem odpowiednich materiałów i nie opracował strategii pływnięcia, morze wokół niego szybko zamieni się w małe piekielko nie dając szans na dopłynięcie ani do wyspy, ani powrotu do punktu startu. W najlepszym wypadku, jeśli nie wciągnie go lub nie wyrzuci wir, prąd wyniesie go daleko w stronę otwartego oceanu.

Orkney to również raj dla archeologów i historyków. Z powodu braku drzew budowano tu głównie z kamienia. Wyspy są więc teraz dosłownie usłane dobrze zachowanymi śladami z dawnych epok – od neolitu włącznie. Ślady te to budynki mieszkalne, miejsca kultu i pochówku i popularne kręgi kamienne, niektóre z nich starsze niż 5000 lat! Kiedy polski archeolog raduje się natrafiając na cztery okrągłe ciemne koła w powierzchni „przekopywanego” przez siebie terenu i spekuluje jaka to mogła być chata. Te cztery ślady to np. glina wzbogacona w materiał organiczny, który pozostał po wkopanych tu palach będących podstawą chaty zbudowanej z drzewa. W oparciu o te „dowody” spekuluje, jak mogło to zabudowanie wyglądać. Archeolog szkocki ma nie tylko nienaruszone kamienne fundamenty budynku, ale również w całości lub częściowo zachowane ściany, a czasem nawet dachy budowli!

Ten stan rzeczy zawdzięcza archeologia i turyści nie tylko brakowi drzew na wyspach Orkney, ale i innym czynnikom. Zmieniające się klimat, stosunki ekonomiczne i zmieniająca się struktura własności ziemskiej nie tylko Wysp Orkney, ale i innych archipelagów, jak również częściowo nawet północnej Szkocji sprawiły, że obszary te wykorzystywane były w przeszłości dużo bardziej intensywnie niż teraz. Dawne zabudowania i wioski po ich porzuceniu porosły trawą, pokryły się torfem, lub przysypane zostały piaszczystymi wydhami. Wykupione tereny, czasami nawet całe wyspy, stawały się, po usunięciu miejscowej ludności (land clearance), terenem wypasu owiec – najbardziej dochodowym biznesem na tych terenach.

W niektórych przypadkach sami mieszkańcy nie wytrzymywali trudów życia na poszczególnych wyspach i prosili rząd o przesiedlenie na „kontynent”. Stroma, najdalej na



Midhowe Broch na wyspie Rousay - epoka żelaza, fot. Piotr Opacian

południe położona wyspa Orkney, oddalona od północnego krańca Szkocji o niespełna 3 km - wyspa widmo, to najlepszy tego przykład. W połowie wieku XIX zamieszkiwało ją blisko 300 osób, w połowie XX wieku tylko nieco ponad 100. W roku 1962 wyspę opuścili ostatni stali mieszkańcy. Samotny spacer pustymi „ulicami” wśród opuszczonych domostw pozostawia niesamowite wrażenie. Zwłaszcza, jeśli jest się jedynym turystą na wyspie i spaceruje się o zmroku - tak jak to było w moim przypadku. Wyspa mnie zaintrygowała, wręcz zafascynowała, kiedy samotnie opływałem północną Szkocję w roku 2018. Obserwowałem ją z okolic Duncansby Head, z odległości około 4 km, przy niskim, zachodzącym słońcu. Wyglądało to jak bezludna wyspa pokryta megalitami – świątkami dawnej świetności. Wtedy obiecałem sobie, że muszę na nią trafić, co udało mi się już dwa lata później.

Na szkockich wyspach, co do tego zgodni są wszyscy biegli w tym temacie, kryje się jeszcze wiele świetnie zachowanych perełek ludzkiej działalności z czasów tak odległych jak: neolit, epoka brązu, czy żelaza. Czekają na odkrycie. Bardzo często towarzyszy temu przypadek. Unikalna wioska z epoki neolitu – Skara Brae, została „oddana” nam ludziom przez szalejący w 1850 roku sztorm, który wywiał nagromadzoną przez czas, pokrywającą ją warstwę piasku. Jej wyjątkowość zauważono od samego początku. Kilka kamiennych budynków, częściowo wkopanych w grunt, było połączonych rodzajem pasażu przykrytego dachem z kamiennych płyt. By przejść z jednego domostwa do drugiego nie trzeba było wychodzić „na dwór”! Ściany zbudowane były z podwójnego muru wypełnionego w środku pewnego rodzaju „materiałem kompostowym” – zbieranymi odpadkami w trakcie funkcjonowania gospodarstwa. Dawało to efekt zarówno izolacyjny jak i stabilizujący kamienne mury układane „na sucho” - bez żadnej zaprawy.



Samotne pływanie kajakiem pomiędzy maleńkimi wyspami i skałami to również gwarancja na bliskie spotkania z przyrodą. Orkney to domena foki szarej i pospolitej i choć te dwa gatunki są liczne w całym szeroko rozumianym obszarze wysp szkockich, to tylko na Orkney przepływałem o dosłownie metr od smacznie sobie śpiących fok, czasami nawet nie wybudzając ich do odpłynięcia. Niedostępne skalne cyple to miejsca ptasich kolonii lęgowych. Ta, która wywarła na mnie największe wrażenie to kolonia głuptaków na cyplu Noup Head – północno-zachodnim cyplu wyspy Westray. Nie wiem dlaczego ten ptak został tak „głupio” nazwany; kiedy przelatuje nad samotnym kajakarzem, z rozpostartymi na ponad półtora metra skrzydłami, jasnymi z czarnymi końcówkami to nie wygląda głupio, raczej dostojnie.

Dostojność, potęgę, grozę jak i piękno oferowane przez ten niezwykły archipelag od czujemy najlepiej tam na miejscu. Najlepszym środkiem lokomocji jest mała jednostka pływająca, im bardziej zbliżona do kajaka, tym lepiej.

Tym, którzy się tam na razie nie wybierają, polecam moje dwa filmiki z tamtego rejsu – taki przedsmak tego, co czeka na miejscu.

<https://www.youtube.com/watch?v=85LRtAARaVo>

<https://www.youtube.com/watch?v=CALFA6zRVLI>

I trochę zdjęć:

<https://www.facebook.com/photo?fbid=163678938574934&set=pcb.163679145241580>



Typowy obóz na piaszczystej plaży, fot. Piotr Opacian



Paweł Zbierski

DZIENNIK KATALOŃSKI (11)

OBCA WŚRÓD SWOICH



Rzeczy tak odległe, a jednak do złudzenia podobne w wymiarze egzystencjalnym, od lat intrygują mnie niezmiennie. Choćby tak jak historia zapomnianego malarza z Kaszub Alberta Lipczyńskiego. To temat na wieloodcinkową sagę, w której ludzie pochodzący z odmiennych kultur i terytoriów zaczynają się „przyciągać”. Ostatecznie Katalonia - w konkretnym opisywanym tutaj poniżej przypadku - okazuje się dla nich ziemią obiecaną.

- Nazywam się Louise Pascale Philogene. Urodziłam się na Mauritiusie, w Réduit, w jednym z dwóch szpitali położniczych na wyspie. Na Mauritiusie nazywamy ludzi ich nazwiskami po rodzicach i podajemy najpierw imiona ich przodków. Mój ojciec nazywał się Adolphe Charles Raymond Ruffier Pierre Filo - tak się sama przedstawia Pascal.

Byłem przekonany, że przekąski serwowane dotąd u pasterzy w La Forge jako aperitif, to ich lokalna, ściśle katalońska specjalność. Te wszystkie grzybki i szpinaki, te wszystkie pasty z pokrzyw i orzechów podawane na ciemnobrązowych jak razowiec okrągłych niczym komunijne opłatki podkładkach, wypiekane własnoręcznie i popijane białym winem, to jest ich leśno-katalońska specjalność wypracowana przez lata bytowania na koziej fermie u stóp Pirenejów. Nie do końca. Bo okazało się, że to raczej kulinarny melange afrykańsko-chińsko-europejski, zaledwie z dominantą katalońską. Ostatnie miesiące w dość zaskakujących okolicznościach mocno przybliżyły leżącą na skrzyżowaniu szlaków kulturowych wyspę Mauritius do mojego wyobrażenia o Katalonii, a ściślej do spraw, które bada Stowarzyszenie „My w Europie” wraz z „Galerią Poray”.

*

- Moją ulubioną dziecięcą zabawą było „rozpoczęcie nowego życia”. Sprzątałam sypialnię od góry do dołu, robiłam wiele postanowień i zdecydowałam, że będę idealną dziewczynką, dopóki tej naturalności bałagan nie wyrzuci w galopie. Poza tym zdaję sobie sprawę, że dziś odtwarzam - trochę dla zabawy - to samo, na wzór z gazetami codziennymi. Gromadzę mianowicie mnóstwo dzienników, w których piszę rzeczy na pierwszych kilku stronach, aż się w końcu znudzę. A potem muszę zacząć nowy wątek, zamiast kontynuować rozwijanie poprzedniego. A wszystko o tym, jak zaczynać życie od nowa.

*

Oto pasterka, żona Antoine`a, niegdysiejszego żołnierza walczącego w Afganistanie, nabiera coraz pełniejszych barw podczas kolejnych naszych spotkań w dolinie u podnóża świętej Góry Katalonii. Młoda dama ma dzisiejszego popołudnia gładką, jasnoczekoladową rozświetloną twarz i ciemne, przeciwsłoneczne okulary. Rozkwita w wybuchającym światłem popołudniowym słońcu katalońskim. Jest „inna”, a zarazem taka swojska w tej Katalonii. Staramy się wraz z Aleksandrą Fontaine uchwycić ulotność tej chwili w obiektywie kamery. A ja przekonuję się jeszcze bardziej, że warto tej historii poświęcić więcej miejsca. Że warto przyjrzeć się z bliska dziejom ludzi świadomie wybierających najpierw Francję, a wkrótce Katalonię po życiu toczonym w zupełnie innych regionach świata. Że

warto o tym pisać wciąż wyczerpująco, właśnie w „Dzienniku Katalońskim”. Bo Katalonia to przecież kraina słynąca z bardzo pouczających wędrówek ludów.

Saint Laurent de Cerdans, 21 stycznia

Już na ten temat pisałem wcześniej. Jednak dziś uświadomiłem sobie jeszcze bardziej wybornie, że środowiska, w których się obracam, są tutaj bardzo dalekie od homogeniczności. Choćby w świecie medycznym: lekarze z Konga, Rumunii, Argentyny i oczywiście bardzo często z Maroka, Algierii, Tunisu. Dochodzi do tego, że na terenie Katalonii Północnej trzeba do szpitala w Ceret (na terytorium Francji) sprowadzać kardiologa z Girony dojeżdżającego codziennie do pracy z terytorium Hiszpanii. To, co niektóre polskie miasta i regiony zapisują w swoich „modelach równościowych” i z czego czynią nieraz na siłę propagandowy przekaz, w Katalonii, choćby w takiej Barcelonie, jest codzienną praktyką. Pluralizm i wielokulturowość jest faktem w „separatystycznej” Katalonii, w odróżnieniu od niejednego miasta między Azją a Europą jedynie deklaratywnie otwartego, a w istocie szczelnie zaryglowanego od środka. To jest właśnie ten kataloński fenomen potwierdzany kolejnymi zdarzeniami.

Olot, Ceret, 5 lutego

Żarówka, zasłony, piła do drewna, sprzęt do zmywania podłóg. Między terytorium Hiszpanii i Francji załatwiamy podstawowe zakupy dla Galerii. Po drodze docierają groźnie brzmiące komunikaty o odwołaniu kolejnych wydarzeń, które od wieków gruntowały tradycję katalońską po obu stronach granicy. Z powodu ataku covid a odwołane jest Święto Niedźwiedzia w Saint Laurent de Cerdans. Szczęśliwie wraz z Aleksandrą Fontaine zdążyliśmy wcześniej udokumentować filmowo ten rytualny festiwal z roku 2018 i wrzucić na nasz kanał Youtube.

Ogłoszono zarazem - po drugiej stronie granicy - że w nowym roku miasto Berga nie będzie obchodzić Patum. Z powodu pandemii stolica Berguedà drugi rok z rzędu nie będzie cieszyła się jednym z najbardziej tradycyjnych festiwali w Katalonii. Rada Miejska ogłosiła to za pośrednictwem swojego konta na Twitterze.

Będzie to już więc trzeci raz, kiedy Berga pozostanie bez święta Bożego Ciała, po raz pierwszy została zawieszona w 1938 roku z okazji wojny secesyjnej (1936-1939). Zostały jeszcze trzy miesiące na obchody zaplanowane na 2 i 6 czerwca, ale rada w obliczu niepewności co do ewolucji Covid-19 i trudności w zapewnieniu bezpieczeństwa wszystkim organizatorom i uczestnikom, zdecydowali o zawieszeniu.

Port Vendres, 10 lutego

Najpierw w pobliskim sklepiku rybnym kupuję stoik tutejszych rolmopsów, a potem wspinam się po okolicznych skałkach, by z góry obserwować port rybacki, marinę jachtową i całe zwoje suszących się sieci. Małe wielokolorowe kuterki wyglądają identycznie jak tamte, zapamiętane z nordowych Kaszub. Docieram na cypel zwieńczony figurą madonny

z dzieciątkiem, która czuwa tutaj nad rybakami, oczekując na ich powrót z morza. Podobnie jak nad kaszubskimi rybakami czuwają kaszubskie madonny. Aura jest tu zbliżona do klimatów kaszubskich doskonale znanych mi z Gdyni, Władysławowa, Pucka czy Sianowa. Siłą rzeczy nasuwa się wiele analogii Katalonii z Kaszubami, nie tylko z powodu faktu, że piszę o tym 10 lutego. Oczywiście wszystko jest tutaj bardziej słoneczne, jasne, rozświetlone, tak by pomagać w dojrzewaniu oliwek i winogron. Jednak nawet Morze Śródziemne w chwili sztormu zachowuje się identycznie jak Bałtyk na półwyspie helskim wydzierający łądowi całe hektary ulic i podwórek...

Tymczasem dziś z powodu covidy pozamykane są wszystkie okoliczne knajpki, muszę więc oprzeć się na „Lidlu” i kupionej tu puszcze piwa, a potem siadam sobie na skałkach, gapiąc się najpierw w lazur morza i rozbłyskujące na wodzie białe żagle a następnie sięgam po notatnik. Właściwie to co widzę może być uniwersalną metaforą żeglarstwa wszędzie: właśnie na Kaszubach, w Grecji, Irlandii, Wenecji, Portugalii, Argentynie, na Karaibach czy na Mauritiusie.

*

Jak przystało na tradycję kultury ściskanej w obcęgach zewnętrznych agresorów Katalończycy są w dużej mierze narodem wygnańców i tułaczy. Są także w środowisku ludzi



żyjących nierzadko - głównie na skutek najpierw ciśnienia reżimu Franco, a teraz antykatalońskich rządów z Madrytu - na emigracji politycznej. Katalończyk więc nieźle rozumie, za sprawą własnych doświadczeń, wszelakich przybyszów z głębi świata, uchodźców, uciekinierów, ludzi zagubionych. Zagubionych raz: poprzez swój wygląd zewnętrzny i odmienną rasę, dwa: poprzez odmiennie stroje i obyczaje, trzy: poprzez słabą znajomość języka w kraju osiedlenia, cztery: poprzez własne resentymenty i religię. W życiu zarówno Francji, jak i Hiszpanii, niemałą rolę odgrywają także mocno namacalne w dzisiejszej polityce skutki kilku wieków kolonizacji niemałego kawałka świata. Nie jest przypadkiem na terytorium Katalonii Południowej i Północnej ogromna rola dysponujących uniwersalnymi językami malarstwa i muzyki w łączeniu tubylców z przybyszami. Malarstwo i muzyka, nie wymagając słownikowego zasobu leksykalnego ani też żadnej gramatyki i ortografii, chronią przed wykluczeniem i stygmatyzacją bo operują uniwersalnym, teoretycznie dostępnym powszechnie, totalnym językiem sztuki. Pozasłownym, podkreślającym mocno rdzenny ryt kulturowy i przywiązanie do wolności. Koją zarazem właśnie najwyższą klasą swojej sztuki ludzkie umysły, chronią przed dyskryminacją, megalomanią, ksenofobią i nietolerancją. Przekonujemy się o tym coraz intensywniej w Saint Laurent, w naszej „Galerii Poray”, coraz mocniej stawiając ostatnio na koncerty (jedyne z powodu coronwirusa elitarnie liczebnie) i na sztuki wizualne.

La Forge, 12 lutego

Kolejne słoneczne popołudnie sprzyja dalszej opowieści Pascal. Jej młodsza córeczka oprowadza mnie najpierw po całej wielohektarowej farmie, pomiędzy niewidocznymi do tej pory, rozpiętymi na ogromnej powierzchni, elektrycznymi przewodami. Te sieci żółtych i jasnoczerwonych czerwonych kabelków na zasadzie rażącego prądem pastucha trzymają w ryzach na wielohektarowym jaskrawozielonym pastwisku całe stada brązowych kóz o lśniącej sierści. Blżej ich domostwa dostrzegam ogromną drewnianą szopę z zadaszeniem, gdzie Antoine wraz ze swym ojcem i jakimś młodym, ciemnowłosym człowiekiem (niedawno wynajętym do oporządzania gospodarstwa), właśnie obdzierają ze skóry, wiszącą na żelaznym haku, dopiero co ubitą kozę. Robi się krwawo. I trąci to wszystko horrorem. Jednak mała dziewczynka zupełnie się nie przejmuje wymową tej sceny. Od początku rodzice tak wychowują swoje dzieci, aby wiedziały dobrze, skąd się biorą mleko, sery i mięso. I jak wygląda przygotowanie tego, co jedzą. Nie chcą ukrywać przed córeczkami całej tej technologii farmy. Pascal odwraca twarz w moim kierunku:

-Jestem drugą z czworga rodzeństwa: mam starszą siostrę, młodszego brata - oboje mieszkający w Paryżu - i młodszą siostrę, zawodową pianistkę w Edynburgu. Wychowałam się w bardzo kosmopolitycznej kulturze pochodząc od chińskiej matki i francusko-mauretańskiego ojca. W domu mówiliśmy po francusku. Na ulicy wszyscy ludzie mówili po kreolsku. Tymczasem w administracji oficjalnie mówiono po angielsku.

-Siedzimy na rozległym drewnianym tarasie. Pascal popija kolejny łyk wody, dolewając ją sobie powolutku ze szklanego dzbanka. Potem przynosi stosy albumów fotograficznych z Mauritiusa dokumentujące w kraju oficjalnie anglojęzycznym przywiązanie do francuszczyzny. Nadchodząc z kuchni tłumaczy, że doskonałe opanowanie języka francuskiego było

wymogiem jej rodziców, że było to częścią kodeksów społecznych „wykształconych” ludzi w społeczeństwie Mauritiusa. Rodzaj dziedzictwa z czasów kolonizacji wyspy.

*

- Brat i siostra mojego ojca wyemigrowali do Kanady i Francji. Widzieliśmy głównie rodzinę mojej mamy (z rodzeństwa dziewięciorga dzieci), naszych szkolnych przyjaciół i przyjaciół moich rodziców. Naszych sąsiadów znaliśmy słabo. Nieczęsto przyjmowaliśmy ich w domu, ale za każdym razem, gdy ich gościliśmy, było to wielkie wydarzenie ...

Mój ojciec (jego matka to pianistka z Haute Savoie), pisarz, poeta, człowiek rasy mieszanej kreolskiej, został osierocony w wieku 10 lat. Mój dziadek, pasjonujący się Francją, wysłał następnie troje swoich dzieci do Divonne-les-Bains, do babci, aby doskonalić francuską edukację. Przebywają tam w internacie, nie widząc swojego ojca, który tymczasem na Mauritiusie na próżno stara się zostać Francuzem. Po pięciu latach separacji postanowił repatriować swoje dzieci na Mauritius.

*

Dalsze ich losy do złudzenia przypominają exodus Katalończyków z epoki wojny domowej - kobieta kokietyjnie odgarnia kosmyk kruczoczarnych włosów poruszony pirenejskim powiewem.

*

Pascal nie chce zbyt długo rozwlekać tego wątku: jednak wiele wskazuje na to, że chiński cień historii dramatycznie i traumatycznie ją dotknął. I że z całą pewnością jej rodzice nie byli wyznawcami Mao. Może dlatego bez słów rozumie także ludzkie dramaty wynikające choćby z hiszpańskiej wojny domowej, o których tak sugestywnie pisał George Orwell w swojej książce „W hołdzie Katalonii”.

Rodzice matki Pascal uciekli przed strasliwymi represjami, głodem i wojną domową panującymi w Chinach w 1940 roku. Byli częścią drugiej dużej fali chińskiej imigracji, jakiej doświadczyła wyspa po zniesieniu niewolnictwa, kiedy właściciele szukali azjatyckiej siły roboczej przy produkcji cukru. Będąc na wyspie, zaczęli od „niczego”, mając jako jedyne oszczędności chińską walutę całkowicie zdewaluowaną przez reżim komunistyczny. Byli drobnymi sklepikarzami. I mieli jedenaścioro dzieci (ich pierwsza córka urodziła się w Chinach, pierwszy syn zmarł na tężec w wieku 8 lat, a drugi syn zmarł wkrótce po urodzeniu).

13 lutego Saint Laurent, noc przed wyborami do Parlamentu Katalońskiego

Długo nie mogę zasnąć myśląc o tym, co jutro wydarzy się w Katalonii. Pełen obaw wobec gróźb ze strony ultranacjonalistów z hiszpańskiej partii „Vox”.

*

Paradoks polega dziś na tym, że „inny” lepiej się czasem czuje w „separatystycznej”, a jednak wielokulturowej wewnętrznie Katalonii, niż w takim potężnym Państwie narodowym jak Francja, gdzie w opozycji do Macrona głowy podnosi parafaszystowski Front Narodowy Marine Le Pen czy w Hiszpanii, gdzie odwołujący się wprost do hitleryzmu i tradycji generała Franco nurt wspomnianej ultrapravicowej partii Vox zaciekle walczy z niepodległościowym ruchem katalońskim przy wsparciu hiszpańskiej monarchii i politycznych pałek (katalońskiej dziewczynie demonstrującej w Barcelonie w obronie katalońskiego rapera policjanci hiszpańscy właśnie wybili oko). Skomplikowanej sytuacji wciąż - poza może „Tygodnikiem Powszechnym” - nie rozumie większość polskich mediów czy środowisk, choćby takich jak Klub Jagielloński ze swoją obsesją infiltracji Katalonii przez Kreml i GRU. Jeszcze 13 grudnia 2019 r. na stronie Klubu Jagiellońskiego opublikowano obszerny komentarz, zgodny z rozpoznaniem przytłaczającej części polskiej opinii publicznej: „Niezależnie od ujawnionych dokumentów istnieje szereg przesłanek pozwalających stwierdzić, że Moskwa podjęła kompleksową grę, w której Katalonia posłużyła za narzędzie do destabilizacji państw Zachodu i stworzenia sprzyjających warunków do realizacji rosyjskiej polityki na wschodzie Europy. Oczywiście, zaangażowanie Kremla nie oznacza, że spór w Katalonii został wywołany przez czynniki zewnętrzne. Jest to realny problem, a opcja niepodległościowa ma istotne poparcie społeczne, jednak, jak pokazują lokalne wybory z grudnia 2017 r., raczej nie większości mieszkańców regionu. Nie zmienia to jednak faktu, że Rosja, choć oficjalnie wypowiedziała się w obronie integralności terytorialnej Hiszpanii, w ostatnich latach przeciw niej użyła środków charakterystycznych dla wojny hybrydowej, ze szczególnym uwzględnieniem działań w cyberprzestrzeni.” [„Wojna hy-



brydowa w Katalonii. O tym jak Kreml rozbijał jedność Hiszpanii” - Klub Jagielloński, 13.12.2019.]

*

A jednak fakty następujące w ciągu kilku następnych dni a nawet godzin pokazują, że Klub Jagielloński wraz z przytłaczającą większością europejskiej opinii publicznej poważnie się myli. Nie tylko w kwestii realnego poparcia społecznego dla niepodległości Katalonii.

Saint Laurent de Cerdans, 14 lutego późnym wieczorem, w dzień wyborów do Parlamentu Katalońskiego

Szok, niedowierzenie, sensacja. Wszystko to mimo atakującego mocno w Hiszpanii covid, co z reguły nie sprzyja przecież wędrownikom do lokali wyborczych i w ogóle raczej zniechęca do demokracji. Jednak, wbrew wcześniejszym różnym propagandowym przekazom z Madrytu, mimo nękania policyjnymi represjami, okazuje się w pierwszym sondażu, że większość chce jednak niepodległości! Republikańska Lewica Katalonii (ERC) zdobyła najwięcej mandatów w niedzielnych wyborach do katalońskiego parlamentu. Wspólnie z trzema innymi partiami również popierającymi secesję tej wspólnoty autonomicznej od Hiszpanii mogą oni liczyć na większość mandatów w izbie - wynika z badania exit poll.



Tymczasem, co w dniu wyborów przypominają media światowe, z polityki wciąż wyrotowany przez Madryt pozostaje Quim Torra.

Przypomnijmy, 28 września 2020 r., Torra został zawieszony w wykonywaniu obowiązków premiera Katalonii po wyroku Sądu Najwyższego Hiszpanii na podstawie orzeczenia SN o zakazie pełnienia przez niego funkcji państwowych przez 1,5 roku. Zakaz ten orzeczono, bo Torra odmawiał państwowej komisji wyborczej zdjęcia wizualnych symboli niepodległościowych z urzędów publicznych w Katalonii przed wyborami do parlamentu Hiszpanii w 2019 r.

Beznamiętna, a przez to właśnie cenna, analiza powyborcza krakowskiego Centrum Studiów Katalońskich. Czytam ją z dużą przyjemnością w odróżnieniu od lektury większości polskich przekazów, w których już same nagłówki mrozą krew w żyłach, np: „Separatyści wygrali w Katalonii!”. Tutaj wywód jest znacznie bardziej racjonalny:

Z jednej strony można mówić o niewątpliwym sukcesie obozu niepodległościowego, któremu udało się przekroczyć psychologiczną barierę ponad połowy ważnych, oddanych głosów, dzięki czemu dysponują już nie tylko arytmetyczną większością miejsc, ale i większościowym mandatem społecznym do rządzenia regionem. Głównym celem pozostaje rzecz jasna w dalszym ciągu doprowadzenie do skutecznego ogłoszenia niepodległości Katalonii i utworzenie nowego, suwerennego państwa o ustroju republikańskim. Najwidoczniej większość czynnych politycznie Katalończyków wciąż oczekuje od polityków ugrupowań proniepodległościowych, by ci wywiązali się ze swojego głównego zadania[...].

Z drugiej strony widać, że utrzymuje się (podtrzymywana przez propagandę hiszpańską - dop. PZ) wysoka polaryzacja katalońskiego społeczeństwa, które jest niemalże na pół podzielone na zwolenników i przeciwników secesji. Jakkolwiek zatem ci pierwsi mogą twierdzić, że mają za sobą - niewielką - większość, tak ci drudzy mogą słusznie argumentować, że nie jest to większość na tyle wyraźna czy dominująca, by można było mówić o społecznym mandacie do tak daleko idących kroków, jak jest secesja regionu.

Po trzecie, po raz kolejny swoją dominację na katalońskiej scenie politycznej potwierdziły ugrupowania mniej lub bardziej lewicowe, które teoretycznie mogłyby sformować większościowy rząd koalicyjny. Tym niemniej należy odnotować niewątpliwy sukces prawicowego ugrupowania Vox i jego historyczny wynik osiągnięty w regionie, w którym odsetek osób sprzyjających prawicy jest stosunkowo niewielki.” [Centrum Studiów Katalońskich, Kraków, 16.02.2021]

17 lutego, La Forge, dalszy ciąg snutej u stóp Świętej Góry Katalonii kosmopolitycznej opowieści Pascal:

- Dorastaliśmy w przekonaniu, że gdy skończymy 18 lat, wyjedziemy do Francji, aby tam studiować. To była logiczna kontynuacja wyznaczonej przez rodziców linii życia. Nie kwestionowaliśmy tego. Wręcz przeciwnie. Z niecierpliwością czekaliśmy na swoją kolej. Nie mogliśmy się doczekać odkrycia świata!

Moja siostra, starsza o 18 miesięcy, wyjechała więc jako pierwsza, po uzyskaniu „doskonałego stypendium”, aby przygotować się do konkursu wielkich szkół biznesu w Tuluzie.

Dwa lata później dołączyła do HEC w Paryżu, a dziś pracuje w Schneider. - Pascal na chwilę się zamyśla, tak jakby chciała opowiedzieć jedynie o tym, co wypada... A ja szybko przekonuję się, że ona na tej ogromnej katalońskiej farmie jedynie mieszka. Że nie doi kóz, nie sprzedaje sera turystom, nie uprzęta gnoju po zwierzętach, że we wszystkim wyręcza ją Antoine i córeczki, tak by miała czas na malowanie katalońskich pejzaży, ewentualnie na przyjmowanie ciekawych farmerskiego życia gości z Anglii, Niemiec i Skandynawii. Ewentualnie gotuje zmiksowane z kuchnią z Mauritiusa katalońskie, ekologiczne potrawy. Teraz opowiada, że jej droga do Francji dość szybko poprowadziła ją w pirenejskie okolice.

Najpierw bowiem wzięła udział w zajęciach przygotowawczych do szkół inżynierskich w Montpellier. Dwa lata później dołączyła do krajowej szkoły inżynierów rolnictwa w Tuluzie i ukończyła w przerwie ERASMUS w Kanadzie. Swoją karierę rozpoczęła w branży spożywczej i okazała zaprowadziła ją do bankowości, w której pracuje już 15 lat.

Z kolei brat, młodszy o trzy lata, uzyskał „stypendium merytoryczne” przygotowujące do szkoły inżynierskiej w Tuluzie, a 2 lata później wstąpił do szkoły inżynierskiej w telekomunikacji. Obecnie pracuje dla LVMH w Paryżu.

Pascal ma wyraźny sentyment do Juliette: - Młodsza o 8 lat siostra Juliette (mój ojciec lubił żartować nazywając ją „małym wypadkiem”) ze swojej strony miała odwagę podążać za swoją pasją do końca i porzucić schemat studiów. Wyraźnie pogardziła klasyczną akademickością. Otrzymała stypendium na naukę w Glasgow School of Music, a obecnie jest koncertującą, nauczycielką fortepianu, ostatnio egzaminatorem Royal School of Music (przed COVID często jeździła do Chin, aby prowadzić tam egzaminy fortepianowe dla małych Azjatów), a także ukończyła muzykoterapię.

Ta opowieść tłumaczy wreszcie w całej pełni pasję, z jaką Pascal i Antoine uczęszczają na wszystkie nasze koncerty w Galerii Poray.

Ceret, 21 lutego. Duża kawa w jedynej czynnej cukierni, a potem jeszcze następna, by maksymalnie wykorzystać WI-FI

Amerykański magazyn Newsweek opublikował artykuł, w którym stwierdza, że głównym „zagrożeniem” dla UE jest Hiszpania, „a nie Rosja”, wbrew potocznej opinii. Artykuł jest dziełem brazylijskiego dziennikarza specjalizującego się w polityce międzynarodowej Raphaella Tsavkko. Teza jest taka, że tłumienie niepodległości Katalonii podważa wiarygodność UE.

Tekst dotyczy zwłaszcza starcia wysokiego przedstawiciela dyplomatycznego UE Josepa Borrella z ministrem spraw zagranicznych Rosji Siergiejem Ławrowem, który zarzucał mu istnienie uwięzionych i wygnanych katalońskich więźniów politycznych. Twierdził, że to ujawnia pewną hipokryzję Unii Europejskiej.

„Wizyta Borrella w Rosji pokazała hipokryzję UE wskazując na niego palcem. Jak UE może krytykować Rosję za traktowanie działaczy demokratycznych, podczas gdy więzieni

i prześladowani są katalońscy działacze demokratyczni i niepodległościowi w Hiszpanii? – pytał.

„UE ma wiele do zrobienia zanim zażąda czegokolwiek od swoich mniej demokratycznych sąsiadów, chociaż jednym z jej zmartwień powinno być konstruktywne zaangażowanie się w Rosję. Polityka zagraniczna UE pozostanie sparaliżowana, jeśli nie będzie w stanie poradzić sobie z naruszeniem praw człowieka przez władze hiszpańskie” – dodawał Ławrow.

Zgodnie z artykułem w Newsweeku „niestabilne status quo” prognozowane przez UE jest postrzegane jako „szansa” dla krajów takich jak Chiny, aby „uznać niesprawiedliwości UE za zielone światło do dalszego znęcania się nad joginami i represjonowania obrońców demokracji w Hongkongu”.

Stwierdzał również, że stosunki Hiszpanii z demokracją „są skomplikowane”. I w szczególności złe zbiegi okoliczności. „Podczas gdy Hiszpania aresztowała w tym miesiącu rapera Pablo Haséla za korzystanie z prawa do wolności słowa, Rosja upokorzyła UE, której Hiszpania jest częścią, podkreślając aresztowanie katalońskich więźniów politycznych przez ten kraj”

La Forge, znowu 17 lutego. Bo tamtego dnia Pascal mocno się rozkręciła

Pascal:

- Dorastaliśmy w tyglu kulturowym bez ścisłego przywiązania do jednej konkretnej tradycji. Po trochu było wszystkiego. Obchody Bożego Narodzenia i chińskiego Nowego Roku odbywały się z moimi ciotkami i wujkami ze strony matki. Na Boże Narodzenie to mój ojciec przygotował całkowicie francuskie menu starając się przekazać nam francuską kulturę, którą przyswajał w dzieciństwie. Na Chiński Nowy Rok moja mama poczęstowała nas ulubionymi daniami kuchni azjatyckiej. Jednak nie mówiła po chińsku. Rozumiała swoich rodziców, którzy mówili tylko hakka¹, ale rozumieli pilną potrzebę integracji z życiem na Mauritiusie, zamiast utrwałać tradycję ich pochodzenia. Wiedziała, że to dałoby jej większe szanse na sukces. Ponadto, nie zaprzeczając swojemu pochodzeniu, od dzieciństwa uciekała od towarzystwa innych Chińczyków. Nie popierała klanów założonych w tej społeczności, ani konkurencji, która tam panowała, kompleksu wyższości, który niektórzy jej pokazywali, ponieważ mieli jaśniejszą skórę niż jej (Chińczycy czczą swoją białą skórę) itp .

¹ Hakkowie (chiński: 客家人; pinyin: Kèjiā rén; hakka: hak-ga-ngin, dosłownie „rodziny / rodziny, które nie są stąd”) to Chińczycy Han mieszkający w południowych Chinach, którzy uważają ich za dalekich potomków uchodźców z prowincji Henan, Shanxi i północnej Hubei. Napędzani kolejnymi falami emigracji od III wieku (koniec dynastii Han) przez wojny towarzyszące zmianom dynastycznym w regionie otaczającym starożytne stolice Luoyang i Xi’an, przodkowie Haków osiedlili się po przerwanej migracji przystanków, na obszarze położonym na styku prowincji Guangdong, Fujian, Jiangxi i Guangxi, gdzie otrzymały swoją obecną nazwę. Istnieją również siedliska hakka w Hunan, Guizhou, Guangxi i Syczuanie. Ciągłe w poszukiwaniu lepszej ziemi, niektórzy później wyjechali na wyspy Hainan lub Tajwan lub do jednego z wielu miejsc docelowych chińskiej diaspory na całym świecie. Stanowią na przykład większość populacji pochodzenia chińskiego we francuskich departamentach i terytoriach zamorskich, takich jak Tahiti czy wyspa Reunion, czy w krajach takich jak Mauritius. Mając niewielkie perspektywy na rozwój ziemski, mężczyźni Hakka częściej niż inni zwracali się ku karierze wojskowej, wędrownemu zawodowi lub studiowaniu na mandaryńskim stanowisku, pozostawiając wiele pracy kobietom. Silnie obecni w armii i administracji, średnio wykształceni, Hakkowie wywarli znaczący wpływ na historię Chin.

*

Pamiętam, że miałam trudności z odnalezieniem swojej tożsamości, ponieważ byłam w szkole, w której byli głównie bardzo zamożni „biali” (potomkowie byłych francuskich i brytyjskich kolonistów). Moi przyjaciele byli Chińczykami, ponieważ jednak pociągało mnie moje pochodzenie, mimo, że miałam budowę ciała kreolki. Nigdzie nie mogłam znaleźć swojego miejsca i w sumie czułam się odrzucona przez wszystkie społeczności.

*

Bardzo lubiłam odwiedzać babcię jeżdżąc do niej na rowerze i spędzać z nią cały dzień na gotowaniu. Nauczyła mnie, jak zrobić kilka chińskich specjałów, które uwielbiałam później!

Okres zbiorów mango, jambos i liczi z ogrodu w grudniu to także jedno z moich najszczęśliwszych wspomnień. Ucztowaliśmy przy tych pysznych tropikalnych owocach i próbowaliśmy je zbierać i jeść potajemnie, ponieważ moi rodzice nam tego zabronili z obawy, że nasze obżarstwo wywoła u nas jakąś straszną chorobę. Uwielbiałam zbierać badâmes w ramach badâmierów z moim bratem. Mój dziadek nauczył nas, jak wydobywać „słomkę”, aby zebrać migdały ukryte w środku, a my zrobiliśmy z tego pyszny nugat.

*



Moi rodzice kupili drugi dom nad morzem, co okazało się dawać nam więcej pracy niż przyjemności. Szczególnie pamiętam długie dni spędzone na sprzątaniu „obozu”, pielieniu ogrodu pod palącym słońcem, zbieraniu błota albo liści zasypanych ziemią. Ale szukając w mojej pamięci przypominam sobie bardzo szczęśliwe wspomnienia z dzieciństwa, tak ja te ze zbieraniem orzechów kokosowych, aby zrobić soczyste „ciastka kokosowe”, które uwielbiałam. Pamiętam czas spędzony w burzliwej wodzie, sprzęt do nurkowania wiszący na łodziach rybackich po cyklonach, a także całymi porankami łowiąc tecs-tecs (mini małże), by wieczorem zrobić z nich soczyste buliony.

*

W życiu Pascal wciąż przewija się motyw żeglowania.

- Antoine miał żaglówkę, gdy poznałam go 17 lat temu. Pamiętam, jak pojechaliśmy w któreś wakacje na wynajętych łodziach:

- Wtedy już mieliśmy dzieci. Uwielbiał to nasze żeglowanie. Odkrywaliśmy w ten sposób wspólnie tajemnice morza.

Następnie czekaliśmy, aż dziewczyny będą na tyle mocne w wodzie, aby żeglować bez obaw. Przede wszystkim ponownie wynajmując żaglówkę na wakacje, 5 lat temu. W jego pamięci powróciło dawne, pogrzebane marzenie o podróży dookoła świata i zdecydowaliśmy się kupić naszą pierwszą żaglówkę, aby upewnić się, że ta aktywność będzie dobrą zabawą dla całej rodziny, zanim poważnie się nad tym zastanowiliśmy.

Chcąc inaczej poznać inne cywilizacje, tak wiele rzeczy w tym projekcie nas pociągało, a dziewczyny wydawały się entuzjastyczne... Tak więc nadal nad tym pracujemy! Jestem córką wysp, ale nie jestem dzieckiem oceanu. Choć od zawsze kochałam morze i spędzałam tam całe dnie w dzieciństwie, przeraża mnie ogrom oceanu i siły natur. To nowe wyzwanie, które chcę podjąć. Nowa rodzinna przygoda. Można by pomyśleć, że to marzenie Antoine'a, ale przez lata uczyniłam go swoim własnym i ten projekt bardzo mnie inspiruje. Daje mi energię i perspektywę. Nowy cel do osiągnięcia ...

Szczególnie podobały mi się zaproszenia na urodziny lub spędzanie dnia, a czasem nocy, z przyjaciółmi. To zresztą moje najszczęśliwsze wspomnienia z dzieciństwa, nie wspominając już o porankach bożonarodzeniowych, odkrywaniu pod choinką prezentów w butach! Życie w otoczenie innych, przeżyć trochę ich życia, bo moje wydawało mi się mniej atrakcyjne. To były chwile czystego szczęścia.

Dziś w swoim życiu czuję się w pełni szczęśliwa. Nikomu już nie zazdrozczę.

*

Moje córki są dla mnie wszystkim. To jest sens mojego życia. Moja nić prowadząca. Moja siła, by być dobrym człowiekiem. Chcę przekazać im wartości, które są mi drogie, dać im wszystko, co w mojej mocy, aby uzbroić je w własne szczęście. Kiedy urodziła się Sohane, zdałam sobie sprawę, że nie będę już spała na dwoje uszu, jak w przeszłości ... że teraz zawsze będę się martwić o moje dzieci, a to był ogromny wstrząs. Pojawienie się na świecie Mahé było zupełnie inne. Anestezjolog nie przyjechał na czas, aby założyć znieczulenie zewnątrzoponowe i sama urodziłam córeczkę czując w stu procentach wszystkie doznania i moc, by dać życie. To było coś magicznego i nie do opisania. Byłam jednocześnie i dumna, i przerażona.

*

Dziś chcę im również przekazać moje pochodzenie. Czuję potrzebę zanurzenia się w historii mojej rodziny, podążania śladami moich przodków, zarówno ze strony matki, jak i ojca, i napisania książki. Ten projekt narodził się, gdy przyjechałem do Katalonii, ale nigdy nie poświęciłam czasu, aby go poprowadzić, mając wtedy inne priorytety. Może to jest już wiek, który sprawia, że dziś znika tyłu świadków przeszłości? Że może tej historii nie da się już opowiedzieć?

*

Będąc w konserwatorium muzycznym od 9 lat rozwinęłam wielką wrażliwość na muzykę klasyczną, którą chciałam również przekazać moim córkom. Moja mama jest bardzo dobra w rysowaniu, zainspirowały mnie również jej szkice i chciałam trochę pójść w jej ślady zaczynając malować, ale tak naprawdę nigdy nie czułam artystycznej duszy. Porusza mnie piękno sztuki, ale żałuję, że brakuje mi kreatywności ...

Moje córki całe swoje dzieciństwo (a nawet od urodzenia, w przypadku Mahé) spędzają w katalońskim kraju. Chciałam zatem, aby uczestniczyły trochę w folklorze katalońskiej kultury, aby zoptymalizować naszą integrację w Haut Vallespir. Ale nasza historia sprawia, że nigdy nie będziemy Katalończykami, a tradycje festiwalu niedźwiedzi pozostawiają nas niewzruszonymi.

*

W przerwie opowieści robimy krótką sesję fotograficzną. Nie ruszając się z tarasu Pascal skicuje na białym płótnie portret poczwórny: siebie wraz z mężem i dziewczynkami

*

- Poznałam Antoine'a w Chamonix wieczorem zamykając moją pierwszą konferencję marketingową w Bridel. Właśnie podpisałam pierwszą umowę o pracę jako menedżer produktu w mojej branży.

Z kolei Antoine przekazywał tam właśnie informacje o kwalifikacjach myśliwych alpejskich wymagane od komandosów morskich, których był członkiem. Mieszkałam wtedy w Rennes, a on, w Lorient. To szalone, żeby spotkać się w Haute Savoie, podczas gdy mieszkaliśmy jeszcze w Bretanii. Po wieczorze kolejny dzień spędziliśmy włócząc się po ulicach Chamonix, aby się lepiej poznać. Postanowiliśmy więc spotykać się regularnie, w Bretanii, w każdy weekend, często u mnie, ponieważ on sam wciąż mieszkał w koszarach. 8 miesięcy później powiedział mi, że wyjeżdża do Dżibuti. Był nieobecny przez 4 miesiące. Zakochany i unoszący się na mojej chmurze przez te pierwsze 8 miesięcy...

Nie zdawałam sobie sprawy, co to właściwie znaczy być z żołnierzem. Przyjęłam w końcu tę wiadomość w pełni do świadomości jak policzek i dużo płakałam. Wyjaśnił mi, że pobyty w Dżibuti odbywały się co roku w celu przygotowania ich do pracy w warunkach ekstremalnego upału, a dodatkowo było to korzystne ze względów podatkowych, gdyż jego pensja nie była w tym okresie opodatkowana.

Z trudem przeżywałam jego nieobecność, czując wielki brak i smutek, licząc każdy dzień, który zbliżał mnie do jego powrotu.

Ale kiedy wrócił, szybko powiedział mi, że został wybrany do udziału w następnej misji w Afganistanie.

*

Jego teatr wojny. Wydawał się szczęśliwy. To była kulminacja dla niego, bo trenował codziennie przez te wszystkie lata czekając na pierwszą misję, która zostanie mu powierzona i podczas której będzie mógł zastosować w praktyce wszystko, czego się nauczył. Zaniemowałam. Mój świat znów się rozpadał. Byłam zdruzgotana. Sześć miesięcy. Byłby nieobecny przez sześć nieskończonych miesięcy???. Pamiętam, jak dzwoniłam do matki ze łzami i mówiłam do niej: „Antoine znowu mnie opuszcza !!! Jak mam to znieść?!”

Zabroniłam sobie przeszkadzania mu lub szantażowania go w jakikolwiek sposób. Zrozumiałam, jak ważna była dla niego ta misja w tamtym czasie i skrycie miałam nadzieję, że pewnego dnia się skończy, nigdy mu tego nie wyznając. W tym czasie zostawiłam przemysł spożywczy dla banku, a Rennes dla Bourges. To mnie w pełni zajęło: przeprowadzka, sukces w nowej pracy, integracja z nowym środowiskiem. To właśnie wtedy poznałam Serge'a (jednego z moich najbliższych przyjaciół), który zachęcił mnie, abym ponownie zaczęła grać w golfa...

Saint Laurent de Cerdans, 9 marca

Czarny dzień dla Europy. Agencje światowe z nagłówkami na czerwono: Na wniosek Hiszpanii Parlament Europejski pozbawił immunitetów troje europarlamentarzystów katalońskich, w tym prezydenta Katalonii na uchodźctwie, Carlesa Puigdemonta. W praktyce

daje to hiszpańskim służbom specjalnym nieograniczoną możliwość działania wobec katalońskich liderów i pozwolenie na aresztowanie aktywistów katalońskich w każdym miejscu Europy.

O godzinie 14:09 Carles Puigdemont pisze na swoim profilu FB:

„Europejska demokracja przegrała. Czekają nas jawne prześladowania polityczne. Dziękuję tak wielu kolegom z PE, którzy odmówili wsparcia strategii represji. Przedstawimy pozew przed TJUE, który jako jedyny może dziś przywrócić ciężkie szkody wyrządzone europejskiej demokracji...”

La Forge, 10 marca

Pascal podsumowuje swoją opowieść:

- Antoine zadzwonił do mnie pewnego wieczoru z amerykańskiej bazy wojskowej, gdzie udało mu się dostać w swoje ręce telefon satelitarny:

„Moja męka wreszcie się kończy! Chcę odejść. Chcę odejść. Chcę odejść - powtarzał - Armia już jest za mną. A przede mną hodowla kóz w Katalonii”.



Nie mogę uwierzyć w to, co słyszę. Słyszę tylko dźwięk „Odchodzę z armii” w mojej głowie i odkrzykuję do słuchawki „Tak! Tak! Tak! Antoine. Zgadza się w stu procentach!”

Zwierzy mi się później, że w końcu zdał sobie sprawę, do czego ich używa Francja w Afganistanie, jak bawi się ich życiem, bez żadnej możliwości obrony, np. wstawiając ich do gry jako ochroniarzy podczas wyborów. Przez te wszystkie lata został przecież przeszkolony w bardzo specyficzny sposób, aby wykonywać operacje ekstremalnie techniczne i zapewniać sobie jak największą ochronę ...

Nagle sobie to wszystko uświadomił i postanowił porzucić armię. Rozpocząć „normalne” życie. Zobaczyć narodziny swoich dzieci. Nie być obcym dla rodziny, którą tak bardzo chciał założyć z Pascal.

Zdałam sobie sprawę tamtego dnia, że przeszliśmy przez wszystko, co najtrudniejsze. Że nic nie będzie w stanie nas osiągnąć, by nas rozdzielić, oprócz oczywiście śmierci. Czuję się niepokonana i odzyskuję wiarę w życie!

Po powrocie z Afganistanu do Francji szybko zrezygnował formalnie ze służby i skorzystał z kursu rekonwersji armii, która finansowała jego studia rolnicze.

Wiemy, że chcemy osiedlić się w południowo-zachodniej Francji. Region ten przyciągał nas swoim klimatem i wciąż „dziką” stroną natury. Poprosiłam o przeniesienie do BNP (banku francuskiego - dop. PZ) po urodzeniu Sohane i uzyskałam stanowisko kierownika oddziału w Argeles sur Mer.

*

Rozpoczęliśmy poszukiwania, aby kupić nieruchomość wraz z gruntem, godzinę jazdy samochodem od jej miejsca pracy. (Patrzac wstecz wydaje mi się to bardzo daleko).

Początkowo krążyli po północnej Katalonii, bez większego powodzenia, aż znaleźliśmy ten drewniany dom w La Forge, naprzeciwko łąk, z zapierającym dech w piersiach widokiem na świętą Górę Katalonii.

- Od razu byliśmy pod urokiem tego miejsca, a potem kilka ankiet sąsiedzkich potwierdziło nasz wybór.

Szybko dostała transfer do agencji Céret, co pozwoliło jej zbliżyć się do 40 minut od domu. I zapewnia:

- Stopniowo przyzwyczajam się do życia w górach, z którym łączą się długie podróże, ale który w zamian oferuje wiele plusów, wiele życzliwości i solidarności między ludźmi.

Pascal sięga po kolejny album ze zdjęciami

- Dziesięć lat później nadal cieszymy się, że żyjemy i widzimy, jak nasze dzieci rozwijają się w tym spokojnym raju i nigdy nie znudzi nam się widok, który kontemplujemy każdego dnia z naszego tarasu i który nigdy nie przestaje urzekać każdego gościa z Europy.

Od 3 lat przyjmujemy wielu ekoturystów. Nasi Goście są zainteresowani naszym stylem życia, jakością naszych naturalnych produktów i bardzo doceniają wspaniałe i spokojne otoczenie, jakie oferujemy im podczas odwiedzin.

Moim największym marzeniem w dzieciństwie było opuszczenie Mauritiusa i poślubienie obcokrajowca. Obiecałam sobie również, że mój dom będzie otwartym domem, pełnym życia, z wieloma gośćmi (dla zrównoważenia traumy mojego dzieciństwa). Dziś marzę o tym, żeby z rodziną popłynąć żaglówką dookoła świata. W dalszym ciągu przekazuję moim dzieciom, najlepiej jak potrafię, solidne wartości, zachęcając do nowego spojrzenia na świat, do pełnego życia w naturze, z morzem, wiatrem i słońcem.

I wyznaje w końcu :

- Już od dzieciństwa chciałam poznawać inne cywilizacje. I Antoine też mnie tym pragnieniem, po swojemu rozumianym, zaraził. Tak wiele rzeczy w tym projekcie nas pociągało, a dziewczyny wydawały się wręcz entuzjastyczne. Tak więc nadal nad tym pracujemy.



Radosław Wiśniewski



Listy do TYMOTEUSZA

(3)

SIEDEMNAŚCIE MGNIEŃ WIOSNY

Siedzieliśmy na kanapie i przeglądaliśmy obrazkowe zagadki Czu-czu. Wskazywałeś bez pudła w którym gnieździe są dwa i trzy ptaszki, które zwierzątko nie pasuje do innych, gdzie ukryły się motylki. I tak to trwało ku obopólnemu zadowoleniu. Aż dotarliśmy do obrazka, na którym między trzema pniami, w tym jednym z dziupłą, rozsiadły się muchomorki. Zamiast przeczytać ci prawidłowo treść zadania, czyli żebyś wskazał te muchomorki, coś mnie ugryzło i powiedziałem tym samym tonem, którym czytałem opisy poprzednich zadań:

- Pokaż w którym drzewie ukrył się przed Stirlitzem Agent Mueller.

Przypatrzyłeś się uważnie obrazkowi i powiedziałeś z niedowierzaniem:

- Alent Lelel?

- No tak - postanowiłem ułatwić Ci zadanie - bo wiesz, kiedy bohater Stirlitz uciekał przez las, zobaczył pewnego razu oczka świecące w dziupli drzew i pomyślał sobie „eee to chyba wiewiórka...” a Agent Mueller pomyślał wtedy „... Sam jesteś wiewiórka!”

Zaśmiałeś się jakbyś zrozumiał i odkryknąłeś hasłem z naszych wielu zabaw:

- Nie - Ty!

- Nie, to Agent Mueller!

- Nie, to wiewiórka!

- Jesteś pewien?

- Tak.

- A gdzie on jest?

I pokazałeś oczywiście pień z dziupłą, z której świeciło rzeczywiście dwoje oczu. Zapomnijmy o muchomorkach. Od tej chwili ten obrazek stał się twoim ulubionym obrazkiem ever i od kilku dni, kiedy bierzesz do ręki zgadywanki Czu-czu, to wiadomo, że nie interesują nas pisklaki w gniazdkach ani kotki, ani pieski, tylko szukamy gdzie ukrył się Agent Mueller.

Ostatnio pokazywałem ci na tarasie, w ramach praktyk z ojcowskiego lenistwa, jak się żuje w sposób skuteczny i satysfakcjonujący źdźbło trawy. Tak, niby to lenistwo, ale usprawiedliwiam się w myślach, że ludzie niezdolni do bezczynności są irytujący dla otoczenia, więc uznajmy, że to też ważna nauka - leżenie na tarasie, żucie źdźbła trawy i patrzanie w niebo. Zamilkliśmy na chwilę obaj w tym żuciu trawy z ogrodu. Wiedziałem jednak po wyrazie Twojej twarzy, że intensywnie nad czymś myślisz. W końcu zapytałeś:

- A pamiętas... jak pokazywałeś mi gdzie się schował alent lelel?

- Tak.

- A ty kogo bardziej lubis, alenta lelela cy stryllyca?

- Nie wiem, a Ty?

- Alenta lelela.

- A dlaczego?

- Bo on udaje wiewiolke.

Wysoko na niebie pojawił się kolejny samolot ciągnąc za sobą smugę kondensacyjną. Kończył się kolejny dzień. Mgnienie wiosny. Zapowiedź lata.

BOBRA ZMIANA

Ostatnio Synku bywasz wiewiuleckom i zdarza się, że wymuszasz na współbawiących się, żeby byli wilkiem, odpowiednio dobrym lub złym, który wiewiuleckem będzie gonił, lub też się z nią zaprzyjaźni. A ja byłem jakiś zmęczony i powiedziałem:

- Synku, ale tata nie może być już wilkiem...

- A czemu?

- Bo Tata jest zmęczony jak stary, wyliniały szakal. A stary, wyliniały szakal już nie poluje, tylko siedzi w trawie i patrzy i jak jakaś sztuka sama się przewróci, to ewentualnie skorzysta, a jak nie, to nie.

- Acha, ale nie zjes mnie?

- Nie.

I od tej pory zabawa polegała na tym, że po upewnieniu się, że szakal nie chce zjeść wiewiulecki, wiewiulecka podchodziła ostrożnie do starego, wyliniałego szakala się przytulić, albo pogłaskać po łapce. Wygrałem, ale tylko do czasu. Koncepcja wyliniałego szakala miała bowiem znaleźć bolesne potwierdzenie. Dwa dni temu szedłem spać i chciałem wziąć ze schodów telefon. Mamy schody takie ażurowe, z drewna i kładziemy na nich różne rzeczy jak na półkach, bo rzeczywiście ich stopnie, na przykład idące na poddasze, są dostępne z piętra, te idące na piętro – z parteru, więc się kładzie różne rzeczy do zabrania na górę, żeby nie zapomnieć. No i sięgałem po telefon z piętra, a leżał na schodach biegnących na poddasze i złapałem go słabo, podle i poleciał na dół. To znaczy byłby poleciał te dwa metry w dół, gdybym nie wykonał jakiegoś nietypowego, energicznego zwodu i nie pochwycił go w locie, by przyciągać zarazem ku sobie ocalając go za cenę paskudnego chrupnięcia pod pachą. Zabolalo jak cholera, ale dało się spać bez środków przeciwbólowych. No nic. Rano bolało jeszcze bardziej, bo pewnie uformował się jakiś obrzęk przez noc. Zapytałeś mnie zatem przy wkładaniu do samochodu co mnie boli, bo że mnie boli, to było widać. Opowiedziałem Tobie historię ze spadającym telefonem. Wysłuchałeś jej z uwagą dorzucając czasem podtrzymujące uwagę:

- Takkk - z twardym „ka” na końcu, jakbyś był Islandczykiem albo Szwedem. Po chwili jazdy w stronę żłobka zaczęłaś niepozornie:

- A wiesz...?
- No?
- Ja wiem, co ci chlupnęło.
- Tak?
- To było ... zwieze!
- Synku żebra mi chrupnęły, a nie zwierzę.
- To było zwieze, takie które tak chlupie casem.
- Czyli jakie?
- To były ... BOBLY, bo bobly psecies chlupiom dzewko i schlupały ciebie...
- Synu...
- I wiesz...? Bo ja wiem czemu.
- No...
- Bo one chciały pójść do ciebie na góle pocytać twoje gazetki i dlatego ciebie schlupały!
- Synu, ale jakby mnie schrupały to by mnie nie było, a jestem.
- Bo wiesz... jak bobly schlupiom to człowiek jus nie zyje, ale casem zdaza sie inacej...

Poprawiłem się w fotelu, bo żebra znowu zabolaly. Przypomniało mi się, że ktoś z sąsiadów wspominał, że widział na skraju pól i lasu oddzielającego nas od Wrocławia borsuka. Ale niedaleko grądy nad Widawą, kto wie, może są i bobry.

Także strzeżcie się bobrów pożądających lektury pism lotniczych, marynistycznych i historycznych. Nie dacie im pocytać to potem cholernie bolą żebra. Aż dech zapiera.

W ogóle strzeżcie się bobrów.

I borsuków też.

REQUIEM DLA DZIKA

Próbowałem prześledzić w jaki sposób w Twoim sercu synku zagościł na stałe dzik i wszystko co dzikie. Może to się wzięło z tego, że drażniły mnie te wszystkie durne bajki straszące wilkiem, dzikiem i próbowałem je równoważyć opowieściami o tym, jak to jest naprawdę. Ty mimo tego uwielbiałeś piosenkę z Akademii Pana Kleksa o dziku, który jest dziki i jest zły, i bywały długie okresy, że kiedy siadywaliśmy na pufie, która nagle przestawała być karna z białym „ija-ija-o!” (firmy apple), to żądałeś tylko dzika i jeszcze raz dzika.

Szybko Dzik zaczął odgrywać sporą rolę w twoich zabawach. Głównie jako postrach. Bywało, że chowałeś się przed dzikiem za swoją plastikową kuchenką w pokoiku i potrafiłeś tam przesiedzieć dobrych dwadzieścia minut mówiąc coś do siebie szeptem. A dorośli myśleli, że ty się po prostu tak świetnie bawisz sam ze sobą. Nie. Ty się chowałeś przed groźnym, dzikim dzikiem. I był czas, że bałeś się go na równi z mokiem i wikiem.

Musiałem ci tłumaczyć, że o ile nie mam zdania co do smoków, bo nie występują one w naturze, o tyle dziki czy wilki z bajek i te prawdziwe nie mają wiele ze sobą wspólnego i ogólnie te żywe są okej. Szczególnie wilki – są szlachetne i piękne. O tym, że daleko więcej

dzieci zginęło z rąk ludzi niż od kłów wilków, o ile w ogóle jakiegokolwiek dziecko zginęło od wilków – nie, o tym ci jeszcze nie mam serca mówić. Świat jest okrutny, ale jakoś nie spieszę się oswojaniem Ciebie z tą myślą. I to pomimo tego, że Twoje zabawy dowodzą, że wiedza o tym, że świat jest urządzony dosyć paskudnie i amoralnie – nie jest ci obca.

Tak było kiedy bawiłeś się z mamą w lepienie zwierzątek i mama ulepiła ci węża, a potem, ponieważ było mało plasteliny, zaczęła lepić myszkę. I Ty zobaczyłeś, że to myszka się tworzy i powiedziałeś w imieniu węża:

- Cieść myśko, cieść, ja loluje na ciebie, loluje!

- Poczekaj, jeszcze nie ulepiłam tej myszy – warknęła mama

- Ja pociekam myśko... – odpowiedziałeś i przysunąłeś swojego węża do rąk Mamy, tak żeby myszka nie miała wątpliwości, co ją czeka, jak zostanie ulepiona i powtórzyłeś z zimnem w oczach – ja pociekam...

Szybko wiedziałeś też, że misio robi foce „am-am” i ogólnie zwierzątka dzielą się na te, które robią innym „am-am” i te, którym „am-am” jest robione.

A jednak przekonywałem Ciebie, że można próbować się zaprzyjaźnić i pokazywałem ci, że krokodyl może pomóc hipciowi, a z kolei lisek nie musi zjadać kurczaczka.

A potem kupiłem ci dzika z plastiku, razem z jeleniem, wilkiem, lisem, daniem, łosiem i rysiem. I znowu ze wszystkich najważniejszy był dzik, ale już jako synonim siły i dzikości, bez zła w tle. Dzik był przede wszystkim duży i silny. I tobie to imponowało.

Zatem będąc z Twoją siostrą na wypadzie w Wilnie kupiliśmy ci kolejnego dzika, tym razem struganego z drewna, pomalowanego na różowo i nakrapianego na żółto. Jednak w Twoim dzikim utożsamieniu nie było granic, kiedy zachorowałeś na szkarlatynę i tata siedział z Tobą w domu na Twoje życzenie pewnego dnia, nie wiedząc kiedy, tata ulepił około dziesięciu różnych dzików z plasteliny. Były one małe i duże, z szablami i bez, z oczami czerwonymi, zielonymi i niebieskimi. Jakoś przeszły ci strachy. Zażądałeś nawet ostatnio po kąpieli futra wilka, bo będziesz teraz wikiem, pomijając momenty, kiedy jesteś małym mockiem, lewkiem i – oczywiście – małym dzickiem.

Nawet pewnego dnia pojechaliśmy do lasu, w którym – mówiłem Ci o tym lojalnie, można spotkać mojego kolegę Kondzia, ale także dzika i jelenia. Gwałtownie oprostowałeś Kondzia, krzycząc, że nie chcesz Kondzia, mimo że go nigdy nie spotkałeś. Potem zrozumiałem, że Kondzia pomyliłeś z koniem i kiedy sam to pojąłeś, powiedziałeś, że może być Kondzio. Co do dzika – pokazywałem ci zbuchtowane w lesie i przy drodze miejsca, gdzie zapewne niejeden dzik rył za smaczными żołądziami. I mówiłem ci, że nie znam przypadku, kiedy dzik zabił człowieka, natomiast w drugą stronę – niestety to nie działa. Chodziliśmy trochę, zakręciliśmy się wokół pustego paśnika i wróciliśmy.

Myślę o tym teraz intensywnie synku, bo jednym z najpiękniejszych dźwięków jakim poprawiam sobie nastrój, powtarzając go w myślach - a przez większość czasu ostatnio mam podły nastrój - jest twój zaśpiew-zapytanie:

- A dziiiiik? Dzie jes dziiiiik?

Kiedy idziesz do babci na noc i nie ma ciebie kilkanaście godzin w domu, często na wszelkie pytania odpowiadam Twojej mamie w taki sposób, naśladując Twoją melodię i dziecięcą tembr i ona się śmieje, że ledwo ciebie oddaliśmy, żeby odsapnąć chwilę, a już znowu jesteś między nami.

Tymczasem jak się dowiedziałem w drodze, jest postanowienie o wybicciu 210 z 200 tysięcy dzików w naszym kraju. Jeszcze nie zapadł ostateczny wyrok, ale nikt nie ma wątpliwości, że to kwestia czasu. I nikt normalny nie ma na to wpływu, bo żyjemy w takich warunkach, że nawet jak milion ludzi powie nie, a grupa 120 tysięcy facetów ze sztucerami, dużo groźniejszych niż jakikolwiek wik czy mok będzie chciała sobie postrzelać – to ona sobie postrzela, bo ma poustawianych kameradów w rządzie, sejmie, służbach państwa. I oni będą strzelać do dzików synku, tych twoich ukochanych dzików, dlatego, że świnki w fermach chorują na pomór świń. Nie pytaj mnie jaki w tym jest sens. Nie jestem do końca pewien – ale wydaje mi się, że nie ma. Eksterminacje rzadko kiedy mają sens. Pewne jest, że niedługo dzików już nie będzie, poza tymi twoimi z plastiku, drewna i plasteliny.

W każdym razie, kiedy znowu zapytasz mnie śpiewnie, za jakiś czas:

- A jes dziiiiik?

Być może powiem ci:

- Chodź synku do lasu, poszukamy – żeby nie ranić twoich uczuć, chociaż będę wiedział, że już niczego tam nie znajdziemy poza pustym paśnikiem i żadnej zbuchtowanej ziemi na leśnych traktach.

Pozostanie nadzieja, że nikt nas w tym lesie przypadkiem nie zastrzeli, zamiast ostatniego żywego dzika.

NIE MA ŻYCIA BEZ JACKA WHITE'A

Dwa dni wcześniej puściłem Ci Jacka White'a, w sumie nie pamiętam dlaczego. Acha, żeby nie puszczać bajek przy układaniu z klocków lego różnych pojazdów i tronów Simby, włączyłem jeden ze znośnych kanałów muzycznych na satelicie i puścili akurat White Stripes i Seven Nation Army. Podobało ci się i podobała ci się czerwona gitara Jacka White'a i muzycka. Podskakiwałeś, podrygiwałeś, nie mogłeś się skupić na klockach. Powiedziałem ci że pan, który to gra, nazywa się Jack White i jak chcesz, to puszczę ci zaraz na komórce coś jeszcze lepszego. I puściłem. Ten kawałek z wybuchającą gitarą i bykiem. „Lazaretto” z płyty „Lazaretto”. Trzy minuty kondensatu.

- O, on gła tak jak mój tata na gitaze!

- Nie - odpowiedziałem z uśmiechem. - on gra dużo lepiej od taty, a tata raczej już nigdy się tak nie nauczy.

Potem pojechaliśmy na John Lee Hooker Day do Brzegu i widząc licznych ludzi z gitarami na scenie zapytałeś:

- A tu bendzie głał Dzek Łajt?

Mówiłem, że nie, że nie tym razem, ale ogólnie kierunek jest słuszny. Kolejnego dnia z kolei poszliśmy do Hydropolis i nie chciałeś wyjść z kawiarni, w której były super fajowe

drewniane klocki. Były takie same jak u nas w domu, ale wiadomo, dom to nie kawiarnia koło Hydropolis. No i się zaczęło. Mama straciła cierpliwość i ruszyła w stronę wyjścia. No to już było przegięcie. Zaczął się niekontrolowany, słabo artykułowany głośny protest, z którego czasem przebijało, że Mama tutaj, albo że ja cem, albo ja nie ce. Ludzie nas mijali, słończko świeciło, a Twój wrzask mieszany z płaczem niósł się wokół. No i wiadomo, niech ktoś, coś zrobi z tym chłopczykiem - to wszyscy mieli w oczach.

Użyłem wszystkich znanych mi metod szantażu. Że jak się nie uspokoisz, to wypuszczę wodę z baseniku w ogródku, że nie będzie bajki na dobranoc, albo że schowam klocki lego. Nic to nie dawało, nawet wydawało mi się, że już na przekór, żeby pokazać, gdzie sobie mogę iść z moimi groźbami wydobyłeś z siebie wszelkie rezerwy wokalne. W końcu z braku innych pomysłów (czas leciał, ludzie nas mijali, słońce świeciło) powiedziałem donośnie, tak żeby się przebić przez Twoją ścianę z dźwięku:

- Synek, ja cię i tak wezmę na ręce i zaniosę do samochodu, ale jak ja ciebie wezmę i nie pójdziesz sam, to zapomnij, żebym ci puścił w samochodzie płytę Jacka White'a!

I tu jakby piorun strzelił w ciebie, zamarłeś i po chwili refleksji powiedziałeś swoje słynne:

- No dobla.

i podszedłeś z wyciągniętą rączką na znak, że idziemy, idziemy, bez White'a nie ma sensu żyć. Doszliśmy do samochodu, słońce nadal świeciło, ludzie nas mijali, ale że byłeś już grzeczny, to bez zainteresowania. Otworzyłem drzwi, żebyś wgramolił się do fotelika i nagle zrobiłeś podkówkę i rozplakałeś się w głos, ale już bez złości, jakby z rozpaczą.

- Synek, ale co się dzieje - zapytałem, a ludzie znowu zaczęli na nas popatrywać z mieszaniną irytacji i zaciekawienia, bo wiadomo: płaczący trzylatek na ulicy to dobry powód, by zbudować swoje poczucie wartości, podbić sobie ego kosztem bliźniego.

- Bo, bo - odpowiedziałeś szlochając - bo w samochodziku nie będzie dzeka łajta...

- Będzie, będzie synku, przecież się umówiliśmy.

- Ten z bykiem i wybuchajoncom gitalom?

- Ten sam synku.

- No dobla - powiedziałeś, otarłeś łzy i zacząłeś pakować się do fotelika.

A ja poczułem dumę i szczęście tak wielkie, że gdyby to było możliwe, to bym chciał, żeby więcej ludzi nas widziało i słyszało te puentę w Twoim wykonaniu, synku.

I żeby może nawet dowiedział się o tym sam Jack White.

Myszę, że także byłby dumny.

Może nawet pokazałby tacie kilka riffów po znajomości, kto wie?

APEŁ WYKLUCZONYCH

W zasadzie powinienem to zrozumieć od razu i przestać się dziwić. Ostatecznie będąc może czteroletnim chłopcem usłyszałem pierwszy raz w życiu „Obławę” śpiewaną przez młodego jeszcze Jacka Kaczmarskiego (rodzice pracowali wieczorami w „Hybrydach” i przynosili mi kasety nagrywane prosto z reżyserki). Nie było świata przedtem. Był świat

potem. Jako czterolatek byłem zarazem starym wilkiem „co życie dobrze zna” i tymi małymi wilczkami, co „zginęły, ślepe ufne tak puszyste kłębki dwa/ bezradne na tym świecie złym, nie wiedząc kto je zdławił”. I widziałem zaraz potem jak „zginie także stary wilk - co życie dobrze znał/ bo z trzema naraz walczy psami i z ran trzech na raz krwawi”. I byłem też tym wilkiem narratorem, który wypada na otwartą przestrzeń, gdzie widzi go myśliwy, „a ręka pewna niezawodna podnosi w górę broń”. Czułem jego strach, trzymałem się ręką za kark, rozszarpany kulą i na koniec łkałem, gdy wilk-podmiot liryczny mówił: „lecz nie skończyła się obława i nie śpią gończe psy/ i giną ciągle młode wilki na całym wielkim świecie/ o bracia wilcy brońcie się i wy, brońcie się nim wszyscy wyginiecie.”

Nie muszę wyjaśniać, że mam lat 45 i nigdy już nie uwierzyłem w klechdy o złym wilku i czerwonym kapturku, i w ogóle o złych wilkach. I nigdy też nie polubiłem myśliwych i całego tego cyrku zabijania dzikich zwierząt. Od zawsze, na każdym kroku, jestem po stronie wilków i zwierzyny, która jest polowana, a nie po stronie nagonki i myśliwych. Inaczej nie umiem.

Dlaczego zatem mnie dziwiło, że po obejrzeniu „Króla Lwa” i wielu odcinków „Lwiej Straży” zacząłeś synku odważnie deklarować:

- Jestem hijenom.

No i nie tylko ty zostałeś hijenom, ale rozdzieliliś rodzinie role - Mama została Mamom Hijenom, Niunia została Hijenkom, a ja, zgodnie z urodą i preferencjami, zostałem Starym Hieniskiem.

Nie powinno mnie dziwić, że najpierw czarno-białą bujdę rozbiłeś na elementy pierwsze mówiąc, że jest dobry i zły Lew Skaza, potem przestałeś się zgadzać z oficjalną wykładnią, wedle której hieny do niczego nie mają praw na lwiej ziemi, bo są hienami. A potem także i hieny rozdzieliliś na te dobre i złe. Protestowałeś, kiedy pojawiała się w telewizji Lwia Straż i mówiłeś, że Kaion jest bzydki. Nie mówiłeś. Krzyczałeś. Podobnie embargiem została obłożona kanoniczna wersja „Króla Lwa”. W ogóle bajki, w których zbyt wyraźnie konfrontuje się dobro ze złem, zaczęły cię drażnić. Zacząłeś dezawuować pozytywnych bohaterów, szczególnie, gdy byli pozytywni zbyt bardzo. Elena z Avaloru - bzydka, Maja i Gucio - gupi, jeszcze od biedy Psi Patrol mógł zostać, Pingiwny z Madagaskaru, bo tam jest mniensny Król Julian i Spongebob, bo tam nie wiadomo trochę o co chodzi.

Ci źli dla Ciebie, to, by użyć języka dorosłych, po prostu wykluczeni. Jak te hieny, co muszą zaczekać, aż pan i władca Lew podje sobie, żeby bić się o resztki. I świat nagle się stał dla ciebie czarno-biały, ale na odwrót. Wszyscy dobrzy, zrobili się źli, a ci źli – dobrzy i ty się z tymi wszystkimi „Bad-asses” zacząłeś solidaryzować. Ku naszemu przerażeniu.

Ale w końcu Synku zrozumiałem, że to nie z powodu nawiedzenia przez ciemne moce, tylko z wrażliwego serca. Po prostu wyczułeś ściemę, a Twoje serce i trzyletnie sumienie poszukuje sprawiedliwości. Chociaż szkoda mi, bo skracasz sobie czas luksusu życia w iluzji, że dobro zawsze zwycięża, a zło zostaje zawsze ukarane i że zło po prostu jest złe, a nie jest czasem trochę winą, tych, którzy mają środki propagandy i technicolor zawsze po swojej stronie. I zawsze mogą powiedzieć - my nie możemy być źli, bo jesteśmy piękni, ładni, mamy płaskie brzuszki dwa tygodnie po urodzeniu dziecka, nie mam rozstępów, mamy

zadbane brody i wpięrdzielamy wegańskie pierożki, bo nas stać. I ci ładni trochę tak udają, że brzydota nie jest ich winą. Wcale a wcale. Ty to wyczułeś, że tym dobrym za bardzo nie wolno ufać. Szkoda. Nie dlatego, że nie masz racji. Dlatego, że tracisz niewinność i spokój ducha i już go nie odzyskasz nigdy.

To, że w rzeczywistości ci dobrzy jednak równie często przegrywają co wygrywają, to też lekcja, która już czeka za progiem i przebiera bardzo brzydkimi paluchami w ciemnościach.

Ale martwi mnie jeszcze jedno. Chyba najbardziej. Otóż kiedy miałem już 30 lat, spotkałem się ze starą, mądrą kobietą w rozgłośni radiowej. Długo rozmawialiśmy przed audycją, potem trochę na antenie radia i znowu trochę długo poza anteną. I kiedy już spaliliśmy pół paczki jej fajek, a paliła „Rothmansy”, powiedziała mi na odchodnym:

- Wiesz Radek, tak Ciebie słucham i wydaje mi się, że będziesz miał w życiu kompletnie przejebane - tutaj nastąpiła chwila milczenia, a Ewa uśmiechnęła się i dodała - i wiesz, w moich ustach to jest komplement.

Tak, martwię się synku, że z tym sercem otwartym na hieny nie będziesz miał lekko.

Ale nikt nie będzie miał wątpliwości czyim jesteś synem.

Wacław Bielecki



Klasyka z sieci

Notki melomana w czasie pandemii

(1)

7 listopada 2020 r. po raz drugi z powodu zarazy zamknięto dla publiczności w Polsce wszystkie sale filharmoniczne i operowe. Ich otwarcie nastąpiło dopiero 17 stycznia 2021 r. W tym okresie życie muzyczne znowu przeniosło się do internetu. Było w czym wybierać. Liczne koncerty odtwarzano z archiwów oraz - co było i jest dla mnie najbardziej interesujące - na żywo w transmisjach streamingowych, bezpłatnie lub za odpłatnością od 10 do 80 zł. Później, na okres od 17 stycznia do 13 lutego, znowu otworzono sale koncertowe pod rygorem przestrzegania wymagań sanitarnych: sale zajęte w 50 proc. miejsc, melomani zobowiązani zostali do podpisywania oświadczeń o stanie zdrowia, słuchania muzyki w maseczkach i dezynfekcji rąk. Chętnych do takiego słuchania koncertów nie brakowało. Niestety, w województwie pomorskim znowu zamknięto sale koncertowe, podobno tylko na jeden tydzień od 13 do 20 marca. Wcześniej, od 1 marca lockdown obowiązywał u sąsiadów na Warmii i Mazurach, a od 18 marca - w województwie mazowieckim i lubuskim.

Jak w tej anormalnej sytuacji może funkcjonować meloman na prowincji? Oczywiście, musiałem przetrząsnąć się na transmisje internetowe. Wszyscy wiedzą, że słuchanie i oglądanie muzyki na laptopie to nie jest to samo, co jej odbiór w sali filharmonicznej, ale innego wyboru nie było. Cała ta sytuacja mocno wpłynęła na moje relacje z koncertów. Przez 10 lat pisałem do „Prowincji” sprawozdania tylko z takich występów, których słuchałem na żywo. Musiałem więc jeździć do najbliższych i dalszych teatrów operowych i na festiwale muzyki klasycznej. W tym widziałem sens mojej pisaniny. Ostatnio taką relację dałem z wyjazdu do Filharmonii i Opery na Zamku w Szczecinie. Od tego czasu minął rok. Teraz muzyki słucham więcej niż przed pandemią, ale jest to muzyka z sieci odbierana na laptopie przez słuchawki, stąd zmiana tytułu moich relacji. Spośród mnogości wysłuchanych i oglądanych przez ostatnie trzy miesiące koncertów i innych wydarzeń muzycznych, wybrałem garstkę najciekawszych.

GDAŃSKI FESTIWAL ACTUS HUMANUS

piątek, 4 grudnia - niedziela, 13 grudnia 2020 r.

W Centrum św. Jana w Gdańsku odbył się Festiwal Actus Humanus. Jest to najważniejszy festiwal muzyki dawnej w Polsce. Dla mnie był to zaiste prawdziwy maraton muzyczny: dziesięć kolejnych dni, a w każdym po dwa koncerty. To niesamowite, bo wszystkie można było oglądać na żywo, i to za darmo w transmisjach streamingowych. Tego jeszcze nie było! Musiałem bardzo mocno skrócić sprawozdania z tych koncertów, bo tylko one zajęłyby całe miejsce przeznaczone na muzykę klasyczną w „Prowincji”.

W Actus Humanus wzięły udział czołowe polskie zespoły wykonujące muzykę dawną na instrumentach z epoki. Najbardziej uprzywilejowana została **{oh!} Orkiestra Historyczna** pod kierownictwem grającej na skrzypcach Martynty Pastuszki. Koncertowała przez cztery wieczory – dwa na otwarcie i dwa na zamknięcie festiwalu. W jej skład wchodzi kilkudziesięciu muzyków grających na smyczkach oraz klawesynie/pozytywie, lutni lub gitarze hiszpańskiej. Artyści ubrani w czarne stroje grali na stojąco otaczając klawesyn. Muzykowali z zapalem. Po każdym concerto, trwającym nie więcej niż kwadrans, smyczkowcy stroili instrumenty od klawesynu, bo w kościele było zimno. Kamerzyści pokazywali wszystkie koncerty w czarno-białych barwach, a nie w kolorze. Akurat do tego miejsca i muzyki pasowało to bardzo.

Na rozpoczęcie festiwalu, 5 i 6 grudnia, Orkiestra Historyczna zgrała 12 *Concerti grossi* angielskiego kompozytora Charleasa Avisona. Po każdym trzech koncertach jedną arię z oper Haendla śpiewał Jakub Józef Orliński, nasz młody i już sławny kontratenor. Spośród wszystkich dwunastu koncertów Avisona najbardziej spodobał mi się opatrzony numerem X w tonacji D-dur z hiszpańską gitarą, która ma w nim solówkę na początku, a ostatnia część brzmi jak fandango. Koncert zakończył się bisem, co jest zdarzeniem niespotykanym w transmisjach online bez udziału publiczności. Jak doszło do bisu? Otóż internauci na czacie wysłali dużo laików o treści: Brawo! Bis! Połączyły się one z oklaskami grupy osób obsługujące transmisję i usłyszeliśmy hit w wykonaniu Orlińskiego – arię *Vedro con mio diletto (Zobaczę moją ukochaną)* z opery Vivaldiego pt. *Giustino*. Nasz kontratenor śpiewa ją od 2017 r. Właśnie od tej arii zaczął się początek jego kariery.

W dwa ostatnie wieczory festiwalu, 12 i 13 grudnia, Orkiestra Historyczna wykonała dwanaście *Concerti grossi op. 6* Arcangelo Corellego. Już po pierwszych frazach było widać, a raczej słyhać, że mistrz Corelli nie ma sobie równych w komponowaniu tej formy muzycznej, czyli „wielkich koncertów”. W porównaniu z kompozycjami jego uczniów, np. Geminianiego, koncerty Corellego są bardziej urozmaicone. Orkiestra nie gra zawsze jako całość, ale bardzo często słyhać solowe instrumenty, np. altówkę, hiszpańską gitarę, teorbę, wiolonczelę, pozytyw. Bardziej urozmaicone i zmienne są też tempa wykonywanych utworów, często też, stosowane są nagłe zwolnienia lub przyspieszenia tempa. Nie sposób tu nie wspomnieć o liderce zespołu Martyntynie Pastuszk. Widać, jak grając na skrzypcach rozgrzewa muzyków i wciąga ich do porywającego wykonania, a po zakończeniu całuje ich dziękując za wspólne koncertowanie. Jeden z internautów tak to opisał na czacie: - *Z przyjemnością ogląda się artystów doskonale bawiących się muzyką. Ta radość udziela się również nam, słuchającym.*

Już tylko w telegraficznym skrócie wspomnę o innych zespołach występujących na Actus Humanus. Zagrała także orkiestra **Arte Dei Suonatori** z Marcinem Świątkiewiczem, który jest liderem zespołu i kieruje nim od klawesynu. Trzej soliści wraz z orkiestrą wykonali koncerty Carla Philippa Emanuela Bacha na obój, flet i klawesyn. **Capella Cracoviensis** pod dyrekcją Jana Tomasza Adamusa zaśpiewała *Lagrima di San Pietro (Łzy św. Piotra)* skomponowaną przez Orlando di Lasso a podczas drugiego koncertu sześć *Motetów* J.S. Bacha. **Royal Baroque Ensemble**, zespół klawesynistki Lilianny Stawarz, wykonał *Concerti grossi* Francesco Geminianiego. W skład tego niedużego zespołu wchodzi smyczki, teorbła, chitarone - mniejsza odmiana teorbły oraz klawesyn lub pozytyw.



Orkiestra Historyczna i Martyna Pastuszka ze skrzypcami (z lewej), fot. Internet

W ostatnim dniu festiwalu wystąpiła **Orkiestra Czasu Zarazy**, kierowana przez Pawła Iwaszkiewicza, grającego na dudach, powstała nie teraz, ale 10 lat temu. Jej nazwa nawiązuje do czasów zarazy w Rzeczypospolitej w XVIII w. Zespół ten wystąpił w sześciuosobowym składzie, przypominającym ludową kapelę: dudy, skrzypce barokowe, skrzypce ludowe, wiolonczela, puzon, regał. Ten ostatni instrument, to odmiana przenośnych organów wykorzystywana dawno temu w muzyce tanecznej. Orkiestra Czasów Zarazy zagrała *Tańce polskie* spisane przez Georga Philippa Telemanna, który w pewnym okresie przebywał na dworze księcia Erdmanna II w Żarach i Pszczynie. Wtedy wiele z księciem podróżował. Z wielkim zaciekawieniem zachodził do przydrożnych karczm i oberży, gdzie przez całe noce słuchał grających kapeli. Nie tylko słuchał muzyki, ale ją zapisywał w swoim pamiętniku. Potem stwierdził, że zapas usłyszanych melodii starczy mu na całe życie. W czasie niedzielnego koncertu z 31 *Tańców polskich* zapisanych przez Telemanna usłyszeliśmy 14.

Wśród nich rozpoznałem: mazury, oberki, kujawiaki, polonezy i wiwat - bardzo żywy tańiec z poznańskiego. Był to jedyny, innego rodzaju koncert na festiwalu, bo prezentujący ludową muzykę taneczną. Moderator czatu przytoczył taki komentarz: - *Mimo zarazy, imprezowano oczywiście po knajpach. Życie toczyło się normalnie. O lockdownie nikt wtedy nie słyszał. Kto miał umrzeć, umierał, a życie pozostałych toczyło się dalej. Zarazę przyjmowano raczej jako dopust Boży. Nikt nawet nie próbował temu przeciwdziałać. Tak musiało być, i tyle.*

Oprócz zespołów wystąpili na Actus Humanus soliści i duet. Festiwal otworzył **Adam Strug**. Któż nie zna tego oryginalnego artysty śpiewającego, m.in. stare pieśni dziadowskie, pogrzebowe, solo lub przy akompaniamentem prymitywnych instrumentów w rodzaju wioli korbowej. Nie jestem nawykły, aby słuchać takiego surowego śpiewu i wcale za nim nie przepadam, ale w czasie pandemii tego rodzaju dziadowskie śpiewanie w pustym kościele bez publiczności działa przejmująco. **Maria Pomianowska** śpiewała pieśni religijne, akompaniując sobie na kopcach starych instrumentów - suce biłgorajskiej (4 struny, brzmienie zbliżone do altówki) lub płockiej fideli (5 strun, brzmienie podobne do wiolonczeli). Klawesynista **Marcin Świątkiewicz** wykonał 15 krótkich, trzygłosowych Sinfonii (Inwencji) J. S. Bacha. Skrzypek **Stefan Plewniak** zagrał solo *L'arte dell'arco* (*Sztuka smyczka*) Giuseppe Tartiniego, czyli 50 wariacji na temat *Gawota* Corellego. Duet **Grzegorz Lalek** skrzypce i **Lilianna Stawarz** klawesyn, zaprezentował cztery sonaty Haendela. W wykonaniu **Roberta Bachara** skrzypka z Wrocławia usłyszeliśmy trzy wieloczęściowe partity na skrzypce solo, nieznanego kompozytora austriackiego Johanna Josepha Vilsmayra. **Krzysztof Fir-lus**, grający na siedmiostrunnej wioli da gamba, zagrał sonaty również nierozpoznanego przez historyków muzyki kompozytora o nazwisku Mr. de Sainte-Colombe le Fils.

Publiczności na koncertach nie było, ale wszyscy czatujący nie skąpili gratulacji i życzeń orkiestrom, solistom, organizatorom, ekipie technicznej i sprawozdawcom. W sumie transmisję oglądało na tym kanale od 200 do 300 osób dziennie, ale trzeba dodać jeszcze tych z innych kanałów: YT i PR11. Na koniec były wielkie brawa od ekipy technicznej i komentarze z wirtualnymi kwiatkami od internatów: - *Gdyby nie koncert w sieci, nigdy bym Was nie zobaczyła*. Inna osoba uzupełniła wpis: - *Sale koncertowe mają określoną pojemność widzów. Dla wielu z nas tu, w sieci, jest dobre miejsce do słuchania*.

KONCERT NOWOROCZNY Z WIEDNIA

piątek, 1 stycznia 2021 r.

Tradycyjny koncert w Złotej Sali Musikverein w Wiedniu odbył się po raz pierwszy w historii tej sceny bez publiczności. Orkiestra grała walce Straussów do pustej sali. Dyrygował po raz szósty Riccardo Muti. Oklaski z całego świata docierały do muzyków przez... telefony komórkowe z opóźnieniem 20 minutowym w czasie przerw. - *Płakać się chce* - komentowali melomani, a muzycy dedykowali ten koncert wszystkim z przesłaniem, aby nie tracić nadziei.

WYSZYDZANIE I BEZCZESZCZENIE POLSKIEJ OPERY

poniedziałek, 11 stycznia 2021 r.

Sławomir Pietras na stronach portalu „Maestro” w felietonie pt. *Kolędowanie, olśnienia i koszmar* tak pisze na temat inscenizacji oper Moniuszki w minionym roku: *Szczególnie ciężkim, poświętecznym koszmarem było oglądanie na TVP Kultura wiedeńskiego nagrania „Halki”. Tamtejsza publiczność nagrodziła przedstawienie uznaniem za wysoki poziom muzyczny i wokalny, przy czym - dobrzy wykonawcy przyczynili się do zbeszczeszczenia polskiej opery narodowej. Już podczas uwertury leżał trup, zaręczyny szemranej pary w jej rozwydrzonym towarzystwie odbywały się w podejrzanym hotelu, czystą wyborową lano strumieniami przez wszystkie cztery akty, potwierdzając również w sposobie bycia i zachowania, że jesteśmy narodem pijaków, gastarbeiterów i idiotów. Halka była na przemian sprzątaczką, kelnerką i wariatką, Jontek agresywnym kelnerem, a Janusz znarkotyzowanym i rozpitym warchotem. Podczas mazura odbywały się jakieś orgie, tańce góralskie zamieniono w nieopisany bałagan, a poloneza w ogóle nie tańczono. Było jeszcze na oczach widowni poronienie, grzebanie płodu w ziemi na scenie i niekończący się ciąg widoków obscenicznych, śpiewanych tekstem, librecyście Włodzimierza Wolskiego, co doprawdy z przestaniem moniuszkowskiej „Halki” nie miało nic a nic wspólnego.*

DŹWIĘKI SZTOLNI CZARNEGO PSTRĄGA

środa, 20 stycznia 2021 r.

„Klawesyn bez granic” - pod takim tematem odbyło się seminarium współczesnej muzyki klawesynowej w Akademii Muzycznej w Łodzi. Wygłoszone zostały cztery wykłady. Najciekawszym było wystąpienie Adama Wesołowskiego, kompozytora i dyrektora Filharmonii Śląskiej pt. *Silver concerto - symbolika i multimedia - dźwięki sztolni Czarnego pstrąga w Tarnowskich Górach* ilustrowane premierowym nagraniem tego utworu.

Kompozytor objaśniał, jak pisał ten utwór i jego symbolikę zawiązaną z kopalnią srebra i miastem. Do dźwięków klawesynu i orkiestry dołączone zostały nagrania dźwięków ze sztolni, np. kapanie wody, stuki kilofów. Tematy muzyczne zaczerpnął od srebra i miasta, np. srebro ma symbol Ag, więc utwór zaczyna się od dźwięków A i G, miasto nabyło prawa miejskie w 1526 roku, co zostało przełożone na odległości między dźwiękami: pryma - kwinta - sekunda - seksta.

Koncert składa się z czterech krótkich części: 1 - wolna (opisanie sztolni i srebra), 2 - szybka (opisanie miasta), 3 - uroczysta (ilustrująca imprezę z wpisaniem kopalni na listę światowego dziedzictwa kultury UNESCO), 4 - szybka (opowiada jak gwarkowie zabawiali się i tańczyli śląskiego trojaka). Muzycy i solistka czasem grali całymi dłońmi oraz stukali i tupali nogami. Koncert kończy się akordem A-dur, bo Ag to srebro.

O dziwo, ten współczesny, „industrialny”, jak go nazwał kompozytor, utwór programowy spodobał mi się, bo jest tonalny, z wieloma melodiami, ciekawymi rytmami i z kilkoma efektami multimedialnymi. Według mnie, w całym opisie koncertu występuje wyraźny przerost założeń formalnych nad muzyką, która tego nie potrzebuje, bo jest ładna.

PIAZZOLA W FILHARMONII W DOLNOŚLĄSKIEJ

piątek, 22 stycznia 2021 r.

Po raz pierwszy słuchałem na YT transmisji na żywo z Filharmonii Dolnośląskiej w Jeleniej Górze. Aby uzyskać dostęp musiałem wpłacić przez internet 10 zł. W programie wieczoru były *Omdlenia na gitarę i smyczki* Piotra Klimka, współczesny utwór miejscami wyraźnie nawiązujący do *Concerto Aranjuez* Rodrigo, ale gdzie mu tam do tego arcydzieła. Na gitarze klasycznej ze wzmacniaczem grał w czarnej masce i z nut Jakub Kościuszko. Potem w towarzystwie klarncisty Jana Jakuba Bokuna wykonał *Koncert podwójny na klarnet i gitarę* Astora Piazzolli. Właśnie ten utwór nakłonił mnie do oglądania transmisji z Jeleniej Góry. *Po jego wysłuchaniu* byłem zadowolony z podjętej decyzji. Wiadomo, że u Piazzolli wszystko jest tangiem, więc i w tym koncercie nie zabrakło tanecznych rytmów i melodii. Zarówno gitara, jak i klarnet mają w tym dwuczęściowym utworze swoje sola, ale pojawiają się też króciutkie miejsca dla pierwszych skrzypiec, wiolonczeli i orkiestry. Wszystko jest zgrabnie skomponowane. Orkiestrę prowadził młody, nieznamy mi zupełnie dyrygent Szymon Makowski, który od 2016 roku pełni funkcję dyrygenta Filharmonii Dolnośląskiej. Młody maestro ubrany w tradycyjny frak i białą muszkę, dyrygował precyzyjnie i spokojnie, ale w koncercie Piazzolli wyraźnie się ożywił i niemal tańczył na podeście.

NOWY KONCERT SKRZYPCOWY NA OŁOWIANCE

piątek, 29 stycznia 2021 r.

Z sali Polskiej Filharmonii Bałtyckiej w Gdańsku nadano transmisję koncertu w wykonaniu tamtejszej orkiestry pod dyrekcją Ewy Strusińskiej. Najpierw usłyszeliśmy marszową *Uwerturę C-dur na instrumenty dęte* Felixa Mendelssohna-Bartholdy'ego. Potem zagrał młody skrzypek i kompozytor Marcin Markowicz, który najpierw wykonał *Romans nr 2 F-dur na skrzypce i orkiestrę* Ludwiga van Beethovena, a następnie swój *Koncert skrzypcowy*. To współczesna, kompozycja, ale generalnie trzymająca się systemu tonalnego. Koncert jest jednoczęściowy, jednak z łatwością można w nim wyróżnić trzy nieomal „klasyczne” części: pierwsza szybka z małymi kadencjami, potem druga wolna, liryczna i trzecia żywa, motoryczna. Generalnie koncert skrzypcowy Markowicza jest dość przyjemny w słuchaniu, ale na YT Filharmonii Bałtyckiej słuchało go zaledwie 30 osób. Były tylko cztery wpisy na czasie. Dyrygentka Ewa Strusińska to bardzo ruchliwa osoba prowadzącą orkiestrę szerokim gestem, z dużą swobodą i uśmiechem na ustach. Pamiętam ją z koncertów w Warszawie i Katowicach. Tam też zwróciła moją uwagę żywiołowym zachowaniem się na podeście. Jeśli chodzi o realizację transmisji, to po raz pierwszy widziałem tak słabo skoordynowany dźwięk z obrazem, to znaczy, dźwięk był opóźniony w stosunku do obrazu. Było to widać szczególnie wyraźnie w *Romansie* Beethovena. Poza tym, nie była to transmisja na żywo, tylko odtworzone nagranie, ale z uruchomionym czatem na żywo. Na stronie filharmonii nie podano żadnego słowa o budowie koncertu, ani o skrzypku.

ŚLAD JANUSZA STROBLA

piątek, 5 lutego 2021 r.

Janusz Strobel, gitarzysta klasycznym razem ze swoimi kolegami z jazzowego trio - kontrabasistą Pawłem Pańtą i perkusistą Sebastianem Frankiewiczem zaprezentował melodie z nagranej w 2016 roku płyty pt. Ślad. Koncert odbył się w sali Pałacu w Radziejowicach niedaleko Warszawy. Muzykom akompaniowała orkiestra Sinfonia Iuventus pod batutą Marka Wroniszewskiego. Usłyszeliśmy dziesięć melodii z płyty, w tym tytułową – *Ślad* oraz m.in.: *Trudny romans*, *Lekki rys szaleństwa*, *Łza*. Prawie wszystkie te utwory zaaranżowane były w południowoamerykańskich rytmach: samby, beguine, bossa nova, bluesa. Dominującą osobą podczas koncertu był oczywiście Janusz Strobel. Z wielką przyjemnością oglądałem jego występ, bo kiedyś, aż się nie chce wierzyć - pół wieku temu - z wypiekami na twarzy słuchałem utworów z jego pierwszej płyty nagranej w duecie z Henrykiem Alberem. Później zachwyciałem się piosenką skomponowaną przez niego, a śpiewaną przez Hannę Banaszak zaczynającą się od słów: „Nie, nie możesz teraz odejść”, czyli *Samby przed rozstaniem*. Teraz ponad siedemdziesięcioletni artysta grał i improwizował z pamięci, ale styl jego gry i kompozycji pozostał ten sam. W końcowym zapisie na czacie napisałem: *Śliczna, nostalgiczna i bardzo delikatna muzyka z przepięknymi solówkami klasycznej gitary z akompaniamentem orkiestry i subtelną sekcją rytmiczną w tle*. Właściwie tylko ostatni utwór *Lorca* był zagrany w żywym, wesołym rytmie, a perkusista miał możliwość popisania się długim solem, takim, jakie można usłyszeć podczas koncertów jazzowych. Był to piękny wieczór z muzyką na zbliżający się koniec karnawału.

PIEŚNI KOCIEWSKIE W TCZEWIE

środa, 10 stycznia 2021 r.

Dopiero na początku stycznia na YT transmitowany był koncert z okazji Światowego Dnia Kociewia, a zarejestrowany 20 sierpnia ub. r. w sali widowiskowej Centrum Kultury i Sztuki w Tczewie. Grała Orkiestra Progress pod dyrekcją Szymona Morusa. Głównym punktem programu były cztery *Pieśni kociewskie na sopran, fortepian i orkiestrę* Macieja Zakrzewskiego. Śpiewała Magdalena Chmielecka, a za fortepianem zasiadł Jakub Ostrowski. Słowa pieśni zostały wzięte ze zbioru spisane przez Władysława Kirsteina. Były to: *Idzie dziwczyna drogą* (w rytmie kujawiaka), *Dzień zakochania* (najpierw część szybka a potem walc), *Żanić zabraniali* (żałosna pieśń dziewczyny śpiewana w wysokich rejestrach w trójdzielny rytmie kujawiakowym), *Trzej braciszkwowie* (żywy taniec w rytmie oberka, ale znanym mi z innych regionów). Młoda sopranistka zaśpiewała je bardzo ładnie z dobrą dykcją, leciutko biorąc wysokie dźwięki. Same pieśni były zróżnicowane i pozwalały śpiewaczce pokazać różne emocje. W tym wszystkim wspomagały ją smyczki i fortepian. Szkoda tylko, że te ludowe piosenki kociewskie śpiewała z nut.

Pieśni Macieja Zakrzewskiego były poprzedzone pięcioma króciutkimi *Melodiami ludowymi* Witolda Lutosławskiego na orkiestrę smyczkową. W takim samym wykonaniu na

koniec usłyszeliśmy *4 utwory w dawnym stylu* Stanisława Moryto, w których dwie ostatnie kompozycje są napisane w rytmie smętnego kujawiaka i żywiołowego oberka.

Koncertu słuchałem z zainteresowaniem, bo znam dyrygenta i kompozytora, którzy dwukrotnie występowali w Sztumie. Trochę byłem zawiedziony, bo ani w materiałach reklamujących koncert, ani w rozmowie z wykonawcami poprzedzającej go, nie uprzedzono melomanów, że nie będzie to transmisja na żywo, tylko koncert zarejestrowany pół roku wcześniej. Sama koncepcja programowa polegająca na osadzeniu pieśni kociewskich w szerszym kontekście – pieśni z innych regionów Polski skomponowanych przez znanych twórców, spodobała mi się. Kociewie to mało znany region, próbujący zaistnieć samodzielnie i uwolnić się od dominacji sąsiadujących z nim Kaszub. Na pewno pomogą mu w tym ładne pieśni skomponowane w narodowych rytmach przez Macieja Zakrzewskiego. Nota bene, kompozytor uzyskał w 2019 r. tytuł doktora sztuki w zakresie instrumentalistyki w Akademii Muzycznej w Gdańsku.

KONCERT W TORUŃSKICH JORDANKACH

piątek, 12 lutego 2021 r.

Dzisiaj, po trzech bardzo długich miesiącach został zniesiony zakaz udziału publiczności w koncertach. Teraz może w nich uczestniczyć 50 proc. melomanów na sali, w maseczkach, w odległościach 1,5 m od siebie. Z tej możliwości nie skorzystała Toruńska Orkiestra Symfoniczna. Na transmitowanym z sali na Jordankach koncercie z *Tańcami słowiańskimi* Dvořaka nie było publiczności. Dlaczego? Nikt tego nie wyjaśniał. Koncert był bardzo krótki, trwał zaledwie 30 minut. Muzycy orkiestry zagrali pięć wybranych tańców sławnego Czecha: cztery z numerami 1 - 4 z opusu 46 oraz na koniec *Taniec słowiański nr 2 e-moll z op. 72*. Dyrygował Litwin, Dainius Pavilionis, a ostatnim, najbardziej znanym tańcem - rezydentka Agata Zajac. Transmisję na YT oglądało nieco ponad 70 internautów, z prawdziwym czatem na żywo nadzorowanym przez moderatora. Po zakończeniu koncertu muzycy ukłonili się w głuchej ciszy do kamery, bo oklasków nie było.

„ZIEMIA OBIECANA” W WERSJI BALETOWEJ

sobota, 20 lutego 2021 r.

Spśród trzech dzisiejszych transmisji możliwych do odbioru, wybrałem Teatr Wielki w Łodzi i balet *Ziemia obiecana* ułożony według powieści Władysława Reymonta i filmu Andrzeja Wajdy. Przedstawienie to jest grane od 1999 r., czyli od 22 lat. Choreografię ułożył nowozelandzki master ballet Gray Veredon. Dobrał on także muzykę, wybierając utwory dwóch kompozytorów: Franza von Suppého oraz Michaela Nymana. Przedstawienie podzielone jest na dwa akty. W głównych rolach trzech przyjaciół wystąpili jako: Polak Karol - Gintautas Potockas, Niemiec Maks - Dominik Senator i Żyd Moryc - Maciej Pletnia. Choreograf starał się zachować najważniejsze wątki powieści Reymonta. Ładnie pokazana jest historia Anki nieszczęśliwie zakochanej w Karolu, jego romans z Lucy Zukerową, ślub z Niemką i zdrada przyjaciół, intrygi konkurentów, podpalenie fabryki.

Dużą rolę, jak to w balecie, odgrywa muzyka. Do scen pokazujących życie fabrykantów choreograf dobrał operetkową muzykę wiedeńczyka Franza von Suppého. Jest to obecnie muzyka zapomniana, z wyjątkiem dwóch uwertur: *Chłop i poeta* i *Lekka kawaleria* z rozpoznawczym tekstem: „A on się zesunął z konia”. Natomiast w scenach z fabryk wykorzystywane są motoryczne utwory współczesnego brytyjskiego kompozytora Michaela Nymana, napisane w konwencji minimalistycznej, polegającej na nieustannym powtarzaniu tych samych motywów. Nyman znany jest jako twórca muzyki filmowej, m.in. do filmu „Fortepian”.

W dwugodzinnym przedstawieniu nie dało się zachować, co jest zrozumiałe, wszystkich wątków i to jeszcze za pomocą tańca, min i gestów. Spektakl spodobał mi się, gdy chodzi o kreacje taneczne czołowych postaci. Najbardziej jednak spodobały mi się sceny zbiorowe ilustrujące pracę prządek i ruch maszyn w fabryce włókienniczej. Ułożone zostały fenomenalnie. Moim zdaniem, całe przedstawienie można by skrócić do jednego aktu, bo w drugim niewiele już się dzieje, tak jakby twórcom zabrakło pomysłów. Był to pierwszy balet wystawiony z udziałem publiczności po trzymiesięcznej przerwie. Z wypowiedzi tancerzy i organizatorów przed spektaklem i w czasie przerwy biła radość z tego spotkania, a widzowie podziękowali artystom długimi oklaskami.

RECITAL WOKALNY W LA SCALI

poniedziałek, 22 lutego 2021 r.

Po raz pierwszy mogłem zrealizować swoje marzenie i udać się do opery La Scala w Mediolanie, ale tylko w formie oglądania transmisji na żywo z tej przesławnej sali. Nieznany mi włoski tenor Vittorio Grigolo przy akompaniamencie Vincenzo Scalera na fortepianie śpiewał arie z oper Donizettiego, Verdiego, Pucciniego, Masseneta, Cilea, Gounoda. Tych arii było osiem. Jak piszą w internecie, Vittorio Grigolo ostatnio święcił triumfy w operze *Manon* Pucciniego w Royal Opera House w Londynie u boku Anny Netrebko i został okrzyknięty przez krytyków „sensacyjnym odkryciem światowej wokalistyki na miarę Pavarottiego”. Z tego, co dzisiaj śpiewał można powiedzieć, że jest to tenor liryczny. Wybrał do recitalu, m. in. takie hity jak *Una furtiva lagrima* z *Napój miłosnego* Donizettiego, *La donna e mobile* z *Rigoletta* Verdiego. W większości zaprezentował arie liryczne i trochę dramatyczne, nawet na jeden z bisów wybrał nostalgiczną arię z kwiatkiem z *Carmen* Bizeta.

Ciekawy byłem, jak transmisje online na żywo organizują w Włoszech, gdzie ciągle obowiązuje zakaz udziału publiczności. Wyglądało to tak. Przed każdymi dwoma ariami śpiewak opowiadał o tych utworach, a jego wypowiedzi, nagrywane przed recitalem, były ilustrowane bardzo króciutkimi filmikami pokazującymi go na różnych scenach. W czasie koncertu na ekranie był wyświetlany tekst aktualnie śpiewanej arii w tłumaczeniu na język angielski. Można też było korzystać z obszernego programu koncertu, w którym zostały wydrukowane słowa wszystkich arii. Najciekawiej jednak realizatorzy pokazali bisy. Zwykle w czasach pandemii, gdzie na sali nie ma publiczności, artyści nie wykonują bisów, ale w La Scali tych bisów usłyszeliśmy aż cztery. Po każdym z nich śpiewak z pianistą kłaniali się głęboko do kamer w pustej sali i wychodzili za kulisy. Za chwilę znowu pojawiali się na scenie

i wykonywali następny bis. Po pierwszym bisie Vittorio Grigolo pokazał gestami, że nie słyszy oklasków od słuchaczy odbierających recital przed ekranami komputerów. Zaśpiewane na bis pieśni też były liryczne, od tęsknej piosenki neapolitańskiej po nieśmiertelne *O sole mio* na końcu. Koncert oglądało na żywo prawie 1800 internautów, którzy dokonali mnóstwa wpisów na czacie. Wspomnę, że La Scala może pomieścić 2 tysiące melomanów. Można więc mówić o pełnym sukcesie koncertu. Zaobserwowałem w wykonaniu śpiewaka pokaz włoskiej uczuciowości. Artysta bardzo mocno przeżywał śpiewane arie, nawet sam klaskał między zwrotkami. Widać było, że ciężko mu zejść ze sceny, mimo że sala była pusta, a kamera błędziła pokazując powoli niezapewnione widzami łóże. Smutny to był widok, ale sam koncert był udany.

POLISH VIOLIN DUO

wtorek, 23 lutego 2021 r.

Sala Kameralna Filharmonii Narodowej w Warszawie była miejscem występu *Polish Violin Duo*, czyli duetu skrzypcowego, w którym grają studenci z Akademii Muzycznej w Poznaniu: Marta Gidaszewska i Robert Łaguniak. To młodzi, ale bardzo utalentowani i świetni skrzypkowie, znani mi od kilku lat z różnych konkursów i koncertów. Ich występem zainteresowałem się dlatego, bo przypomniał mi granie duetów na skrzypcach z moim Tatą w pokoiku na poddaszu naszego domu w Nowym Stawie oraz występy w Liceum Pedagogicznym w Tczewie, gdzie graliśmy duety skrzypcowe na szkolnych uroczystościach dla tłumu dziewcząt w sali gimnastycznej z moim kolegą Bogdanem z Malborka.

Na program wieczoru złożyły się kompozycje z różnych epok: klasycyzmu – Joachim Kaczkowski *Duo B-dur*, romantyzmu - Henryk Wieniawski dwa *Kaprysy op.18 nr 1 i 3*. Dominowała jednak muzyka współczesna, od której zaczął się i zakończył koncert. Młodzi artyści zegrali utwory na dwoje skrzypiec polskich kompozytorów: *Suitę* Grażyny Bacewicz, *Sonatinę* Tadeusza Paciorkiewicza oraz *Suitę* Michała Spisaka. Były to utwory bardzo efektowne, chociaż oparte na innej melodyce, często z zawiłymi przebiegami melodycznymi i dysonansowymi harmoniami, zmienne w tempie i nastrojach, ale wymagające wirtuozowskiego opanowania instrumentu.

Skrzypkowie zegrali z młodzieńcza werwą, a miejscami z brawurą, ten bardzo zróżnicowany program, zaglądając od czasu do czasu do nut rozłożonych na pulpitych. Byli niewiarygodnie zgrani, co uwydatniało się w miejscach, gdzie instrumenty prowadzą ze sobą dialog w szaleńczych tempach. Na koniec był utwór na bis, ten sam, który niedawno zegrali na koncercie w swojej uczelni w Poznaniu: *Two Contrasts for a duo* Anny Ročławskiej-Musiałyk, bardzo dynamiczna, ale króciutka miniatura.

Streaming realizowany był sprawnie, ale jak to w Filharmonii Narodowej, nie było możliwości komentowania występu na czacie.

KONCERT DYPLOMOWY PIOTRA PAWLAKA

środa, 24 lutego 2021 r.

W Akademii Muzycznej w Gdańsku odbył się koncert dyplomowy pianisty Piotra Pawlaka z klasy prof. dra hab. Waldemara Wojtala. Grał on tylko utwory Beethovena. Rozpoczął od niezbyt popularnej *Sonaty A-dur op. 101* pochodzącej z ostatniego okresu twórczości kompozytora. Potem była dość długa i dla mnie nudnawa *Bagatela op. 126*. Głównym punktem występu był *Koncert nr 4 G-dur op. 58*. Został on zagrany, jak to w okresie pandemii, nie z orkiestrą, tylko z „gościnnym” – jak napisano w programie – kwintetem smyczkowym. Młody pianista wykonał swoją partię z wielką lekkością, oczywiście wszystko z pamięci. Widać i słyszać było, że koncert nie stwarza dla niego żadnych problemów technicznych. Wydaje mi się jednak, że grał go na sposób chopinowski, bo za mało słyszałem gwałtownych zamian dynamicznych, charakterystycznych dla muzyki Beethovena. Koncert został przyjęty serdecznymi oklaskami publiczności, której pozwolono wejść na salę. Przy okazji dowiedziałem się, że w ubiegłym roku Piotr Pawlak obronił pracę magisterską z matematyki na Uniwersytecie Gdańskim.

MATEUSZ KOWALSKI - NOWA GWIAZDA GITARY KLASYCZNEJ

piątek, 26 lutego 2021 r.

Salę Redutowe Teatru Wielkiego - Opery Narodowej w Warszawie gościły młodego gitarzystę klasycznego Mateusza Kowalskiego. Przyznam się, że dotąd o nim nie słyszałem, a tymczasem okazało się, że jest on zwycięzcą prestiżowego konkursu EuroStrings European Guitar Festival Collaborative w Londynie w 2019 r. By zostać zwycięzcą musiał przejść przez roczne, wieloetapowe eliminacje, w których spotykał się na scenach Belgii, Chorwacji, Włoch, Wielkiej Brytanii, a szesnastką zakwalifikowanych artystów. W finale konkursu konkurował z trzema gitarzystami z Japonii i Włoch. Główna nagroda zdobyta na takim festiwalu była otwarciem drogi do kariery (8 tysięcy Euro).

Jak przedstawiał się program recitalu w Salach Redutowych? Miał on tytuł: *Od mazurka Chopina do Mazurka Dąbrowskiego* i zawierał transkrypcje pięciu mazurków Chopina oraz miniatury polskich gitarzystów z XIX wieku: Marka Konrada Sokołowskiego, Jana Nepomucena Bobrowicza, Stanisława Szczepanowski, Feliksa Horeckiego. Koncert Mateusza Kowalskiego bardzo mnie zachwyił. Artysta pokazał się jako znakomity wirtuoz gitary klasycznej. Do tej pory najwybitniejszym współczesnym polskim gitarzystą był dla mnie Marcin Dylla, łowca nagród na międzynarodowych konkursach, teraz do tego grona dołączył młody gitarzysta rodem z Pomorza, a konkretnie z Koszalina. Grał pewnie, wszystko z pamięci, pokazując najróżniejsze techniki gitarowe. Bardzo ujęło mnie to, że na cały program recitalu złożyły się utwory polskich kompozytorów obecnie zapomnianych. Na stroonie Opery Narodowej przypominano, że to właśnie Polacy przyczynili się do sławy i popularności gitary jako instrumentu wirtuozowskiego. Swoją mistrzowską grą, improwizacjami i kompozycjami zachwyłali koneserów i szerokie kręgi słuchaczy. Stanisław Szczepanowski,

był nazywany „królem gitary”, bo grywał dla brytyjskiej królowej Wiktorii; Marek Konrad Sokołowski cieszył się przydomkiem „Byrona gitary”, a w Janie Nepomucenie Bobrowiczu współcześni widzieli „Chopina gitary”. Z pewnym zdumieniem stwierdziłem, że wariacje tego ostatniego na temat *Là ci darem la mano* z *Don Giovanniego* Mozarta okazały się znacznie trudniejsze od wariacji na ten sam temat skomponowanych także na gitarę przez Niccolò Paganiniego, które znalazłem wcześniej. Melomani mogą oglądać ten koncert na stronie Teatru Wielkiego – Opery Narodowej.

JAK IMPROWIZOWALI CHOPIN I MICKIEWICZ?

poniedziałek, 1 marca 2021 r.

Prof. Marek Dyżewskiego z okazji dzisiejszej, 211 rocznicy urodzin naszego największego pianisty, wygłosił wykład nt. *Wielka improwizacja Chopina*. Wykład był transmitowany online z sali Klubu Muzyki i Literatury we Wrocławiu do Akademii Muzycznej w Poznaniu. Tytuł wykładu jest trochę mylny, bo sporo czasu poświęcił prelegent improwizacjom poetyckim Adama Mickiewicza. Wśród wielu omawianych szczegółów, zwróciłem uwagę na dwa. Po pierwsze, wykładowca stwierdził, że Chopin był autorem melodii do sławnej pieśni z okresu Powstania Listopadowego: *Mazurek 3 Maja* z refrenem *Witaj maj, piękny maj, / U Polaków błogi raj* - ze słowami Rajmunda Suchodolskiego. Powołał się przy tym na prof. Józefa Reissa. Tymczasem, sprawdziłem, ten profesor w „Małej encyklopedii muzyki” na str. 831 pisze: - „W 1831 miała się ukazać ta pieśń ze słowami „Nienawidzę was próżniaki” jako pieśń „Imci Pana Chopina”. Wydanie pieśni z nazwiskiem Chopina nie rozstrzyga definitywnie jej autorstwa, zwłaszcza że wydano ją pod nieobecność Chopina, który wyjechał z Warszawy; może więc użyto jego nazwiska dla celów reklamowych.”

Po drugie, dopiero z tego wykładu dowiedziałem się, jak improwizował Mickiewicz. Okazuje się, że za każdym razem prosił o wsparcie muzyką. W salonie Marii Szymanowskiej w Petersburgu improwizował do trzech melodii: 1) *Laura i Filon*, 2) arii *Non più andrai* z „Wesela Figara” Mozarta oraz 3) *Nokturnu As-dur - La Murmure (Szmery)* Marii Szymanowskiej. Pierwsze dwie melodie pojawiły się jako ilustracja w tym wykładzie, natomiast słynnego nokturnu Szymanowskiej nie dane było odbiorcom posłuchać.

SPÓR PRAWNIKA Z WAGNEREM

niedziela, 14 marca 2021 r.

Z dużym zainteresowaniem czytałem książkę pt. *Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną. Ryszard Wagner – pole minowe*. Jej autorem jest prawnik kompozytora Gottfried Wagner urodzony w 1947 r., muzykolog mieszkający od wielu lat we Włoszech.

Prawnuk nie zostawia suchej nitki na sławnym pradziadku. Gdy tylko otworzy się książkę, to od razu wpadają w oczy takie tytuły rozdziałów: *Bez ojca i ograniczeń, Dyletant i szarlatan, Hazardzista i naciągacz, Karierowicz i intrygant, Mizogin, Pseudorewolucjonista, Ulubieniec króla, Nekroman zafascynowany końcem świata, Antysemita, Muzyczny mag i hipnotyzer, Narcyz*. Autor bardzo krytycznie opisuje także to, co się stało z festiwalem w Bay-

reuth po śmierci Wagnera w 1883 r. do czasów II wojny światowej oraz po wojnie do 2013 r., czyli dwusetnej rocznicy urodzin Wagnera. Nazywa to „szwindlem Bayreuth”, którego „znakiem firmowym jest wyparcie”. Chodzi mu, m.in. o antysemityzm Wagnera wyznawany przez kompozytora i opisany przez niego w broszurze *Żydostwo w muzyce*. Jak pisze prawnuk, nie można poglądów Ryszarda Wagnera zredukować tylko do jego stosunku do kompozytorów żydowskich: Meyerbeera, Mendelsshona i poety Heinego. W książce autor pokazuje, jakie było późniejsze oddziaływanie „broszury żydowskiej” Wagnera.

W kolejnych dekadach stała się ona głównym tekstem europejskiego antysemityzmu. Powoływali się na nią przywódcy ruchu antysemitckiego oraz Adolf Hitler.

- *Im więcej czytam o Ryszardzie Wagnerze, tym trudniej mi wykonywać jego muzykę* - mówi w wywiadzie znany dyrygent sir Simon Rattle. Podzielał to ostatnie stwierdzenie, oczywiście odnosząc je do słuchania muzyki Wagnera.

Paweł Przybysz



O Bułhakowie i kwarantannie, czyli jak młodzi ludzie tworzą teatr

Z Sergiuszem Mizera, młodym poetą i reżyserem
teatralnym z Kwidzyńskiego Centrum Kultury,
rozmawia Paweł Przybysz

Sergiusz Mizera



Paweł Przybysz: W Twoim życiu twórczym ostatnio wiele się dzieje, szczególnie na polu teatralnym. Już od kilku lat prowadzisz pod skrzydłami Kwidzyńskiego Centrum Kultury młodzieżową grupę teatralną „Sotie”, dzięki której młodzi ludzie razem poznają tajniki aktorstwa. Jak doszło do jej powstania?

Sergiusz Mizera: Po zakończeniu jednego z corocznych, międzynarodowych projektów teatralnych zdałem sobie sprawę, że jestem, przynajmniej aktorsko, artystą dość spełnionym. Może to brzmi niedorzecznie, bo wciąż miałem dwadzieścia-kilka lat, ale przez ten okres udało mi wcielić w kilka ciekawych postaci. Sama praca nad rolą, choć niezwykle ciekawa, zesłała na drugi plan. Moja uwaga skupiała się głównie na scenariuszu, na procesie konstrukcji spektaklu i na pomocy innym uczestnikom w realizacji ich zadań scenicznych. Od takiej refleksji do chęci napisania, czy wyreżyserowania własnego spektaklu w całości, droga nie jest niedaleka. W przeszłości podejmowałem już takie działania. Pamiętam swój pierwszy projekt – w wieku siedemnastu lat stworzyłem z grupą młodych ludzi spektakl na kwidzyński Festiwal Sztuki Ulicznej. Kwidzyńskie Centrum Kultury obdarzyło mnie wtedy sporym zaufaniem i umożliwiło przygotowanie występu. Trudno uwierzyć, że minęło już dziesięć lat... Trzy lata temu ukończyłem studia na Uniwersytecie Gdańskim i tym samym odzyskałem nieco wolnego czasu. Postanowiłem spróbować ponownie i znowu udałem się do KCK celem przedstawienia im swojego pomysłu. Ja wyraziłem chęć, wyjaśniłem, co chcę osiągnąć i dlaczego uważam, że stworzenie stałej grupy teatralnej będzie stanowiło wielką korzyść dla społeczności. KCK w osobie pana dyrektora Marka Wawryniuka, ku mojej wielkiej radości, także wyraziło takie zapotrzebowanie i znowu obdarzyło mnie dużym zaufaniem. Zorganizowaliśmy więc nabór z prawdziwego zdarzenia! W budynku Czarnej Sali, w której jeszcze siedem lat wcześniej pod okiem pana Adama Karasia sam uczestniczyłem w warsztatach teatralnych, zjawiliśmy się wraz z pracownikami Centrum, by przywitać młodzież i opowiedzieć im o projekcie. Nerwowo przechodziłem wtedy z pokoju do pokoju, zastanawiając się, czy przyjdzie choćby pięć, dziesięć osób. Ku mojemu zdziwieniu przyszło ponad pięćdziesiąt. Wielka ulga, radość i potwierdzenie naszej diagnozy o potrzebie istnienia takiej platformy. Wiele z tych osób zostało. Część odeszła, szukając swojej drogi, a inni do nas dołączyli. W pamięci mam to, że od pierwszego dnia pomagają nam, z ramienia KCK, pani Anna Topolska. Cokolwiek robimy, zawsze możemy liczyć na jej wsparcie. I oto jesteśmy, trzy lata później, przypominając sobie, jak to się wszystko zaczęło.

Co przyciąga młodzież do teatru?

Wiele rzeczy. Począwszy od tak oczywistych, jak chęć bycia artystą, czy znalezienia własnych środków wyrazu, aż po powody czysto socjologiczne. Potrzeba akceptacji, przynależności do grupy, potrzeba posiadania miejsca, do którego możesz przyjść i powiedzieć innym: „Wiesz co? Czuję się fatalnie”.

Jako grupa macie już za sobą kilka zrealizowanych projektów: debiutanckiego „Demagoga”, adaptację „Mistrza i Małgorzaty”, serię miniatur „Pocztówki z Kwarantanny”. Nie boicie się brać na warsztat zarówno klasyki, jak i własnych scenariuszy. Co zdecydowało o wyborze tych projektów?

„Demagog” to mój czwarty scenariusz, drugi po tym przygotowanym na Festiwal Sztuki Ulicznej, który w całości wyreżyserowałem. Zorientowałem się, jak ważnym tematem dla młodzieży stała się w ostatnich latach polityka. Chciałem w sposób artystyczny i apolityczny pokazać przede wszystkim im, ale też i dorosłym, którzy zdają się o tym zapominać, że często polityka, również ta międzynarodowa, nijak się ma do tego, czym być powinna. Nie zrozum mnie źle, nie mówię tu o chęci bycia skutecznym, w końcu za to polityków rozliczamy, ale raczej o tym, o czym mówiło już wielu filozofów, prawników czy duchownych – wszelkie nasze działania zmierzające do zmiany status quo, ale pozbawione etyki, prędzej czy później stają się farsą, parodią samych siebie. Powieść „Mistrz i Małgorzata” niezapomnianego Bułhakowa fascynowała mnie odkąd tylko mogłem świadomie odczytać jej sens, a przy tym mało kto decyduje się na przeprowadzenie tak skomplikowanego projektu. Nie zdziwiłem się, że grupa z radością przyjęła wyzwanie. Seria mini-fabułów, którą nazwałem „Pocztówkami z Kwarantanny” była niczym innym, jak kontynuacją naszej pracy, tylko że w warunkach pandemii. Małe grupy, rygorystyczne warunki sanitarne, zachowane zasady bezpieczeństwa. Połączyliśmy to z, w wielu przypadkach pierwszą, okazją do pracy z kamerą. Jestem pewien, że wrócimy do tej formy, być może w kontekście „teatru telewizji”, a może raczej „teatru internetu”. W kontekście filmowym jest jeszcze wiele do zrobienia, gdyż kamera oferuje duże możliwości. Przy odpowiedniej dojrzałości scenicznej uczestników i reżysera, mam nadzieję, że Grupa Sotie¹ sprawi Państwu wiele radości w przyszłości.

Po tak prężnym starcie „Sotie” z pewnością nie spoczywa na laurach. Kolejna, czwarta odsłona Waszej pracy, kielkuje już w Twojej głowie?

Tak. Nie chciałbym ujawniać zbyt wiele, bo sytuacja potrafi zmieniać się z dnia na dzień, ale tak. Przygotowuję kolejny projekt i z tego, co wiem, to także będzie pewna nowość na deskach kwidzyńskiego teatru. Powiedzmy, że będzie to coś dla fanów Herculesa Poirot’a, czy Sherlocka Holmes’a. Wraz z KCK planujemy efekty zaprezentować publiczności w okolicach końca czerwca, o ile warunki na to pozwolą. Niezwykle istotne w tym kontekście jest wsparcie pani dyrektor Katarzyny Bednarek, która nieugięcie wierzy we wszystkie nasze projekty, nawet te, wydawać by się mogło, szalone. Bez wątplenia wiele rzeczy, które

¹ Sotie to odmiana francuskiej średniowiecznej farsy ludowej, wykonywanej przez zawodowych błaznów, wyśmiewającej stosunki społeczne i obyczajowe. Cechą wyróżniającą sotie od farsy jest jej nie-mimetyczny charakter: postaci są pozbawione indywidualności, miejsce i czas akcji nie zostaje sprecyzowane, nie następuje konkretne rozwiązanie akcji. Konwencja sotie polegała na odwróceniu porządku (to błazen posiadał zdolność właściwej oceny rzeczywistości).

dotychczas zrobiliśmy, nie byłoby możliwe, gdyby nie jej nastawienie i wizja tego, jak nasza praca ma wyglądać i co chcemy osiągnąć. Dzięki temu zrozumieniu na poziomie szerszej perspektywy, pewne rzeczy wydają się oczywiste i łatwiej jest osiągać cele, które sobie stawiamy.

Swoją przygodę z teatrem zaczynałeś od występów. Od początku czułeś pociąg do tej drugiej strony scenariusza, czy dopiero z czasem Twoje zainteresowanie zaczęło wykraczać poza aspekt aktorski?

Tak jak wspomniałem wcześniej, zainteresowanie reżyserią i scenopisarstwem przyszło dość późno. Być może wcześniej dużo więcej wysiłku musiałem wkładać w kreację swoich postaci i nie zostawało mi zbyt wiele czasu na to, bo zastanawiać się, co będzie dalej. Teraz wiem, że to bardzo ważne dla aktora – mieć przestrzeń i czas na to, by wykreować swoją postać. Dobry reżyser, nawet ten wymagający, taką przestrzeń stara się aktorowi zapewnić.

Teatr, tak jak całe artystyczne środowisko, zмага się z pandemią i związanymi z nią nowymi wyzwaniami. Jak radzicie sobie z brakiem możliwości swobodnego spotkania się z publicznością?

Żeby uchronić przed niebezpieczeństwem nas, naszych współpracowników i nasze rodziny staramy się ograniczyć bezpośrednie kontakty do minimum. Całą pracę, którą możemy wykonać na odległość, wykonujemy poprzez programy przeznaczone do komunikacji. Jeżeli już istnieje potrzeba spotkania się, to przeprowadzamy wszystko z zachowaniem wszelkich zasad bezpieczeństwa – tak, by zminimalizować ryzyko. Wszystko to, co aktor robi na próbie, w domu, w swojej głowie – robi dla siebie, ale to, co dzieje się na scenie, jest przeznaczone dla publiczności, dla widza. Wierzę, że niedługo znowu będziemy mogli zaprosić publiczność do teatru i pokazać jej coś, nad czym ciężko pracowaliśmy. Bardzo za tym tęsknimy, choć staramy się szukać szczęścia w nieszczęściu nawet w tej sytuacji.

Widzisz jakieś wcześniej niezauważone, nieoczekiwane możliwości?

Największe wyzwania stoją przed nami w sferze mentalnej. Człowiek, który zostaje w domu, chcąc nie chcąc spędza wiele czasu z... sobą samym. Zwykle nasze głowy pochłaniają obowiązki, spotkania towarzyskie, wydarzenia kulturalne. Wiele z tych aktywności jest niedostępnych albo mocno ograniczonych, co sprzyja dokonywaniu bilansów, podejmowaniu refleksji dotyczących własnego życia. Nie inaczej jest w naszej grupie, ale, jak powiedziałem, nie jest to problem, jest to wyzwanie. Ten czas, odpowiednio wykorzystany, może stanowić dobry punkt wyjścia. Najważniejsze jest, by mieć świadomość, że wszystko to, co złe – przemija, a to, co dobre – zostaje w nas na zawsze. Ktoś powie, że to, co mówię, jest banalne, ale w czasach najważniejszych, najtrudniejszych prób dobrze jest móc oprzeć się na czymś pewnym, czymś stabilnym. Troska o samego siebie i o drugiego człowieka jest taką rzeczą, a przy tym czymś, czego naprawdę teraz potrzebujemy.

Angażujesz swoich teatralnych podopiecznych również w inicjatywy związane z poezją, czego przykładem jest OKR [Ogólnopolski Konkurs Recytatorski]. Traktujesz to jako osobną aktywność czy integralne narzędzie w rozwijaniu warsztatu aktorskiego młodzieży?

Pisanie i recytacja to świetnie narzędzia, służące zarówno ekspresji aktorów, jak i poprawie ich warsztatu scenicznego. Pragnę jednak zaznaczyć, że znam ciekawych aktorów, którzy w życiu nie napisali kawałka wiersza. O ile brak tworzenia tekstów poetyckich nie jest żadnym warunkiem wykluczającym, o tyle umiejętność interpretacji tekstu – tak wiersza, jak i prozy – jest kluczowym, podstawowym narzędziem aktorskim. Oprócz, oczywiście, w jak największym stopniu nieograniczonej wyobraźni. Od rozumienia tekstu aktor nie ucieknie nigdy i to już potrafić musi. OKR jest wspaniałym doświadczeniem i ćwiczeniem tych umiejętności – zarówno interpretacji, jak i podawania tekstu. Każde słowo, każda pauza, każdy oddech, każde spojrzenie – wszystko jest ważne, wszystko musi być prawdziwe. Jeżeli przełożyć tę dewizę na rolę w spektaklu – w gruncie rzeczy mamy do czynienia z tym samym. OKR zawsze pozostanie aktywnością nieobowiązkową, nie zamierzam nikogo zmuszać, jednak jeżeli widzę, że komuś ten rodzaj warsztatu może pomóc, to nie waham się sugerować, by rozważył udział. Tym bardziej, że żeby coś pokochać, trzeba to najpierw móc poznać.

Jaka jest główna różnica w przygotowaniach do recytacji i wystąpienia na deskach teatru?

Widzę dwie główne różnice. Po pierwsze, recytacja jest formą statyczną. Recytator może sobie pozwolić na naprawdę niewiele w kontekście ruchu. Operuje głównie głosem i mimiką twarzy, w przeciwieństwie do monodramu czy spektaklu. Po drugie, nie licząc form do tego przeznaczonych, jak właśnie kategoria monodramu, czy Konkursu Etiud Aktorskich „Epilog”, który swoją drugą edycję miał w tym roku, spektakl wiąże się z pracą w grupie. W takim wypadku interakcja pomiędzy aktorami, energia, którą wytwarzają i wymieniają z publicznością, jest elementem kluczowym. W ramach recytacji zadaniem aktora jest samotne zbudowanie, na te niespełna dziesięć minut, więzi z publicznością, przekonanie go do swojej kreacji.

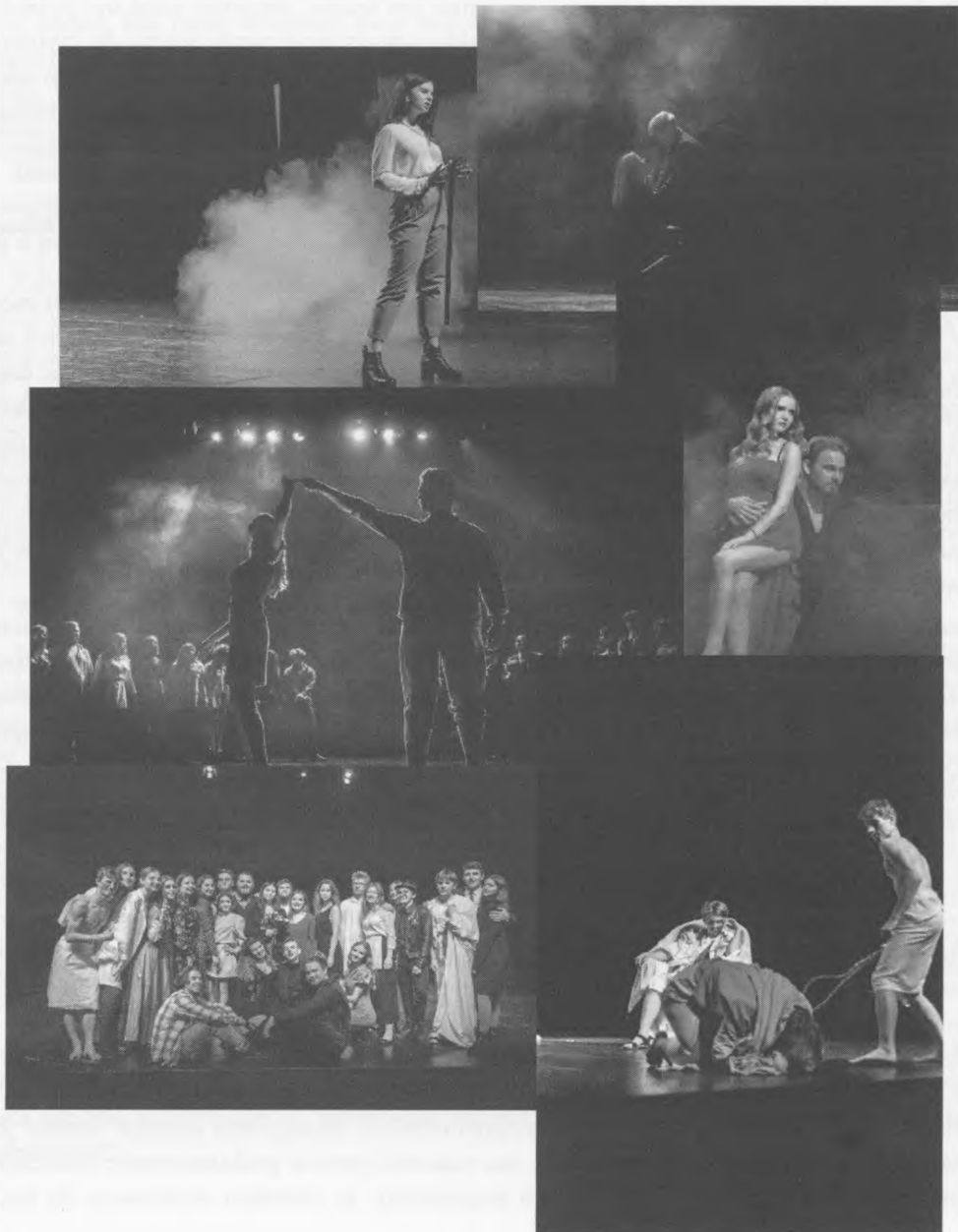
Sam również piszesz wiersze. Masz już na koncie literacki debiut, tomik poezji przewrotnie zatytułowany „Przemijania”. Pewne znaki mówią, że bynajmniej nie porzuciłeś pióra, dlatego jestem ciekaw — jaka przyszłość czeka Twojego czytelnika? Możemy spodziewać się kontynuacji, nowego rozdziału, a może czegoś zupełnie odmiennego?

Od wydania „Przemijań” minęło już trochę czasu. Później napisałem kilka scenariuszy, zarysy opowiadań, powieści, ale nie przestałem też pisać wierszy. Na przestrzeni tych kilku lat wiele się wydarzyło, co ma odzwierciedlenie w moich tekstach, zarówno na płaszczyźnie stylistycznej, jak i tematycznej. Zanim nadejdzie moment, w którym chciałbym się podzielić z czytelnikami najnowszymi tekstami, czeka mnie jeszcze jedno lub dwa wydawnictwa. Po pierwsze, istnieje ukończony tomik poezji „Bezwiezdna”, który stanowi dopełnienie, jak to ująłeś – kontynuację, „Przemijań”. Dopiero razem stanowią one kompletną konstrukcję literacką, dyptyk. Jego wydanie zostało odłożone w czasie, przede wszystkim ze względu na pandemię. Mam ogromną nadzieję, że uda się przedstawić go czytelnikom, także ze względu na piękną oprawę graficzną i ilustracje przygotowane przez moją serdeczną znajomą – Julię Rybarczyk. Drugie wydawnictwo, o szczegółach którego trudno jest mi się na dzień dzisiejszy wypowiedzieć, ma stanowić pewne podsumowanie twórczości poetyckiej twórców kwidzyńskich. Jestem zaszczycony, że zostałem zaproszony do bycia

jego częścią. W dalszej przyszłości chciałbym wydać trzeci tomik poezji, którym w pewnym sensie „dogonię” samego siebie, ponieważ będą to w większości teksty powstałe niedawno.

Dziękuję Ci za tę rozmowę i mam nadzieję, że już niedługo usłyszymy więcej o Twoich nowych projektach!

Dziękuję ci, Pawle. Nie byłbym sobą, gdybym nie zaprosił Czytelników na Twoją stronę internetową, na której publikujesz swoje dzieła – pjjp.pl. Fantastyczne miejsce, które serdecznie Państwu polecam.



Wiesław Olszewski

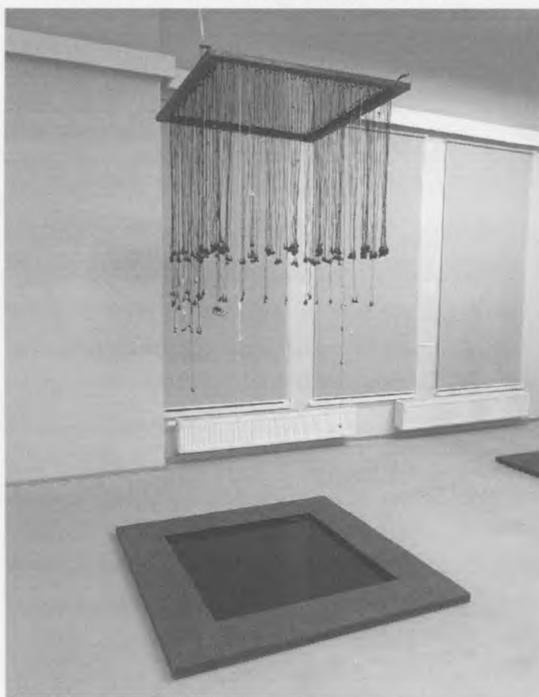


ŻUŁAWSKO – KOCIEWSKI WERNISAŻ RZEŻBY

W Starogardzkim Centrum Kultury, po rocznej pustce spowodowanej pandemią, miał miejsce wernisaż prac artysty rzeźbiarza Mariusza Burdka. Wydarzenie odbyło się 19 lutego 2021 roku w tamtejszej Galerii A im. Michała Faryseja. Autorem prac jest mieszkający w Nowym Dworze Gdańskim nauczyciel Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku.

Mariusz Burdek przywędrował do stolicy Żuław z Małopolski, z Beskidu Wyspowego. Urodził się w Limanowej w 1985 roku. Jest absolwentem Liceum im. Antoniego Kenara w Zakopanem i Wydziału Rzeźby Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku. Dyplom obronił w czerwcu 2010 roku pod kierunkiem prof. Sławoja Ostrowskiego. Obecnie pracuje na macierzystym wydziale jako asystent w pracowni dyplomowej prof. Mariusza Białeckiego. Doktorat „Przestrzeń optyczna, przestrzeń sensualna” z podtytułem „Transkrypty” obronił w 2018 roku w Gdańsku. Jest aktywnym uczestnikiem sympozjów krajowych i zagranicznych. Prezentował swoje prace podczas wielu wystaw indywidualnych i zbiorowych. Sylwetka artysty była prezentowana w kwartalniku Prowincja nr 2 (24) z 2016 roku.

Trzonem wystawy jest cykl „Transkrypty”, na który składają się cztery instalacje rzeźbiarskie. Oprócz nich wybrałem rzeźby wpisujące się w nastroje determinowane ostatnimi czasy. Iskrą zapalną do powstania tych obiektów jest doświadczenie osobiste, często prowokowane przez wydarzenia opisywane w massmediach – rozdźwięk powstający między jednostką a światem zewnętrznym, między ciszą wewnątrz a otaczającym zgiełkiem, między tym, co przyswojone, a obcym. Moje działania są napędzane poprzez codzienne próby przetworzenia informacji docierających z zewnątrz i przelewających się przez bariery ochronne – powiedział autor inaugurując wydarzenie. Motywem przewodnim moich obecnych dociekań jest wielopłaszczyznowa interakcja. Poszukuję środków wyrazu, poprzez które mogę peł-



Transgresja, fot. SCK

niej wpływać na percepcję odbiorcy, nie tracąc przy tym intymności spotkania. Tworzone przez mnie rzeźby i instalacje to prace intuicyjne. Komponuje je tak, by w swojej surowości i przy oszczędności zastosowanych środków trafiły jednocześnie do różnych zmysłów wywołując wielorakie mutacje skojarzeniowe. Nie chcę przy tym tworzyć ogrodu doświadczeń zmysłowych czy popisywać się efektami specjalnymi. Wolę nasycić prace drugim dnem, sprowokować do wyrażania wątpliwości i zadawania pytań, które niekoniecznie muszą doczekać się klarownej odpowiedzi.

Dyfuzory to drzewa wykonane z pianki elastycznej, formowane na wzór drzew odlewniczych, stosowanych w odlewnictwie biżuteryjnym. Tworzą miękkie, higroskopijne, połamane niczym wiatrołomy 2-3 metrowe drzewa, wyrastające z zamkniętej w kwadracie sadzawki zalanej wodą. Na końcach gałęzi umieszczono figury dzieci – płodów. Podstawa nieskończonej kolumny, składająca się z symbolicznego wycinka lasu drzew – dzieci, jest surrealistycznym, sennym zapisem bieżącej rzeczywistości polskiego i globalnego społeczeństwa, odpowiada również niezmienności natury i nieugiętej ciągłości przyrody. Drzewa, zbudowane z chłonnej gąbki pamiętającej swój kształt, przesiąkają wilgocią parującą wody, chłoną zapachy i materiał organiczny pozostawiony przez dotykających je ludzi.

Transgresja jest instalacją złożoną z kilkuset słuchawek dousznych zwieszonych z lustrzanej formy pod sufitem. Słuchawki zwisają niczym spadający deszcz ponad czworobocznym metalowym naczyniem zalanym wodą, o tafli dającej analogiczny efekt lustra. Tym samym powstają dwie sfery: zewnętrzna i wewnętrzna – lustrzana, otoczona kurtyną ze słuchawek, z których dobiega kakofoniczny szepc. Po założeniu wybranej słuchawki dźwięk staje się czytelny, ponieważ w każdej słyhać konkretne nagranie, odmienny przekaz.

Epitafium to minimalistyczna kompozycja wokół lodowej płaskorzeźby przywodzącej na myśl mogiłę. Zamarznięta woda jest w stanie zachowywać obiekty historii, konserwować. Tutaj tafli można dotykać, a przez to zacierać wyrysowany przez autora kształt, odciskać swoje znamię, które po chwili zostaje pochwycone i wchłonięte przez rzeźbę. Z tafli wyrastają rytmy liter nieokreślających żadnej logicznej treści. Zachodnie znaki literowe zderzane są ze znakami pisma syryjskiego. Częścią kompozycji staje się agregat, serce urządzenia chłodniczego. Z urządzenia wydobywa się przyjemne ciepłe powietrze. Jest to produkt uboczny procesu chłodzenia, jednak w odczuciu artysty, w jakiś nieopisany sposób, dopełniająca całości założenia.

Probiertz to naczynia w kształcie dzieci zawieszane na stojaku. Powstaje w nich wino, które ożywia ceramiczne i żywiczne ampuły dzięki niemal alchemicznej własności prze-



Dźwigający, fot. SCK

miany. To, co umiera – owoce, zyskuje w tym samym momencie nowe życie. Napój powstający podczas fermentacji sprawia wrażenie ożywionego, oddychającego. To swoista synergia i w sztuce, i w życiu. *Czuję się dzieckiem wielu miejsc. Kolejno przywiązywałem się do różnych środowisk, w których przyszło mi przebywać, a owoce użyte do realizacji pochodzą właśnie z tych okolic* – spuentował autor.

Motywy dziecka w prezentowanych instalacjach to – jak podkreślił dr Mariusz Burdek otwierając wystawę – zbieżność czasowa powstania prac z narodzinami jego syna.



Okiem fotosnajpera

nie tylko w zimie, ale i w innych porach roku. W tym celu warto wybrać się na spacer w parku lub w rezerwacie przyrody. W tym celu warto wybrać się na spacer w parku lub w rezerwacie przyrody. W tym celu warto wybrać się na spacer w parku lub w rezerwacie przyrody.

W tym celu warto wybrać się na spacer w parku lub w rezerwacie przyrody. W tym celu warto wybrać się na spacer w parku lub w rezerwacie przyrody. W tym celu warto wybrać się na spacer w parku lub w rezerwacie przyrody.



Piotr Opacian



BERNIKLE – niecodzienni goście



Skuta lodem Wisła, to niestety już rzadki widok, bo przecież tak przepięknie niezwykle. Spiętrzone i zwarte w mocnym uścisku; skotłowane na przybrzeżnych skarpach rzeki kry, są nieprześcignione w swojej fantazji tworzenia rozmaitych kształtów, a jednocześnie nieustraszenie bronią dostępu do głównego nurtu. Ten wykorzystuje każdą chwilę kiedy trzaskający mróz trochę zelżeje, by popędzić olbrzymie zwały lodu w stronę Bałtyku. W bezwietrzny dzień nad rzeką panuje cisza, którą przerywają potężne stękania kier napierających na siebie. Odgłosy pęknięć, naprężeń i tarcia niosą się daleko po rzece i daleko od niej.

To trudny czas dla zwierząt. Zimujące ptactwo wodne, które całymi stadami zleciało nad Wisłę – ostatni otwarty akwen wodny w okolicy – teraz i tu zostało odcięte od wody. Gągoły, łabędzie, krzyżówki, łyski czy tracie, które jeszcze tydzień temu unosiły się setkami na otwartych wodach rzeki, teraz stłoczone na krach nie bardzo wiedzą co z sobą począć. Już dawno zleciały tu też bieliki. Gdy pojawiają się na niebie patrolując okolicę w poszukiwaniu żeru, wzbudzają popłoch wśród najmniejszej braci ptactwa wodnego. Łyski nerwowo szukają skrawka wody, by zanurkować, a gągoły wzbijają się do niskiego lotu, przy którym ich lotki wydają tak charakterystyczny świst.

Tę codzienność mroźnego dnia nad Wisłą, tak ostatnio niecodzienną, przerywa krzyk dość u nas niespotykany. Podnoszę wzrok i zaczynam lustrować okolicę w poszukiwaniu jego pochodzenia. Na tle zabudowań Widlic – wioski po drugiej stronie Wisły, zauważam lecące w moją stronę stado gęsi. Nie, to nie gęgawa, którą nie raz widywałem również i w styczniu w naszej okolicy. Krzyk gęgawy, jej gęganie, jest tak charakterystyczne, że nie





sposób je pomylić. Gęsi są mniejsze i kiedy rozpoznają kolory ich upierzenia: biały i czarny, nie mam wątpliwości, że to bernikla białolica zawitała do nas w gości.

Małe stadko, około dwudziestu osobników, leci lotem koszącym nisko nad krami prosto na mnie. „Trzaskam” kilka zdjęć ze swojego ukrycia, gatunkowi, o którym nawet nie pomyślałem, wybierając się na bezkrwawe łowy. Bernikle krążą w powietrzu. Zataczają dwa, trzy kręgi, co pozwala mi zrobić jeszcze inne ujęcia tej sympatycznej gęsi i znikają lecąc gdzieś w stronę Gniewu. Nad Wisłą zapada cisza co sprzyja wspomnieniom.

Myślami powracam na Spitsbergen, gdzie obserwowałem i fotografowałem te ptaki kilka lat temu. Jest ich tam bardzo dużo i dają się bardzo blisko podchodzić. Bernikla, tak jak i inne gęsi, migruje do Arktyki, by wydać na świat i wychować tam potomstwo. Główne arealy lęgowe bernikli znajdują się właśnie na Spitsbergenie i Nowej Ziemi – Arktyka rosyjska. „Bernikla svalbardzka” (Spitsbergen jest główną wyspą Archipelagu Svalbard) zimuje na Wyspach Brytyjskich, głównie w płn.-zach. Anglii i pd.-zach. Szkocji. Migrują powoli, wykorzystując to co ma im do zaoferowania norweskie wybrzeże, by w końcu ponad Morzem Północnym dotrzeć do swych zimowisk.

Te zaobserwowane nad Wisłą w okolicach Widlic musiały lecieć aż z Nowej Ziemi, taka jest bowiem ich droga migracji. Również nie śpiesząc się, przecinają w poprzek nasadę Półwyspu Skandynawskiego i lecą dalej nad wybrzeżem Estonii, Łotwy i Litwy siadając na nadbrzeżnych łąkach na popas. Ich celem są nadbrzeżne tereny Holandii, tam przezimują

przed następnym sezonem lęgowym w Arktyce. Lecąc dalej nad południowym wybrzeżem Bałtyku, zaglądamy na popas do nas, nawet tak głęboko na południe jak Kwidzyn, czego dowodem są zrobione zdjęcia.

Pomimo faktu, że są to gęsi kochające Arktykę, zakładają również kolonie lęgowe nad Bałtykiem: na południowym wybrzeżu Szwecji, zwłaszcza na wyspie Gotlandia, w zachodniej Estonii i południowej Finlandii. Ich populacja na tych terenach szybko się powiększyła w latach 70., 80. i 90. ubiegłego wieku i była kalkulowana w roku 1997 na blisko 4000 par lęgowych! Widać z tego, że zapewne niektóre z nich, z lenistwa, zrezygnowały z dalekiego lotu do Ziemi Północnej i oportunistycznie zaczęły „osiedlać” się „po drodze”. Ich przyszłość na tych terenach może jednak nie być „różowa” z powodu zagospodarowywania terenów nadmorskich szczególnie w Estonii. Szwedzi w tym względzie są dość im przychylni.

Kto wie, może zaobserwowane bernikle to właśnie tacy oportuniści? Przyleciały w gości-
nę nad Wisłę z niedalekiej Gotlandii lub zachodniej Estonii?





Leszek Sarnowski



CHRONIMY SIĘ, DYSTANSUJEMY, CZYTAMY KSIĄŻKI, CHORUJEMY,

czyli z dziennika zarazy (2)

30.10

Choroba i śmierć bardzo w ostatnim czasie zbliżyły się do siebie. Zawsze bywały blisko, ale teraz to bliskość wyjątkowa. Ludzie umierają, często bez obecności bliskich, w rygorach rozmaitych ograniczeń. Nawet na cmentarzu musimy zachować dystans, a w naszej tradycji cmentarz to miejsce szczególne, bo lubimy i chcemy tam bywać, by być blisko, by pamiętać, wspominać, choć nie zawsze tak bywało. Właśnie ogłoszono, że od jutra mają być zamknięte cmentarze. Na szczęście oglądaliśmy konferencję prasową i zdążyliśmy dotrzeć z kwiatami i zniczami na cmentarz. Dramat dla kwiaciarzy. I tu ważny gest solidarności. Ludzie sami od siebie zaczęli masowo wykupywać od handlowców kwiaty i znicze. Po raz pierwszy chyba na tak masową skalę przed wieloma domami pojawiły się chryzantemy różnych wielkości w doniczkach. My też kupiliśmy, a część trafiła pod sztumskie pomniki pamięci, a także na miejsca dawnego cmentarza ewangelickiego i żydowskiego. Pamięć i solidarność.

11.11

Dziś zmarło 430 osób z powodu Covid 19. Rocznica niepodległości. Niepodległość to wolność, a wolność, jak śpiewał Marek Grechuta, to „diament do oszlifowania”. Szlifujmy ten diament, byśmy z wolności mogli w zdrowiu korzystać. Tym razem świętowanie w warunkach pandemii raczej skromnie i z dystansem.

21.11

Moja żona dziś zadebiutowała w morsowaniu. Buduje odporność. Trzy minuty w sztumskim jeziorze. Jestem dumny. Mówi, że nie jest zimno, ale kłuje całe ciało. Trzymam szlafrok i otulam ręcznikiem, bo sam się boję.

26.11

Smutny dzień dla Polski. Zmarł profesor Marcin Król, filozof, historyk idei, opozycjonista, mądry głos w publicznej debacie, choć rzadko słuchany. Lekturę Jego tekstów zaczynałem jeszcze w czasach studenckich, od opozycyjnego pisma „Res Publica”, któremu szefował przez wiele lat, a które było świeżym powiewem myśli liberalnej w siermiężnej komunie. Na Jego „Słowniku demokracji” uczyliśmy się wolności, a kolejne książki wzbudzały ważne debaty. Lubię też Jego powieść sprzed trzech lat pod tytułem

„Prowincja”, napisaną z perspektywy miejsca, które wybrał, nie na emigrację, a dobre życie, z dala od zgiełku. Kilka tygodni temu napisałem do Profesora, by zechciał się swoimi „prowincjonalnymi” refleksjami dzielić z Czytelnikami naszego Kwartalnika „Prowincja”. Nie wykluczył tego. Podał adres, wysłałem Mu kilka egzemplarzy kwartalnika i do dziś czekałem z nadzieją. Na szczęście została cała półka Jego książek, do których czas powrócić. Żegnaj Profesorze.

3.12

Właśnie otrzymaliśmy z drukarni książkę Piotra Napiwodzkiego - „Małe obrazki, proste scenki. Powiślański szlak Wilhelma z Modeny i losy całkiem współczesnych osadników”. To dziewiąty tom naszej Biblioteki Prowincji. Skromna wielkością książeczka, ale nasycona. To opowieść o możliwej podróży legata papieskiego Wilhelma z Modeny przez Powiśle, połączona wątkami współczesnymi młodych ludzi, którzy szukają swego miejsca w świecie. To książka bardzo pobudzająca do refleksji filozoficznej, religijnej, egzystencjalnej. Piotr Napiwodzki to były dominikanin, który wraz ze swą rodziną - żoną i trzema córeczkami, osiedlił się w okolicach Sztumu, zatem uprawnione jest doszukiwanie się w książce wątków autobiograficznych. Polecam szczerze. Pięknie Piotr zapuszcza swoje korzenie na Powiślu.

9.12

Miła przesyłka zamówionych płyt, nie tylko z muzyką, ale przede wszystkim mądrym tekstem. Płyta Waldemara Chylińskiego „Stało się życie”. To jeden z ulubionych bardów mojej młodości (choć dalej śpiewa pięknie i mądrze) i kilka cytatów: „jeszcze się tyle stanie, jeszcze się tyle zmieni, rosną nam nowe twarze do słońca”, „chciał jeszcze coś powiedzieć, chciał jeszcze wytłumaczyć, w życiu o prawdę mu szło, nie okłamujemy siebie nie mamy skrzydeł ptaków, klatką milczenia jest nasz dom”, „wiatr przystojny w garniturze, chce podobać się złej chmurze chmura w złości deszczem go przepędza”, „na poduszkach moich dłoni”, albo wspólnie z Jackiem Zwoźniakiem „znów dzień na kacu po pijanej nocy...”, no i te najnowsze adekwatne i na czasie „cisza, cisza na scenie, gdy rządzą prostytutki, milkną przestrzenie”, etc. Kochajmy poetów, bo wrażliwi, uważni, dają wytchnienie i czasem nadzieję. A jak ma się z kim posłuchać mądrych słów i miłych dźwięków, z lampeczką smacznego winka, to już jest przepięknie. Ja tak mam.

15.12

Promocja najnowszego numeru kwartalnika „Prowincja” oraz książki Piotra Napiwodzkiego „Małe obrazki, proste scenki. Powiślański szlak Wilhelma z Modeny i losy całkiem współczesnych osadników”. Po raz kolejny niestety online. To największy smutek tegorocznych promocji, bo bez kontaktu z czytelnikami, winka, rogalików i innych pyszności. No i dziś udało się skończyć książkę o moim bohaterze Franciszku Baumgarcie. Dzięki Gosiu za wyrozumiałość. Na razie to wersja w ramach stypendium kulturalnego Marszałka Województwa Pomorskiego. W przyszłym roku mam nadzieję coś jeszcze dołożyć i wydać publikację.

18.12

Książki, a szczególnie te wybitne, są najlepszym lekarstwem na oderwanie się od tych przerażających statystyk zakażeń i zgonów. Izaak Babel „Armia konna i inne opowiadania”. Powtórna lektura po latach. Rarytas i jak by nieco w duchu Hrabala, choć w zasadzie patrząc historycznie, odwrotnie. „Opowiadania odeskie” z Benią Krzykiem wyjątkowe, choć i tam trup się gęsto ściele. Ależ to smaczna literatura.

20.12

Czas pandemii to trochę też czas na zadbanie o siebie, choć dostęp do lekarzy jest bardzo ograniczony. Na szczęście nie było zbyt dużej potrzeby, a na lekarstwa cykliczne receptę (a właściwie kod, z którym idzie się do apteki) załatwia się przez telefon. Oby lekarze się do tego nie przyzwyczaili, choć z drugiej strony może to ograniczy niepotrzebne wizyty starszych osób, takie bardziej towarzyskie lub na zasadzie, że sąsiadka była, to ja też muszę, żeby mieć o czym pogadać. Trochę szkoda mi tych ludzi, bo wielu pewnie samotnych, nie mając z kim pogadać, wyjdzie do lekarza (z czymkolwiek) traktują jak wyjście do psychoterapeuty, bo przecież jakby tak się nazywał, większość do niego by nie poszła, szczególnie tych starszaków, bo już sam początek nazwy psycho... jakoś źle się kojarzy i raczej z wariatami, a mnie przecież tylko kłuje w boku.

Kiedy się okazało, że niektórzy lekarze już przyjmują, mój wybór padł na stomatologa, choć bez specjalnej przyjemności, a raczej konieczności. Bałagan w gębie zawdzięczam strachowi. To trauma z dzieciństwa. Pamiętam jak mama zaprowadziła mnie do felczera, który też przy okazji zajmował się zębami, a właściwie głównie ich wrywaniem. Nie wiem czy dał jakieś znieczulenie, może nie, ale pamiętam, że przy wrywaniu nawet mama musiała mnie trzymać za głowę i te wielkie narzędzia. Do dziś truchleję, jak o tym piszę. Na studiach trzeba było mieć w książeczce zdrowia wpis od stomatologa, ale wystarczyło raz pójść i mieć wpisane „w trakcie leczenia” i to wystarczało na rok, a zęby niestety z gęby wychodziły. Dziś stomatolog to jednak znaczny komfort. Pamiętam jak wiele lat temu (może nawet ponad 20) jeździłem do dentystki do Sopotu. Wielki wieżowiec, dziesiąte piętro i piękny widok na morze. No i wyjątkowy stomatolog Krysia Majewska, pochodząca ze Sztumu. Chyba dopiero u niej w wieku ponad 40 lat przestałem się po pierwsze wstydzić, a po drugie bać się dentysty. Mówiła, że przez 30 lat leczyła zęby stoczniovcem i wie co tam ci twarzi faceci mają pod swoimi brodami, podobnie jak studenci. Najzabawniejsze było to, że jak siadałem na fotel, nawtykała mi pełen usta wacików i odsysaczy i pyta co tam w Sztumie słychać nowego. Widząc moje rozbawione oczy zaczęła jednak zadawać pytania, na które mogłem odpowiedzieć skinieniem głowy, a to czy ten żyje, czy tamta się już ożeniła, a ponoć ci tam się rozwiedli. Doktor Beatę rozbawiła moja historia, ale tak ze zrozumieniem, więc czasem jedynie coś zanuci. Podziwiam stomatologów, bo mają też moc tworzenia, czasem z prawie niczego, a jak boli, to prawie od ręki zaradzą. No i rozszyfrują, co się u każdego pod tym uśmiechem kryje, czy to polityka czy szarego za przeproszeniem obywatela.

22.12

Profesor Tadeusz Gadacz, filozof z AGH w Krakowie i Collegium Civitas, w najnowszej „Polityce”, analizując trudny czas w jakim żyjemy, wymienia czego nam w Polsce brakuje i czego by nam wszystkim i sobie życzył od święta i na nowy rok. To odporność, rzetelność, wspaniałomyślność, zaufanie, odwaga, pokora, życzliwość, radość i solidarność, no i żebyśmy „odzyskali przyszłość, którą pożera nam przeszłość”. Jestem zdecydowanie i oburącz za.

24.12

Smutniej niż zwykle. Wigilia podzielna. Najpierw o 15.00 u teścia, żeby nie czuł się samotny i smutny. Na początku był, bo myśli po głowie się kołaczą przy takiej okazji, a co kanał przełączysz, to emocje wigilijne aż kipią. I tak dzielnie znosi swoją niepełnosprawność i stawia czoła codziennym demonom, tym w głowie i tym w telewizorze. Potraw sporo. Zjedliśmy, pogadaliśmy i w drogę. Do Gdańska, a właściwie do Jankowa Gdańskiego, do córki, zięcia i wnuczki Uleczki. Pierwsza wigilia w ich nowym domu. Smacznie, rodzinnie i miło. Pięknie, zazdroszczę, bo zaczynają razem coś fajnego, no i dla nas na szczęście blisko, tylko 50 minut drogi. Swoją obecną i pierwszy dom kupiliśmy z żoną, kiedy mieliśmy po czterdzieści parę lat. Córka z zięciem mają po trzydzieści, zatem jest postęp. Wnuczka Ulka szczęśliwa. Oprowadza po nowym domu, pokazuje każdy kąt i szufladę. Jak pytam, czy tęskni za swoim dawnym domkiem, to odpowiada pytaniem - A za czym? Pewnie sobie myśli, że tęsknić można tylko za ludźmi, a nie miejscem, a skoro wszystkich bliskich ma obok siebie, to tęsknić nie ma potrzeby. Racja, jak sama mówi. To jej ulubione ostatnio słowo. Kiedyś przytuliła się mocno do babci Gosi i ni stąd, ni z owąd, powiedziała: „Babciu jesteś moją najlepszą racją”. No i nogi miękną...

Po kolacji idziemy z Ulką, jak zwykle, szukać (oszukać?) Świętego Mikołaja. Średnio zimowo, bo deszcz zacina i wiatr. Ulka mówi, że widzi na niebie takie tory świetliste, po których chyba Mikołaj swoimi saniami właśnie przejechał. Udaję, jak zwykle, że też mi coś tam u góry mignęło. Chciała widzieć, to widziała. No i się zgadza, bo jak wróciliśmy do domu, prezenty były już pod choinką. Ale za to po drodze zaśpiewała mi „Przybieżeli do Betlejem” i „Świeć gwiazdeczko”. Nie jestem oczywiście obiektywny, ale to było cudne. Lubię Boże Narodzenie, mimo czasem sztucznej i standardowej celebracji. Gdyby Tewie Mleczarz był katolikiem, też by lubił. Tradycja.

27.12

Najsmutniejsza wiadomość dnia. Zmarł Leszek Michalik. Sztumianin. Jeden z działaczy i założycieli „Solidarności” w Sztumie w 1980 roku. Działacz Unii Wolności po 1990 roku. Państwowiec, demokrat. Nie polityka jednak była w jego życiu najważniejsza, bo swój kawałek świata odnalazł w kulturze indiańskiej i był w tym najlepszy. W związku ze swoją pasją traktowany z przymrużeniem oka przez miejscowych, uznawany i szanowany przez obcych. Ot, taka przypadłość pasjonatów. Swoje indiańskie pasje i rękodzieło

prezentował każdego lata na Mierzei Wiślanej, a niestety nie w Sztumie. Gawędziarz, filozof, smakosz życia i dobrej whisky.

31.12

Oby ten rok już się wreszcie skończył, bo nas niestety nie rozpieszcza. Co chwilę dochodzą nas smutne wieści. Zmarł Ojciec Maciej Zięba. Fizyk z wykształcenia, dominikanin z powołania, myśliciel, działacz opozycji antykomunistycznej w latach 70-80, no i pierwszy dyrektor Europejskiego Centrum Solidarności w Gdańsku. Wtedy się poznaliśmy i z dużą otwartością wspierał nasze lokalne działania upamiętniające zarówno Sierpień 1980, jak i pierwsze wolne wybory w 1989. Znalazłem nawet fotkę z 2009 roku kiedy o. Maciej Zięba, jako dyrektor ECS, uczestniczył w 20. rocznicy wyborów i patronował konkursowi dla młodzieży. Ostatnio był sygnatariuszem Listu 27 księży protestujących przeciwko upolitycznieniu Kościoła w Polsce. Ojciec Zięba był jednym z moich ulubionych i cennych głosów polskiego Kościoła, choć jak się dowiaduję ostatnimi czasy nie wszyscy dominikanie podzielają moje zdanie i nie mają aż tak dobrej opinii o Ziębie.

Sylwester samotny we dwoje. Zakaz wychodzenia z domu od 19.00 do 6.00 rano. Zrobiliśmy małe ognisko, by wieczór odróżniał się od innych. Wypiliśmy szampana, połączyliśmy się przez WhatsAppa z kilkoma przyjaciółmi i poszliśmy spać. Bywa i tak.

15.01

Chronimy się bez przerwy, dystansujemy, unikamy nawet rodzinnych spotkań i z utęsknieniem czekamy na zaszczepienie. Na razie udało nam się zarejestrować teścia, który jest w pierwszej grupie, bo ma ponad 90 lat, w niewielkiej przychodni w Starym Targu. Miła obsługa, żona dostała następnego dnia informację, że teścia będą szczepić już w następną środę. Można? Można. Tymczasem ze sfer rządowych dowiadujemy się, że szczepionek będzie znacznie mniej i nie wiadomo jak cała akcja się będzie rozwijała. Niesmak wokół akcji szczepienia narasta. Najpierw grupa celebrytów z Krystyną Jandą na czele zaszczepiła się poza kolejką w warszawskim szpitalu (ponoć medycy ich zaprosili, żeby promować akcję, choć nawet jednego zdjęcia z tych szczepień nie zamieszczono, jakby się wstydzili – no jest za co), a teraz jeszcze rząd pod osłoną nocy (taka nowa świecka tradycja) dopisał do listy pierwszej grupy prokuratorów i funkcjonariuszy służb specjalnych tłumacząc, że oni są szczególnie narażeni na zakażenia, bo są na „pierwszej linii frontu”. To na której linii są nauczyciele, szczególnie kiedy najmłodsze dzieci wróciły do szkół? Żenujące. A w Polsce zakaziło się dziś 7795 osób, zmarło 386 osób.

17.01

Liczba zakażeń 6055 osób, zmarły 142 osoby. W szpitalu w Poznaniu urodziły się pięcioraczki: Anastazja, Klara, Laura, Wiktoria i Maksymilian. Urodziły się w 15 minut i razem ważą niemal pięć kilogramów. Jest nadzieja.

20.01

„Zacznijmy się słuchać i okazywać sobie szacunek, nawet, a może przede wszystkim, jak ze sobą się zgadzamy... Historia, wiara i rozum pokazują nam drogę, drogę jedności... musimy zakończyć wojnę domową... musimy stawić czoła pandemii jako jeden naród, przejdziemy przez tę noc razem... nadeszła pora na odwagę”. Takie słowa nie padły niestety w Polsce. To Ameryka i nowy Prezydent Joe Biden w trakcie zaprzysiężenia. I ten demokrat, „lewak” w pojęciu wrogów, w trakcie mowy daje każdemu chwilę na modlitwę za tych, którzy oddali życie za kraj. „Daję wam słowo, że zawsze będę z wami, będę bronił konstytucji, będę bronił Ameryki. Razem napiszemy nowy rozdział Ameryki jedności, a nie podziału”. Polacy lubią każdego Prezydenta USA, czy demokrata czy republikanin, choć wielu widzi podstawową różnicę: Trump najczęściej mówił „Ja”. Biden mówi „My”.

Moja pięcioletnia wnuczka oglądała dziś ze swoją mamą zaprzysiężenie Bidena w wersji amerykańskiej w telewizji CNN i chwyta już niektóre słówka. I mówi: Mamo on powiedział - My friends. Czy on nas widzi? No i dziecko już wie, komu mama kibicowała.

22.01

Moja ukochana wnuczka Ulka dzwoni z życzeniami, choć jutro się spotkamy, bo zaprosiła nas na obiad i ciacho do siebie. Kilka dni temu, tak bez okazji, powiedziała, że ma takie życzenie, żebym nie jadł jajecznicy, słodyczy i nie palił papierosów, bo chce, żebym jeszcze długo żył. Zapytałem czy jutro rano mogę jednak wyjątkowo zrobić dla siebie i babci małą jajeczniczkę na śniadanie. Odpowiedziała: Oczywiście dziadusiu, a po śniadanku możesz zapalić nawet papieroska, ale ostatniego, OK? No i się zgodziłem, choć z tymi papierosami może zapomni. Moja radość.

Bycie dziadkiem to wyjątkowa przyjemność, szczególnie jak ma się takie cudo, jak uroczą wnuczka. Ja swoich dziadków już nie mam. Babcia Basia i Dziadek Franek, rodzice mamy, babcia samo dobro, dziadek, mistrz ciętej riposty i powstaniec wielkopolski. Babci Łucja i Dziadek Brunon, rodzice taty. Nie poznałem tylko Babci Łucji, bo w 1945 roku zastrzelił ją sowiecki żołdat. Znam ją tylko ze zdjęć, z których spogląda piękna kobieta, pełna ciepła i radości, niespodziewająca się dramatu. Z trójki Jej synów żyje tylko mój ojciec. Dziadek po roku wrócił z łagru i zajął się rodziną. Ożenił się z Babcią Danusią (która także spędziła kilka lat w łagrze sowieckim), z którą miał jeszcze sześcioro dzieci, żyje tylko wujek Józek. Babcia Danusia to wyjątkowe wspomnienie beztróskiego dzieciństwa w Gościszewie, serdeczności, dobra i ciepłoty serca. Dziadek był zasadniczy, z dystansem, ale z poczuciem humoru i ironią (troszkę mi z niego chyba skapnęło).

24.01

Dziś, może nie okrągła, ale jednak rocznica. 24 stycznia 1975 rok. Budynek Opery w Kolonii. Na widowni ponad 1400 osób. Wszystkie bilety wyprzedane (najtańszy 8 złotych). Koncert w ciągu kilku dni zorganizowała debiutująca wówczas w promocji

jazzu 17-letnia Vera Brandes. Artysta zatruł się w pizzerii, fortepian rozstrojony, nie wszystkie klawisze działały. Katastrofa. A jednak 29-letni Keith Jarret przez ponad godzinę improwizował i zahipnotyzował całą widownię. Wytwórnia ECM wydała płytę z tego koncertu. Nagranie zrealizowano za 500 funtów, a płyta sprzedała się w rekordowej licznie 3,5 miliona egzemplarzy. Jedną z nich mam. Kosmos. Krytycy kręcili nosem, że to nie jest najwybitniejszy Jarret, ale to miłośnicy jazzu zdecydowali, co dla nich ten koncert znaczył i do dziś go słuchają. To wtedy rozbłysła światowa gwiazda Jarreta i świeci do dziś, mimo że jazzman jest biały. Kiedyś bowiem czarny saksofonista Ornette Coleman powiedział Jarretowi, doceniając co prawda jego sztukę, ale wskazując drogę: „Człowieku musisz być czarny, po prostu musisz być czarny”. Jarret odpowiedział: „Wiem, wiem, pracuję nad tym”. Po nagraniu jednego z pierwszych albumów poproszono Jarreta, by powiedział kilka słów o swojej muzyce. No i powiedział: „Bardzo chciałbym spełnić to życzenie, gdyby jednak istniały odpowiednie słowa, to muzyka nie byłaby potrzebna”.

Pod koniec lat 80. zamieszkaliśmy w naszym pierwszym mieszkaniu komunalnym w Sztumie, na ul. Chełmińskiej. Poszedłem do wojska, najpierw Koszalin, potem Hel, by bronić polskiego wybrzeża przed natowskimi samolotami. Moja żona kupiła mi gramofon i kolumny, które sama wiozła pociągiem z Elbląga. Pamiętam szczególnie dwie płyty, którymi katowałem rodzinę. Keith Jarret i koncert w Kolonii i Miles Davies „Tutu”. Żona jeszcze wtedy za jazzem nie przepadała, ale kilkuletnia córeczka bez problemu rozpoznawała fortepian Jarreta i trąbkę Milesa. No i szpanowałem przy znajomych, bo na pytanie, kto gra, bez trudu rozpoznawała (nie było to może trudne, bo różnica między fortepianem a trąbką i wtedy była dość zasadnicza, ale trzeba było przyporządkować nazwisko do instrumentu). A wtedy jeszcze zamiast „r” mówiła „l”, więc w przypadku Jarreta miało to swój wyjątkowy urok. Keith Jarret jest moim ulubionym pianistą jazzowym. Jest dla mnie artystą kompletnym. W ostatnich latach Jarret przeszedł dwa udary. Jeden z nich spowodował lewostronny paraliż. Trudno sobie wyobrazić mistrzowsko improwizującego muzyka bez lewej ręki, więc pewnie już nie zagra, chociaż... może jednak, daj Boże. Kolońskiej płyty mogę słuchać bez końca, a jak do tego doda się jego koncerty w Wiedniu, Tokio, Sapporo, Budapeszcie, Mediolanie, Paryżu, Nowym Jorku, to i tak zbierze się setki godzin. Słuchajcie Jarreta.

1.03

Dziś święto Żołnierzy Wyklętych. Kontrowersyjne, ale ważne. Realizowałem wiele materiałów telewizyjnych poświęconych tym żołnierzom pod koniec lat 90. i na początku dwutysięcznych i większość z nich to dla mnie bohaterowie. Trochę razi mnie nadmiar pomników, ale przede wszystkim ich jakość. Bo jak widzę drewnianą rzeźbę Danuty Siedzikówny „Inki” w Tulicach pod Sztumem, młodej sanitariuszki zamordowanej przez komunę, to mi się krew burzy. Takim koszmarnym pomnikiem zrobiono jej wyjątkową krzywdę. I to powinno być karalne. Przykład Gdańska pokazuje, że można znacznie lepiej.

4.03

Mija rok od zarażenia czyli pojawienie się w Polsce pacjenta „0”. To był Pan Opałka, jak awangardowy polski artysta, choć ot po prostu Polak. Przez ten czas zachorowało 1,7 mln Polaków, zmarło 44 tys. osób. Najgorszy rok od czasów drugiej wojny. Premier mówił w czerwcu, że zdaliśmy egzamin, a w lipcu zakażenia zaczęły rosnać do ok. 600 zakażeń dziennie, a we wrześniu powyżej tysiąca. 7 listopada było najwięcej, bo prawie 28 tysięcy, a 25 listopada zmarło najwięcej osób – 674. Pojawiły się żółte i czerwone strefy, byliśmy zamykani i otwierani, raz ogłaszano, że już wygraliśmy, by za chwilę obwieszczać, że jednak przegrywamy. W grudniu się nieco poprawiło, a po świętach znów kolejna fala. Eksperci mówią, że się chronimy i nosimy maseczki, zachowujemy dystans i myjemy ręce. A jak tak sobie myślę zerkając dookoła, to nie jest tak różowo.

Moja żona i ja staramy się żyć bezpiecznie, z ubolewaniem i bez satysfakcji, ale bezpiecznie dla siebie i innych. To poważne utrapienie, kiedy z ukochaną córką i wnuczką musimy ograniczyć kontakt do minimum, nawet narażając się czasem na ich niezrozumienie. Może przesadzamy, ale kiedy dookoła znajomi bliżsi lub dalsi, rodzina, zapadają na zdrowiu i umierają, to żarty i dobra mina się skończyły. Moja żona jest bardziej twarda w tej kwestii, ja czasem wymiękam, po czym przyznaję jej rację i jem z ręki. Jest ministrem zdrowia, albo, nawet lepiej, profesorem Simonem w domu i się słucham, bo Ona słucha fachowców od rana do popołudnia, kiedy wracam z pracy i zdaje mi relację, co tam nowego na froncie. Zapewniam, że staram się nosić maseczkę w pracy, kiedy już nie jest zdalna, ale nie dowierza. Ja, że przesadza i czasem jest małe spięcie. Ot, taka covidowo-mażeńska rzeczywistość.

Cały ten rok jakoś przeżyliśmy, żona na emeryturze, ja w naprzemiennej pracy zdalnej. Niezliczona liczba przeczytanych (jedna napisana) książek, seriali na Netfixie (od *Crown* i *Gambitu królowej* po *Ożark*, *Faudę*, *Suburę*, *Marcellę*, *Czarną listę*, etc.) i gadu, gadu, gadu nocą.

Ludzie umierają codziennie. W „zwykłej” chorobie każdy sobie jakoś radzi. Jak są leki, daj Boże, wyjdziemy. A tu co? Beznadzieja. Ani leków, a szczepionki jakoś tak się wloką, nie dla każdego i nie zawsze na czas. Apele rządu o rozwagę i szczepienie przynoszą słaby skutek. Słabo słyszalny jest głos kościoła, a by się przydał..

13-20.03

No i stało się. Z pozoru nic strasznego, zwykła chrypka, drobny kaszel, temperatura niezbyt duża. Wymaz. Niestety pozytywny, a właściwie pozytywni, bo w pakiecie z żoną. No i się zapadamy. Słabość potworna całej powłoki cielesnej. Temperatura może niezbyt wysoko, bo ok. 38 C, ale dość permanentna. Trzeba się faszerować cały czas lekami, by ją zbijać. Andrzej Poniedziałki w jednym ze swoich skeczów opowiadał, że ktoś go kiedyś zapytał, jaki środek jest najlepszy na kaca – Alkaprim czy Alkazelzer. Odpowiedział, że oczywiście, że Alkazelcer, bo się ciszej rozpuszcza. Trudno kaca porównać z covidem i nie o to chodzi, a raczej o taką nadwrażliwość ciała na bodźce zewnętrzne. Próbowałem czytać, bo na półce w sypialni sporo zaległości, ale jedna księga grubsza od drugiej i nie

da się utrzymać w słabych dłoniach. Próbowalem nadrobić zaległości czytelnicze kilku tygodników, ale szelest papieru był tak nieznośny, że musiałem odpuścić. I tak leżąc na boku czytam jedynie grzbiety książek i zasypiam. Muzyka też ulgi nie daje. Telewizja, gazety, internet – zapomnij. To akurat ta dobra strona, bo wiedza ilu z nas się zakaziło, ilu jest pod respiratorami, ilu zmarło, raczej na nogi nie stawia. Zagapienia w sufit, sen, jakieś przekąski. I tak przez dziesięć dni.

21.03

Życie to jednak śmiertelna choroba i niestety ciągle zapominamy o tym z nadzieją, że może jest inaczej. Cieszymy się każdą chwilą, szczególnie w czasie choroby, bo saturacja poprawiła się o dwie kreski i oddech nieco dłuższy i jakieś światelko w tunelu. I przychodzi taka wiadomość, że dziś nad ranem w szpitalu w gdańsku zmarł przyjaciel Marek Lesiński. I co? I jakby prąd odcięło, bo jak tu żyć? Nie dał rady covidowi, z którym ja w tej samej chwili walczę. I ryczeć się chce i wyć się chce. Przyjacielu! Nie widywaliśmy się ostatnio za często. Jak Wiesław organizował spotkania Młodej Polski, to przynajmniej raz do roku udało się napić pysznego winka u Adasia w Sopocie i pogawędzić, ale polityka niestety zbyt mocno weszła w nasze środowisko i już nie było tak miło, a w końcu i przestaliśmy się spotykać. Nas nie podzieliła. Miłe były też, choć rzadziej, spotkania wspominkowe ekipy Radia Plus – Romek, Andrzej, Krzysiu, Tomek, Agnieszka, Adaś, Janek, Marzena, Marcin, etc., lub na pogrzebach Plusaków, jak choćby Ediego Frenkla. Przypominam też nasze wypadki raz w roku na Mistrzostwa Świata Dziennikarzy w Powożeniu Zaprzęgiem, które przez kilka lat organizował Zbyszek Wątorski, a to w Rzeczej-Pasłęku, Ostródzie i na koniec w Kwidzynie. Startowaliśmy co roku w mieszanej radiowo-telewizyjnej ekipie pod nazwą symboliczną „Radiokomitet” i zawsze z jakimś pucharkiem udało się wrócić, ale ważniejsze były spotkania dziennikarzy z całej Polski, z publicznych i prywatnych mediów, i było o czym gadać, i nikt nikogo nie sekował, bo to była wspólnota medialna, nikt nie gwiazdorzył. Z Markiem robiliśmy sobie jaja. Przebieraliśmy się każdego roku, a to za krzyżaków, aniołów czy Blues Brothers. Było pysnie i wesoło. Smutne to czasy, bo ostatnio wielu fajnych ludzi odeszło. Piotr Świąc, co prawda nie covid, ale wypadek. Mimo, że tkwił dalej w TVP, to jednak pamiętam go z dobrych czasów, jako rzetelnego, wspaniałego dziennikarza, dobrego człowieka. No, a Zbyszek Szymaniak. Po cóż komu jego odejście, skoro tu ludziom przynosił wiele radości. Operator z TVG od zawsze, choć przez krótki czas prezydentury Lecha Wałęsy był jego nadwornym operatorem. Znał wszystkich i wszyscy go znali i lubili. Zadbał o każdego rozmówcę, żeby tak kadr ustawić, by interlokutora, nawet jak brzydki czy byle jaki, dobrze wyszedł. Pracował wolno, ale skutecznie. Czasem trzeba było czekać, bo się z kimś zagadał, a tu trzeba się spieszyć. Kiedyś jak nie miałem przez jakiś czas stałego operatora, to przyjeżdżały do mnie do domu ekipy z Gdańska i bardzo często był to Zbyszek. Wpada, szybka kawka czy herbatka i mój pies jamnik szorstkowłosa przyssał się do jego nóg i liże. Ostrzegam, że nie będzie dobrze ze spodniami, ale Zbyszek zbywa moje ostrzeżenia machnięciem ręki i jeszcze zachęca pieska, no to Blues liże. Skończyło się oczywiście na wielkiej dziurze w nogawce, a Mordeczka (bo tak nazywaliśmy Zbysnia) uśmiechnął się, poklepał Bluesa i pojechaliśmy pokazywać świat.

23.03

Teraz uczymy się oddychać, spacerować i wciągać hektolitry świeżego powietrza w ogrodzie. Jedyny pozytywny, a właściwie dwa – schudłem 10 kg i rzuciłem palenie (z nadzieją, że na zawsze w obu przypadkach). Wyjście po bułki do ulubionego sklepiku 200 metrów to jeszcze spore wyzwanie, bo saturacja jeszcze słaba (kolejne nowe słowo w naszym codziennym słowniku). Ale chyba nam się udaje, choć rekonwalescencja jeszcze potrwa. Markowi się nie udało i zegnaliśmy Go kilka dni temu niestety online.

Dwa wnioski. Po pierwsze przestaję tolerować antycovidowców i antyszczepionkowców i uważam ich za szkodników społecznych, sugerując na początek obywatelski bojkot. Po drugie chylę czoła przed lekarzami za pomoc i kłaniam się, przesyłając serdeczności, wszystkim bliższym i dalszym znajomym, przyjacielom i ludziom dobrej woli, którzy każdego dnia dawali nam wsparcie i realne poczucie, że nie jesteśmy sami w tym trudnym czasie. Mój płot zna ich wszystkich z nazwiska. Ale dziękuję Ewie i Tadeuszowi, Majce i Romkowi, Bogusi i Michałowi, Eli i Ryśkowi, Joli i Arkowi (który sam też w tym czasie nie oparł się zarazie), Majce i Jędrusiowi, ozdrowieńcom Krzysiu i Basi (jabłecznik skuteczniejszy od medykamentów), no i Marioli i Wiesiu, którzy dotarli z rosółką, kaczuszką i innymi smakołykami z podwarszawskiej naszej ulubionej Piławy. I w tym przypadku Bogu dziękuję, że nie straciłem smaku. Były dyrektor mojej żony (też na emeryturze) dzwonił co jakiś czas, mój szef monitorował bez przerwy, a na rekonwalescencję podesał rower stacjonarny. Codziennie zdawaliśmy relację mojej siostrze i bratu (sam też wcześniej to przechodził) z frontu. Dziękujemy za codzienne telefoniczne „konferencje” (bardziej żony, bo ja słabuję jeszcze z głosem) na temat naszego stanu zdrowia i za to morze życzliwości, które wylało się z Facebooka, kiedy ogłosiłem, że wychodzimy z choroby. To jest po prostu precudowne uczucie, niebywałe wsparcie i za to tylko Kocham fejsa.

26.03

To, że muzyka czyni cuda, wiadomo już od dawna, ale nie sądziłem, że w covidzie przyjdzie mi się o tym przekonać. No bo taka sytuacja. Moja żona Małgosia, dzięki Leszkowi Moździerzowi, uratowana dla świata jazzowej publiczności, prosi, żeby podłączyć jej koncert mistrza online z okazji 75. lecia ASP w Gdańsku. A trzeba dodać, że od kilku dni boli ją strasznie głowa (covidowo oczywiście, a nie że coś nie halo) i żadne medykamenty nie pomagają. Jestem bezradny, a lekarze mówią, że trzeba to niestety przetrwać. Ja chwilę posłuchałem mistrza fortepianu, ale akurat byłem w innym świecie. Po godzinie żona schodzi jakaś wyraźniejsza z sypialni i mówi: Puściło. No i co powiedzieć o rękach Moździerza. Po prostu leczą.

9.04

Tak sobie od tygodnia spaceruję powolutku po miasteczku, co by nabrać siły i może tak jest, albo mi się zdaje, że ludzie jakoś też tak wolniej się snują. Ot, prowincja. Ten brak pośpiechu (energii?) u mnie widać też na przykładzie oglądanych filmów. Do tej

pory nie przepadałem za serialami, ale odkąd jest Netflix zmieniłem zdanie i upodobania, bo tu seriale można oglądać tzw. ciurkiem. Oglądam sporą dawkę sensacji i kryminałów, bo lubię. Ale ostatnio pochłania mnie bardziej „obyczajówka” i to taka właśnie spowolniona. Serial izraelski „Shtisel”. To mieszkańcy jerozolimskiej dzielnicy Mea Shearim – ultra-ortodoksyjni Żydzi charedim i chasydzi. Konserwatyści, którzy w większości nie uznają państwa świeckiego Izrael (dzieciom w jesziwie Shtisela zabroniono iść na pokazy lotnicze z okazji święta niepodległości, ale gdy one się odbywały, nauczyciel powiedział, że musi na chwilę wyjść, a dzieci poleciały do okien i pokaz obejrzały), odmawiają służby wojskowej, płacenia podatków, akceptują jedynie własne religijne sądy, a przede wszystkim przestrzegają ściśle wszystkich zasad jakie nakazuje żydowskie prawo – szabat, strój, codzienny rytuał modlitewny, podział ról w rodzinie. Bo to kobieta wychowuje liczne potomstwo, utrzymuje dom, a mąż nie ustaje w modlitwach i zgłębianiu Tory w licznych w tej dzielnicy synagogach i kolelach, czyli miejscach studiowania religijnych tekstów przez żonatych mężczyzn.

To nie jest nowy film, bo pierwszy sezon rozpoczął się w 2013 roku, a teraz jest już trzeci. Autorzy scenariusza to Yehonatan Indursky i Ori Elon, reżyser Alon Zingman. W ciągu tygodnia tyknąłem trzy sezony. Fabuła banalna i co bardziej niecierpliwi mogą się znudzić po kilku pierwszych odcinkach. Jakby powiedział Maklakiewicz: „Nic się nie dzieje, jak w polskim filmie...kury, kaczkę, droga na Ostrołękę”, etc. A jednak zalecam cierpliwość, bo warto na tę drogę wejść. Ja miałem różne etapy, odrzucenia, bo mnie wkurzali, zniecierpliwienia, irytacji, etc., ale generalnie zachwyty i satysfakcji, choć nie wiem, czy to dobre słowo. W każdym razie oglądałem po pięć odcinków dziennie z dużą przyjemnością. I nie chodziło wcale o oryginalną obyczajowość, bo ją znam i interesuję się nią od wielu lat, a bardziej ogólny klimat i emocje, no i ten barwny, oryginalny jidysz, cudo.

Zatem nie ma tu jakiejś wartkiej akcji. Jest zwykłe, najzwyklejsze życie, ubarwione tylko tymi ortodoksyjnymi zasadami prawa żydowskiego. Można by powiedzieć: film rodzinny. Wielopokoleniowa, wielodzietna rodzina Shtisel, raczej dość uboga, choć walcząca o przetrwanie i nie do końca na garnuszku państwa, jak znaczna część sąsiadów w tej dzielnicy. Shulem to senior rodu, próbujący radzić sobie z bólem po śmierci żony i Akiva, najmłodszy syn, który szuka żony, choć raczej w zasadzie któremu wszyscy próbują żonę znaleźć. No i cała reszta licznej rodziny ze swoimi radościami i troskami.

Najwięcej problemów jest ze swataniem, bo to nie młodzi się umawiają, a ich rodziny i nie zawsze panna z porządnej rodziny przypada do gustu rozmodlonemu młodzieńcowi, ale się w większości godzą, bo tradycja. Starsi czasem zrywają zaręczyny, jak Akiva, i stawiają na swoim, ale on jest „pokrecony” artysta, więc patrzą na niego trochę z przyzwyczajeniem oka.

Generalnie w domu rządzi mężczyzna, ale często jest to władza pozorna. Żona Zwi Ariela zna swoje miejsce, ale po cichu zdaje egzamin na prawo jazdy i kupuje auto, co było wyjątkowo piętnowaną fanaberią, ale w końcu udaje się jej przekonać męża, że to korzyść też dla niego, bo będzie go wozić do domu modlitwy. Warunek jeden: auto musi parkować poza dzielnicą, żeby nikt z sąsiadów tego nie widział. U Weissów (siostra

Akivy) rządzi zdecydowanie żona, to efekt zdrady męża, który został jednak przyjęty do domu, ale musi bez przerwy się kajać. A że z ortodoksją jest lekko na bakier i nie narzuca się Bogu, to często wymyśla, zamiast studiować Torę, różne biznesy, żeby jakoś wzmocnić swoją pozycję. W końcu żona stawia go do kąta słowami: Lippe, bądź w końcu prostym, kosztownym Żydem i nie wymyślaj bzdur. Zwi Ariel studiuje Torę, ale jakoś tak bez zaangażowania i radości, i tkwi ciągle w jednym miejscu, nie awansuje, bo zawsze coś. Ma talent do śpiewu i nawet jeden z zespołów klezmerskich z entuzjazmem go przyjął, ale jak się okazało, że jego poprzednik odszedł w świat show biznesu, zgolił brodę, pejsy i porzucił rodzinę, to się wycofał, żeby nie kusić losu. Kobieta i mężczyzna, mimo, że wychowują dzieci, prowadzą dom, są małżeństwem, to w zasadzie jakby żyli obok siebie, nie dotykają się, chyba że w nocy gaśnie światło, bo skądś te dzieci jednak brać się muszą.

Kłamią, oszukują, manipulują, zdradzają, nienawidzą, krzywdzą, ale też troszczą się, współczują, tęsknią, kochają, są wierni. Jak każdy i wszędzie. Mimo, że wszelkie emocje należy powściągać, chyba że radość w modlitwie, to od emocji tu aż gęsto. Wierzą oczywiście w swojego Boga i to jest najważniejsze, i temu podporządkowane jest całe ich życie. Czasem puszczają do Niego oko, jeśli nie dają sobie rady z podnietami nowoczesnego świata, ale wierzą, że Mesjasz o nich nie zapomniał i w końcu kiedyś przyjdzie.

Senior rodu, Shulem Shitsel, roztrząsając kolejny rodzinny problem, filozoficznie kończy serial słowami „tego Polaka, no jak mu tam” czyli Isaaca Bashevisa Singera, że „Zmarli donikąd nie idą. Oni tu są. Każdy człowiek jest cmentarzem. Prawdziwym cmentarzem”.

Kiedy oglądałem swoje kryminały, żona denerwowała się, że za długo siedzę przy takich „nawalankach” i nie dziwi się, że potem nie mogę zasnąć. Teraz czasem podejrzuję kilka scen i potem nawet dopytuje co tam u seniora rodu albo czy nawiedzony artysta w końcu znalazł żonę. Ostatnio powiedziała, że serial mi służy, bo jestem jakiś miłszy dla niej odkąd go oglądam. No i to chyba najlepsza recenzja. Słuchajcie swoich żon i oglądajcie „Shtisel”. Poza tym klimat jerozolimskiej dzielnicy to takie małe déjà vu przedwojennego stetla na polsko-żydowskich Kresach.

Marek Suchar

ZWIELOKROTNIONA OPOWIEŚĆ O POWIŚLU

Piotr Napiwodzki, *Małe obrazki, proste scenki. Powiślański szlak Wilhelma z Modeny i losy całkiem współczesnych osadników*, Biblioteka Kwartalnika Prowincja, tom IX, Sztum 2020.

Przeczytałem tę książkę jednym tchem i zacząć muszę od tego, że nie bardzo zgadzam się z tytułem nadanym jej przez autora. „Małe obrazki, proste scenki”? Przecież ani obrazy opisane w powieści nie są „małe”, ani sceny układające się w podwójnie prowadzoną, równoległą powieściową fabułę - proste. Wręcz przeciwnie, gdyby się w nią wczytać, to ta rzeczywiście skromna pod względem liczby stron książka, okazuje się niezwykle bogata w treści, wątki i rozmaite intelektualne aluzje. Momentami jest wciągającą współczesną powieścią obyczajową - to wtedy, kiedy poznajemy w niej problemy sympatycznej pary młodych ludzi - Oli i Andrzeja. Kiedy indziej stajemy się świadkami sporów o sprawy najważniejsze, to kiedy Wilhelm z Modeny roztrząsa w rozmowach ze swymi towarzyszami podróży rozmaite wyrafinowane zagadnienia filozoficzne i teologiczne. A jakby i tego było mało, niektóre fragmenty i wątki książki są czystej wody historyczną powieścią przygodową, opowiadającą o podróży tegoż Wilhelma z Modeny przez Powiśle aż do Gdańska, postaci autentycznej. Ale to nie koniec, bo dla literackich smakoszy ta niewielka objętościowo książka może być również okazją do czegoś w rodzaju in-



telektualnej gry z autorem, polegającej na tropieniu ukrytych w tekście rozmaitych aluzji i odniesień do literatury, sztuki, czy filozofii.

Jak to wszystko udało się autorowi zgrać ze sobą połączyć w jednym utworze i to w taki sposób, że tę bardzo poważną opowieść czyta się z zainteresowaniem i przyjemnością? Może to dzięki temu, że jest tak dobrze napisana? A może dzięki pełnemu delikatności i elegancji poczuciu humoru autora, wyrażającemu się, mimo że to powieść bardzo na serio, w pewnym dystansie do opisywanych osób i zdarzeń?

Powieść na okładce zaanonsowana jest jako opowieść o przygodach Wilhelma z Modeny. Czy po to, aby przyciągnąć zainteresowanie czytelnika? Przynajmniej się z ręką na sercu - kto z nas słyszał to nazwisko przed sięgnięciem po książkę Piotra Napiwodzkiego? A tymczasem książka ta, jak rzadko która zasługuje na uwagę, bo w rzeczywistości, choć średniowieczny mnich z Modeny jest rzeczywiście jednym z jej głównych bohaterów, jego postać, a właściwie jego podróż, są tylko pretekstem do opowieści o miejscach, które są dobrze znane powiślańskim czytelnikom. Droga Wilhelma prowadzi bowiem ze Sztumu, przez Koślinkę do Malborka i dalej do Gdańska. I w tych właśnie miejscach rozgrywa się akcja powieści - zarówno jej część historyczna, jak i współczesna. Dla osób, którym miejsca te są znane i bliskie, jest to argument całkowicie wystarczający, żeby zainteresować się książką. A jako że fabuła powieści toczy się równoległe na dwóch planach czasowych - w Średniowieczu i współcześnie, mamy opowieść o tych miejscach zwielokrotnioną, a one same, czasem wydawałoby się tak dobrze znane czytelnikowi, zyskują nowy wymiar, głębię, uchylają rąbka swych historycznych tajemnic.

Ale myliłby się ktoś, kto by uważał, że mamy tu do czynienia po prostu z tak modną dziś w popularnej literaturze rekonstrukcją historyczną. Powieść Napiwodzkiego wychodzi poza takie ramy, stając się w swojej istocie traktatem o tym, jak w naszym życiu splatają się ze sobą dwa wymiary rzeczywistości: przestrzeń i czas. I chodzi nie tylko o obecne w powieści „dwie ścieżki czasu”, autorski zabieg, polegający na prowadzeniu akcji równoległe w przeszłości i współcześnie. Jak wcześniej wspomniałem, drugim, oprócz „średniowiecznego”, równoległe prowadzonym wątkiem powie-

ści są bowiem losy pary młodych ludzi, Oli i Andrzeja, którzy zdecydowali się porzucić życie w wielkim mieście i zacząć „wszystko od nowa” osiedlając się w opuszczonym, zrujnowanym gospodarstwie w Koślince. W literaturze popularnej często dziś mamy do czynienia z taką tematyką - ucieczki od cywilizacji wielkiego miasta, czy pracy w wielkiej korporacji, odkreślenia dotychczasowego życia „grubą kreską” i rozpoczęcia go jak gdyby na nowo, ale już mądrzej i bardziej w zgodzie z sobą i naturą. Bohaterowie tych zyskujących sobie zwykle dużą popularność utworów (powieści i filmów) osiedlają się w Toskanii, Prowansji, albo na Mazurach czy w Bieszczadach. Tu mamy niby to samo, ale znów - powieściowe losy pary tych młodych, sympatycznych ludzi wychodzą poza ramy takiego psychologizującego, obyczajowego wątku. Stają się czymś w rodzaju przypowieści, uzyskują wymiar metafory. Ola i Andrzej budując to swoje powiślańskie życie, tworzą coś nowego, a przy okazji poznają też blaski i cienie prostego życia, doświadczając na sobie zarówno uroków prostych działań - przywracania porządku i ładu w zrujnowanym domostwie, budowania czegoś od podstaw, jak i goryczy porażek i trudów zmagania z oporem materii. Jak to w życiu. Tyle, że w powiślańskim mikrokosmosie wszystko wydaje się jakby głębsze i bardziej autentyczne niż w sztucznym świecie wielkiego miasta, z którego tu przybyli.

Jak widać, każdy może w tej niewielkiej objętościowo, ale mądrej książeczce, znaleźć coś dla siebie. Uwagę wielu osób najprawdopodobniej skupi sam fakt sportretowania w niej Powiśla i znanych im z własnego życiowego doświadczenia miejsc. Innych zainteresuje pewnie opowieść o peregrynacji Wilhelma z Modeny, jego przygodach i rozmowach, w których pojawiają się echa

wielkich dysput religijnych i filozoficznych Średniowiecza. Autorowi powieści, który sam jest teologiem i filozofem, udaje się bowiem w sposób dostępny dla dzisiejszego inteligenta, nie mającego jakiegoś specjalnego przygotowania filozoficznego, odtworzyć fascynujące umysłowe uniwersum Średniowiecza. A jeszcze inni skupią się być może na „scenach z życia małżeńskiego” i rozmowach pary młodych ludzi, budujących swoje życie w miejscu, w którym rozgrywały się w Średniowieczu opisane wcześniej zdarzenia.

Ja sam z lektury tej książki najbardziej zapamiętałem moment, w którym Ola mówi do Andrzeja o Kairosie, greckim boż-

ku szczęśliwego zbiegu okoliczności. Starożytni Grecy wierzyli, że ten, kogo mijał Kairos, miał okazję, trwającą jedynie krótką chwilę, mgnienie oka, by ujrzeć jego twarz i w ten sposób wykorzystać swoją szczęśliwą życiową szansę. Kiedy Kairos minął już kogoś i oddalił się, szansa mijała bezpowrotnie. Bo każde miejsce w przestrzeni, w którym możemy się znaleźć, oferuje nam jakieś możliwości i szanse, i chodzi o to, żeby te szanse, właściwe dla danego miejsca i momentu w czasie, zdążyć wykorzystać. Podobnie jest z książkami. Pojawiają się w naszym życiu i trzeba uważać, żeby ich nie przeoczyć.

Jan Chłosta

LITERACKIE REPORTAŻE EWY ZDROJKOWSKIEJ

Ewa Zdrojowska, *Literacki atlas Warmii i Mazur*, Wydawnictwo Elset, Olsztyn 2020.

Literacki atlas Warmii i Mazur jest książką szczególną. Obejmuje twórczość ludzi tu urodzonych oraz przybyłych doraźnie Polaków i Niemców trwale w tę ziemię zakorzenionych. Zaprezentowani zostali w reportażach literackich na antenie Rozgłośni „Polskiego Radia” w Olsztynie za sprawą Ewy Zdrojowskiej w audycji zatytułowanej *Rozmówki polsko-polskie*. Dobrani ludzie są też z niepośledniej półki, bo z podsunętego geografii miejsca, z którego się wywodzi-

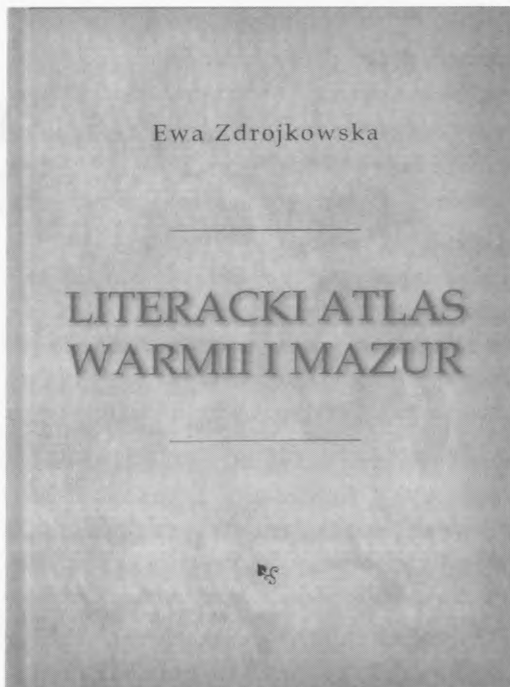
li lub związali z tą ziemią swoje przeżycia. Wszyscy wyróżniali się niezwykłością. Tak można powiedzieć o Marii Zientarze-Malewskiej, Siegfriedzie Lenzu, Arno Holzu, Irenie Kwintowej, Ignacym Krasickim, Johannie Gottfriedzie Herderze, Michale Kajce, Ernście Wiechercie, Konstantym Ildefonsie Gałczyńskim i Igorze Newerlym. Tylko dwoje z nich - Irena Kwintowa i biskup Ignacy Krasicki, znaleźli się tutaj z nakazu, pozostali albo byli związani urodzeniem, bądź przybyli z chęci wypoczynku.

Nazwiska tych ludzi pióra nie mogą być obojętnie każdemu z mieszkańców regionu.

Wszyscy zaprezentowani w tej książce pozostali w pamięci innych ludzi, którzy zainteresowali się ich spuścizną, często wywołaną niezwyklej miejscem, krajobrazami bądź nienapotkanymi gdzie indziej przeżyciami. A jednak za sprawą pani Ewy zostali tak dobrani, że możliwe stało się pokazanie wątków ważnych z ich życia, którymi wpisali się w tworzenie tożsamości tej ziemi. W reportażach pokazany został ich dorobek w relacjach różnych osób uczestniczących jako goście w audycjach radiowych. Dawali po prostu świadectwo o pasjach, pracowitości, niekiedy nawet odrębności poglądów. Nie było w tym odrobiny patetyczności. Powstała zwyczajna opowieść o ich życiu w różnych epokach historycznych i przynależnościach państwowych. Nie dochodziło też do powtórzeń często stereotypowych, jak w przypadku Siegfrieda Lenza, który ostatecznie przyjechał do Elku, aby odebrać przyznaną mu nagrodę miasta, wbrew zapowiedzi, że chciał zachować zapamiętane Mazury jako egzotyczną krainę dzieciństwa.

W książce jednak bardziej zaprezentowane zostały Mazury. Z zawartych w zbiorze dziesięciu rozdziałach, aż siedem poświęcono tej krainie tak, jakby na Warmii nie było interesujących ludzi, jak chociażby ksiądz Walenty Barczewski, wywodzący się z Jarot, poeta Andrzej Samulowski z Sząbruka, lecz większość swego życia spędził w Gietrzwałdzie czy też związany z Lamkowem propagator czytelnictwa Franciszek Szczepański.

Brałem udział w niejednej takiej audycji. Nie pamiętam, czy w trakcie jednego ze spotkań, które odbywały się zawsze w poniedziałki około godziny 20. przypomniałem incydent, który nie znalazł miejsca w rozmowie o warmińskiej poetce i podjętej próbie wydania jej pierwszych wierszy w oddzielnym zbiorze jeszcze w 1923 roku



przez konsula Józefa Gieburowskiego. Korespondencje na ten temat odnalazłem w warszawskim Archiwum Akt Nowych. Wtedy to znany literat i poeta Zdzisław Dębicki, zapewne nie znając biografii poetki z Brąswałdu, uznał te wiersze za niegodne druku. Pani Maria nigdy nie wspominała o tym przedsięwzięciu, a odkrycia dokonałem dopiero po jej śmierci. Przez to pierwszy samodzielny zbiorek jej wierszy ukazał się dopiero czterdzieści lat później - *Pieśni Warmianki*, wydane przez Instytut Wydawniczy PAX w 1963 roku. Poza tym muszę sprostować, że spotkanie Jana Kasprowicza z członkami Towarzystwa Ludowego w Olsztynie 30 maja 1920 roku nie odbyło się w Domu Polskim w Olsztynie przy dzisiejszej ulicy Partyzantów (s. 20), lecz w wynajętej sali Schlosgarten przy obecnej ulicy Okopowej.

Bardzo polecam tę wzbogaconą kilkudziesięcioma fotografiami książkę Ewy Zdrojowskiej. Stanowi ona ważny przewodnik do poznania piśmiennictwa regionalnego.

Janusz Ryszkowski

OD DANIELEWSKIEGO DO WAŃKOWICZA

Jan Chłosta, *Na warmińsko-mazurskim szlaku. Szkice biograficzne*, Archiwum Państwowe w Olsztynie, Olsztyn 2020.

Czasem zdecydował przypadek, np. przeczytane ogłoszenie, żeby znaleźć się na „warmińsko-mazurskim szlaku”, zanim zaczął być modny i znany. 21-letnia panna Anna Łubieńska z Kiączyzna w powiecie szamotulskim, wywodząca się z rodziny ziemiańskiej, odpowiedziała na prasowy apel hrabiny Heleny Sierakowskiej. Na kilka miesięcy przed mającym się odbyć plebiscytem 1920 roku przyjechała do Waplewa, aby wkrótce organizować polskie ochronki (przedszkola).

Młodszy od niej o 2 lata Kazimierz Małycha, syn wielkopolskiego rolnika, znalazł anons w „Dzienniku Berlińskim”, że redakcja „Mazura” w Szczytnie poszukuje drukarzy. W tym samym mniej więcej czasie Jędrzej Giertych planował przyjechać do Olsztyna, aby zakładać harcerstwo. Na przeszkodzie stanęło m.in. powołanie do wojska - poszedł na wojnę z bolszewikami. Pojawił się jednak w Olsztynie, tyle że ponad dekadę później już jako pracownik polskiego konsulatu. Z kolei Kazimierza Nit-scha przywiodły badania dialektologiczne.

Jan Chłosta w swojej nowej książce przedstawia ponad dwadzieścia postaci, które wiązały, jak napisał we wstępie, „warmiński zaścianek i Mazury z działaniami Polaków w całym zaborze prus-



skim”. Zaangażowały się, tak jak potrafiły, w ratowanie języka polskiego, wycofanego w 1873 roku ze szkół ludowych Prus Zachodnich i Wschodnich.

Pierwszym, który pospieszył z pomocą rodakom z Warmii był Ignacy Danielewski, wydawca, redaktor, pisarz, znany szeroko polskim czytelnikom nawet w Ameryce jako „Majster od Przyjaciela”. Już 1867 roku zgłosił swoją kandydaturę do sejmu pruskiego na Warmii i Śląsku. W 1885 roku uczestniczył w wiecach w obronie języka polskiego zorganizowanych w Olsztynie i Wartembor-

ku (dziś Barczewo). Danielewski odczytał na nich petycję kierowaną do władz, w której zwracano się o przywrócenie lekcji religii w języku polskim, nauczania polskiego w mowie i piśmie we wszystkich oddziałach, aby „opuszczając szkołę dzieci dobrze to umiały”, a rachunków uczono tak, aby umiały je zarówno po niemiecku, jak i polsku. Petycja odegrała ważną rolę w budzeniu poczucia narodowego Warmiaków. Toruński dziennikarz pisał o Warmii m.in. w warszawskim „Słowie” i „Dzienniku Poznańskim”. Dodajmy, że Danielewskiemu nieobce było też Powiśle. Odnotujmy więc obecność tego świetnego mówcy na polskich wiecach wyborczych, m.in. w Sztumie.

Walorem tej książki jest moim zdaniem także to, że oprócz uznanych i dość znanych postaci (np. Melchior Wańkowicz, Bolesław Limanowski, Adam Chętnik czy Mieczysław Orłowicz), przywoływane są sylwetki ludzi niemal już zupełnie zapomnianych, aktorów dalszego planu nawet regionalnej historii. Stara się Jan Chłosta ocalić o nich pamięć. Mimo często skąpego materiału źródłowego, korzystając ze wzmianek rozsypanych po archiwach i prasie, kreśli ich sylwetki. Trzeba więc szczególnie to docenić. Tak jest choćby w przypadku Józefa Klatta, organisty z Gietrzwałdu, Stanisława Gąsowskiego, czy braci Dekowskich, lekarzy praktykujących w Olsztynie, a wywodzących się z okolic Wejherowa.

Nie skąpi też autor w wielu momentach ciekawostek, aby lektura biograficznych szkiców stała się zajmująca także dla niespecjalistów. Czytamy więc, że Kazimierz Dekowski już kilka dni po tragicznej śmierci kolegi po fachu Józefa Przewoskiego (zginął w zderzeniu pociągu z powozem, którym udawał się na polowanie) rozpoczął prywatną praktykę w jego mieszkaniu, a po jakimś

czasie ożenił się z wdową po nim, panią Heleną. Z kolei jej córka z pierwszego małżeństwa została żoną Józefa Gieburowskiego, polskiego konsula w Kwidzynie i Olsztynie. Dekowski bardzo aktywnie włączył się w działalność polską w okresie plebiscytowym, za co potem szykanowały go władze niemieckie, pozbawiając nawet pracy. W 1923 roku przeprowadził się do Polski. W Chełmży kierował lecznicą, zmarł dwa lata później.

Oprócz już wzmiankowanych osób, Jan Chłosta szkicuje biografie konsula Józefa Gieburowskiego, nauczycieli - Ryszarda Knośły, Pawła i Piotra Jaśków, Franciszka Jujki, Franciszka Jankowskiego, historyka ks. Alfonsa Mańkowskiego, ks. Antoniego Ludwiczaka, kierującego Warmińskim Komitetem Plebiscytowym, mecenasa Antoniego Osuchowskiego, „jałmużnika sprawy narodowej”, Emilii Sukertowej-Biedrawiny, badaczki i popularyzatorki Warmii i Mazur oraz Józefa Szajka, nieoficjalnego redaktora „Mazura”.

Warto jeszcze dodać na nasz domowy użytek, że trzy szkice publikowane w książce miały swój pierwodruk na łamach „Provincji”.

Adam Langowski

ZIEMIA SZTUMSKA ZATRZYMANA W KADRZE

Zatrzymane w kadrze – ziemia sztumska w latach 1945-1989, red. K. Zdziennicki, Gdynia 2019.

W 2019 roku Powiślańska Grupa Działania we współpracy z Towarzystwem Miłośników Ziemi Sztumskiej zrealizowała projekt pod nazwą „Fotografia źródłem pamięci mieszkańców ziemi sztumskiej”, którego zwieńczeniem było wydanie albumu „Zatrzymane w kadrze - ziemia sztumska w latach 1945 – 1989”.

Publikacja zawiera ponad siedemdziesiąt zdjęć udostępnionych przez mieszkańców Sztumu i okolicznych miejscowości. Całość poprzedza wstęp, w którym Krystian Zdziennicki, redaktor albumu, omówił problem przynależności administracyjnej ziemi sztumskiej od zakończenia II wojny światowej do roku 2002, kiedy ponownie utworzono powiat sztumski. Na końcu wprowadzenia autor wyraził przekonanie, że „[...] dla osób, które pamiętają minione lata zaprezentowane kadry będą sprzyjać powrotom do wspomnień z lat 1945-1989. Dla młodszych pokoleń książka ta ukaże codzienność tamtych lat”. Trzeba przyznać, że redaktor publikacji nie mylił się, ponieważ album spotkał się z ciepłym przyjęciem, a jego promocja, zorganizowana 30 listopada 2019 r. w Sali Czekoladowej Sztumskiego Centrum Kultury, zgromadziła wiele osób, które chętnie opowiadały o ludziach, miejscach i zdarzeniach utrwalonych na fotografiach zamieszczonych w książce.



Omawiana publikacja może budzić skojarzenia z albumem „Odcienie szarości... Sztum w latach 1945-1990”, wydanym kilkanaście lat temu przez Agencję Wydawniczo-Reklamową „Aliem”. W obu książkach wykorzystano fotografie z tego samego okresu, pochodzące głównie z domowych archiwów, dlatego istniało duże prawdopodobieństwo pojawienia się w nowym albumie zdjęć wybranych i opisanych już kiedyś przez Sławomira Michalika oraz Janusza Ryszkowskiego. Krystianowi Zdziennickiemu udało się jednak przygotować do druku fotografie, których nie było we wcześniejszej publikacji. Wprawdzie wiele ujęć zostało wykonanych w podobnych okolicznościach, takich jak uroczystości religijne, czy państwowe, z jakże charakterystycznymi dla minionego systemu pochodami pierwszomajowymi, ale konkretne obrazy się nie

powielają. Wydaje się, że jedynym zdjęciem powtarzającym się w obu zbiorach jest fotografia drużyny Olimpij Sztum z 1968 roku.

W odróżnieniu od albumu „Odcienie szarości...”, którego twórcy koncentrowali się wyłącznie na Sztumie, książka Powiślańskiej Grupy Działania prezentuje również kadry z innych miejscowości naszego regionu. „Zatrzymane w kadrze” może więc wzbudzić zainteresowanie także wśród mieszkańców Barlewic, Sztumskiego Pola, Pietrzwałdu, Czernina, Kępiny, Uśnic, Piekła, Nowej Wsi, Dzierzgonia, Żuławki Sztumskiej, Mikołajek Pomorskich, Staro Targu, Kątek i Waplewa. Zasadniczą część tego wydania stanowią jednak ujęcia związane ze Sztumem, co podkreśla okład-

ka, na której umieszczono zdjęcie z widokiem miasta oraz herb Miasta i Gminy Sztum. Dodajmy, że fotografie wykorzystane w książce zostały wzbogacone kilkoma krótkimi relacjami uczestników projektu spisanyymi przez Helenę Biskup.

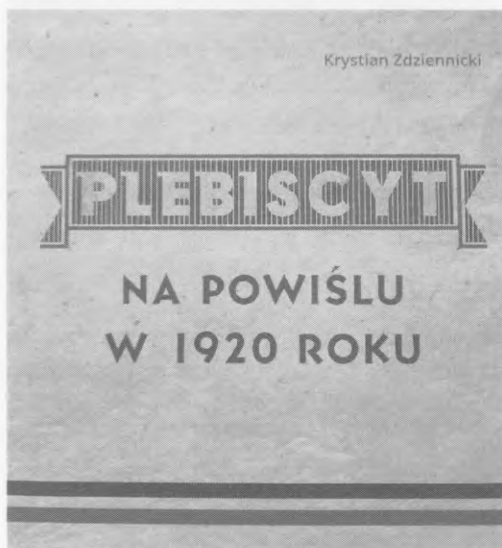
Możliwe, że po zapoznaniu się z zawartością albumu, część z nas uświadomi sobie, że posiada podobne fotografie w swoich zbiorach rodzinnych i bardziej je doceni. „Zatrzymane w kadrze” to swoista fotoksiążka stanowiąca pochwałę, wydawałoby się, zwyczajnych zdjęć, których nie brakuje w każdym domowym albumie. Wydobyte z przestrzeni prywatno-rodzinnej składają się na nasze wspólne lokalne dziedzictwo.

Adam Langowski

PLEBISCYTOWY ALBUM

Krystian Zdziennicki, *Plebiscyt na Powiślu w 1920 roku. Wielkie wydarzenie, wielkie przeżycie i wielka cezura w historii regionu*, Sztum 2020.

Kiedy w 2018 roku obchodziliśmy setną rocznicę odzyskania niepodległości przez Polskę, cześć badaczy i publicystów zwracała uwagę, że dla niektórych regionów moment włączenia w granice państwa polskiego nastąpił nie w 1918 roku, lecz dopiero po zakończeniu drugiej wojny światowej w 1945 roku. Tak właśnie było z Powiślem, które w wyniku przegranej plebiscytu z 11 lipca 1920 roku stało się częścią Niemiec. Wydarzenie to przypomina publikacja autorstwa



sztumianina, Krystiana Zdziennickiego, wydana w 2020 roku, czyli w stulecie głosowania mającego zdecydować o przynależności państwowej naszego regionu.

Autor w przedmowie zdaje się przekonywać wątpiących w sens upamiętniania przegranych spraw, których przecież nie brakuje w polskim kalendarzu historycznym, pisząc: „Warto przypominać o zaangażowaniu mieszkających tu Polaków w »walkę« o granicę odradzającej się po latach zaborów II Rzeczypospolitej”. Na kartach książki przewijają się zatem przedstawiciele miejscowych rodzin ziemiańskich: Sierakowskich, Donimirskich i Kowalskich, którzy w okresie plebiscytowym nie szczędzili sił i środków na rzecz osiągnięcia wymarzonego celu, jakim było przyłączenie do niepodległego państwa polskiego. Oprócz ziemianstwa ważną rolę w budowaniu świadomości narodowej wśród mieszkańców powiślańskich wsi odegrali duchowni, co również podkreślono w publikacji.

Polską akcją propagandową w 1920 roku wsparli znani pisarze i publicyści: Stefan Żeromski, Jan Kasprówicz i Władysław Kozicki. Pierwszy z wymienionych napisał reportaż zatytułowany „Iława-Kwidziń-Malborg”, z którego pochodzą liczne cytaty zamieszczone w albumie przygotowanym przez Krystiana Zdziennickiego. Czytelnik nie może jednak podchodzić do nich bezkrytycznie, ponieważ autorowi „Ludzi bezdomnych” zdarzały się pomyłki, co zostało zaznaczone w przypisach redakcyjnych. Twórcy albumu sięgają również do wspomnień Marii Donimirskiej, Haliny Donimirskiej-Szyrmerowej, Tadeusza Tollika i księdza Władysława Łęgi. Pochodząca z Czernina (Hohendorfu) Halina Donimirska-Szyrmerowa zapisała, że plebiscyt to „wielkie wydarzenie, wielkie prze-

życie i wielka cezura w historii regionu”. To właśnie te słowa zostały wykorzystane w podtytule omawianej publikacji. Szkoda, że w części poświęconej kwidzyńskiej Komisji Międzysojuszniczej nie zdecydowano się dołączyć charakterystyki jej członków dokonanej przez hrabiego Stanisława Sierakowskiego. Właściciel Waplewa w liście do żony z 16 listopada 1919 roku tak pisał o przedstawicielach Komisji: „[...] na czele stoi Włoch, p. Pavia, bardzo bogaty, pochodzenia żydowskiego. Mówi, że chce nam pomagać. [...] Anglik nazywa się Beaumont [...] wygodny, nie bardzo energiczny, zapewne nie odegra wielkiej roli. Mówił, że będzie nas popierał, o ile można i wierzę, że jest szczerzy. Francuz, hrabia de Cherisey jest wybitnie klerykał, raczej realista, średnio inteligentny, wydaje się uparty i obraźliwy. Jako Francuz oczywiście dobrze do nas usposobiony. Japończycy p.p. Ida i Kato są naturalnie zagadką zupełną”.

Wyniki plebiscytu pokazały zdecydowaną przewagę strony niemieckiej, przy czym największy odsetek głosów oddanych za Polską odnotowano w powiecie sztumskim. W albumie wymieniono miejscowości, w których większość ludności opowiedziała się za przynależnością do Polski, co dla obecnych mieszkańców Powiśla powinno być bardzo interesujące. Autor dokonuje również analizy przyczyn porażki i stwierdza, że: „Strona polska praktycznie już na początku była na straconej pozycji, a powyższe elementy wpłynęły na rozmiar zwycięstwa Niemiec w plebiscycie”. Warto w tym miejscu przytoczyć słowa dr. Jana Chłosty z jego „Plebiscytowych reminiscencji”: „Polska nie była w stanie wygrać plebiscytów 11 lipca 1920 r. na Warmii, Mazurach i Powiślu. [...] Klęską Polski było przyjęcie samego postanowienia o plebiscycie. Doprowadziło ono do starcia nierów-

nych sił, których nawet w dłuższym czasie nie można było wyrównać”.

Publikacja została bardzo ładnie wydana. Album nie jest obszerny, ale jego szata graficzna zasługuje na uznanie. Okładka nawiązuje do przedwojennego wydawnictwa Zrzeszenia Rodaków z Warmii, Mazur i Ziemi Malborskiej z okazji 10. rocznicy plebiscytu. Krystianowi Zdziennickiemu udało się pozyskać wiele ciekawych materiałów ikonograficznych, pochodzących z kolekcji Antoniego Barganowskiego i Bogdana Popielarza. Nie zabrakło również współczesnych zdjęć przedstawiających

ważne miejsca związane z polskimi działaczami plebiscytowymi oraz przedsięwzięcia zorganizowane z okazji 100. rocznicy plebiscytu na Powiślu. Do tych drugich należały m.in. wystawy przygotowane w salach zamkowych w Sztumie i Kwidzynie, a także w Muzeum Miasta Malborka.

Album „Plebiscyt na Powiślu w 1920 roku” stanowi godne upamiętnienie wydarzeń sprzed stu lat, które, choć zakończone porażką, wyzwoliły energię wykorzystaną później do walki o prawa mniejszości polskiej w państwie niemieckim.

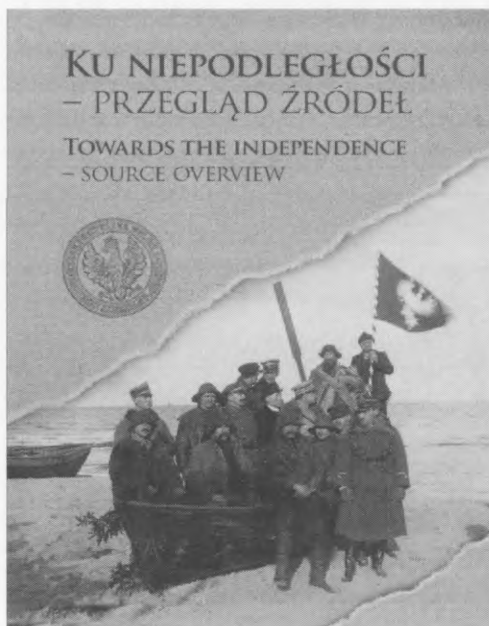
Krystian Zdziennicki

STULECIE WAŻNYCH WYDARZEŃ

Zarówno stulecie powrotu Pomorza w granice Rzeczypospolitej, jak i plebiscytu na Powiślu, stanowiły okazję do wydania ciekawych i wartościowych publikacji przybliżających informacje na temat powyższych wydarzeń. Rocznicą okazała się zatem pretekstem do pokazania, że na Pomorzu trzeba było nieco dłużej poczekać na „Niepodległą” niż w innych częściach odradzającego się po latach zaborów Państwa Polskiego.

Ku niepodległości – przegląd źródeł, oprac. i red. L. Potykanowicz-Suda, Gdańsk 2019.

Ku niepodległości – przegląd źródeł to publikacja albumowa w wersji dwujęzycznej: polskiej i angielskiej, która została wydana przez Archiwum Państwowego w Gdańsku



z okazji stulecia odzyskania niepodległości przez Rzeczypospolitą. Autorka będąca pracownikiem Archiwum w oparciu o zasób archiwalny zgromadzony w tej gdańskiej instytucji przedstawiła drogę do odzyskania niepodległości oraz proces przejmowania przez Polskę władzy nad terytorium w 1920 roku. Zaprezentowała również rozwiązania kompromisowe związane z tworzeniem granic państwowych na Pomorzu, tj. utworzenie Wolnego Miasta Gdańska oraz organizację plebiscytu na Powiślu. Kolejne rozdziały poświęcono amerykańskiej pomocy żywnościowej dla obywateli odradzającej się Polski oraz powrotu Polaków do Rzeczypospolitej w związku z odzyskaniem niepodległości.

Album ukazuje cenne materiały przechowywane w gdańskim Archiwum Państwowym. Niestety tytuł pracy w sposób ogólnikowy wskazuje temat wydawnictwa. Dlatego niezrozumiały jest brak określenia np. zasięgu terytorialnego. Niemniej jednak publikacja stanowi ważny wkład wydawniczy związany ze stuleciem odzyskania niepodległości na Pomorzu. Warto dodać, że wydanie książki było możliwe dzięki finansowaniu ze środków Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych, a także wsparciu Stowarzyszenia Przyjaciół Archiwum Państwowego w Gdańsku. Na uznanie zasługuje zamieszczenie wersji cyfrowej albumu na stronie internetowej: www.gdansk.ap.gov.pl. Powiązane z tematem powyższego wydawnictwa są też inne albumy wydane przez Archiwum Państwowe w Gdańsku, tj. *I wojna światowa w dokumencie archiwalnym* oraz *Gdynia z żelaza, z betonu... 100 fotografii Gdyni na 100-lecie niepodległości*.

Obracht-Prondzyński C., Korda K., Powrót Pomorza w granice Rzeczypospolitej. W setną rocznicę 1920–2020, Gdańsk 2020.



Z okazji setnej rocznicy powrotu Pomorza w granice Rzeczypospolitej Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Josepha Conrada-Korzeniowskiego w Gdańsku oraz Instytut Kaszubski podjęły się stworzenia dzieła, które z jednej strony w sposób atrakcyjny przybliży wydarzenia sprzed wieku na Pomorzu, a z drugiej może stanowić przyczynek do dalszych badań ze względu na zamieszczenie materiału źródłowego. Premiera publikacji miała miejsce w przededniu rocznicy Zaślubin Polski z Morzem w ramach oficjalnych obchodów organizowanych przez Samorząd Województwa Pomorskiego. Oprócz publikacji przygotowano wystawę oraz folder (dostępny również w wersji cyfrowej), które przybliżają najważniejsze zagadnienia związane z wydarzeniami sprzed stu lat.

Warto podkreślić, że autorzy w pierwszych rozdziałach przybliżyli zarys dziejów Pomorza do zakończenia I wojny światowej. Kolejne części związane są bezpośrednio z tematem pracy tj. zawierają prezentację okre-

su przejściowego, czyli od listopada 1918 r. do grudnia 1919 roku, następnie wydarzeń związanych z wejściem w życie traktatu wersalskiego, które nastąpiło w styczniu 1920 roku. To właśnie wtedy w sposób pokojowy polskie wojsko przejmowało przez prawie miesiąc poszczególne części Pomorza, a zwieńczeniem były zaślubiny Polski z Bałtykiem 10 lutego 1920 roku dokonane przez gen. Józefa Hallera. Należy zauważyć, że autorzy nie zapomnieli o organizacji plebiscytu na Powiślu, który należy określić jako wydarzenie związane z procesem tworzenia granic Rzeczypospolitej.

Churska-Wołoszczak K., Męczykowska B., „*Należy stworzyć niepodległe państwo polskie (...) z wolnym dostępem do morza*”. *Powrót Pomorza i Kujaw do Polski 1918-1920*, Gdańsk–Bydgoszcz 2020.



Album pt. „*Należy stworzyć niepodległe państwo polskie (...) z wolnym dostępem do*

morza”. *Powrót Pomorza i Kujaw do Polski 1918-1920* stanowi rozszerzoną wersję wystawy o tym samym tytule przygotowanej przez Instytut Pamięi Narodowej/oddział w Gdańsku z okazji setnej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości. Publikacja ta zawiera fragmenty wspomnień i artykułów prasowych, a także źródła o charakterze ikonograficznym: fotografie, plakaty, ulotki i mapy. Autorzy zaprezentowali najważniejsze aspekty związane z odzyskaniem niepodległości na terenie Kujaw i Pomorza przedstawiając zarówno informacje dotyczące drogi prowadzącej do odrodzenia Rzeczypospolitej, jak i poszczególnych wydarzeń z lat 1918-1920, w tym plebiscytu na Powiślu. Uzupełnienie stanowią minibiogramy pomorskich ojców niepodległości. Z całą pewnością rozszerzeniem ostatniej części publikacji stanowi wydana również przez IPN książka *Pomorscy Ojcowie Niepodległości. Historia i pamięć pod redakcją Krzysztofa Drażby*. Album jest dostępny również w wersji cyfrowej na stronie wydawcy.

Plebiscyt 1920. Mała Polska – Wielcy Polacy. Katalog wystawy z komentarzem historycznym, red. D. Raczkowska, Malbork [2020].



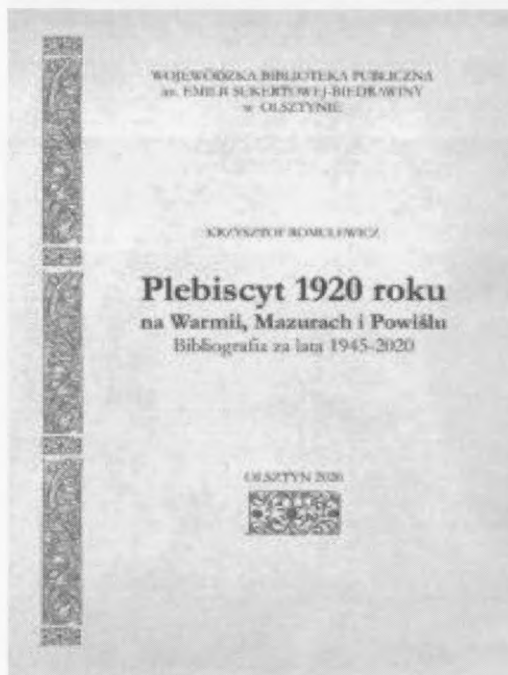
Muzeum Miasta Malborka we współpracy z Archiwum Państwowym w Malborku

z okazji 100-lecia plebiscytu na Warmii, Mazurach i Powiślu przygotowało wystawę pt.: „Plebiscyt 1920. Mała Polska – Wielcy Polacy”. Jej pokłosie stanowi katalog wystawy zawierający zdjęcia i kopie dokumentów prezentowane podczas plebiscytowej ekspozycji, a także komentarze historyczne. Wydawca zamieścił również streszczenia w języku niemieckim i angielskim wszystkich opublikowanych w katalogu artykułów. W publikacji uwypuklono dwa wątki prezentowane na wystawie, tj. plebiscyt w Malborku zakończony porażką strony polskiej oraz informacje na temat tzw. Małej Polski, którą w wyniku głosowania miejscowej ludności przyłączono do II Rzeczypospolitej.

Aleksandra Paprot-Wielopolska w swoim komentarzu zaprezentowała zarys społeczno-kulturowy regionu w okresie przed- i poplebiscytowym. Powiśle i Żuławy do 1945 roku były mozaiką kulturową, gdyż obok siebie mieszkali tu przedstawiciele różnych grup narodowościowych i religijnych. Weronika Rakowska-Szerle przedstawiła w sposób skondensowany dzieje Malborka na tle historii regionu. Warto tu jednak skorygować informację dotyczącą stolicy województwa malborskiego w okresie I Rzeczypospolitej. Takie miano należy przyznać Dzierzgoniowi, a nie Malborkowi pomimo nazwy jednostki administracyjnej. Niezwykle ważne opracowanie stanowi tekst Tomasza Kukowskiego, który wykorzystując materiały archiwalne omówił niezwykle ważne wydarzenie w dziejach miasta nad Nogatem, czyli plebiscytu z 1920 roku w Malborku/Marienburgu. Wynik głosowania w dawnej stolicy Zakonu NMP wypadł zdecydowanie niekorzystnie dla strony polskiej, gdyż za Polską głosowało tu zaledwie 165 osób, co stanowiło 1,67% oddanych głosów. Niemniej jednak w kolejnym tekście Wiesława Szkutnik ukazała teren,

który w wyniku organizacji plebiscytu na Powiślu przypadł II RP. Była to tzw. Mała Polska składająca się wówczas z pięciu nadwiślańskich miejscowości: Janowa, Bursztynu, Kramrowa, Małego Pólka i Nowych Lignów. Zwieńczenie katalogu natomiast stanowi artykuł biograficzny poświęcony wyjątkowo zasłużonej postaci dla tzw. Rzeczypospolitej Janowskiej, tj. ks. Ignacego Niklasa, który w latach 1894-1931 pełnił funkcję, najpierw administratora, a następnie proboszcza parafii w Janowie.

Romulewicz K., *Plebiscyt 1920 roku na Warmii, Mazurach i Powiślu. Bibliografia za lata 1945-2020*, Olsztyn 2020.



Niezwykle ważną inicjatywę podjęła Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Emilii Sukertowej-Biedrawiny w Olsztynie, której pracownik Krzysztof Romulewicz opisał i sklasyfikował piśmiennictwo po-

wojennych prac i materiałów związanych z plebiscytem z 1920 roku. Bibliografia stanowi zestawienie zarówno prac naukowych, popularnonaukowych, jak i o charakterze eseistycznym i publicystycznym. Obejmują one przede wszystkim tytuły w języku polskim i niemieckim, które dotyczą samego plebiscytu na Powiślu oraz Warmii i Mazurach, a także innych zagadnień bezpośrednio powiązanych z tym wydarzeniem. Zestawienie można uzupełnić chociażby o prezentowane albumy: *Ku niepodległości – przegląd źródeł, czy „Należy stworzyć niepodległe państwo polskie (...) z wolnym dostępem do morza”*. *Powrót Pomorza i Kujaw do Polski 1918-1920*. Niemniej jednak bibliografia zawiera niemalże całościowe spojrzenie na dotychczasową literaturę plebiscytową wydaną od 1945 do listopada 2020 roku. Niezwykle cenne jest wprowadzenie, które stanowi artykuł Jana Chłosty pt.: *Reminiscencje plebiscytowe*. Warto też

podkreślić, że wydana bibliografia jest uzupełnieniem prac Jerzego Minakowskiego¹.

Powyższe publikacje z całą pewnością powinny znaleźć się w biblioteczkach regionalistów, gdyż przybliżają dzieje kluczowych wydarzeń w dziejach Pomorza i Powiśla. Dzięki licznym inicjatywom wydawniczym, wynikającym ze stulecia powrotu Pomorza w granice Rzeczypospolitej oraz plebiscytu na Powiślu, zagadnienia związane z kształtowaniem granicy II RP w regionie przebiły się do szerokiego grona odbiorców, a nie tylko do badaczy tych zagadnień. Dlatego też cieszy fakt, że coraz więcej wydawców decyduje się na upublicznienie w sieci internetowej wersji elektronicznej poszczególnych książek.

¹ Zob. J. Minakowski, *Baza artykułów dotyczących plebiscytu na Warmii, Mazurach i Powiślu w 1920 roku*, Olsztyn 2010.

Noty o autorach

Wacław Bielecki – od 1947 r. mieszkaniec Nowego Stawu, a od 1974 roku Sztumu. Absolwent pedagogiki Uniwersytetu Gdańskiego. Pracował jako nauczyciel w Szkole Podstawowej w Nowym Stawie i asystent w Katedrze Pedagogiki UMK w Toruniu. W 1980/81 roku redaktor naczelny tygodnika „Sztumska Solidarność”, a na przełomie lat 1989/90 członek kolegium redakcyjnego tego czasopisma. Odznaczony Krzyżem Wolności i Solidarności. Dyrektor Poradni Wychowawczo-Zawodowej oraz szkół medycznych w Sztumie. Meloman, autor książki *Zapiski melomana z prowincji*.

Krzysztof Bochus – ur. w Kwidzynie, absolwent Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Pracował m.in. w *Nowej Wsi* i koncernie prasowym „Burda”, w latach 1998–2000 redaktor naczelny miesięcznika *Sukces*. Jego teksty ukazywały się m.in. w takich tytułach jak „Przegląd Tygodniowy”, „Wprost”, „Focus”. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Autor popularnych kryminałów, *Czarny manuskrypt* (2017), *Martwy błękit* (2017), *Szkarłatna głębia* (2018), *Lista Lucyfera* (2019), *Miasto duchów* (2019) oraz *Boski znak* (2020), *Wachmistrz* (2020), *Kłątwa Lucyfera* (2021).

Krzysztof Czyżewski – eseista i animator działań międzykulturowych; twórca Fundacji „Pogranicze” i Ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” w Sejnach; redaktor naczelny pisma „Krasnogruda” i szef Wydawnictwa Pogranicze, w którym redaguje m.in. serie „Meridian” oraz „Sąsiedzi”. Autor książek *Ścieżka pogranicza* (2001), *Linia powrotu. Zapiski z pogranicza* (2008), *Małe centrum świata* (2017). Wykładowca m.in. Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu Wileńskiego, New School University (Nowy Jork), Transregional Center for Democratic Studies (Kraków), Boston University. Laureat Medalu św. Jerzego, nagród A. Gieysztor i J. Giedroycia, nagrody Forum Ekonomicznego w Krynicy „Nowa Kultura Nowej Europy”. Laureat nagrody NEPTUNA, przyznawaną przez miasto Gdańsk.

Grzegorz Daszewski – pochodzi z Nowego Dworu Gdańskiego, ale cygańska natura wyciągnęła go z żuławskiej depresji i zawiadła na Wyspy Brytyjskie. Po kilku latach znudziła mu się rola Wilhelma Zdobywcy i pogonił za słońcem, wkradając się do serca Morza Śródziemnego. Zamieszkał na wyspie Malta, gdzie po skończeniu studiów został przewodnikiem turystycznym i pracą tą para się do dzisiaj. Jednak nie tak dawno podczas pobytu w Polsce ponownie ujawniła się jego złodziejska żyłka i skradł serce pewnej damie. Postanowił wrócić do Polski, ale z miłości do wysp osiadł w Gdańsku obok Wyspy Spichrzów. Jak wszyscy czeka na lepsze czasy i marzy o powrocie do pracy na Malcie, która daje mu energię i inspirację.

Katarzyna Gentkowska – ur. w Golubiu-Dobrzyniu. Absolwentka polonistyki i historii na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Nauczyciel pasjonat. Współorganizatorka Ogólnouczelnianych Konkursów Recytatorskich na UMK. Swoje zainteresowania badawcze koncentruje wokół XIX-wiecznej literatury i obyczajowości.

Beata Grudziecka – od 2016 roku zajmuje się popularyzacją wiedzy o holenderskich flizach na Żuławach. W 2020 r. otrzymała stypendium MKiDN dla twórców kultury na działania związane z animacją i edukacją kulturalną oraz stypendium artystyczne Marszałka Województwa Pomorskiego. Jest autorką pierwszej strony internetowej dotyczącej tematyki fliz holenderskich w Polsce.

Andrzej Kasperek – ur. 1958, absolwent polonistyki na Uniwersytecie Gdańskim (seminarium prof. Marii Janion), pisarz, badacz literatury, działacz opozycji demokratycznej (jeden z założycieli Niezależnego Zrzeszenia Studentów), doktor nauk humanistycznych; od 1985 zajmuje się pracą nauczycielską (Liceum Ogólnokształcące w Nowym Dworze Gdańskim). Nominowany do Finału Nagrody Literackiej Gdynia 2011 za książkę *Back in the DDR i inne opowiadania* (2010). Autor tomu esejów *Galeria Jacka Kaczmarskiego. Skrzydło wschodnie* (2013) oraz tomu opowiadań pt. *Koronczarka* (2013). W 2018 wydał *Mój płaski kraj Żuławy*. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2012). Żuławiak od urodzenia.

Radosław Kubus – ur. 1991 r. w Nowym Dworze Gdańskim. Absolwent historii i archeologii na Uniwersytecie Gdańskim. Specjalista ds. historii regionalnej w Bibliotece Elbląskiej, doktorant w Instytucie Historii UG. Swoje zainteresowania badawcze koncentruje wokół historii medycyny w epoce nowożytnej oraz dziejów prasy w I poł. XIX wieku.

Beata Langowska – absolwentka filologii polskiej na UG. Pracuje w Zespole Szkolno-Przedszkolnym im. Franciszka Jujki w Starym Targu. Debiut literacki w „Gazecie Elbląskiej” w 1994 roku. Mieszka w Sztumie.

Adam Langowski – ur. w 1981 r. w Sztumie, absolwent LO w Sztumie, ukończył historię na UMK w Toruniu. Pracuje jako nauczyciel historii w Zespole Szkół w Starym Targu. Mieszka w Sztumie.

Andrzej C. Leszczyński – urodził się w Chodzieży. Eseista, wykładowca akademicki, okazjonalnie nauczyciel licealny. Studiował pedagogikę i filozofię. Autor trzech książek i ponad 200 rozpraw i szkiców z zakresu filozofii człowieka, etyki, antropologii teatru. Promotor ponad stu prac magisterskich i licencjackich. Prowadził teatralne warsztaty komunikacji i ekspresji w kraju i za granicą.

Andrzej Lubiński – ur. 1952 r. w Gniewie. Absolwent historii w UMK w Toruniu. Prezes Towarzystwa Miłośników Sztumu. Publikacje w „Komunikatach Warmińsko-Mazurskich”, „Studiach Elbląskich”, „Roczniku Elbląskim”, „Prowincji”, „Z dziejów Sztumu i okolic”. Autor książki *W ich smach powracała Polska*. Mieszka w Sztumie.

Tadeusz Majewski – ur. 1955 r. w Lęborku. Absolwent UMK Wydział Filologia Polska w Toruniu. Mieszka w Starogardzie Gdańskim. Założyciel i red. Nacz. „Gazety Kociewskiej”, „Tygodnika Kociewskiego”, red. prowadzący magazynu reportażowego „Kociewiak” w „Dzienniku Bałtyckim”. Autor wielu reportaży, tekstów publicystycznych i rysunków satyryczno-refleksyjnych. Twórca i redaktor pierwszego portalu na Kociewiu (2003) *Kociewiaczy.pl* (alias WIRTUALNE KOCIEWIE). Autor książek m.in. *Przeplotnia* (2006), *Oj, oj, Ojczyzna* (2007) – wybory reportaży, opowiadań i krótkich form prozatorskich - i *Starsza pani pilnuje*. Od kilku lat częściej pisze prozę. Dwa z jego opowiadań wydrukował „Topos”.

Sergiusz Mizera – ur. w 1994 r., Kwidzyniak. Absolwent I LO im. dr Władysława Gębika w Kwidzynie oraz Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Gdańskiego. Aplikant Izby Notarialnej w Gdańsku. Od najmłodszych lat związany z teatrem. Współpracownik Kwidzyńskiego Centrum Kultury. Twórca Grupy Teatralnej „Sotie”. Reżyser, scenarzysta, aktor, pisarz. Miłośnik muzyki i sportu. Jego debiutem poetyckim były *Przemijania* z 2018

roku, które ukazały się nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Gdańskiego. Publikował także w „Schodach Kawowych”, kwartalniku „Prowincja” i aperiodyku „Errarte”. W poezji stara się dawać wyraz zmaganiom człowieka – ze sobą, ze światem, z boskimi zamysłami, czyli wszystkim, co tak często pozostaje dla niego niezrozumiałe. Za poezję udaną uważa taką, która wzbudza w czytelniku wrażenie, iż nie jest on pozostawiony samemu sobie, wobec ciężaru istnienia w świecie – a przynajmniej, że nie on jedyny taki ciężar nosi na swoich barkach.

Grażyna Nawrońska – ur. w Chodzieży. Absolwentka archeologii UAM w Poznaniu i Studium Podyplomowego Muzealnictwa na Uniwersytecie Warszawskim. Od 1980 do 2010 roku badania archeologiczne na Starym Mieście w Elblągu. Od 2010 roku pracowała w Muzeum Archeologiczno-Historycznym w Elblągu. Autorka kilkudziesięciu publikacji naukowych w Polsce i Belgii, Irlandii, Szwajcarii, Niemczech. W 2010 roku obrona doktoratu na Uniwersytecie we Wrocławiu. Mieszka w Elblągu.

Wiesław Olszewski – ur. w 1957 r. Absolwent Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie, rolnik. Inicjator reaktywacji struktur Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Nowym Dworze Gdańskim. Przewodnik po Muzeum Stutthof oraz Muzeum Zamkowym w Malborku.

Marcin Owiński – dr n. humanistycznych z zakresu historii, absolwent Wydziału Nauk Historycznych UMK w Toruniu oraz Podyplomowego Studium Muzealnictwa UJ w Krakowie. Od 1999 r. pracownik Muzeum Stutthof, kustosz dyplomowany, edukator, kierownik Działu Naukowego Muzeum. Autor i redaktor kilkudziesięciu publikacji edukacyjnych, naukowych i popularnonaukowych dotyczących historii najnowszej oraz dziejów Żuław, Stutthofu i Sztutowa.

Patryk Pawłowski – ur. 1983 roku w Sztumie. Prezes Stowarzyszenia Historycznego im. 5 Wileńskiej Brygady AK. Współautor książki *Inka (1928-1946). Pamięć i tożsamość II*. Mieszka w Malborku.

Piotr Podlewski – absolwent historii Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. Nauczyciel historii, pasjonat dziejów ziemi sztumskiej i Powiśla. Publikuje w „Dzienniku Bałtyckim” i „Prowincji”, muzyk. Mieszka w Sztumie.

Paweł J. Przybysz – ur. w 1994 r. w Sztumie, wychowany w Ryjewie, studiami i pracą pchnięty do Trójmiasta. Absolwent I LO im. dr Władysława Gębika w Kwidzynie. Na papierze inżynier, w rzeczywistości człowiek o wielu rozbieżnych i zmiennych zamiłowaniach. Twórczo zainteresowany poezją, muzyką, fotografią i grafiką komputerową. Zadebiutował poetycko w 2019 r. w kwartalniku „Prowincja”. W pisaniu największą radość czerpie ze znajdowania niecodziennych środków wyrazu i opisywania osobistych, międzyzmysłowych wrażeń.

Janusz Ryszkowski – ur. w 1955 r. w Opaleniu. Ostatnio opublikował tomik wierszy *Stacja przedostatnia* (2014), *Morawscy – pięć pokoleń i pół. Patchwork historyczno-literacki z Powiśla i Kociewia* (2014), redaktor książki Józefa Borzyszkowskiego i Marka Stażewskiego *Dzieje Sztumu 1806-1945* (2014).

Ryszard Rząd – ur. w 1953 r., historyk, absolwent KUL. Pracownik Muzeum Zamkowego w Malborku. Autor szeregu publikacji poświęconych dziejom odbudowy zamku w Malborku na przełomie XIX i XX wieku.

Leszek Sarnowski – ur. w 1959 r. w Barcinie na Kujawach. Absolwent historii Uniwersytetu Gdańskiego. Współpracował z „Gazetą Wyborczą”, „Dziennikiem Bałtyckim”, „Radiem Gdańsk”, „Radiem Plus”, „TVP Olsztyn”, „TVP Gdańsk”. Redaktor naczelny „Sztumskiej Solidarności” i „Gazety Sztumskiej” w latach 1989–1993. Pomysłodawca, wydawca i redaktor naczelny kwartalnika „Prowincja”. Autor książki *Sztumska droga do wolności* (2017) oraz *Ocalona pamięć. Żydzi na ziemi sztumskiej* (2017).

Mariusz Stawarski – ur. w 1961 r. Absolwent Wydziału Architektury Wnętrz Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku. Od 1990 r. pracuje w zamku w Malborku, gdzie zajmuje się wystawiennictwem i grafiką użytkową. Od 1986 r. zajmuje się malarstwem liryczno-groteskowym, wystawianym i nagradzanym w wielu krajach i zagranicznych konkursach. Mieszka w Malborku.

Radosław Wiśniewski – ur. 1974 r. Absolwent psychologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Mieszka w Kielczowie, pracuje we Wrocławiu., związany z Brzegiem. Pisze wiersze, publicystykę, prozę, krytykę. Autor między innymi: *Inne Bluesy* (2015), *Psalm dla Św. Sabiny* (2016), *Dziennik Zenona Kałuży* (2017). Współzałożyciel Stowarzyszenia Żywych Poetów w Brzegu, redaktor naczelny ex-kwartalnika „Red”, współpracownik „Odry”, „Studium”, „Undergruntu”.

Paweł Zbiński – pochodzący z Gdańska scenarzysta i reżyser. Absolwent UJ i łódzkiej filmówki. Emigrant z Polski. Dyrektor artystyczny założonej w Paryżu firmy Fontaine Media. Wspólnie z Aleksandrą Fontaine wystawił w Teatrze w Perpignone w marcu 2018 francuskojęzyczną, kryminalną sztukę *La file a la valise* osnutą wokół wydarzeń związanych z atakiem terrorystycznym na redakcję satyrycznego pisma „Charlie Hebdo”. Od lipca 2018 współzałożyciel wybudowanej w Saint Laurent de Cerdans w Katalonii Galerii „Porray”.

Krzysztof Zdziennicki – ur. w 1992 r. w Sztumie. Absolwent historii oraz prawa na UG. Członek zarządu Towarzystwa Miłośników Ziemi Sztumskiej. Zajmuje się badaniami historycznymi Pomorza ze szczególnym uwzględnieniem Powiśla. Autor bloga: www.ziemiasztumska.blogspot.com



Galeria Prowincji Opuszczone miejsca

Urodziłem się w Kwidzynie, mam 44 lata. Jestem skromnym i nieśmiałym człowiekiem. Fotografowanie wyzwala we mnie uczucia, które nakazują, aby uwiecznić to, co może ulec zniszczeniu i zapomnieniu. Prywatnie jestem tatą Jana, który towarzyszy mi w wędrówkach, w czasie których staramy się znaleźć i ocalić od zapomnienia ciekawe miejsca i budowle.

Adam Szczepański

